

Danilo Dolci

SYCYLIA OD ŚRODKA

WPROWADZENIE

Jest wśród nas cały świat ludzi, których skazaliśmy na śmierć. Nie mogą tego wytrzymać, więc co pewien czas nie bez słuszności próbują się buntować; odpowiadamy wtedy strzałami i więzieniem.

Przestańmy brać stronę silniejszych, przestańmy umożliwiać im systematyczne, dokonujące się wręcz w biały dzień, gnębienie drugich. Nie wierzę, byśmy wszyscy byli na tyle okrutni, aby chcieć nadal mordować i pozwalać mordować innym. Nie wierzę w to. Pamiętajmy, że życie ucieka.

W rejonie największego bandytyzmu sycylijskiego (Parti- nico, Trappeto, Montelepre: łącznie 33 tysiące mieszkańców) na trzystu pięćdziesięciu „wyjętych spod prawa” tylko jeden ma obydwój rodziców z ukończoną czwartą klasą szkoły podstawowej.

Ogólnej sumie około 650 lat szkoły (przeciętnie na osobę nie wypadają nawet dwie klasy szkoły podstawowej) odpowiada tu 3 tysiące lat więzienia. A procesy przeciwko „bandytom” trwają nadal.

Liczba chorych umysłowo, kalek i głuchoniemych przekracza setkę.

Co miesiąc wydajemy 13 milionów lirów na utrzymanie policji, „sił porządkowych”, więzień. Rocznie — ponad 150 milionów. Przez dziewięć lat wydaliśmy więc przeszło czte-

ry i pół miliarda lirów ze społecznych funduszków na zabijanie i więzienie. W tym czasie nie przybył tu ani jeden opiekun społeczny, których przygotowuje we Włoszech 28 szkół. 4 tysiące osób potrzebuje natychmiast pracy.

Nie zrobiono nic, aby na przykład wykorzystać wodę z pobliskiej rzeczki, co zapewniłoby pracę wszystkim. Gdyby była praca, nie byłoby bandytyzmu.

W całej tej strefie nie ma ani jednej rodziny więzionych czy zabitych, nad którą ktoś rozciągałby prawdziwy „patronat”. Dzieci aresztowanych przeważnie są skazane na analfabetyzm i wyzyskiwane już od wieku pięciu czy sześciu lat. Niemoc, bałagan w życiu publicznym trwają.

Z DNA

Bunt

Po zakończeniu wojny — jeszcze byli Amerykanie — chleb był obrzydliwy, a bezrobocie straszne. Wiele ludzi żywiło się przez długi czas chlebem świętojańskim. Istniała wtedy kontrabanda zboża do Partinico z okolicznych latyfundiów.

29 marca 1944 roku lud powstaje; uwalnia więźniów i tworzy oddziały, do których należą nawet policjanci (komenda policji nie działa), konfiskujące zboże z domów bogaczy. Zboże miało być zwożone do młyna, aby powiększyć racje chleba dla wszystkich.

Bankiem 30 marca ponad tysiąc osób zbiera się przed urzędem podatkowym: grupa około stu aktywistów jest gotowa na wszystko (warto zauważyć, że chodzi tu o najbiedniejszych, którzy nie mieli nigdy do czynienia z urzędem podatkowym ani z katastrem), pozostali to nie mający nic lepszego do roboty i gapie. Niektórzy zaczynają wyrzucać na ulicę teczki z dokumentami, aby je spalić. Interweniuje policja, która zaczyna strzelać w powietrze, aby rozproszyć tłum. Jeden strzał zabija Pupilla, osiemnastoletniego studenta. Kilku ludzi podnosi ciało i zanoszą do domu przy akompaniamencie okrzyków: „Pomścimy go!” Komisarz policji, sierżant żandarmerii i paru policjantów zamykają się w urzędzie podatkowym, a potem próbują uciekać drugimi drzwiami w stronę koszar.

Na ten widok ze wzburzonego tłumu pada okrzyk:

„Śmierć im!” Słysząc pytanie: „Kto umie rzucić granatem?” Jakiś saper, który świeżo wrócił z Jugosławii, krzyczy: „Ja, mam srebrny medal za odwagę I” Łapie ręczny granat i rzuca (zdaje mu się, że ciągle jeszcze jest na wojnie. Nauczono go zabijać, jest przeświadczony, że jego postępek jest słuszny i bohaterski czyż nie za takie czyny dostał srebrny medal?).

Pada drugi granat. Komisarz ratuje się ucieczką, a sierżant pada na ziemię ciężko ranny: jest dziesiąta rano i aż do piątej po południu będzie tak leżał na ziemi wykrwawiając się, bo tłum dokoła nie pozwoli, by ktokolwiek zbliżył się do niego dla udzielenia pomocy. Tymczasem inni palą papiery w urzędzie podatkowym. Wielu twierdzi, że ci, których „drażnił” urząd podatkowy, a więc z pewnością nie biedacy, sprowadzili kilku zaufanych ludzi, aby skierowali wściekłość tłumu przeciw urzędowi podatkowemu i katastrofalnemu, odciągając go tym samym od konfiskowania zboża w ich domach. Psy, ściągnięte zapachem krwi, liżą rany rannego, który błaga o wodę. Wreszcie jakaś staruszka zanoszą mu trochę wody.

Nad wieczorem przybywa batalion policji i tłum rozprasza się, syty okrucieństw[^]; odezwały się wyrzuty sumienia, przyniosły uspokojenie słowa jakiegoś księdza i wielkoduszne obietnice porucznika, policji. Rannego zabierają. Stogi na polach pełne są tej nocy uciekinierów, którzy boją się aresztowania. Wielu zostaje aresztowanych. Po przewlekłym procesie skazano dwu biedaków na 25, a jednego na 16 lat ciężkiego więzienia.

Od tego czasu bunt trwa nadal, przybierając charakter akcji politycznej bądź też* o wiele częściej, działalności terrorystycznej. Nowi „bandyci” znajdują idealne usprawiedliwienie w sycylijskim separatyzmie. Głód jest powszechny. Mafia kusi tych, którzy w czasie buntu okazali najwięcej odwagi; kto kradnie bydło i zostawia część dla mafii, ten jest chroniony; kto nie dzieli się łupem, tego się zabija lub wydaje policji. Mafia posługuje się bandytyzmem do celów politycznych. Jej hasłem jest: „Jeżeli nasi zwyciężą w wyborach, to sprawy ułożą się należycie i wszyscy wy

jęci dziś spod prawa będą wolni. Co więcej, najdzielniejsi znajdą zatrudnienie w policji". Po wyborach „bandyci" oraz wszyscy ich krewni i przyjaciele zauważają, że zostali oszukani. Nieodzwonność statystyki

W Partinico mieszka 5 959 rodzin (25 258 mieszkańców przy końcu 1953 roku) zewnętrznie niezbyt różniących się między sobą. Grupują się w trzech charakterystycznych strefach: jedna — na południu, dla której dzielnicę typową i najsmutniejszą stanowi Spine San te (połowa jej mieszkańców to tzw. „kombinatorzy", bo kombinują, jak związać koniec z końcem), druga — na północny zachód w kierunku Via delia Madonna (główna kwatery wyjętych spod prawa) i trzecia — na północny wschód w stronę Mulini (strefa najbardziej rozpowszechnionej prostytucji).

Partinico obejmuje 10 711 hektarów ziemi: z tego 15 hektarów to zupełnie nieużytki, 565 — rodzi dzikie figi, 87 — sumak, a 114 to pastwiska. Pozostaje więc 9 930 hektarów gruntów uprawnych. Z tego 2 420 hektarów to grunty orne, 255 — pod uprawę warzyw, 672 — nawodnione, 5 897 —• pod uprawę winorośli, 624 — pod oliwki, 62 — pod migdałowce. Te 9 930 hektarów ziemi uprawnej podzielone jest na 43 324 parcele, które są własnością 17 244 osób. 11 518 właścicieli ma mniej niż pół hektara, 4 796 od pół do dwóch hektarów, 740 — od dwóch do pięciu hektarów, 138 — od pięciu do dziesięciu hektarów, wreszcie 52 — od dziesięciu do pięćdziesięciu hektarów. Własność jest rozdrobniona, często kilka odległych działek jest własnością jednej rodziny.

Po potrąceniu podatków, kosztów nawozu i nasion globalny średni roczny dochód z rolnictwa wynosi 1 300 milionów lirów. Z tego około 122 miliony przypada na 52 właścicieli, 117 milionów na 138 właścicieli, 260 milionów na 740, 546 milionów na 4 796 (średnio 110 tysięcy lirów rocznie dla każdego), wreszcie około 255 milionów na 11518

właścicieli (na głowę około 21 tysięcy lirów rocznie, czyli oD lirów dziennie). A ziemia jest nieomal jedynym źródłem utrzymania.

Robotnicy rolni dostają 500, 600, 650 lirów dziennie, pracując około dziesięciu godzin, ale praca jest tylko przez pół roku. Często nie są nawet ubezpieczeni.

Handel ma charakter przede wszystkim wewnętrzny. Brak organizacji, która wysyłałaby nowalijki tam, gdzie zysk byłby większy. Brak jest spółdzielni rolnych oraz ośrodka zajmującego się produkcją wina. Z tego powodu często marnuje się znaczna część zbiorów winorośli (pewnego roku zmarnowała się niemal połowa!).

Prawdziwy przemysł nie istnieje. Są tylko cztery przedsiębiorstwa typu rolno-przemysłowego. Jedna destylarnia zatrudnia 30 robotników, pracowników dniówkowych i stałych. Dniówkowi pracują na akord przez sześć godzin dziennie, biorąc około 70 lirów za godzinę; pracownicy stali zarabiają 700 lirów dziennie. Praca przy wyłoczynach trwa od dwu do dwu i pół miesiąca, podobnie przy moszczu. Jeżeli koszt wina jest niski i opłaca się przerabiać je na spirytus, wtedy praca jest zapewniona na cały rok; w przeciwnym razie grozi bezrobocie przez pozostałe miesiące.

Młyn pracuje stale. Zatrudnia 50 robotników dniówkowych (80 lirów za godzinę) oraz stałych (980 lirów dziennie). Jest to urządzenie nowoczesne, produkuje około 45 kwintali makaronu dziennie. Mydlarnia zatrudnia 7 robotników, którzy pracują dorywczo, zależnie do dostaw tłuszczów. Produkcja jest tu ograniczona, a zbyt na miejscu. Fabryka konserw pracuje tylko w sezonie zbioru pomidorów — 20 pracowników, w większości kobiet. Produkcja, ograniczona ze względu na aparaturę nie nadającą się do większego przerobu, znajduje zbyt prawie w całości na miejscu.

Prawie nie ma rzemiosła i rękodzielnictwa. Nieliczne kobiety haftują bądź tkają, zarabiając za cały dzień pracy najwyżej 250 do 300 lirów.

Kto nie ma pracy, ten „urządza się”, „kombinuje”. Często jest głód. Komu się udaje, ten emigruje. Wiele domów ma

zamiast podłogi klepisko. Średnio troje-czworo dzieci w jednej rodzinie. Mieszkania składają się przeważnie z jednej izby.

Dwa bary: jeden nowoczesny, dla „lepszej publiczności”, i drugi malutki, przy rynku. Jedna winiarnia, w której sprzedaje się także napoje chłodzące. Trzy nędzne ciastkarnie i paru lodziarzy.

Lokalna arystokracja zbiera się w „Klubie Obywatelskim”, gra w karty, warcaby, szachy i bakarata. Klub nie prowadzi żadnej działalności kulturalnej.

Cztery czy pięć sal tanecznych z wyszynkiem: tańczą tylko sami mężczyźni płacąc pięć lirów za taniec.

Słabo prosperuje teatr marionetek.

Nikła jest działalność sportowa.

Największą uroczystością jest święto Madonny del Ponte, Matki Boskiej Mostowej, z wielokilometrową procesją od sanktuarium w polu do miasta. Żeby powiększyć fundusz dochodów, gmina narzuca kupno świętego obrazka jako dopłatę przy zaświadczeniach nawet dla biedaków.

Od zakończenia wojny (gdy wielu jadało często tylko chleb świętojański) wydano wiele milionów na to święto; nawet w domu publicznym, jak wynika z opowiadań świadków, do ceny doliczano dopłatę za znaczek na Madonnę del Ponte.

W dniu święta są wyścigi konne na głównej ulicy, iluminacje, orkiestra i ognie sztuczne. Ojcowie i narzeczeni kupują lody, prażoną ciecierzycę, pestki dyni, prażony bób, czasami orzeszki ziemne.

W Wielki Piątek miejscowa arystokracja ma prawo nieść na ramionach ołtarzyk z Jezusem i Matką Boską płaczącą: ludność uważa taki wybór niosących za obrazę.

W dzień świętego Leonarda nie idzie się do pracy, żeby nie było nieszczęścia; ten święty opiekuje się aresztowanymi. W maju, na Wniebowstąpienie, chodzi się w pole zrywać kwiaty, a w karnawale tańczy się w rodzinie: niektórzy przebierają się wtedy za niedźwiedzie.

Mimo braku dokumentów

W radzie gminnej nie można było otrzymać dokładnych danych co do wszystkich wyborów, gdyż w całym budynku nie udało się znaleźć dokumentów: nie wiadomo, gdzie podziła się część tych papierów. Ale zasadnicze dane są następujące: na 32 członków rady, zgodnie z systemem większościowym, jest 24 chadeków, 4 z grupy liberalno- -monarchicznej i 4 z lewicy.

Siły porządkowe składają się z 30 żandarmów, około 15 strażników skarbowych i 50 strażników rolnych. Mimo to w odległości trzech kilometrów, na oczach ludności całej zatoki, czyli ponad stu tysięcy osób, dziesiątki kutrów motorowych od jedenastu lat łowią nielegalnie, odbierając chleb tysiącom rybaków. Jeszcze dziś odpowiedzialne czynniki temu nie przeciwdziałają.

Jest pięciu strażników miejskich. Dziesięciu strażaków ma zapewnić ochronę przeciwpożarową Partinico i jeszcze dziesięciu innym wsiom, dość nawet odległym, za pomocą niewystarczającego ekwipunku — brak jest gaśnic pianowych, obydwie wozy strażackie są starego typu, a w wioskach brak jest kranów pożarowych w sieci hydraulicznej.

Nieczystości, szczególnie w bocznych uliczkach, pozostawia się w stertach pokrytych rojami much. Z wielu domów wylewa się płyny na ulicę, a nie do rynsztoków; nawet tam, gdzie one istnieją. Raz na dzień powinien by pojawić się zmiatacz; ale na wielu ulicach miotłę widuje się raz w tygodniu, a na niektórych nigdy. Śmieci nie odbiera się z domu. Z najwyższym zdumieniem dowiadujemy się, że jest około trzydziestu ludzi zajmujących się oczyszczaniem miasta. Ale zdaje się, że paru z nich służy za ordynansów u jakiejś „władzy”. Ludzie ci nie otrzymują żadnych dodatków rodzinnych, nie mają żadnej opieki lekarsko-farmaceutycznej. Traktowani jako robotnicy dniówkowi, otrzymują wynagrodzenie tylko za dni pracy, 650 lirów dziennie. Nie dostają ani obuwia, ani ubrań ochronnych. Naprawdę w służbie oczyszczania miasta pracuje dwudziestu ludzi z trzema

wózkami. Mogą oni zostać zwolnieni w każdej chwili bez żadnego odszkodowania.

Czwarta część kanalizacji wymaga naprawy, ponad czwarta część ulic — uporządkowania. Urząd pocztowy jest brudny i za mały, ma tylko trzy okienka.

Komunikacja, jak na razie, wystarczająca.

Telefony funkcjonują, jest ich 222. Użytkowników energii elektrycznej jest 5 169 (w porze deszczowej często brakuje światła): przeciętne miesięczne zużycie wynosi 46 tysięcy kilowatogodzin na oświetlenie i 45 tysięcy — na urządzenia przemysłowe (pompy nawadniające, tłocznie, małe warsztaty itd.).

Nie ma ani łaźni publicznej, ani publicznej pralni. Cienki strumyczek wody musi wystarczyć kobietom całej dzielnicy. Ta woda, płynąca z rzeźni, gdzie płucze wnętrzności zwierząt, przemywa potem — tym skuteczniej, bo namydlona — ziarno w trzech młynach.

Nowy, istniejący od dwóch lat klozet publiczny funkcjonuje jako tako.

Jeden dom publiczny. Prostytucja za mniej niż 200 lirów, nawet za 50 lirów. Dwa banki, sąd i urząd ewidencyjny. Trzy przychodnie lekarskie i jedna weterynaryjna.

Magistrat, kierownictwo szkoły i urząd podatkowy — wszędzie bałagan.

Wodociąg zasługuje na szczególną uwagę. Są dwa źródła. Z pierwszego woda — często zanieczyszczona szlamem z przebiegającej w bezpośrednim sąsiedztwie sieci kanalizacyjnej — dociera tylko przez cztery i pół godziny dziennie. Z drugiego, które zasila parę studzienek, woda dochodzi kamionkowym przewodem często popękanym.

Na zebraniach gminnych nikła frekwencja. Dwa zebrania rady, które powinny odbywać się w myśl przepisów, do- chodzą do skutku z wielkim trudem.

Pogłębienie obrazu

W rejestrze ubogich jest zapisanych około 1 800 rodzin. Z tego tylko 8—10 otrzymuje bardziej regularnie zasiłki:

bądź 1000 lirów miesięcznie, bądź pół kilograma chleba dziennie. Pozostali dostają na Boże Narodzenie i na Wielkanoc paczkę żywnościową wartości 500 lirów i czasami przy jakiejś okazji zapomogę. W ciągu roku prefektura asygnuje na ten cel 5 i pół miliona lirów. Warto zaznaczyć, że na policję, i w ogóle na straż, wydaje się miesięcznie 7 milionów, czyli 84 miliony rocznie. Na roboty publiczne przeznaczają się znacznie mniej, około 50 milionów rocznie.

Ambulatorium położniczego brak. Śmiertelność dzieci wynosiła w 1947 roku 8,1 procent, w 1953 wzrosła do 8,9 procent. Bardzo wiele matek nie wie nawet, że istnieje Narodowa Organizacja Matek z punktem konsultacyjnym pediatrycznym i położniczym. Lekarz przychodzi tutaj na parę godzin dwa razy w tygodniu z jedną pielęgniarką, która obsługuje siedem gmin. Bałagan. Brak nawet mleka do rozdzielania pomiędzy matki, które nie mogą karmić. Często umierają niemowlęta, dla których z braku środków nie można znaleźć mamki. Dom podrzutek jest w Palermo.

Na 1 700 dzieci w wieku od trzech do pięciu lat są tylko dwa przedszkola o łącznej liczbie 330 miejsc. Jest to absolutnie niewystarczające, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo pilną sprawą jest zabranie dzieci z ulic i z domów przynajmniej w ciągu dnia.

Sierociniec dla dziewcząt ma 50 miejsc. Brak sierocińca dla chłopców. 180 dzieci spędza miesiąc na półkoloniach w mieście. Nie ma żadnej opieki (nawet przytułku) dla ubogich starców. Pomoc parafii jest znikoma.

Kasa Chorych: 12 tysięcy podopiecznych, 28 lekarzy, w tym ani jednego specjalisty. Chorzy — jeśli mają pieniądze — muszą na badania rentgenowskie jechać aż do Palermo i stamtąd często odsyłani są do Partinico, żeby oczekiwać szereg dni na wyznaczoną wizytę. Robotnik, który chce skorzystać ze społecznej pomocy lekarskiej dla członka rodziny, musi zwracać się do Palermo. Używa co najmniej miesiąc, zanim załatwi się formalności, a dokumenty często zostają zagubione. Członkowie rodzin robotników rolnych nie korzystają z opieki farmaceutycznej i położniczej. Per

sonel zbyt szczupły, lokale nieodpowiednie, aparatura niewystarczająca.

Dopiero od czterech lat istnieje szpital publiczny, jedyny w całej okolicy; 28 łóżek ma służyć również chorym z Mon- telepre, Balestrate, Borgetto, Trappeto, Giardinello. Przenośny aparat rentgenowski praktycznie służy jedynie do diagnozy w wypadku złamań. Brakuje lokali na izolatki dla zakaźnie chorych, pozostawia się ich w domu, wśród rodziny. W przypadku porodu stawia się parawan dokoła łóżka położnicy, we wspólnej sali, przy oczywistym niebezpieczeństwie zakażenia. Od czterech lat funkcjonuje prywatna klinika z 20 łózkami.

Warto zapamiętać wyjątkowo dużą liczbę chorych umysłowo: w najbiedniejszej dzielnicy miasta w Spine Sante na 330 rodzin znaleźliśmy wspólnie z lekarzem siedemnaście wypadków.

Ilość dzieci podlegających obowiązkowi szkolnemu w roku szkolnym 1953-54 wynosiła 5 092. Z tej liczby zapisanych zostało około 2 650, ale przed końcem roku zrezygnowało około 15 procent. Pozostało więc 660 — w 20 klasach pierwszych, 589 — w 19 drugich, 406 — w 14 trzecich, 297 — w 11 czwartych, 225 — w 9 piątych podstawowych. Około 300 dzieci uczęszcza w Partinico do szkoły przysposobienia rolniczego (ogródek doświadczalny o wymiarach 12 na 20 metrów), zawodowej i średniej, kształcącej w zakresie uprawy winorośli. Istnieje pięć klas liceum klasycznego. Liczba sal prawie odpowiada liczbie klas. Patronat szkolny dożywia w południe około 600 dzieci, którym też od czasu do czasu kupuje książki i zeszyty.

Dom Dziecka opiekuje się przez cały dzień 125 dziećmi, uczęszczającymi tam na zajęcia pozaszkolne. Około 100 młodocianych już pracujących chodzi do szkoły wieczorowej. Jest parę wieczorowych kursów ludowych dla analfabetów.

Około stu studentów uniwersytetu.

W dzielnicy Spine Sante na 98 chłopców w wieku szkolnym ponad 20 nie chodziło nigdy do szkoły.

Nie ma biblioteki publicznej. Nie ma też koncertów; cza-

sera orkiestra dęta gra na rynku. Kina przyciągają coraz więcej ludzi. W dni świąteczne sale są przepełnione; latem, kiedy otwarte są również trzy kina na wolnym powietrzu, łączna ilość miejsc widowiskowych dochodzi do trzech tysięcy. Nie ma teatru. Cztery albo pięć razy do roku zjawia się jakaś teatralna trupa objazdowa. Akcja Katolicka organizuje zimą przedstawienia w lokalach przykościelnych, jako aktorzy występują albo sami mężczyźni, albo same kobiety.

W roku 1943 były dwie parafie, obecnie jest sześć. Główną działalnością kulturalną parafii jest nauczanie katechizmu na cotygodniowych lekcjach, jakie proboszcz powinien obowiązkowo prowadzić dla ludności. Często ksiądz jest zmuszony zawiesić lekcje z braku uczestników. Dzieci natomiast pilnie uczęszczają na lekcje katechizmu, szczególnie w okresie poprzedzającym przygotowanie do pierwszej komunii.

Prawie cała ludność uważa się za katolicką.

Uzupełnijmy ten ogólny obraz konkretnym przykładem warunków bytowych ludzi „wyjętych spod prawa”.

Na Via delia Madonna

Dzielnica ta leży na północny zachód od centrum miasta; przecina ją ulica delia Madonna. Żyje tu około 910 rodzin, z tego 400 w nędzy. Około 500 rodzin nie ma wody w domu; dwie trzecie ulic pozbawione jest kanalizacji, połowa ma nawierzchnię brukowaną.

Dniówka robotnika rolnego i pastucha, za pracę trwającą dziesięć, a nawet dwanaście godzin, do 1950 roku wynosiła 350 lirów. Obecnie wzrosła do 400, 500, niekiedy 650 lirów. Oczywiście, kiedy jest praca, to znaczy przez pół, najwyżej przez dwie trzecie roku.

W tej jednej tylko dzielnicy 161 osób odbywa karę więzienia lub zostało zabitych. 37 z nich to pasterze — ludzie wynajmowani bądź na dniówkę, bądź na połowę zysku do wypasania jednej, dwóch lub trzech krów. Kiedy nadchodzi lato i ziemia jest spalona, trzeba stawać na głowie, żeby

bydło nie zdychało i dawało mleko. Aby dać sobie radę z trzema krowami, trzeba posyłać dzieci, nawet najmniejsze, żeby znosiły paszę przez cały dzień i skąd się da.

88 więźniów to robotnicy rolni. Łatwo zrozumieć ich uleganie pokusom, gdy się pomyśli, że za nieludzki wysiłek otrzymują 40 lirów dziennie!

Wśród więźniów jest 19 pracowników niezależnych lub prawie niezależnych: są to połownicy, drobni właściciele czy prawie rzemieślnicy.. Nie ma wśród nich żadnego prawdziwego rzemieślnika, nikt z nich nie ma zapewnionej stałej pracy.

Jest wreszcie w więzieniach 17 kobiet (czasami uwalnia się męża, a zatrzymuje żonę).

Na 161 więźniów 68 nigdy nie chodziło do szkoły, 69 uczęszczało tylko do pierwszej, drugiej bądź trzeciej klasy. Nie nauczyli się wystarczająco czytać, pisać czy rachować, w większości przypadków z braku ćwiczenia zapomnieli wszystko. Tylko 10 uczęszczało do klasy czwartej, 7 do piątej, 3 do pierwszej gimnazjalnej lub zawodowej, 1 do dru-» giej; 3 więźniów ukończyło trzecią klasę gimnazjalną albo zawodową.

To samo społeczeństwo, które 161 więźniów kształciło łącznie przez 296 lat szkolnych, dopełnia ich „wykształcenie” jeszcze dzisiaj 714 latami i 10 miesiącami więzienia, nie licząc 83 lat zesłania, 43 nadzoru policyjnego, nie licząc tortur i kul.

Warto zauważyć, że na 161 więźniów 140 ma rodziców analfabetów, u 20 jedno z rodziców jest analfabeta, a zaledwie jeden ma ojca i matkę, którzy uczęszczali do czwartej klasy szkoły podstawowej.

W Montelepre

Gdyby w tej miejscowości po pierwszych miesiącach zamieszek interweniowano i dano ludziom pracę, wówczas nikt nie stałby się bandytą. Po powrocie z wojny mężczyźni nie mieli pracy, gdyż między skałami jest mało ziemi (514 hektarów użytków: średnio 0,1 hektara na głowę!).

Była tam opuszczona prochownia, bez strażnika. Na kilka miesięcy stała się czymś w rodzaju kopalni. Ludzie chodzili tam codziennie szukać czegoś, co dałoby się wykorzystać lub sprzedać. Rozbierali pociski, aby sprzedawać ołów. Rzucali je z okna, a potem wychodząc zabierali. Pewnego dnia rzucony pocisk wybuchł. Cała prochownia wyleciała w powietrze: było 23 zabitych, wśród nich także dzieci.

Robotnicy najemni otrzymywali za osiem godzin pracy 200—250 lirów, jeżeli w ogóle była praca, podczas gdy kilogram chleba kosztował 115 lirów. Znaczna część ludności próbowała zarobku ścinając górską trawę i przerabiając ją przy pomocy rodziny na treści do materaców. Dawało to średnio 200 lirów dziennie, jak dobrze poszło, ale praca była niebezpieczna: łatwo wbić sobie gwoździe w ręce czy pokaleczyć palce (sześć ciężkich wypadków). Niektórzy chodzili kopać przez cały dzień w zamian za kilogramowy bochenek chleba. Ktoś spróbował wybrać się do pracy do Camporeale: po pięciu dniach pracy, przy rozliczaniu z właścicielem kosztów zjedzonego chleba i nie kraszonego bobu, okazało się, że jest jeszcze winien 5 lirów.

Około pół miliarda lirów wydatkowano na represje tylko w tej jednej miejscowości; w rezultacie spowodowało to nędzę, nienawiść, śmierć. Jeszcze dzisiaj w Montelepre (5 381 mieszkańców w roku 1948) nie ma ustępu publicznego ani publicznego prysznicy. Dzieci spędzają czas przeważnie na brudnych ulicach. Nie ma ośrodka opieki społecznej, nie ma przemysłu, bo nikt nigdy nie zbadał dokładnie szans wykorzystania możliwości lokalnych. Rodziny osierocone przez ojca nie znalazły żadnej opieki. Rodziny więźniów nigdy nie uzyskały żadnej pomocy (raz jeden drobną jałmużnę).

Za te pół miliarda lirów, nikogo nie zabijając i nie narażając na śmierć żadnego ze „stróżów porządku”, można było przeobrazić to miasteczko, dając mu impuls życiowy na całe wieki.

Uważam za swój obowiązek nie przemilczać faktu, że w trakcie akcji sił porządkowych przeciw „wyjętym spod prawa” popełniono wiele ciężkich gwałtów i okrucieństw. Na 147 „wyjętych spod prawa” 108 nie chodziło nigdy

do szkoły albo zapomniało zupełnie to, czego się nauczyło; 15 doszło do czwartej klasy, 20 do piątej, 1 do pierwszej gimnazjalnej czy zawodowej, 2 do drugiej gimnazjalnej czy zawodowej, 1 do trzeciej gimnazjalnej. 136 spośród nich ma rodziców analfabetów.

Jest wśród nich 21 kobiet, 82 robotników rolnych, 25 pasterzy, 2 szewców, 1 szewc-łatacz starego obuwia, 1 krawiec, 1 urzędniczka, 7 woźniców, 1 bez zawodu, 2 kowali, 2 domokrażców, 1 blacharz, 1 pomocnik młynarza. Tylko pięciu czy sześciu było zdolnych do samodzielnej egzystencji.

Na 147 osób „wyjętych spod prawa” przypada ogółem 350 lat nauki szkolnej; zaś suma lat więzienia wynosi 1 032 lata i 7 miesięcy; suma lat zesłania — 94 lata i 4 miesiące (nie licząc nadzoru policyjnego i setek więzionych poniżej 6 miesięcy). Dwóch zostało otrutych w więzieniu i już nic więcej na ich temat nie udało się dowiedzieć; wszyscy milczą. Ponad 40 zabitych. A przecież przy dobrej woli żaden z nich nie dostałby się do więzienia, żaden z nich nie zostałby zabity.

W NIEKTÓRYCH DOMACH PARTINICO

U Nunzii

— Wie pan, co bym chciała? — mówi siwowłosa Nun- zia. — Dwa tysiące lirów na miesiąc. Jestem przecież głucha, bo skleroza uderza mi do głowy. Mam osiemdziesiąt jeden lat i arteriosklerozę; biorę na to zastrzyki, robi mi jeden staruszek, mówią na niego „kapral”. Mój mąż był sparaliżowany, trzymałam go przez siedem lat w łóżku, a jego renty po śmierci mi nie dali. Ziemi nie mam. Mam dom, ale należy on do mojego syna z Ameryki, który mi go zostawił, mówiąc: „Utrzymaj się z tego”. Jak ja się mam utrzymać za te cztery tysiące lirów rocznie, co mi dają lokatorzy? A nie mam prawa go sprzedać. Dziesięcioro bliskich mi umarło przez dziesięć lat. Miałam siedmiu synów, trzech umarli. Ze zmartwień i nędzy zmarli dwaj bracia. Przez to, że byli biedni, to nawet żony nimi pogardzały. Bo jeden był chory, kaszłał, miał chorobę piersiową, wyglądał obrzydliwie, kiedy pluł. I mówił do mnie: „Siostró, czuję ogień w piersiach”. Męża po cięły na polu pszczoły; odprowadzałam go na pole, bo był niewidomy. „Nunzia — wołał do mnie — pomóż mi!” A ja nie mogłam mu pomóc, bo pszczoły mnie kąsały, i tylko rzuciłam mu szal, gdyż nie mogłam się zbliżyć. Potem leżał w łóżku, porobiły mu się rany i przez cały dzień wciąż tylko krzyczał: „Matko Przenajświętsza.” A ja czyściłam mu te rany i cierpiałam jeszcze bardziej. Potem zmarła mi córka i wnuczka. I jeden mój brat umarł, bo od bobu, który wciąż jadł, dostał gan-

greny i zgniły mu wnętrzności. Tyle tylko wiem: zostałam sama. Matka mi umarła, kiedy miałam siedem lat. Miałam trzech braciszków i opiekowałam się nimi. Nigdy nie chodziłam do szkoły.

— Kiedy jest dla ciebie święto?

— Czyż może być większa radość jak wtedy, kiedy Matka Boska Mostowa przybywa do miasta?... Jestem sama. Nie mam już nikogo, co by mi podał wody. Ona tylko mi pozostała i ma mnie w swojej opiece. Kiedy umrę, pójdę do Niej. Mój syn, ten z Ameryki, ma pomieszane zmysły. Jechali na manewry do Chicago w Ameryce, jeden żołnierz strzelił do siebie i zmarł. Nie nauczono go strzelać i stracił życie. A mój syn przez to stracił rozum.

Jest ubrana całkiem czarno. Na piersi ma rysunek kwia-» tu, z mosiężnych kuleczek. Widząc, że zwróciłem na to uwagę, mówi:

— Chciałam to pozrywać, te rzeczy... ale potem zobaczyłam, że się drze materiał... Tę suknię kupiłam na rynku za pięćdziesiąt lirów, bo nie miałam się w co ubrać. Na rynku są za pięćdziesiąt lirów, trzydzieści lirów, dwadzieścia pięć, są nawet za dwadzieścia. Tak robi całe miasteczko; jesteśmy biedni, więc tam się ubieramy.

— Co robisz zazwyczaj?

— Siedzę. Męczy mnie dusznica i nie mogę nic robić, muszę siedzieć. Patrzę.

— Czy sąsiedzi ci pomagają?

— Każdy ma swoje zmartwienia... Akurat o mnie by mieli myśleć! Raczej mną pogardzają, bo jestem stara. Przedwczoraj poszłam na rynek, bo mi burczało w brzuchu, a nie mogłam sobie nic kupić. Jak miałam kupić za te pięćdziesiąt lirów?

— Czy pamiętasz, jak wyglądało miasteczko, kiedy byłaś młoda?

— Miasteczko zawsze było biedne. Pamiętam, jak raz miałam osiem soldów i poszłam kupić kilo makaronu: kosztował osiem soldów, ale pomyślałam sobie: „Czy nie lepiej, żebym sobie kupiła kurczaka?” (bo chciałam hodować kury, miałam taki zamiar). Kiedy przyszedłam do domu, syn uderzył

kurczakiem o drzwi i on zdechł, i tak zostałam głodna bez makaronu i bez kurczaka.

— Jakie mieliście rozrywki, kiedy byłaś młodsza?

— Nie wiedzieliśmy, co to kino. Raz poszłam do Matki Boskiej, szłam tam na piechotę, z miłości do Matki Boskiej.

— Jakim chciałabyś widzieć świat?

— Świat nie podoba mi się. Nigdy mi się nie podobał. Gdybym była Panem Bogiem, wiedziałabym, jak zrobić, żebyśmy nie musieli oplakiwać umarłych, nie musieli rozdzielać matek od dzieci, a dzieci od matek. Zrobiłabym tak, żeby ci, co się rodzą, zawsze jakoś sobie dawali radę w życiu. To, co jest, mi się nie podoba.

U Marii

— Mam bóle w głowie, żołądku i przetyku. Dziś mija rok, jak prawie nie jem. W naszych domach kupuje się coś jednego dnia, a przez dwa następne nic. Mam chroniczny katar. Ale te bóle pochodzą ze zbytńskiego osłabienia.

Obok niej zameżna córka z niemowlęciem na rękę, które — prawie śpiąc — ssie z noskiem zagłębionym w piersi, Trzyletni może chłopak biega tam i z powrotem, worek mosznowy zwisa mu z powodu przepukliny prawie do kolan.

— Trzeba usłyszeć, jakie słodkie słowa wychodzą z tej buzi: „Babciu, gdzie jest moja mamusia, gdzie jest mój tatuś?” Przepuklinę ma od urodzenia; czasami, kiedy płacze i wysila się, opuszcza mu się aż do kolan.

— Czy radziliście się specjalisty?

— Nie, bo nie możemy. Lekarz mówi: „Kiedy się pani zdecyduje, proszę go przywieźć do szpitala i zrobimy mu operację”. Ja się boję, że mi umrze. Poświęciłam go świętemu Józefowi. Nazywa się Krzysztof, ale poświęciłam go świętemu Józefowi. Dziecko na rękę wygląda na dwa — trzy miesiące, a ma sześć. Ma kolczyki bawełniane, „bo złoto poszło do jubilera”.

— Kiedy się urodziła, w czwartek koło trzeciej nad ranem, miała krwotok z ust i z pupci, jak przy biegunce. Natychmiast zawołaliśmy doktora; nie można było znaleźć żadnego, ale potem jeden doktor przyszedł, chociaż inni nie chcieli. Kiedy przyszedł doktor, powiedział: „Jeżeli to krwotok wewnętrzny, dziecko umrze, a jeżeli to połknięta krew, przeżyje”. Natychmiast zrobił płukanie i zastrzyk witaminy. Potrzebne były środki wzmacniające także dla matki.

—• Mario — przerywam jej — czy chodziłaś do szkoły?

— Moja matka umarła i zostawiła mnie pięcioletnią, drugą siostrę siedmioletnią, trzecią dwuletnią i najmłodsze dziecko ośmiomiesięczne; i musiałam walczyć o życie zamiast iść do szkoły. Czego ja nie przeszedłam... Kiedy byłam mała, ojciec się ożenił i miałam macochę; macochy zawsze źle traktują dzieci, któż będzie taki jak matka? Więc do szkoły posłali mnie, o ile pamiętam, kiedy miałam siedem lat. Ale ponieważ byłam wyrosnięta i ci mali mówili na mnie „ta oślica z pierwszej klasy”, wstydziałam się i nie chciałam więcej chodzić. Macocha mnie biła, żebym* poszła; ale ja mówiłam: „Nie pójdę, mali wytykają mnie palcami”. Przeszłam chodzić i nawet liter nie znam. Swoje dzieci do szkoły posłałam, ale przecież książek i zeszytów darmo nie dają, więc powiedziałam im potem: „Dzieci, zostańcie w domu”. W czas zimowy dzieciaki są gołe, przydałyby się buciki. Ojciec zostawił mi ze dwa tumula ziemi (26 arów); mój mąż nie może pracować. Sprzedałam te dwa tumula, żeby móc leczyć chorą córkę.

Chce wyciągnąć podobiznę z szuflady; córka powstrzymuje ją siłą:

— Daj spokój, po co ci to, żeby potem przez trzy dni płakać?

Matka z płaczem:

— Między nami mówiąc, moja córka się czegoś przestraszyła, przyśniło jej się coś i ze strachu zaczęła płuć krwią! Kiedy się dzieje coś niedobrego, to wtedy każdy się wtrąca. Mówili mi, że ona umrze na gruźlicę, że jesteśmy wszyscy gruźlikami.

Płacze niemal z wściekłości. Jakaś sąsiadka:

— Teraz to nie jest dziedziczne, wszyscy jesteśmy tacy przez zbytne osłabienie.

— A czy twój mąż chodził do szkoły?

— Wcale nie zna liter, zupełnie, wszyscy jesteśmy analfabetami.

— A mąż twojej córki?

— Pracuje tak samo na roli, za sześćset lirów. On też nigdy nie chodził do szkoły.

— Ile masz dzieci?

— Sześcioro, wszystkich nas jest jedenaścioro, razem z tą tu zamezną córką i jej dwoma dziećmi. Ona ma dwadzieścia osiem lat, potem jest syn dwudziestoletni, dziewczynka piętnastoletnia, jedna dwunastoletnia, jedna dziewięcioletnia i jeden chłopak czteroletni. Krzysio z przepukliną ma dwa i pół roku. Kiedy się urodził, wyglądał jak nieżywy, cały żółty; nie wierzyłam, że wyżyje, ochrzciłam go szybko. Mnie, jak pamiętam, nigdy, nic nie dolegało, zawsze miałam dobre zdrowie, ale od czterech lat, od śmierci córki, straciłam zdrowie. Pamiętam zawsze słowa córki, jak mówiła: „Mamusiu, ofiaruj dziesięć tysięcy lirów Matce Boskiej, żeby mi okazała łaskę”. Dałam te dziesięć tysięcy lirów, ale łaski nie raczyła mi wyświadczyć. Chciałabym, żeby Matka Boska przywróciła do życia tę córkę. Serce, to sama wiem, jakie mam. A co do tych ludzi, którzy źle mówili o mojej córce, to modliłam się do świętego Józefa, żeby to, co jej dolegało, spadło na nich.

U Franceski

Tutaj przy wchodzeniu trzeba uważać, gdzie się stawia nogi, wszędzie pełno śliskich kurzych odchodów. I jeszcze zapach czosnku.

— Mam siedmioro dzieci, rozumie pan? Siedmioro. I wszystkie mieszkają w tym domu. Jest nas tu dziewięcioro do spania (cztery metry na sześć). Trzeba mnóstwo pieniędzy na dom. Wczoraj jeden sąsiad się powiesił. Zało

żył sobie węzeł na szyję i powiesił się. Przerwał mu się kręgosłup; miał troje dzieci.

— Co robi twój mąż?

— Co się nadarzy, dość, że przyniesie kawałek chleba do domu. Bywa, że pracuje, a bywa, że nie ma pracy. Bywa tak, że zarabia w fabryce i dostaje wtedy nawet zasiłki, ale częściej nie pracuje.

Nad małżeńskim łóżem wisi obrazek ozdobiony takim napisem:

Małżonkom Attilio i Francesce, złączonym w Imię Pańskie, niechaj życie upływa w szczęściu, miłości i dostatku.

Mówi matka, z lekkim uśmiechem:

— To wygląda jak dokument. Kiedy ja umrę, moje dzieci będą pamiętały... Chociaż kto wie... Może go zniszczą...

— Czy twój mąż chodził do szkoły?

— Do szkoły nie, jest analfabetą. Ja chodziłam do szkoły. Z czytaniem, oczywiście, daję sobie radę. Trzy klasy, miałam przejść do czwartej.

- Czytasz gazety i książki?

— Kiedy zdarzy się okazja, ale ostatnio mam tyle kłopotów...

— Czy możesz śledzić nowiny ze świata?

— Kiedy się czyta, czyta się także gazety. Jeżeli ja nie kupuję, to kupuje kto inny i czytamy od deski do deski.

— Jakie filmy lubisz?

— O miłości, o świętych. Są też tragedie, na których się płacze. Religia jest sprawiedliwa, święta. Mój ojciec jest zakrystianem w kościele i ja tam chodzę, kiedy tylko mogę. W domu mamy święte obrazy i adorujemy je, kiedy nie możemy pójść do kościoła.

— Jakim chciałabyś widzieć świat?

— Spokojny, bez wojny ani niczego takiego, aby wszyscy dla siebie byli jak bracia i siostry.

— Jesteś osobą inteligentną.

— No chyba, brakuje tylko pełnego portfela. Najstarszy z dzieci jest ten, Salvatore; szesnastoletni. Ma książkę pracy, ale teraz jest okropne bezrobocie. Miał chodzić do trzeciej klasy. Po nim jest Giovanni, trzynastoletni, ukończył czwartą klasę. Potem jest Franco, jedenastoletni. Ciągłe w pierwszej klasie, nie dlatego, żeby nie był inteligentny, ale nie chce chodzić do szkoły. Potem ta, Caterina, co trzyma na ręku małego, dziewięcioletnia. Nie mogłam jej posłać do szkoły, bo musi zajmować się małym. Rosaria, na którą mówimy Sara, ma sześć lat. Czy to możliwe, że jest nas aż tyle. Mój Boże, cała kompania. Potem Carmela i ten mały, Giglio.

U Vincenza

Ściany popękane, nie tynkowane.

— Czy dach jest dobry?

— Same dziury.

— Ubikacja?

— Nie ma. Tylko dziura. Ściana zewnętrzna jest dziurawa.

Rodzina Vincenza M., z rocznika 1894, żonaty z Grazią N.

Dzieci dziewięcioro, z czego pięcioro żyje. Trzech synów jest żonaty.

— Ta jest panną, a druga osiem dni temu uciekła z domu z narzeczonym i jeszcześmy się nie pogodzili.

— Ziemia?

— Nie mamy.

— Możesz jeszcze pracować?

— Jako sprzedawca oleju. Ale teraz, kiedy jest gaz płynny, sprzedaje się go mało. Kupuję trochę oleju i krążę po ulicach z tym (pokazuje kanister z miarką).

— Ile zarabiasz?

— 200, 300, najwyżej 350 lirów; za młodu handlowałem też rybami. Ludzie kupują na raz 100—200 gramów oleju; nawet za 10 lirów do wozów jadących w pole... Ci, którzy nie mają pieniędzy, pożyczają sobie światło jeden od drugiego. Kiedy brakuje światła, udaje mi się trochę więcej

sprzedać; dwa razy, trzy razy na rok. EhJ... A bo to wczoraj nie powiesił się tutaj jeden w domu?

— Tutaj mają brzydki zwyczaj — wy wnętrza się matka. — Kiedy ktoś pracuje, nie znaczą dniówek dla ubez- pieczalni. Teraz jestem chora i nic mi nie płacą...

— Czy chodziłeś do szkoły? — pytam ojca.

— Do szkoły — nie. Moich rodziców nie stać było na to, a i ja nie mogę posyłać swoich dzieci. Musiałbym je posyłać do szkoły bez butów, bez niczego.

— Kiedy jest dla ciebie najpiękniejsza chwila w ciągu dnia?

Błyszczą mu oczy, kiedy, śmiejąc się, pokazuje palcami: pieniądze.

— Chciałbym mieć tyle rzeczy, których dotąd nie mogłem mieć. Życ przyzwocie... i kto ma, ten ma... biedak będzie zawsze biedakiem... Jeżeli jakiś biedak prosi o jałmużnę, często go odsyłają precz, nie pytając nawet, czy jest chory.

Zona:

— Głowa mnie boli od zbytniego osłabienia. Trzy miesiące temu leczyli mnie w szpitalu wariatów przez miesiąc.

— Od czasu do czasu nas bije — mąż bez złości pokazuje ślady paznokci na swojej twarzy.

— Nie chcą mi dawać lekarstw, które zapisali mi w szpitalu. Mąż póki mógł, to mi je kupował. 280 lirów pudełko z pięcioma zastrzykami I Nie dają dlatego, że są drogie, chyba, że to płukanka za 20 czy 30 lirów. A co będzie, gdy będę musiała dać wyprawę tej, co uciekła, żeby się z nią ożenił? Czuję się, jakby mnie obili pałką po głowie. Teraz wyglądam na zdrową, ale kiedy słońce przygrzeje, rzucam się na wszystkich, zawsze wariuję bardziej, gdy mnie boli głowa, o tutaj, w tym miejscu. I cała się wtedy trzęsę.

. — Do szkoły chodziłaś?

— Dwie klasy przeszłam. Kiedy moczę sobie ręce, uspokajam się trochę. W nocy czasami nie dają spać nikomu. Wszystko tłukę. Ale przecież nie wiem, co robię.

— Kiedy — mówi córka — nie mogę jej kupić zastrzyków, robi dużo więcej zamieszania.

— Kiedyś, ze czternaście lat temu, przy wyjściu z kościoła aptekarz dał nam parę groszy. Później przy większych świętach: Boże Narodzenie, Nowy Rok, karnawał, dostawałam pół lira i funt bobu. Czasami ten mały nie wytrzymał, więc mówiłam sobie: „Dalej, matko, tu parę groszy, tam parę, wieczorem podsumuje się”. Jednego razu zostałam aresztowana na dziesięć dni. To było za torebkę bobu, nawet nie kilo. Bób był zebrany z ziemi notariusza R... już po żniwach. Mąż mi prał bieliznę i przynosił do aresztu.

— Ile lat miały wtedy dzieci?

— Jeden miał dziewięć lat, drugi dziesięć, a ja, zamknięta, nie mogłam ich nakarmić. W tamtych czasach bochenek chleba kosztował półtora lira. Dochodziło do tego, że kroiałam bochenek na osiem części. Bywało, że dzieciak mdlał z osłabienia. Gdybym miała opowiadać całe swoje życie... Widzi pan, ta dziewczyna jest kulawa. Była w Palermo na operacji. Ponieważ nie miałam pieniędzy, poszłam tam pieszo odwiedzić -córkę: 40 kilometrów i podejście do góry, autobus kosztowałby 500 lirów. Noga skrócona o pięć centymetrów. Widzi pan tę małą? — wskazuje na dziewięcioletnią dziewczynkę. — Jej matka, chora na gruźlicę z osłabienia, przed śmiercią powiedziała mi: „Niech pani ją weź* mie, tę małą" i wzięłam ją na utrzymanie, kiedy jeszcze nóżki jej dyndały. Od jedenastomiesięcznej ją utrzymuję.

U Nunzii R.

Nunzia R., lat dwadzieścia, zamężna za Vincenzem S., lat dwadzieścia osiem. Tylko jedna córka.

— Miałam drugą, ale mi umarła dwa tygodnie temu, miała siedemnaście dni. Mój mąż jest kowalem na dniówkę. Dają mu 600 lirów dziennie; 3 600 lirów na tydzień. Pracuje codziennie. Ja jestem słaba, od urodzenia dziecka nie wróciłam jeszcze do sił, jeden doktor zapisuje mi wciąż zastrzyki z wątroby. Przez to mi umarła ta mała. Miałam książeczkę ubóstwa, ale mi zabrali i nie dostaję żadnych zasiłków. Mój mąż pracuje w warsztacie od małego, ale nie

zdobył się nigdy na to, żeby prosić o pomoc. Miałam kuzyna, siedemnastoletniego. Raz wybrał się w pole z krową, wieczorem nie wrócił. Trzy dni nie było go w domu, więc rodzina zaczęła go szukać. Po trzech dniach znaleźli go w tunelu w Trappeto, w kawałkach. Przejechał po nim pociąg. Okazało się, że był zamordowany strzałami z pistoletów. Chłopak greczny, wrogów nie miał. To było na Boże Narodzenie. Miał w ciele dużo kul. W jakim stanie go znaleźli! Wiemy, że zginął w ten sposób, ale nie dowiedzieliśmy się nigdy, kto to zrobił. W domu wszyscy jesteśmy zdrowi. Tylko mój brat był chory przez czternaście miesięcy. Miał konwulsje jak epileptyk. Był trochę w domu, trochę w szpitalu psychiatrycznym. Był nawet w szpitalu wojskowym. Zachorował na służbie, więc dali mu rentę. Już od trzech miesięcy nie żyje, a mojej bratowej wciąż jeszcze nie dają renty. Mówią, że ją dostanie za parę lat.

Sąsiadka:

— Moja córka jest chora od siedmiu miesięcy. Była trzy razy w szpitalu i nie może się wyleczyć. Mąż ma sześćdziesiąt jeden lat; jest tragarzem. Pobraliśmy się, kiedy miałam czternaście lat. Dawno temu, jednego wieczora, ledwie wyszłam z dzieckiem, dom zawalił się i przenieśliśmy się tutaj. Podczas wojny sama robiłam chleb. Jedliśmy chleb, jeśli był, a jak nie, to chleb świętojański. Mamy siedmioro dzieci: gdyby zdrowie dopisywało...

Płacze. Oto list anonimowy, trudny do zrozumienia, jaki otrzymała niedawno. Rozpacz z tego powodu, aż gryzie palce.

„Państwo i rodzinę z tego domu! Ostrzegam was o tym, że jesteście wszyscy chorzy nie od Boga, ale od ludzi z tej ulicy. I wasza córka, co jest w szpitalu, nie jest wcale chora, ale zrobili wam to specjalnie, całemu waszemu domowi. Wy o tym wiecie, że was szpiegują, a potem się śmieją. Myślą o was ciągle i ciągle wam życzą źle, a nigdy dobrze. Zło jest na tej ulicy, jesteście wydani na jego łaskę, oni zaś chodzą na mszę i zanoszą świece Matce Boskiej.

Jestem teodalinda z wysokiego nieba”.

U wdowy

— Nic nie mamy, nic, jesteśmy na łasce boskiej. Mój mąż zajmował się bieleniem. Umarł na zapalenie ucha i paraliż. Skręciło mu usta i nie mógł już jeść. Zmarniał przez to niejedzenie, trzeba go było karmić, aż umarł. Miał czterdzieści lat, teraz poszedł do ziemi i nic nie może powie-^{*} dzieć. „Niechbyś znalazła drugiego” —■ zawsze tak mówił, kiedy byliśmy razem. Miałam siedmioro dzieci, teraz zostało mi tylko dwoje. Wszystkie poumierły w młodym wieku, jedno miało jakąś chorobę we wnętrznościach, drugie na czerwonkę, trzeciego, ośmioletniego, sparaliżowało i stał się bezwładny, a przecież urodził się zdrowy. A pozostałe dzieci to na zapalenie płuc... i wszystkie niedługo po uroczeniu. Ta córka mi została i drugi chłopiec, osiemnastoletni. Widzi pan? On pasł krowy; pilnował jednej krowy, której właściciel dawał mu za to trochę mleka i coś do jedzenia. Teraz, tej zimy, krowa zdechła — i syn nie ma roboty. Kiedy umarł mu ojciec, poszłam zabrać go ze szkoły i już do niej nie wrócił. Umie się tylko podpisać. Musiał iść do pracy i sam zarobić na chleb. Teraz krowa zdechła, a on nie ma żadnego zawodu, nic nie umie robić i tak został na bruku.

Na dworze jakaś kobieta rozgniała wszy na głowie córki, siedząc na środku ulicy. W domu zamiast ubikacji dziura; nie ma wody; nie ma kanalizacji.

ii^r Mam czterdzieści sześć lat, jestem analfaberką. Wszystkie moje dzieci, mam ich siedmioro, wszystko analfabeci. Mąż też analfabeta. Syn, zanim skończył dwadzieścia cztery lata, był trzy razy aresztowany przez strażników ziemskich za pastwisko. Raz wsadzili go na piętnaście dni, drugi raz na dwadzieścia, niedużo. Zachorował, jak tylko się ożenił, na te choroby, co pan wie... Mój mąż też był aresztowany, dwa razy, pasał krowy tak samo jak syn. Moja matka i ojciec także analfabeci. Mój teść i moja teściowa nie znają liter. I wszyscy w rodzinie — nikt nie zna liter.

ZWIERZENIA „BANDYTÓW”

Pierwszy:

Chcecie poznać życie sycylijskiego chłopca? Proszę, przedstawię je wam.

Chłop tutaj, na Sycylii, wstaje rano o godzinie, czwartej albo trzeciej, zależy, ile kilometrów ma od wioski, w której mieszka, na pole. Rano zjawia się u niego właściciel ziemi: „Wstawaj, bo już późno, dalej, spiesz się, bo trzeba już iść”. Więc biedny chłop wstaje, patrzy na zegar, jeśli go ma, a jeśli nie ma, to otwiera drzwi i patrzy, czy dojrzy gwiazdę, która daje znak, że dnieje. Mówi: „Psiakrew, jeszcze wcześniej”, ale wstaje. Jak tylko jest ubrany, łapie motykę, zarzuca sobie worek na plecy i wyrusza do domu właściciela. Zaledwie przyszedł, ten mu mówi: „Co, do diabła, potrzebujesz tyle czasu na ubranie się, a co by było, gdybyś miał jeszcze pić kawę? Ruszaj się, widzisz, że już dzień”.

Wyruszają obydwaj, przybywają na pole i chłop zaczyna kopać. O godzinie dziesiątej wolno mu zjeść chleb, który sobie sam przyniósł z domu; może to być kilo, a może być pół kilo, tylko tyle może zjeść, bo w domu zostało jeszcze 6—7 osób, które muszą jakoś przeżyć ten nędzny dzień. Może być, że za cały dzień pracy jeden właściciel da mu 600 lirów, inny da 700, jeszcze inny 500 lub 400, stałej ceny nie ma. Kiedy nadchodzi wieczór, wiecie, jak się czuje ten chłop? Czuje się jak krzywe drzewo, które próbuje się wyprostować, ale nie może, zostaje krzywe, to znaczy garbate.

A jak traktuje chłopca właściciel na polu? Kiedy o godzi-

nie dziesiątej pozwala mu zjeść, to biedak je, ale Woli raczej odpocząć, bo czuje się cały obolały w krzyżu. Właściciel je ledwo dwa kęsy i zostawia jedzenie, ponieważ spieszo mu, żeby chłop pracował, i wtedy mówi do niego wyniośle: „Jeszcze jesz? Tak nam mija cały dzień, nie zrobiliśmy nic, raz przez to, żeś sobie chciał zapalić, drugi raz, żeby się wysrać, inny raz, żeby się wysiusiać”. Wtedy chłop mówi: „Ach, kurwa jego mać, jak mnie traktują, nigdy pan nie jest zadowolony, od jutra nie przyjdę więcej”. A właściciel odpowiada: „A idź, powiesz się, że też cię ziemia święta jeszcze nosi”. Bo właściciel wie dobrze, że chłop jest słaby wobec niego. Nadużywa sytuacji, ubliżając mu, ponieważ czuje się silny. Często podczas dnia pracy właściciel oddala się na godzinę czy dwie, żeby sprawdzić, czy chłop będzie pracował tak samo, jak kiedy byli razem. I jak tylko wraca, patrzy na pracę: „Do diabła, aż tyle zrobiłeś?” A chłop na to: „A co, panu się zdaje, że ja się rozglądałem czy bawiłem? Niech pan zobaczy, jaki jestem spocony”.

To jest stara historia, która trwa ciągle między nimi dwoma. Czasami zdarza się w czasie pracy na polu, że właściciel bije chłopą. Chłop mu mówi: „Do jasnej cholery, przestaniesz!” A właściciel: „Milcz, łazęgo, bo jak nie, to ci roz- biję łeb! Draniu, narzekajło, chciałbyś mieć utrzymanie bez pracy”. I choćby ten biedny chłop krew z piersi wylał, to nigdy nie są zadowoleni. Taka jest historia chłopą.

B.S.

Drugi:

Kiedy byłem mały, chodziłem z siostrą, która była kulawa, i udawałem niemowę, żeby zebrać. „A, a, a, ba” i wyciągałem rękę. Tak udawałem, bo co miałem robić? Potem uzbierane pieniądze przynosiłem do domu i mogliśmy wszyscy się najeść. Mój ojciec nie miał pracy, więc z mamą chodzili w góry zbierać zieleninę. Z tej zieleniny, co przynieśli, połowę gotowali, a połowę sprzedawali, żeby kupić chleb. Rano ja też wychodziłem w pole, zbierałem ślimaki.

Ludzie dawali ml jałmużnę. Byłem zdrętwiały z zimna, zmęczony, cały obszarpany. Jedni dawali, drudzy nie. Od czasu do czasu wchodziłem do Klubu Myśliwych; jeden z członków klubu któregoś dnia skapował się i mówi: „Jak to, jesteś niemowła, a teraz mówisz?” A ja: „A czy w przeciwnym razie dałby mi pan jałmużnę?” Za jakiś czas poszedłem znowu do Klubu Myśliwych i poprosiłem o jałmużnę. Wszyscy mi dali: ten, co wiedział, że mówię, już ml nie dał. Sam przestał mi dawać, ale innym nie powiedział nic. I ja w dalszym ciągu zebrałem w ten sam sposób. Bo jak nie, to co by mi dali? Prawie całą zimę prowadziłem takie życie. Miałem wtedy ze dwanaście lat. Potem zacząłem chodzić w góry zbierać zieleninę.

Raz, kiedy schodziłem z góry, pośliznąłem się i uderzyłem w kolano, od tego miałem zapalenie stawu. Do szkoły nie chodziłem. Od małego zbierałem oliwki, nawet o czwartej, trzeciej rano. Kiedy nie pracowałem, grałem na forszę z innymi chłopakami: wygrywałem pieniądze i oddawałem je ojcu na życie. Ojciec dawał mi parę groszy, oszczędzał, jak mógł, żeby ml je dać, i tym sposobem chodziłem grać. Szczęście mi dopisywało, wygrywałem, aż doszło do tego, że nikt nie chciał ze mną grać. Byłem najbardziej doświadczony.

Pierwszy raz, kiedy udawałem niemowę, było to na rynku. Zobaczyłem kogoś obcego i zacząłem udawać niemowę. Potem pojawiły się dwa obce samochody, z jednego dali mi pół lira, z drugiego sześć soldów. A jedna panienska, myślę, że to była panienska, dała mi dwa soldy. Potem ciągle chodziłem tam zebrać. Sam to wymyśliłem, żeby nie umrzeć z głodu i przynieść coś do domu. A ojciec i matka mówili: „Gdyby nie ty, to co byśmy dziś jedli?” Czasami ojciec mi mówił: „Nie idziesz nigdzie dziś wieczór? Zobacz no na rynku, czy nie trafisz na jakiegoś peta, bo tak mi się chce palić”. Ja nie palę, nigdy nie paliłem, bo dla mnie to okropne czuć tytoń w ustach.

Przemoczony i głodny. Ciągle bosi aż do piętnastu lat, ale kiedy prosiłem, to znalazł się taki, co dał mi używane buty;

podarte, ale je sobie naprawiłem. Czasem ktoś dał mi ko- , fl szulę, kurtkę, parę spodni.

Chodziłem na wieś, na pole. Wychodziłem rano na czczo. Zbierałem 4—5 kilo ślimaków i wracałem pieszo zrobiwszy j ponad 15 kilometrów po okolicy. Wracałem do domu i mówi-łem do żony: „Słuchaj, ugotuj ich trochę, z pół kilo. Resztę i sprzedamy”. Jednego razu, po sprzedaniu ślimaków, wróci- • |łem do domu strasznie głodny. Przychodzę do domu, a żona *; właśnie gotuje. Chciała zamieszać, a tu wszystko ryms! na ziemię, bó gotowała na dwóch kamieniach, nie było pieca. Wybiegłem jak oszalały do właściciela domu: „Jeżeli nie >1 zrobisz mi pieca, podpalę ten dom”.

Żaden z moich braci nie chodził do szkoły. Wszyscy anal- • I fabeci. Dziewczynki też. Pięcioro, a także rodzice, razem ■ siedem osób. A gdybym chodził do szkoły, to z moją głową _ I na karku mógłbym zostać mechanikiem. Znam się trochę na elektryczności, chociaż nikt mnie nie uczył. Gdybym miał za co utrzymać żonę z dwojgiem dzieci przez rok, poszedł- bym do mistrza i wyuczył się na technika radiowego. Kiedy J nie mam pracy w fabryce, zabieram się do sprzedawania lo- I dów w czasie sezonu, oleju do lamp, owoców. Ale na to trzeba mieć licencję. A kiedy zupełnie nie ma pracy, bez wstydu . noszę walizki. Gdy już całkiem nie ma gdzie pójść, idę w góry zbierać zieleninę, żabi skrzek, cykorię, kapustę, koperek, szparagi, grzyby, narcyze albo łapię w wodzie żaby, I które siedzą pod kamieniami.

Mam dwoje dzieci. Jednego wieczoru mały powiedział; - i „Tato, chcę chleba”. A ten większy mu odpowiada: „Nie j widzisz, że tata nie ma pracy? Chodźmy spać”. Mały miał pięć lat, a większy siedem. Nam łzy stanęły w oczach.

Dlatego jak słyszę, że ktoś mówi, że w Spine Sante pożyczamy pieniądze na procent, uważam go za idiotę.

N.A.

Trzeci:

Kiedy nie pracuję, wałęsam się po rynku albo w domu; od rana do wieczora chodzę tam i z powrotem i biję głową

o mur myśląc wciąż, co robić. Nazajutrz, znowu nie znajdując żadnej pracy, staram się czymś handlować na ulicy, żeby dzieci nie były głodne.

Ja nie chcę bogactwa, ale chcę pracować. Chcę zarobić dniówkę jak wszyscy inni i nie być przestępcą. Chcę mieć dom z podłogą i z ubikacją i żeby ulica była przyzwoicie zrobiona, z kanalizacją i czysta.

Rano wstaję i idę do Urzędu Zatrudnienia, żeby prosić o pracę. Tam mówią mi ciągle to samo: „Co ja ci mogę poradzić? Zobaczmy jutro”. Więc idę na rynek, żeby wziąć parę koszyków zieleniny i zarobić kilkaset lirów na jedzenie dla dzieci.

Na przykład. Dzisiaj poszedłem do Trappeto i wziąłem na rynku w komis trochę ziemniaków, dwie skrzynki kaka

1 jedną zieleniny. Przyjeżdżam rowerem obładowany jak osioł, ludzie pytają: „Po ile sprzedajesz kaka”? Ja mówię, że po 60 lirów, bo sam wziąłem je za 50. A oni się targują: „Sprzedawaj po 50 lirów”.

I mają rację, że się targują, ponieważ są tak samo biedni jak ja. Ale co ja mogę poradzić? Czasami dzieci płaczą, biedna mama pieniędzy nie ma, więc ja biorę mały kaka, daję go dziecku i ono przestaje płakać. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że ja te kaka przecież kupuję i że ja też jestem biedny (...)

Pewnego razu chodziłem i chodziłem, chcąc sprzedać towar. Dwa -razy obszedłem całe miasteczko ciągle krzycząc, aż piersi mnie rozboleły, dalej i dalej. Miałem już 120Q lirów wpływu, kiedy zobaczyło mnie dwóch strażników skarbowych i zażądało pokazania licencji. Ja jej nie miałem, więc powiedziałem: „Zróbcie mi tę łaskę, ja jestem robotnikiem, nie zajmuję się handlem. Zrobiłem to, żeby moje dzieci nie były głodne, jestem bezrobotny”. Na to oni: „Nie możemy tego puścić płazem. Trudno, musisz zapłacić grzywnę, postaramy się, żeby była jak najmniejsza”. Ja słuchałem, oni wypisywali, a potem mi powiedzieli, że mam zapłacić 3 tysiące lirów. W końcu zapłaciłem czwartą część

tej sumy. Tak mnie oszczędzili! Ja za cały towar razem z rowerem nie dostałbym 3 tysięcy lirów.

Tak więc ten zawód mi nie odpowiada. Lubię pracować jako robotnik, a nie mogę. I muszę wieść takie pieskie życie.

D.C.

DZIENNIK DLA PRZYJACIÓŁ*

Trappeto, 11 stycznia 1954

Zabity został Giuseppe Vitale (63 lata, drobny rolnik z Trappeto) na swojej własnej ziemi. Obok niego leżał Zabity Nini Cangemi, „bandyta”. Również Francesco Paolo, syn Giuseppe, został ciężko ranny. Nikt ani pary z ust; tu, o dwa kroki od ich domów, musimy * dowiadywać się o tym z gazet.

Kilka informacji na temat „bandytyzmu” w Trappeto w poprzednich latach.

Wymuszenia:

Pięć lat temu niejaki S.M., młynarz, został porwany na 20 dni: 20 milionów okupu, „a jeżeli nie, to utniemy mu głowę i prześlemy wam w worku i znajdziecie ją na progu domu matki”.

Od średniorolnego P.V. — 2 miliony.

Od jego teścia: 2 miliony. „I zabili mu muła, ponieważ za pierwszym razem nie chciał dać; potem wycięli mu winnice. A kiedy wycięli mu winnice, postawili krzyż trzciniowy na znak, że jeśli pójdzie na swój teren, to go zamordują”.

Od Ciccio, brata P.B., 2 miliony. „A że nie chciał dać pie-

* Autor ma na myśli przyjaznych mu ludzi zarówno miejscowych, jak i przybyłych z Innych okolic Włoch, którzy wzięli udział w jego pracach nad podniesieniem kulturalnym i ekonomicznym zachodniej Sycylii, organizując w 1958 r. Ośrodek Badań i Poczynañ. Patrz str. 8.

niędzy na polu, zastrzelili go w domu i wuj Vito płakał".

„Rodzina C.C. jest liczna. Jemu wtedy zabrali konia. Nie wiadomo, ile zapłacili, bo oni, właściciele, bali się ludzi. Zwykle żądają 2, 3* do 5 milionów, ale później dogadują się na 400, 500, 600 tysięcy. Jednemu młynarzowi kazali zapłacić 2 miliony; nie starczyło na to młyna".

„Don N. C. także porwali: tydzień, temu. Załadowali go na grzbiet osia i dojechawszy do pewnego punktu, zrzucili go. Był związany i zwichnął sobie nogę w rowie. Żądali od niego paru milionów".

„To samo don Toto, tytoniarz, jego brat: zabrali mu bydło. Jak zwykle chodziło o miliony". „Od P. L. parę milionów, sporo".

„T. V. porwali (będzie temu ponad trzy dni) i zażądali od niego 10 milionów". „N. N. i P. V. 4 czy 5 milionów". Itd... Od ponad dwudziestu rodzin, i to wcale niebogaty — właściciele od 5 do 15 hektarów — wymuszenia przekraczają milion lirów.

Przy kwotach mniejszych, od 300, 400 tysięcy lirów wzwyż, da się udowodnić ponad 50 wymuszeń.

25 stycznia .

Nadal trwa codzienny bandytyzm na morzu/ Codziennie dwa, trzy, cztery, aż do siedmiu'czy ośmiu kutrów (żyje z nich dwieście osób) łowi w obrębie trzech mil od brzegu. W ten sposób wbrew ustawom ministerialnym zabiera chleb ponad ośmiu tysiącom ludzi. Pewnego dnia, jeśli nikt się tym nie zajmie, zapłaczą nowe wdowy i nowe sieroty. A ryba tak się przeredziła przez to doszczętne niszczenie w każdym sezonie ikry i stosowanie sieci z okami zbyt ciasnymi, że rybacy, niemal zrozpaczeni, często nie chcą wcale wypływać na połów.

Turyn, 7 lutego Co za ulga nie spotykać po całych dniach policjantów śledzących każdy twój krok!

Na 7 800 osób jest 9—10 strażników skarbowych, jeden strażnik portowy, około 25 policjantów, 15 uzbrojonych strażników ziemskich; i jeszcze wszyscy żandarmi z komisarjatu w Partinico — w sumie około pięćdziesięciu. Zatem co najmniej 50 tysięcy lirów wynoszą ich dzienne pobory: półtora miliona miesięcznie na same pensje, podczas gdy Ośrodek Opieki Społecznej w Trappeto dysponuje sumą tylko 20 tysięcy lirów na miesiąc.

Trappeto, 20 lutego

A propos dziennikarza, który pisał na temat tej okolicy: znaleźliśmy go w jednym z najdroższych hoteli w Palermo. Patrząc stąd, nie da się chyba zrozumieć niektórych rzeczy. Zajrzał do jednego czy dwóch domów w Trappeto, ale ludzie, widząc go w towarzystwie brygadiera policji, odpowiadali wymijająco.

Poradźcie dyrektorowi dziennika, żeby wysłał do przeprowadzenia ankiety na temat nędzy kogoś, kto pójdzie spać do domów nędzarzy.

21 lutego

Dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że w Mussomeli, miasteczku około piętnastotysięcznym, w tłum, złożony z ojców i matek skarżących się na warunki swojej egzystencji pod magistratem, policja rzuciła bomby łzawiące. Stracili życie: Giuseppina Valenza, lat 72; Onofria Peliccerii, matka 8 dzieci; Vincenza Messina, lat 25, matka 3 dzieci i w ciąży z czwartym; Giuseppe Cappalonga, lat 16.

28 lutego

Początek zajęć na Uniwersytecie Ludowym — pierwsza dyskusja na tematy kulturalne w miasteczku. Ludność myślała, że chodzi o jakąś debatę polityczną. Zgromadził się znaczny tłum: czterysta czy pięćset osób. Tylko około sto pięćdziesiąt, wliczając w to dzieci, mogło pomieścić się w największym lokalu, jaki mieliśmy do dyspozycji. Na dworze niektórzy z tych, którzy nie mogli wejść z powodu ścisku, awanturowali się. Trzeba będzie zbudować jak

kazali nam klękać i krzyczeli: „Podłóżcie dłonie pod kolana”, a jeśli tak nie robiliśmy, to dostawaliśmy bity.

M. — A kiedy jedliśmy, pierwszego, co się odezwał, posyłali na klęczki z dłońmi pod kolanami i sypali skorupki migdałów pod ręce, żeby popłynęła krew. To samo było z Copolą, chłopakiem w tym wieku co Pino.

P. — Mnie tak samo, aż leciała mi krew.

M. — Potem, wieczorem, jeśli ktoś nie odmawiał dobrze modlitwy, kazali mu klęczać nago, tylko w spodenkach.

24 marca \$

— Nie ma ambulatorium położniczego — mówi położna — a przydałoby się. Temu brakuje garnka, tamtemu mydła, owemu miednicy. Muszą biec do sąsiadów pożyczać. Nie-; które domy ze względów higienicznych nie nadają się do przyjmowania w nich porodu. Ściany surowe. Klepisko zamiast podłogi. Czyż w takich warunkach można przyjmować poród? Kiedy dom składa się z jednej jedynej izby, dzieci i ewentualnych współmieszkańców trzeba usunąć i dzieci płaczą za drzwiami, bo chcą do mamy. Za duże niebezpieczeństwo zakażenia. Do niektórych domów trudno jest dotrzeć i niebezpiecznie, zwłaszcza nocą. Ludzie często nie zażywają lekarstw, które zapisuję; jedzą, co popadnie, i dostają gorączki. Onegdaj jedna najadła się cebuli i dostała gorączki 40 stopni. Skąd mają wziąć rosół? Skąd mają wziąć pieniądze na lekarstwa? Kiedy widzę, że poród będzie trudny, radzę jechać do szpitala, ale wielu nie ma pieniędzy nawet na pociąg. Dwudziestodwujęciolatnia kobieta, nie mogąc z braku pieniędzy pojechać do szpitala w Palermo, zmarła.

O opiekunach społecznych w Trappeto nikt nigdy nie słyszał. Pewna gorliwa nauczycielka ze szkoły dla opiekunów społecznych w Palermo przyjechała kilka dni temu z jednym uczniem, żeby bezpośrednio zapoznać się z naszą inicjatywą. Inni przybyli ochotniczo w wyniku informacji uzyskanych z gazet, aby studiować warunki życia w mia-

steczku i starać się pomóc, jak można najlepiej. Jednemu z nich, asystentowi na uniwersytecie rzymskim, sierżant policji poradził, żeby zrezygnował z robienia zapisków na temat sytuacji w tym rejonie; innej z tych osób dobrej woli komendant komisariatu policji w Partinico polecił wyjechać, jeśli nie chce zostać odesłana ciupasem. „Wysyłkę” zlecono brygadierowi policji z Trappeto.

Policjanci i agenci przepraszają, jest im nawet szczerze' przykro, że są zmuszeni do takiego dziwnego postępowania, składają odpowiedzialność na „władze polityczne”.

Lokalny posterunek ma dziewięciu policjantów pod dowództwem brygadiera. Sześciu uzbrojonych strażników rolnych. Dwóch strażników skarbowych pełniących służbę codziennie. W sumie siedemnastu, nie licząc policji z Partinico. A w ostatnich latach zanotowano siedemdziesiąt wymuszeń pod groźbą śmierci: 20 żądań ponad milion lirów, 50 poniżej miliona. Nie licząc „drobnych zabójstw” i „drobnych kradzieży”.

Niektórzy kierownicy szkół podstawowych prosili mnie, żebym gdzie indziej, u ich przełożonych, pytał o dane dotyczące liczby zapisanych i uczęszczających, bo nie chcą narażać się na kłopoty.

W szkole podstawowej w Trappeto jest dziesięć klas: dwie pierwsze, dwie drugie itd.; do pierwszej zapisanych jest około 65 dzieci. Uczęszczających do piątej już 28. Na dziesięciu nauczycieli tylko dwóch czy trzech przyszło na lekcje przed Bożym Narodzeniem. Od Bożego Narodzenia trzecia część uczniów jada codziennie w szkolnej stołówce. Wszyscy nauczyciele, prócz jednego, mieszkają w Partinico albo w Palermo. Ani jedno z dzieci rybaków nie uczy się dłużej niż do piątej klasy. Ani jedno inteligentne dziecko z ubogiej rodziny nie może studiować. Według szczegółowej ankiety przeprowadzonej w ubiegłym tygodniu w Vallone, na 174 osoby powyżej szóstego roku życia tylko 17, to znaczy 10 procent, umie czytać i dokonywać najprostszych rachunków. Żadna z nich nie kupuje gazet. A do całego Trap-

peto przychodzi dziennie 10 egzemplarzy gazet, i to od niedawna; i prawie wszystkie z nich to gazety schlebujące konserwatystom. Trzeba zwrócić uwagę między innymi na to, że:

1. Dobrowolne uczestniczenie w problemach życiowych najbiedniejszych i publikowanie danych na temat nędzy pobudzają oczywiście inicjatywy zmierzające do poprawy sytuacji.
2. Władze lokalne są skłonne do minimalizowania braków i podkreślania „dobrych uczynków”, utrudniając rozpowszechnianie informacji, „żeby nie zniekształcać obrazu”. Niektórzy dla zdewaluowania źródła informacji starają się je oczernić lub wręcz zdławić.
3. W tych ośrodkach bandytyzmu ci, którzy nie chcą, by „doznała uszczerbku ich własna czci i godność”, wołają, by sądzono, że bandytyzm rodzi się z immanentnej skłonności do przestępstw tkwiącej w tutejszej ludności, a nie z rozpaczliwej nędzy i ciemnoty.
4. Poprzez łatanie dziur, niekiedy mozolne, nie zdoła się rozwiązać gruntownie całego problemu. Są to raczej palia- tywy, niekiedy bardziej kosztowne aniżeli przemyślana aktywizacja życia. A przecież każdy teren może stać się produktywny, jeśli odkryje się jego specyficzne możliwości, jeśli usunie się marnotrawstwo, jeśli pobudzi się ludzką inicjatywę. Poprzestaną na dwu przykładach:

Pierwszy: 180 rodzin rybackich w Trappeto utrzymuje się jakoś przy życiu, ponieważ co roku otrzymuje od państwa łącznie około 13 milionów tytułem zasiłków rodzinnych. Przez to, że kompetentne władze nie mają okazji czy też nie chcą działać wbrew interesom bogatych armatorów, właścicieli nielegalnych kutrów, i nie zakazują używania sieci o zbyt gęstych okach, którymi łowiąc narybek niszczy się miliony ton ryb — każdy rybak traci rocznie 150 tysięcy lirów. A zatem, z powodu niedbalstwa władz, do wydatków 13 milionów na zasiłki dołącza się brak wpływu 27 milionów (150 000 X 180). Ogółem: 40 milionów strat. A Trappeto jest małą miejscowością, najmniejszą w całej

zatoce. Pomyślcie, jakie poważne są straty na całym wybrzeżu.

Wszyscy zadają sobie pytanie: „Czy nikt nie może na to nic poradzić?” A najsmutniejsza rzecz, smutniejsza niż sama nędza, to patrzeć, jak prawo i zdrowy rozsądek są tak bezprawnie łamane. Wszyscy o tym wiedzą. Wszystkie ofiary, ponad osiemset osób, protestują. Któregoś dnia doprowadzeni do wściekłości zaczną strzelać, jak już się zdarzyło gdzie indziej. Nikt z tych, którzy mogliby coś zrobić, nie działa. Mija już jedenaście lat, jak trwa ten jawny skandal. Nikt nie przeciwdziała; wiele razy pisało się protesty podpisane przez setki osób; przeciwko morskiej mafii i ciągłej beztrójce nikt, jak dotychczas, nic nie wskórał.

Drugi: Latem woda z rzeki lato mogłaby nawodnić 500 hektarów, przekształcając je w sady cytrusowe. Każdy hektar tej ziemi, po nawodnieniu, przyniosłby dodatkowa około 800 tysięcy lirów. Każdego roku marnuje się zatem minimum 400 milionów. Gdyby przed laty cała ta woda, łącznie z zimową, stała się produktywna, wówczas nie byłoby bandytyzmu na tych terenach.

Marnuje się zatem 440 milionów rocznie w samym tylko Trappeto. Ponieważ żyje tam około 400 rodzin, każda traci co roku co najmniej milion pewnego dochodu, podczas gdy, nie wiedząc o tym, wegetuje między więzieniem, chorobami i głodem.

7—8 kwietnia

Kutry prowadzą nielegalny połów.

11—13 kwietnia Dwa kutry łowią nielegalnie. Wczoraj wieczorem jedna tylko barka z Tarrasini zловиła 100 skrzynek narybku. Zniszczono w ten sposób 700 ton ryby przez jedną tylko barkę w ciągu jednego tylko wieczora. Łowiły też inne cztery barki, ale nie wiadomo, ile zловиły i gdzie sprzedały.

4 maja

Dwa kutry łowią bezprawnie, bez przeszkód. Nie tylko

kapitanu portu, ale i strażnicy podatkowi uśmiechają się sceptycznie na nasze próby zlikwidowania nielegalnych połowów. Powtarzają, że nikomu nie uda się pokonać morskiej mafii.

Jutro ma wznowić pracę ochronka; odступujemy ją na razie Stowarzyszeniu dla Rozwoju Południa, które ma prowadzić tę ochronę własnymi środkami, własnym personelem i na własną odpowiedzialność.

10 maja

Okolo jedenastej przyplynęła nareszcie motorówka strażnicza i zaskoczyła jeden kuter w obrębie 3 mil od brzegu. Miejmy nadzieję, że coś z tego będzie. Ludzie są nieufni. Mówią: „Zatuszują wszystko skrzynką ryb”. Najlepiej poinformowani twierdzą, że kapitanat portu z konieczności ograniczy się do wymierzenia grzywny w wysokości 10 czy 20 tysięcy lirów. Przy 100, 150. tysiącach lirów dochodu dziennego dla armatora kutra to drobiazg. Był i drugi kuter, ale wyjątkowo łowił dalej od brzegu. Po południu obydwie kutry łowiły przepisowo w odległości 3 mil od brzegu.

12 maja

O piątej rano motorówka strażnicza zaskoczyła jeden kuter w obrębie 3 mil.

13 maja

Dzieci nareszcie w ochronce. Wczoraj przyszedł do nich lekarz na badania.

17 maja

Nielegalny kuter łowił bez przeszkód przez cały dzień o paręset metrów od brzegu. „Do Komendanta Kapitanatu Portu Palermo lub innej odpowiedzialnej osoby

Drogi Panie,

Pan stanie się bandytą, chyba dużo groźniejszym od nieświadomych i wydziedziczonych mieszkańców tych okolic, jeśli ten stan rzeczy będzie trwał nadal. A ponieważ to nasze sformułowanie mogłoby się wydać nierozważne, nie dość uzasadnione, postaramy się sprecyzować, co je wywołało: H Bandyci z tego rejonu kradną i zabijają najczęściej z nędzy i ciemnoty, podczas gdy pan ma pensję stałą, bardziej niż wystarczającą na życie, i mógł się pan uczyć przynajmniej przez piętnaście lat.

2. Tutejsi bandyci występują przeciw prawu państwowemu najczęściej po to, żeby bronić swojego prawa do życia. Pan zaś występuje przeciw konkretnym prawom państwowym i przeciw prawu do życia dla wszystkich. Pan broni, bardziej lub mniej świadomie, silnych a żarłocznych* zabijając - (można zabijać przez niedopatrznie) całe tysiące ludzi i tak już nędznych.

3. Mimo otrzymania obszernej dokumentacji, która wyczerpująco przedstawia Panu sprawę ustawicznych nielegalnych połowów w zatoce Castellammare; mimo ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, iż rybacy stracą cierpliwość i zaczną strzelać do przestępców (jest osiem tysięcy osób poszkodowanych Pg praktycznie z Pańskiej współwiny); mimo przedstawienia Panu, że Włochy dzięki Panu tracą w samej tylko zatoce Castellammare dobrych 150 milionów rocznie — pomimo tego wszystkiego upiera się Pan w dalszym ciągu przy popieraniu nielegalnych połowów.

Ponieważ ten stan rzeczy trwa jawnie od czasu zakończenia wojny, przez przeszło jednaście lat, staje się Pan odpowiedzialny za nienawiść, jaka wzbiera w duszach poszkodowanych i grozi wybuchem; Pan prowokuje setki rybaków do tego, by stali się mordercami.

Nie chcemy Pana obrazić tym naszym sformułowaniem, chcemy tylko zwrócić uwagę, by nie posuwał się Pan dalej.

Załączamy najświeższą dokumentację wykroczeń z ostatnich czasów".
(Następują dziesiątki podpisów)

18 maja

Nielegalny kuter o kilkadziesiąt metrów od Trappeto. W PaJestrze grupy rybaków projektują albo abordaż na kuter, żeby pobić bandytów i wrzucić ich do morza, albo związanie załogi i zatopienie kutra, albo ewentualne pocięcie lin od sieci. „Prawem nic nie zwojujemy” — mówią. Jeśli natomiast dojdzie do bójki i popłynie krew, „zaraz przybiegnie policja”. Na jutro na dziewiątą rano umówili adwokata.

18 maja

Adwokat oczekiwany przez rybaków z Balestrate nie przybył.

Wreszcie oddano do użytku przejazd kolejowy z zaporą drogową.

Dzisiaj proboszcz dokonał uroczystego otwarcia drugiej ochronki dla 50 dzieci. W ten sposób 80 dzieci ma zapewnione schronienie. Pozostaje na ulicy jeszcze z 50.

Przybył adwokat zaproszony przez rybaków z Balestrate; zaopatrzyliśmy go w dokumentację na temat nielegalnych połowów na morzu.

Pomimo dużej fali kutry łowią nielegalnie; a jeden z nich nawet bliżej niż 100 metrów od brzegu.

21 maja

Nielegalny kuter łowi przez cały dzień.

23 maja

Przyjechała motorówka straży skarbowej: był jeden kuter, ale w odległości ponad 3 mil. Mają radio na pokładzie: czyżby byli zawczasu przez kogoś ostrzeżeni?

24 maja

Przez cały dzień kuter łowił nielegalnie w odległości kilkuset metrów od brzegu. Nad wieczorem popłynęliśmy w kilka barek motorowych porozmawiać z załogą, ostrzec ich, że tutejsi rybacy zamierzają „przebrać krew”. Jeżeli nie chcą, tak jak my nie chcemy, by ich dzieci zostały sierotami-

tami, niech odpłyną na zawaze. W tym czasie kilka barek okrążyło kuter. Bandyci z kutra wyciągnęli sieci i odpłynęli.

Smutno jest być zmuszonym do stwierdzenia, jak bardzo „prawo” jest bezsilne i śmiechu warte, kiedy chodzi o ochronę biedniejszych.

26 maja

Dziś wcześnie rano znów pokazała się motorówka. Komendant zapewnił nas, że zostały wydane dyspozycje, by cały rejon był strzeżony.

9 czerwca

W ostatnich tygodniach pomagaliśmy murarzom przy budowie Uniwerayteu Ludowego. Skończono dach. Teraz robimy podłogi. Dzieci próbują swoich sił na ścianach, powstaje seria rysunków.

A propos przyszłych studiów na temat Trappeto, Partinico i Montelepre. Warunkiem przystąpienia do tej pracy winna być chęć prawdziwego uczestnictwa w życiu tych, którzy stanowią przedmiot studiów. W przeciwnym razie byłaby to tylko ciekawość nie prowadząca do niczego, narobiłoby to więcej złego niż dobrego, bo kto mówi bez zaangażowania, nie może powiedzieć prawdy. Studium takie winno znajdować sposoby rozwiązania — odkrywać stan rzeczy po to, by natychmiast rozwiązywać istniejące problemy.

Od 23 ubiegłego miesiąca dwa nielegalne kutry łowią codziennie.

Kilka dni temu w pewnym państwie, które wierzy w broń, w wojnę, w więzienia; które ciągnie zyski z loterii, prostytucji itp., w państwie, które nie dba o zagwarantowanie minimum egzystencji swoim obywatelom, które fałszywie oskarża i skazuje pojedynczych obywateli, a usprawiedliwia i oficjalnie podtrzymuje swoje najędzniejsze łgarstwa itd. — otóż głowie tego państwa został przyznany Order Chrystusa „jako obrońcy cywilizacji chrześcijańskiej”. Smutne nieporozumienie.

Partinico, 10 sierpnia Jak żyły w ciągu ostatnich lat i jak żyją teraz rodziny uwieczonych lub zabitych? Wszystkie bez zasiłków, bez jakiegokolwiek konkretnej pomocy: wszystkie klepią wciąż tę samą biedę. Mówi się: „Bandytyzm w Partinico i w Mon- telepre został opanowany, skończył się”. Nie myśli się, że z tych dzieci, które zmuszono do wysiłku nad wiek, żeby jakoś ratować przed głodem siebie i matkę, rosą właśnie ci, którzy przy pierwszym zamieszaniu wybuchną całą siłą nienawiści przeciwko temu światu, który dzisiaj faktycznie nie pozwala im żyć.

Jeden z tych pastuchów, z tych parobków, zanim uciekł się do gwałtu, dysponował przeciętnie sumą około 40 lirów dziennie, jeśli je w ogóle miał. Ile mieli średnio tylko dla siebie ci, którzy go skazali i nadal skazują innych? Średnia zarobków policjanta, żandarma wynosi 200 lirów dziennie, sędziego około 1 000, prefekta około 1000, prezydenta regionu około 2 000, biskupa czy kardynała ponad 2 000 (i wzrasta), ministra spraw wewnętrznych około 3 000, prezydenta około 100 000.

Nieludzki niedostatek staje się niszczący jeszcze na inny sposób: jeśli w dzielnicy Spine Sante dostaje się przeważnie pomieszania zmysłów, to w dzielnicy Mulini wynajmuje się własne genitalia za 50 lirów, a w okolicy Via delia Madonna bywa, że strzela się do człowieka tak, jakby się zgniatało dokuczliwą pluskwę.

Kiedy przybyliśmy tu, aby zrozumieć sytuację, nie wiedzieliśmy, co znajdziemy. Jasne, że hipoteza, iż tylu jest niepoprawnych kryminalistów, była dla nas mało przekonywająca. Nie wierzyliśmy, że tyle krwiożerczych bestii raczej niż ludzi właśnie tutaj przypadkiem wyznaczyło sobie spotkanie.

Mieliśmy różne przekonania religijne i polityczne: jeden chodził do komunii co rano, drugi nie pamięta nawet, od ilu lat nie wszedł do kościoła; jeden komunista, inny chrześcijański demokrat; ale nie było co dyskutować[^] wystarczyło obserwować. Na setki osób stanowiących przedmiot badań, z których

161 to ludzie skazani na więzienie bądź zamordowani (w jednej tylko dzielnicy Via della Madonna), nie znaleźliśmy ani jednego patologicznego kryminalisty. Znaleźliśmy cierpiących synów Bożych, czasem cierpiących w okrutny sposób, w strasznych warunkach. Nie znaleźliśmy żadnego przypadku zasługującego na więzienie, a tym mniej na zastrzelenie. Potrzebujących szkoły, pracy, szpitala, owszem, znaleźliśmy. Oczywiście stwierdzenie, że pośród uwięzionych nie ma bogatych, nie tylko nie znaczy, że wszyscy bogaci to porządni ludzie, ale jest dowodem krańcowej niespra- . wiedliwości.

11 sierpnia

Oto przesłanki i konkluzje notatek na temat warunków higieniczno-sanitarnych dzielnicy Spine Sante, opracowanych przez moich współpracowników: Vincenza Borruso, Rodolfa Bracci i Bonalda Vichi:

s Spine Sante znajduje się na południe od zbocza gór. Mieszka tam 330 rodzin, z których 300 to nędzarze. Do dzisiaj 319 rodzin nie ma wody w domu, a te 11 rodzin, które ją mają, mogą z niej korzystać tylko przez cztery i pół godziny dziennie. Również studnia publiczna funkcjonuje tylko przez cztery i pół godziny dziennie, więc tworzą się kolejki kobiet czekających na swoją kolej, żeby nabrać wody.

Dwie trzecie ulic nie ma kanalizacji. Połowa wszystkich ulic ma jezdnię z ubitej ziemi, pozostałe są żwirowane. Wchodzącego w tę dzielnicę od razu zaskakuje wygląd tych ulic, mieszkańcy wylewają tam nieczystości, piorą i suszą bieliznę, niekiedy rozpościerając ją wprost na ziemi.

Tu i ówdzie przed drzwiami można zobaczyć stoły zaplamione konserwą pomidorową: wystawiono je tam, żeby wyschły, pośród kurzu i much. Bardzo dużo dzieci, bosa i półnaga, na ulicy, na ziemi.

Już przy pierwszym zetknięciu z ludnością dało się zauważyć, że wśród licznych chorób umysłowe zdarzają się niezwykle często. Wchodziliśmy na chybił-trafił do 35 domów; oto, co zanotowaliśmy:

17 przypadków chorób umysłowych, z tego 8 leczo-

nych w domu obłąkanych; 5 głuchoniemych, 1 przypadek choroby Heinego-Medina; 2 przypadki poważnych zaburzeń hormonalnych; 5 gruźlików, 5 przypadków oskrzelowo-płucnych; 5 malarii, 10 przypadków kaszlu infekcyjnego, 7 przypadków anemii i wyczerpania organizmu; 2 przypadki chorób sercowo-naczyniowych; 12 — poważnego niedożywienia; 5 — chorób reumatycznych; 1 jaglica; 1 choroba skórna; 1 stwierdzona choroba weneryczna, 3 przypadki ciężkich migren; 8 przypadków kwalifikujących się do natychmiastowego operowania lub leczenia szpitalnego. Warto zauważyć, że często kilka chorób spotyka się u jednej i tej samej osoby.

Żywnienie jest często niewystarczające, szczególnie dla dzieci i matek karmiących. Na co zdałyby się lekarstwa, skoro ludzie nie mają co jeść?

20 sierpnia

Zadajemy sobie pytanie, jak mamy działać indywidualnie, ..y jako osoby prywatne, w obliczu sytuacji i zjawisk tak poważnych? Nędza jest tutaj niesłychana, niemal druzgocąca, ||| nędza we wszystkich możliwych postaciach. Środki zarad-* cze ze strony państwa absolutnie niewystarczające.

Zdarza się, że przynosimy do jakiegoś domu 4 pudełka streptomycyny i dyszymy, jak chory narzeka, dlaczego nie 20; słyszymy, jak matka lamentuje, dlaczego udało nam się znaleźć pracę tylko dla jednego z jej synów; słyszymy, jak wielu chorych narzeka, że nie dostaje potrzebnego lekarstwa. I tak przez cały dzień, codziennie. Na ogół proszą przede wszystkim o pracę. Czy muszą tak umierać?

Trappeto, 25 sierpnia Lekarka, która miała przychodzić we wtorki i piątki, tak się przestraszyła, widząc ogromny napływ chorych, że wyr cofała się. Wszystko od nowa; będziemy musieli znaleźć innego lekarza.

10 września

Swit. Cztery kutry łowią nielegalnie. Wczoraj dwa. Go-

dżina 9. Jeszcze jeden nielegalny kuter. Idziemy powiadomić komisariat żandarmerii w Partinico, żeby interweniowali. Komisarz radzi nam przedłożyć podanie na piśmie. Oto jego kopia:

„Do Komisarza Żandarmerii — Partinico i do wiadomości'
Komendanta Kapitanatu Portu — Palermo Komendatury Straży Skarbowej — Palermo
Komendatury Policji — Palermo Urzędu Połowów Rybnych — Palermo

Pomimo wszystkich meldunków w tej sprawie nielegalne kutry od dłuższego czasu ponownie łowią bez przeszkód w zatoce Castellammare. I to nie jeden — dzisiaj nawet pięć. Pomimo naszych ciągłych interwencji obietnice ze strony władz odraczane są na czas nieokreślony.

Nie dziwi nas, że jawny bandytyzm na morzu trwa, ale zaskakuje nas o wiele bardziej, że tolerując tę sytuację przyzwyczajają się do bezkarności. I wiemy, że gdyby chodziło nie o interesy biednych, to postawiono by na nogi policję z połowy wyspy, jako że w tych rejonach nędzy, jeśli czegokolwiek jest pod dostatkiem, to właśnie policji. Trzeba, aby podjęto odpowiednie kroki, by policja natychmiast interweniowała w obronie prawa, które w tym wypadku jest sprawiedliwe. Prosimy zatem, by za każdym razem, gdy kutry powrócą na nielegalne połowy, wasz oddział żandarmerii interweniował i oddalał je. Tym sposobem będą mogli żyć wszyscy, oni i my.

Odrzucamy gwałty, ale nie możemy pozostawić naszych rodzin bez obrony, dlatego prosimy Was o szybką i skuteczną pomoc.

Trappeto, 10 września Wasi w Bogu" (następuje 61 podpisów)

11 września

Cztery kutry łowią nielegalnie bez żadnych przeszkód.

12 września

Trzy kutry łowią nielegalnie. Wydaje się, że w kapitanacie znudzili się już naszą gorliwością.

13 września

Osoba odpowiedzialna potwierdziła wiadomość, że w pewnym internacie dla dzieci stosuje się więzienie w celi i zakuwanie w dyby.

Partinico, 1 października W pierwszych dniach jadło się na schodach. Teraz są już cztery wypłatane krzesła i stół. Ugo zaraz po powrocie z Agape założył kontakty elektryczne i zapisał do ochronki 47 malców z dzielnicy w wieku od czterech do sześciu lat, trzyletnich nie chcą. Pewna staruszka oddała swój dom do dyspozycji, usłyszawszy, że szukamy miejsca na warsztat ciesielski.

Wczoraj wieczorem przy pożyczonej fisharmonii siedzieliśmy wśród ludzi z ulicy i grali. Przyszła dziewczyna, której nogi ugięły się z osłabienia.

Pewna sześciomiesięczna dziewczynka ważyła 2 700 gramów; matka jej nie miała pokarmu ani pieniędzy na mamkę.

Dzisiaj powinny rozpocząć się zajęcia szkolne.

Nie ma jeszcze żadnej odpowiedzi na nasz list z 10 września.

Trappeto, 13—22 października Jeden, dwa albo trzy nielegalne kutry.

Partinico, 23 października Kilka dni temu o 3 kilometry od Trappeto zniknęło stado piętnastu krów.

Dowiedziałem się, że we Włoszech nie istnieje żadna stała opieka nad rodzinami więźniów. Kiedy więzień jest skazany, skazani są wszyscy, również dzieci kilkumiesięczne i te, które mają się dopiero narodzić. Gdzie indziej działają przy-

najmniej prywatne „patronaty”, tutaj biedacy widocznie „są zanadto źli, nie zasługują na pomoc”.

W tym rejonie, zamieszkiwanym przez 33 tysiące mieszkańców, marnuje się co roku, w sposób oczywisty i przy całej łatwości zaradzenia temu, ponad 6 miliardów lirów (woda, narybek itp).

Śmiertelność wśród dzieci bezrobotnych nędzarzy wynosi tutaj 9 procent; podczas gdy śmiertelność dzieci tych, którzy mają pracę — tylko 1 procent. 8 dzieci na 100 zabija się więc wskutek braku ubezpieczenia społecznego; ponad 40 dzieci (licząc tylko od pierwszego roku życia) zabija się w Partinico rocznie.

28 października

Znaleźliśmy jeszcze czternaście krzesel; niech dzieci z naszej dzielnicy w czasie wolnym od szkoły przychodzą do nas, kiedy zechcą.

Kilku dorosłych prosiło, żeby zorganizować dla nich szkołę wieczorową. Dziś wieczorem spróbujemy z paroma przez godzinę.

4 listopada

Wczoraj wieczorem widziałem, jak dziewczynka, chyba sześciomiesięczna, u matki na rękach, miała wetknięte w pupę długie liście pietruszki. Wetknięto jej, żeby zatrzymać biegunkę, która prawdopodobnie pochodzi stąd, że z braku pokarmu matki mała je już chleb.

Później dowiedziałem się, że inni wtykają dzieciom pietruszkę, żeby spowodować wypróżnienie.

Zobaczyłem się wreszcie z syndykiem. Nie wiedział, że w Spine Sante jest wyjątkowo dużo przypadków chorób umysłowych i że bandytyzm rodzi się przede wszystkim z nędzy. Uważa, że więcej zrobić się nie da, gdyż to, co się robi, stanowi granicę możliwości. Zadanie utrzymania przy życiu wszystkich uważa zresztą za zagadnienie ekonomiczne, a nie moralne. Mówił szczerze, podkreślając często, że uwa-j żał nas „za działających w złej wierze, z głowami w obłokach, w podejrzanych zamiarach”.

9 listopada

Wczoraj wieczorem widzieliśmy dziecko trzymiesięczne umierające z braku mleka matczynego. Matka, nie mając pieniędzy na mamkę, starała się karmić je mlekiem krowim

Było tam jeszcze jedno dziecko z wiecznie otwartymi ustami; całe usta dziecka były jedną wielką, czerwoną, spękaną raną.

10 listopada

Dziecko z czerwonymi, popękаныmi ustami umarło. Robimy sobie wyrzuty, że nie mogliśmy czy też nie umieliśmy temu zaradzić.

Wczoraj wieczorem każdy z analfabetów starał się nauczyć podpisywać i pisać imiona własnych dzieci albo narzeczonej. Rozmawialiśmy o tym, jak powinno być w dzielnicy Spine Sante.

12 listopada

Niektórzy mieszkańcy dzielnicy, z którymi spotykamy się wieczorami, pracują teraz z zapalem dla dobra całej dzielnicy. Często wysłuchują obelg, a właśnie ci, którym pomagają, ubliżają im „od płatnych agentów”; nierzadko mają ochotę rzucić to wszystko, żeby nie dawać powodów do awantur. Francesco znalazł, jak dotąd, w samej tylko dzielnicy Spine Sante dwadzieścia rodzin, które mieszkają w domach z klepiskami zamiast podłogi, a dwadzieścia jeden z „podłogami” z ziemi i kamieni.

Przy tej samej ulicy, tuż pod nami, na parterze, piętnaście osób śpi w jednej izbie! Oczywiście nie ma tam ani ubikacji, ani wody, ani światła.

Magistrat zwolnił z pracy pewnego śmieciarza za to, że w obronie kolegi powiedział coś na swego przełożonego. Posyłali go zawsze, żeby zbierał trupy w polu; dostawał za to 400 lirów dziennie. W ciągu ośmiu lat służby zebrał około trzydzieści trupów zamordowanych. Ojciec sześciorga dzieci dziś włóczy się po ulicach; zwolniony bez dnia wymówienia, bez żadnego odszkodowania.

Poszliśmy jeszcze raz odwiedzić to zagłodzone dziecko, żeby się upewnić, czy wynajęta mamka karmi je. Dowiedzieliśmy się od matki, że przez piętnaście dni trzymała dziecko przy piersi, czekając, aż jej wróci pokarm; maleństwo chudło, nie pokazała się ani kropla. Mówiła, że nią zawiozła dziecka do szpitala dziecięcego w Palermo, ponieważ w ostateczności dzieci tam zatrzymują, ale bez matki.

Dziś jeszcze dwóch młodych studentów przybyło do po-* mocy.

13 listopada

Wczoraj natrafiliśmy na jedno dziecko, trzyletnie, które z osłabienia nie umie jeszcze chodzić.

W ciągu paru dni wielu nauczyło się już podpisywać, a także pisać imię żony, dzieci, rodziców, narzeczonej. Niektórzy | nich pomagają nam w studiach i pracach nad dzielnicą.

Wielu przychodzi po pomoc z innych dzielnic, przede wszystkim z Via delia Madonna.

Jednak na razie, doprawdy, nie dajemy rady; nawet dla Spine Sante jest nas za mało.

16 listopada

Wczoraj na ulicy była wielka bijatyka. Najpierw awanturowało się tylko parę kobiet; potem włączyło się do bójki coraz więcej, chyba z dziesięć.

W każdym tygodniu jedna lub dwie bijatyki tego rodzaju.

17 listopada

Montelepre wraz z innymi trzynastu gminami zostało wybrane przez ministra Vigorelli do „eksperymentu pełnego zatrudnienia”.

W Grisi, wiosce o 10 kilometrów stąd, od przeszło dwóch tygodni jest tylko jedna nauczycielka na pięć klas (nie łączonych: pięć normalnych klas, około 150 dzieci).

24 listopada

Od rana słysząc w górach huraganowy ogień maszynowy.

Chyba ćwiczenia policji. Kosztem około 200 tysięcy lirów, gdybyż zostały one wydane na książki dla dzieci i Prawie wszystkie dzieciaki z dzielnicy chodzą do szkoły bez książek.

26 listopada

Wczoraj i dzisiaj znowu strzelanina w górach. Cztery nielegalne kutry. Kilkoro dzieci wydano ze szkoły, ponieważ nie mają książek.

6 grudnia

W Spine Sante na 503 osoby w wieku ponad sześć lat 138 nie ukończyło nigdy nawet pierwszej klasy szkoły podstawowej.

14 grudnia

Vicenzina:

„Słysząc cztery strzały rewolwerowe w odległości jakichś dziesięciu metrów od rynku i naraz pełno ludzi, policjanci biegają to tu, to tam; akurat odjeżdżał autobus na stację, ale ludzie nie chcieli go przepuścić przez ulicę, bo na ziemi leżał jakiś trup. Po dziesięciu minutach od mojego przyjazdu na stację nadjechał pociąg i zanim ruszył, policjanci uzbrojeni w rewolwery przeszukali wszystkie wagony, przechodząc tam i z powrotem kilka razy, wracając znowu i krzyżąc: "Wszyscy wstać i ręce do góry!« zrewidowali wszys-< tkich mężczyzn...”

W ciągu jednego roku na 33 tysiące osób (Partinico, Trappeto, Montelepre) było łącznie 7 zabójstw i 3 samobójstwa. W ciągu jednego roku!

31 grudnia

W Montelepre nie rozpoczął się jeszcze „eksperyment pełnego zatrudnienia”.

Z listu do mnie pisanego przez pewnego przedstawiciela władzy:

„Uważam za swój obowiązek zakomunikować Panu, że mimo iż nie można doszukać się w Pańskim doniesieniu znamion obrazy urzędnika, istnieje jednak wiele przejaT wów oszczerstwa. Gdyby Pańskie stwierdzenia okazały się niezgodne z prawdą (ponieważ adresatami tych stwierżeń

są urzędnicy państwowi), w ewentualnym procesie doszłoby do dowodu prawdy".

Moja odpowiedź:

„Pański list skłonił mnie do zebrania nowych- świadectw — pisanych i podpisanych w obecności świadków — które złożę u adwokata. Oto kopie kilku z nich jako próbka:

Po uwięzieniu mnie w Palermo zostałem po roku wypuszczony na wolność, bo czyn nie stanowił przestępstwa* Podczas śledztwa trzy razy wsadzali mnie do lochu. Raz, kiedy byłem związany w lochu, jeden z agentów wsadził mi, za przeproszeniem, członek w usta.

Sierżant dowodzący oddziałem kazał mnie bić różgami w podeszwy stóp.

Moja rodzina nigdy nie otrzymała zasiłków od żadnego patronatu nad więźniami.

(-) V.G.

Kiedy nas doprowadzili do „Centralnego", położyli nas nago na prostokątnym stoliku twarzą do góry, z głową zwisającą, i związali pod spodem ręce i nogi. Potem założyli nam maskę, taką przeciwgazową, wojskową. Jeden agent usiadł -na brzuchu i lał do gardła wodę z solą. I człowiek musiał pić, ile wlezie, bo jak nie, to nie można było oddychać. I potem jeszcze policzki albo kije.

Tak traktują, gdy ktoś dostanie się do lochu.

Nasze rodziny przez cały czas aresztu, przez cztery lata i osiem miesięcy, nie otrzymały żadnych zasiłków więziennych.

(—) T.A., B.V., S.V., S.G.

Przez trzy — cztery dni zostawili mnie całkiem bez jedzenia. Miałem rany od różeg i stopy tak popuchnięte, że przez dziesięć dni nie mogłem stać na nogach.

Moja rodzina przez ten czas nie otrzymała nigdy zapomogi. Mój ojciec jest teraz w więzieniu i rodzina nie ma zapomogi.

(—) M.A.

Bili mnie kijami po plecach, po nogach i po całym ciele, zawsze nago. W lochu to człowiek jest, jak przyśrubowany. Ale nie tylko różgi torturują człowieka, także zimno od podłogi, kiedy rzucają na ziemię. Podłoga cała mokra, lali na nas wodę z solą, żeby zmyć krew i żeby się nie puchło. I strażnicy nie robili tego w tajemnicy przed zwierzchnikami, bo w obecności przełożonych, którzy w tym czasie prowadzili śledztwo i sporządzali protokół. Istna rzeźnia.

W tym czasie moja rodzina — miałem troje dzieci — nie otrzymała nigdy od nikogo zasiłku.

A.S.

Było to tego wieczora, kiedy zabili kapitana (czy może sierżanta) Zappone i innych dwóch policjantów. Nazajutrz poszedł wielki patrol żandarmerii i policji do kina „Greco”. Rozmieścili się częściowo przy drzwiach, a częściowo w środku i bili, kogo popadło. Policzki, uderzenia kolbą, kopniaki, jak się dało; nie oszczędzali nikogo. Bo chcieli; żeby ludność przestrzegała żałoby. Był tam pewien człowiek z siostrą. Kiedy zobaczyli, co się dzieje, chcieli wyjść. Jeden ze strażników podszedł i położył rękę na piersi panny. Wtedy jej brat rzucił się na niego z pięściami. Nadbiegli inni policjanci, zakuli go w kajdany i zaprowadzili do koszar.

Byliśmy obaj świadkami tego zajścia.

(—) S.F.P., C.T.

Ja nie otrzymałem nigdy zasiłków, ani moja rodzina ich nie otrzymała w czasie, kiedy byłem w więzieniu — przez 6 lat i 7 miesięcy.

Wsadzili mnie do lochu, bili po nogach, byłem cały nagi, a potem, gdy tylko chciałem odetchnąć, wlewali mi wodę do brzucha. Kopniaki też w brzuch, tyle razy, że wyglądało to jak gra w futbol, a leżącemu na ziemi jeszcze wiadro wody z solą. Traciłem przytomność.

Po 6 latach i 7 miesiącach wyszedłem z więzienia niewinny.

B.S.

Jestem przekonany, że nie znajdzie się taki gorliwiec, który by nas oskarżył, wypaczając intencję, o „stronniczość”, „zniesławienie” czy coś podobnego. I zapewne nikt nie powie, że przytoczone wypowiedzi nie wzbudzają zaufania, gdyż pochodzą od „wyjętych spod prawa”. Nie mówcie, proszę: u My, którzy widzimy tyle świństw na co dzień, zapewniamy cię, że można spowodować wycofanie tych oświadczeń, chociażby każąc aresztować świadków w charakterze oskarżonych (wtedy kto ci uwierzy?)”.

Nie mówcie: „Ale podobne traktowanie spotyka się też we Francji, w innych częściach Włoch, w Japonii, w Ameryce...^..

Nie mówcie: „Proces zaaranżowałyby w jakimś odległym miejscu i z tych tysięcy nikt nie poszedłby świadczyć na przykład przeciw, biurokratycznym zaniedbaniom, które faktycznie faworyzują silniejszych, sprzyjają nielegalnym połowom”.

Nie mówcie: „Jeśli będziecie nazywać rzeczy po imieniu, to po prostu pod byle pretekstem uniemożliwią wam rozpoczętą przez was akcję odnowy”.

Nie mówcie: „Prawicowa prasa nie zaryzykowałaby obrony waszych racji i stalibyście się narzędziem w rękach komunistów”.

Prawda nie jest niczym „narzędziem”. Jest zbawieniem dla wszystkich, pod warunkiem, że prowadzone działania mają na celu uzdrowienie sytuacji, a nie podżeganie do hałaśliwych polemik. A nie mieć zaufania do ludzi, także do tych pozbawionych całkowicie przywilejów i siły, to znaczy okaleczać ich i mordować.

Tutaj, podobnie jak na całym świecie, zabijamy najsłabszych czy to poprzez zdecydowaną pogardę dla ich słabości, czy dlatego, iż wierzymy, że z posiewu raka mogą wyrosnąć cytrusowe gaje, czy wreszcie dlatego, że pozwalamy umierać tym, którzy nie dają sobie rady. Ale przede wszystkim i wciąż dlatego, że „nie wiemy, co czynimy” — uważając się w swojej zarozumiałości za jedynych zbawicieli, jedynych prawdziwych i niezastąpionych...

I ten mord, często masowy, dokonuje się ze wszystkimi

znamionami legalności: znaczki skarbowe, kodeks, portrety itp.

Kutry w dalszym ciągu bez przeszkód łowią nielegalnie pomimo oburzenia dziesiątków tysięcy osób, a teraz także mimo wyraźnego zakazu ministra marynarki.

Trwają procesy i sypią się wyroki skazujące „wyjętych spod prawa”. Kiedy mówię rybakom, że po opublikowaniu tej książki kutry przestaną czy prawie przestaną łowić nielegalnie, patrzą na mnie i milkną niedowierzająco. Zaprzeczanie moim nadziejom sprawia im przykrość. Tak samo, kiedy mówię rolnikom, że będzie woda i będą mogli pracować, że imniej dzieci będzie umierać, że wszystkie dzieci będą mogły iść do szkoły, także i te, których ojciec jest w więzieniu lub został zamordowany.

Mówię, że nadejdzie nawet dzień, i to niedługo, kiedy nauczyciele będą regularnie przychodzić do szkoły. Nauczymy się żyć wolni, wszyscy razem.

Zdarza się, że ten czy ów drwi, nie przyjmuje tego do wiadomości. Bywa, że tak się ustosunkowują niemal wszyscy. Ale czy mogę zmienić swoje przekonania? Czy mogę uwierzyć, że wszyscy są chorzy, że wszyscy są martwi? Nie. Wszak tylu zapalało chęcią wyleczenia się, choć każdy jest inny.

I wydaje mi się, że wątpliwości zaczynają drażnić ich dotychczasowe przekonania. Moje też.

Może uwierzmy wreszcie kiedyś, że tylko z posiewu groszku wzrośnie groszek.

W MIEŚCIE

Pragnę dać przyczynek do studiów, które należy rozpocząć nad sytuacją bezrobotnych w prowincji Palermo: jak żyje człowiek, który pracuje tylko dorywczo, jak żyje bezrobotny, a jak ten, kto nie ma prawdziwej pracy i „kombinuje”, jak to się tutaj określa. Te stronicie są wstępem, zaproszeniem do dyskusji z ludźmi przede wszystkim tej prowincji i przy udziale wszystkich innych, dyskusji, która by doprowadziła do gruntownego przeanalizowania sytuacji. Chodzi mi o postawienie problemu po to, by został rozwiązany.

A oto wyciąg z oficjalnego sprawozdania pt. „Specjalne zarządzenia dla miasta Palermo” (1955) dokonanego z inicjatywy Regionalnego Zgromadzenia Narodowego Sycylii.

„Deficyt budżetowy miasta Palermo jest natury organicznej i charakteryzuje się stopniowym pogarszaniem w oszałamiającym tempie.

50 procent wody z sieci wodociągowej marnuje się. Udokumentowanych jest 110 przypadków tyfusu w Bocca di Falco oraz 76 przypadków tyfusu w rejonie Via Oreto.

Według danych Urzędu Robót Publicznych przy Zarządzie Miejskim około 15 tysięcy rodzin (około 60 tysięcy osób) mieszka w Palermo w lokalach nie nadających się do użytku. A według Regionalnego Zarządu Robót Publicznych na 65 984 lokale o dobrych warunkach mieszkalnych przy-

pada 36 131 lokali (dla około 200 tysięcy osób) o dych warunkach mieszkalnych.

Warunki mieszkaniowe w niektórych dzielnicach starego Palermo — jedna lub najwyżej dwie izby, pozbawione najprymitywniejszych urządzeń higienicznych, ubikacji, kuchni, wody, a często nawet sztucznego światła, pozbawione powietrza, światła słonecznego, wilgoć, zimno, kurz, smród rynsztoków i ścieków, przeludnienie — prowadzą do degradacji fizycznej i moralnej, którą bez przesady można określić jako przerażającą.

Powierzchnia strefy miejskiej charakteryzującej się powyższymi cechami wynosi łącznie około 200 hektarów. Ta strefa obejmuje cztery dzielnice (Tribunali, Palazzo Reale, Monte di Pietà, Castellammare), ograniczone ulicami Vittorio Emanuele i Maqueda, przecinającymi się pod kątem prostym, które dzielą stare centrum miejskie na cztery dzielnice o prawie jednakowej powierzchni, oraz kilka dzielnic odległych od centrum, jak Danisimi i Borgo Nuovo.

Wyburzanie domów nie nadających się do remontu (których lokatorzy powinni zostać wysiedleni w myśl ogólnie obowiązujących przepisów higieny) winno by objąć około jedną trzecią aktualnie istniejącej zabudowy w samych tylko czterech okręgach centralnych miasta, co pociągnęłoby za sobą wyburzenie co najmniej 20 tysięcy izb".

Dla pięciuset ankietowanych przez nas osób w prowincji Palermo przeciętna ilość dni pracy w roku wynosiła 99,4; w samym mieście 121,7.

Opowieść byłego złodziejaszka

Skąd się wziąłem? Moja matka, wdowa po szewcu, zajmowała się załatwianiem dokumentów innym ludziom, była pośredniczką w urzędach. Dlatego często bywała w biurach Zarządu Miejskiego. Tam poznała mojego ojca, który był urzędnikiem magistrackim. Moja matka była piękną kobietą, więc zaczął się koło niej kręcić; nie mówił, że jest żonaty, i obiecywał, że się z nią ożeni. Więc matka mu się oddała.

Kiedy się urodziłem, w roku 1912, nie mogłem więc nosić nazwiska ojca. Pamiętam to tylko, że jako dziecko bawiłem się przeważnie na ulicy, a czasami, pamiętam jak przez mgłę, matka — idąc do pracy — zostawiała mnie na przechowanie sąsiadce.

Potem matka zachorowała na hiszpankę i umarła. Nie było przy jej śmierci nikogo, bo moja matka uważana była od tamtego czasu za k..., a ja za dziecko grzechu, którym nikt nie chciał się zainteresować.

Miałem przyrodniego brata, syna pierwszego męża matki, który był zaręczony. Oddano mnie pod opiekę rodziny jego narzeczonej. W tamtym domu mieszkał pewien młody człowiek, który był złodziejem kieszonkowym. Zaczął uczyć tego zawodu i mnie. Miałem iść ulicą pięć, sześć metrów przed upatrzoną kobietą. Potem miałem się nagle odwrócić, żeby zejść ją od przodu. Kiedy zbliżałem się, uniosłem lewą rękę, a prawą pod łokciem lewej otwierałem torebkę z zatrasku czy też zapięcia, bo w tamtych czasach najczęściej stosowało się zapięcie na guzik; a były i takie, co się zamykały na zamek błyskawiczny jak niektóre walizki. Trzeba było wyspecjalizować się we wszystkich typach zamków. A więc, najpierw się otwiera, a potem staje się półfrontem, ostrożnie wkładając rękę do torebki, i zabiera portfel czy coś innego.

Gdy już nabrałem wprawy, zostałem zaangażowany przez niejakiego B. Z początku miałem wielką treść, czułem się tak, jakbym musiał biec do ubikacji. Przerazało mnie to wszystko, bałem się, że okradana spostrzeże się i mnie zbije. Znałem takich, którzy dla dodania sobie odwagi pili albo narkotyzowali się. Do tego nie byłem zdolny; zresztą obecność tamtego drugiego dodawała mi odwagi. Nie chciałem okazać się tchórzem, boby mnie na drugi raz nie zaangażowali.

Tam gdzie mieszkałem, prawie we wszystkich rodzinach z tej ulicy, dzieci były przyuczane do tego samego „zawodu” co ja. Na Via Sant Agostino, w Cortile Catarro, Cortile Scalilla i prawie wszystkich okolicznych ulicach pełno było złodziei kieszonkowych. Był to wręcz ośrodek szkolenia kie-

szonkowców. I ten stan rzeczy trwa nadal. „Absolwenci” jada stąd do Turynu, Mediolanu, Genui, bo tam nikt ich nie zna, jest łatwiej, ponieważ ludzie mniej znają tę robotę i łatwo dają się okradać. W Rzymie uiywa się „na wabia” kobiet; one, ocierając się o faceta, odwracają jego uwagę.

Pamiętam jak dziś, raz szedłem na „skok” na róg Via Sant Agostino i Maqueda (gdzie było centrum „pracy” kilku szajek, w pobliżu większych wystaw sklepowych), a tu nadeszła brygada policji. Ostrzegłem natychmiast towarzyszy, zrobiliśmy w tył zwrot i każdy z nas uciekł w zaułki. Ja biegłem co tchu aż do domu, bo jak złapali, to siedziało się w areszcie do wyjaśnienia co najmniej przez trzy dni. Dobięłem do domu bardzo wystraszony, bo bałem się, że mogą mnie rozpoznać. Kiedy się przybiega do domu w takim stanie, domownicy nie wiedzą, z jakiego to powodu; czy przynosi się łup, czy zostało się nakrytym. Trzeba złapać oddech, żeby wytłumaczyć, co się stało. Takie życie prowadzą wszyscy kieszonkowcy: nerwy, strach, podniecenie, wiecznie ten sam temat — spotkania z policją.

Kradzież jest stosunkowo łatwa, kiedy dokoła zrobi się jakieś zamieszanie, na przykład, kiedy facet usuwa się przed wozem lub rowerem albo przychodzi więcej osób. I często taka scena aranżowana jest przez samych złodziei, w tym wypadku przez czterech lub pięciu. prostytutka, kiedy się starzeje, zgadza się nawet myć schody, byle pracować w tym lokalu, gdzie przez dwadzieścia lat sprzedawała swoje ciało: tak samo ludzie, którzy nasiedzieli się już dość w więzieniu, starają się brać udział w „skokach”, ale w mniej ryzykowny sposób; i stąd rekrutują się „czatownicy”, poma- gierzy, których jest całe mnóstwo. (...) Jeśli skok się uda, dokonuje się podziału pieniędzy pomiędzy wszystkich. Każdemu stosownie do włożonej pracy. W równych częściach dzielą się chłopiec i ten, który Wy- ciągnął portfel. Ten, co stoi „na czatach”, traktowany jest jako siła pomocnicza i dostaje mniej.

Większość okradanych to wieśniacy, którzy przyjeżdżają z prowincji do szpitala, w poszukiwaniu pracy albo po zakupy i mają przy sobie oszczędności. Mile widziani są tacy,

którzy po wielu latach wracają z Ameryki i często mają portfel wypchany pieniędzmi.

I tak aż do dwunastego roku tycia, ciągle to samo.

Kiedy skończyłem dwanaście lat, wiadomo już było, że nadaję się do zawodu kieszonkowca, więc ten facet poszedł porozmawiać z moją rodziną i uzgodnili, że będę jeździł razem z nim. Rozpoczęły się moje pierwsze doświadczenia wyższego stopnia. Już od samego wspomnienia robi mi się niedobrze. Czasem ja udawałem, że jestem dzieckiem, które uciekło z domu, a tamten drugi z paskiem w ręku udawał, że mnie szuka od trzech dni; spostrzegał mnie, chciał mnie zbić pasem, ja się chroniłem obejmując za kolana faceta, co do którego upewniliśmy się z góry, że ma gruby portfel w spodniach. Ja krzychałem, ścisakałem go za kolana, krzychaąc: „Litości”, i błagałem tego człowieka o pomoc. On lito-* wał się, pochylał, starając się osłonić mnie od razów, a w tym czasie tamten wyciągał mu portfel. Żebym ja wiedział, że operacja się udała, mieliśmy umówiony sygnał: chrząkanie. Wtedy rozluźniałem uścisk.

Jeździło się dużo. Palermo, Neapol. Zatrzymywaliśmy się w hotelach, trzeba było ubierać się przyzwoicie. Mówiliśmy, że jesteśmy kupcami. Mediolan, Turyn, poznałem pół Włoch. Raz mój wspólnik dysponował nawet legitymacją dziennikarską. I co jakiś czas wracaliśmy do Palermo, do bazy.

Gdy miałem piętnaście lat, chcieli mnie wysłać do domu poprawczego w Santa Maria Capua Vetere koło Neapolu. Jednemu z tych, z którymi pracowałem, zrobiło się żal, że mają mnie zamknąć, i popłynął ze mną statkiem (ale incognito, strażnicy nic nie wiedzieli) prawie do samego miejsca przeznaczenia. Już w pociągu wręczył mi lekarstwo do wcierania w oczy, żeby mnie uznali za nie nadającego się do domu poprawczego. Zrobiłem to, co mi radził, bo i ja chciałem być wolny; to jeżdżenie po Włoszech spodobało mi się. I rzeczywiście po tygodniu uznali mnie za niezdolnego, ale do dziś zostało mi w oczach lekkie chroniczne-zapalenie od tamtego lekarstwa. Po powrocie znowu zacząłem włóczyć się po całych Włochach.

szech. W tym okresie dostałem dwa wyroki — dwadzieścia i trzydzieści dni, zapisane w kartotece, ale ich nie odsiedziałem, bo byłem nieletni. Pewnego dnia zostałem aresztowany w Rzymie i tamtejsza policja załatwiła wszystkie formalności, żeby mnie zamknąć, tym razem w Instytucie imienia Vittorio Emanuela III, w prowincji Mantua.

Tu bito nas, dyrektor wyczyniał takie rzeczy, że lepiej o nich nie opowiadać. Wystarczyło, że bawiliśmy się bębenkiem, podczas gdy on w ciągu dnia spał, żeby „załapać” dwa, trzy dni ciemnicy. Nocą chodziliśmy do kuchni, po chleb albo do ogrodu po melony czy pomidory, bo byliśmy głodni. Zdecydowaliśmy, że napiszemy na niego skargę; ułożyliśmy list do burmistrza, podpisany przez najstarszych, w którym donosiliśmy o wszystkich jego nadużyciach. I tak zmusiliśmy dyrektora do dymisji.

Siedziałem w poprawczaku trzy lata. Tam zacząłem się uczyć i doszedłem do szóstej klasy szkoły podstawowej; dali mnie od razu do trzeciej, bo umiałem już trochę czytać, zaczynał mi się puszczać zarost i przy innych dzieciach ze wsi, chodzących do tej samej klasy, wyglądałem jak ojciec.

Miałem osiemnaście lat i uczęszczałem do szóstej klasy, kiedy za to, że chodziłem w grządki całować się z bratanicą burmistrza, tuż obok szkoły, wypędzili mnie z instytutu. Później spędziłem trzy lata w Rzymie. Tam nauczyłem się fachu fryzjerskiego. Nie zapomniałem starych znajomych, ale już zaczynałem szukać nowej drogi. Policja chciała, żebym mieszkał w Palermo, ja natomiast chciałem zostać w Rzymie, gdzie miałem przydzieloną sądownie opiekunkę. Więc policja w Palermo, żeby rozwiązać sprawę, zesłała mnie na dwa lata na wyspę Pan tell erię. Również o tym doświadczeniu lepiej nie mówić: demoralizacja na każdym kroku. Jak człowiek może się tam uchronić? Jak ma stać się lepszy? Wstydzę się opowiadać niektóre rzeczy. Ponieważ dom publiczny był poza terenem dostępnym więźniom, to jeden doszedł do tego, że był zazdrosny o własną sukę. Ale trudno w to uwierzyć, jeśli się tam nie było. Tak tam prowadzili „dzido zbawienia”.

Gdy wyszedłem, miałem dwadzieścia dwa lata. Obowiązkowej służby wojskowej nie odbywałem wskutek tego chronicznego zapalenia spojówek. Znowu jak najszybciej do Rzymu. Pracowałem tam jako fryzjer; miałem dom, przyjaciół, prowadziłem normalne życie. W tym okresie zrozumiałem, że muszę się oderwać od całego tego świata, w którym dotychczas żyłem. Odczuwałem potrzebę założenia rodziny, żeby móc kogoś darzyć uczuciem i być za kogoś odpowiedzialnym. Jeżeli człowiek nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności, to do niczego dobrego go to nie doprowadzi.

Więc przyjechałem do Palermo, jakby wiedziony tęsknotą do miejsca, gdzie żyłem od dziecka. Ponieważ odczuwałem potrzebę założenia rodziny, a pracując jako fryzjer nie byłem w stanie odłożyć ani grosza, poprosiłem jednego znajomego, żeby mi znalazł jakąś lepszą płatną pracę. Ten szepnął za mną słówko jednemu starymu, który zarządzał fabryką cementu, dysponując przyjęciami i zwolnieniami robotników według własnego widzimisie. Jako robotnik niewykwalifikowany pracowałem tam jak juczne zwierzę; to przy piecu, to przy transporcie wypalonego kamienia. Nie mogłem dać sobie rady. Żeby uniknąć pracy, chodziłem po trzy, cztery i pięć razy do latryny, a kiedy to doszło do starucha, wyrzucili mnie za wymigiwanie się od roboty.

Wciąż szukając możliwości zarobienia pieniędzy potrzebnych do żeniaczki, próbowałem handlować woskiem, sprzedawałem statuetki, tkaniny, „złote” zegarki itp. Byłem nawet pośrednikiem w urzędach i nauczyłem się dość kiepsko fryzjerstwa damskiego. Pomimo to nie udało mi się nigdy zgromadzić dość forsy do żeniaczki. Moja narzeczona, która w małżeństwie widziała rozwiązanie nie tylko dla spraw cielesnych, ale i finansowych, groziła, że mnie porzuci. Taka decyzja z jej strony to byłby dla mnie koniec wszystkich moich poświęceń, więc zaproponowałem jej wspólną ucieczkę. Uciekliśmy do Rzymu i zamieszkaliśmy w domu mojej przybranej matki; ta okazała się moją jedyną pociechą. Mimo że biedna, dawała nam jeść. Ślub był skromny, jak to u biedaków. Wkrótce potem moja żona

zachorowała, zawieźliśmy ją do szpitala. Ja w dalszym ciągu nie pracowałem, sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, często chodziłem spać bez jedzenia, bo nie miałem pieniędzy, odwiedzałem żonę w szpitalu z pustymi rękami. To było dla mnie bardzo upokarzające, nie czułem się mężczyzną i mężem; dzień, kiedy mogłem zanieść jej pomarańczę, wydał mi się świętem. Jedną pomarańczę! Cóż to jest jedna pomarańcza? A przecież dla mnie była wszystkim.

Czułem się obco wśród ludzi; chodziłem od jednego fryzjera do drugiego szukać pracy: nic z tego. Chciałem odwiedzić kogoś z moich dawnych znajomych, żeby powrócić do tamtej „pracy”, ale powstrzymywała mnie obawa, że stracę żonę. Matka, która rozumiała tę moją walkę wewnętrzną, pewnego wieczoru, kiedy jadłem zupę przy stole, powiedziała mi: „Słuchaj, Gi, uważaj, co robisz. Pamiętaj, że teraz masz żonę i nie wolno ci robić wszystkiego* na co masz ochotę, tym bardziej że to jeszcze młoda dziewczyna”. Ta rada podniosła mnie na duchu i, jak się zdaje, przyniosła mi szczęście. W parę dni później znalazłem pracę u jednego fryzjera, 25 lirów tygodniowo, nie licząc napiwków, które mój pracodawca wkalkulował w pensję, w przeciwnym razie musiałby mi płacić 35 lirów. Wreszcie poczułem się szczęśliwy.

Potem moja żona wyzdrowiała i przenieśliśmy się do Marineli. Zamieszkaliśmy u kuzynki. Co jakiś czas odwiedzałem moją przybraną matkę, a ponieważ teraz pracowałem i zarabiałem parę groszy, więc starałem się jej pomagać. Jej mąż był dawniej bagażowym na dworcu kolejowym, a teraz żył z tego, co mu odpalili starzy koledzy z pracy. Nie mógł pozwolić sobie nawet na papierosa czy na szklaneczkę wina. Strasznie go to męczyło, więc ja z wdzięczności za to, co zrobili dla mnie, starałem się te jego potrzeby zaspokajać, a kiedy czasami kłócili się między sobą o jakiś drobiazg, który on sobie schował, starałem się ich godzić: „Do czego to podobne, żeby w tym wieku bawić się z żoną w chowanego!”

Potem pokłóciliśmy się z kuzynką i wróciliśmy na stałe do Palermo.

Do Palermo przyjechałem z gołymi rękami, w jednej koszuli. Musiałem pójść porozmawiać z ojcem. Ponieważ stykaliśmy się rzadko, nie odczuwałem zbyt synowskiej miłości, ale konieczność zmusiła mnie, żebym się do niego zwrócił. Pozwolił, żebym razem z żoną zamieszkał w jego domu. Był żonaty, miał dzieci. Jego żona nie przyjęła nas entuzjastycznie, ale w domu rządził mąż, musiała więc chcąc nie chcąc pogodzić się z tym faktem.

Mój ojciec nie miał łatwego życia. Został wyrzucony z Zarządu Miejskiego, ponieważ należał do partii socjalistycznej. Przez pierwsze dni, mając trochę oszczędności przywiezionych z Rzymu, musiałem wszystkich utrzymywać. Ojciec, podobnie jak moja matka, zajmował się pośrednictwem w urzędach, ponieważ miał przyjaciół w Zarządzie Miejskim. Wydzierżawiłem salon fryzjerski. Czasami można było stracić klienta tylko dlatego, że nie pomogło mu się nałożyć płaszcza albo że marynarka zawinęła mu się z tyłu pod płaszczem. Kiedy przychodził stały klient, wpisywałem go do specjalnego rejestru. Mówi się do takiego: „Pańska godność?” albo „Jak nazwisko szanownego pana?” Klienta traci się przez drobiazgi, takie jak pozostawiony włoszek albo dlatego, że inny fryzjer kłania mu się niżej. (...)

Po zakończeniu wojny żyło się z czarnego rynku; sprzedawałem papierosy z przemytu, których dostarczał mi bezpośrednio pewien celnik. Robiłem to bez skrupułów, bo można powiedzieć, że robili to wszyscy fryzjerzy. W ten sposób miałem co jeść, podczas gdy wokół panował głód.

Pewnego dnia chciałem zorganizować demonstrację na rzecz głodujących. Schowałem się w pokoiku na zapleczu i napisałem manifest, który kończył się słowami: „Niech żyje Stalin, niech żyje Roosevelt, niech żyje komunizm sycylijski”. Zebrałem pieniądze, żeby go wydrukować, kupiłem klej i zorganizowaliśmy na własną rękę bojówkę antyfaszystowską; chcieliśmy tłuc faszystów. Ja i paru

znajomych poszliśmy rozklejać ten manifest na ulicach i rozdawać przechodniom w centrum miasta.

Pewnego dnia, kiedy zaczynałem się golić, zatrzymał się przed moim salonem luksusowy samochód amerykański. Sądziłem, że chodzi o jakiegoś lepszego klienta, i powiedziałem żonie, żeby wyciągnęła czysty ręcznik. A tymczasem byli to oficerowie amerykańscy, którzy przyjechali mnie aresztować. Postawili mnie przed sądem wojskowym i skazali na rok z zawieszeniem.

Po kilku dniach przyszedł do salonu pewien nauczyciel, który prosił mnie, bym odwiedził lokal, gdzie zbierają się socjaliści. Bo wtedy nie mieli oni jeszcze zezwolenia na jawną działalność organizacyjną. Byłem tam na kilku zebraniach. Później przyszło zezwolenie i lokal stał się legalną siedzibą. Zorganizowałem demonstrację fryzjerów i przy tej okazji poznałem pewnego komunistę, który powiedział, że moje miejsce jest w partii komunistycznej. Nie widziałem żadnych przeszkód i zapisałem się do partii, było to w 1943 roku. Wkrótce zacząłem być odpowiedzialny za komórkę partyjną, później za sekcję. Lubiałem czytać, gdyż poznawałem doktrynę partyjną, a ponadto zaspokajałem z dawną odczuwaną potrzebę kształcenia się. Organizowałem wspólne czytania. Zaczęliśmy od „Materializmu historycznego i dialektycznego” Marksa, potem była historia partii bolszewickiej i „Państwo socjalizmu” Gramsciego.

Zdobyłem wykształcenie marksistowskie i w dalszym ciągu pracowałem jako fryzjer. Ponieważ ten zawód, szczególnie w Palermo, nie jest zbyt dochodowy, a ja byłem już ojcem czworga dzieci, starałem się zająć czymś innym. Pewnego dnia rozmawiałem na ten temat z jednym wykształconym towarzyszem i on zaproponował mi, żebym został gońcem Związku Robotników Rolnych. Przyjąłem tę propozycję. W tym okresie kierownictwo partii zorganizowało korespondencyjny kurs polityczny, na który się zapisałem. Tylko ja jeden wiem, jakiego wysiłku wymagały studia i ile samozaparca w nie wkładałem. Robiłem to, gdyż -miałem świadomość, że im bardziej jestem wykształcony,

tym bardziej przydaje się partii. I przy tych studiach pamiętałem znów powiedzenie Gramsciego, który w swojej książce mówi: „Kształćcie się, bo rewolucja jest przemianą ludzi. Społeczeństwo potrzebuje ludzi nowych, świadomych”. Uczyłem się przy małej lampce, żeby oszczędzać światła. Czasem ogarniały mnie wątpliwości, czy nadaję się i czy moje studia do czegoś doprowadzą. Wreszcie doczekałem się od towarzyszy gratulacji: dobrze odpowiedziałem na pytania egzaminu końcowego — byłem szesnasty na cztery tysiące uczestników. Później delegowano mnie do pracy w Komitecie i w ten sposób stałem się odpowiedzialny za pracę wśród chłopów.

Kiedy pierwszy raz poszedłem odbyć zebranie w pewnej wiosce na prowincji, chłopcy spodziewali się, że przyjdzie sam pierwszy sekretarz. Zastałem salę świątecznie przyozdobioną. Kiedy zobaczyli, że to ja, powiedzieli: „Jak to, ciebie przysłali? Miał przyjść P...” Ale początkowa nieufność wkrótce zamieniła się w serdeczność i sympatię, bo chociaż nie umiałem się jeszcze wyrażać używając stosownej terminologii, znalazłem właściwy język, język człowieka, który walczy o prawo do żyda. A o to właśnie chodzi. ... —r

W roku 1944 wysłano mnie na ogólnokrajowy kongres Związku Robotników Rolnych w Mantui. Tam przekonałem się dobitnie, że chłopcy sycylijscy, którzy wtedy przystępowali do zajmowania ziemi baronów, nie są osamotnieni w swej walce, że jest z nimi cała włoska klasa robotnicza. Rozpłakałem się, kiedy jakaś chłopka z Lecce, przepraszając, że nie zna języka literackiego, powiedziała: „Dopóki nie dadzą nam ziemi, dopóki moje dzieci będą chodziły boso, dopóty nie przestanę walczyć razem z towarzyszem i nie powstrzymają mnie pałki policji”.

Potem wróciłem i natychmiast udałem się do Marineo, gdzie właśnie trwała walka o zajmowanie ziemi. Był tam towarzysz, który wywołał takie zamieszanie, że przestaliśmy cokolwiek rozumieć, więc nazajutrz sam wyruszyłem na czele chłopów na latyfundium, które zajmowaliśmy. Przy tej okazji otrzymałem twardą lekcję z praktycznego

wina.

Ale rano zobaczyliśmy, że z daleka zbliża się jakiś człowiek, ubrany jak mafioso, w butach z cholewami, w kurtce, aksamitnym berecie z daszkiem i spodniach do konnej jazdy, ze strzelbą na ramieniu. Mówi: „Co robicie? Kto was tu przyprowadził?” Wyszedłem mu naprzeciw i powie-

punktu widzenia: bo gdy ja, pod wpływem lektury o kolchozach w Rosji, zachęcałem chłopów do uprawy kolektywnej, oni, odwrotnie, zabierali się do dzielenia ziemi i uprawy indywidualnej. Troszczyli się głównie o wyznaczenie granicy swojego skrawka ziemi przy pomocy ogrodzenia, kamieni, lejc muła, zupełnie jak w pociągu, kiedy ludzie rzucają się zajmować miejsca, kładąc kapelusze, teczki, gazety.

Zwróciłem się więc do jednego chłopca, mówiąc mu, że to nie jest słuszne. Odpowiedział mi: „Wybacz, towarzyszu Gino, ale jeśli ja uprawiam ziemię przy pomocy muła, a tamten uprawia ją sam, to w czasie żniw ja mam dużo więcej do zebrania”.

Poprzedniego wieczora, kiedy zdecydowano się na zajmowanie ziemi, chłopci ustalili, że wszyscy mamy być o świcie w pewnym określonym miejscu. No więc znaleźliśmy się tam, my, przywódcy, wcześniej, a potem stopniowo przybywali inni chłopci, z mułami, motykami, dziećmi, młodzieżą. Kiedy przyszlismy, było jeszcze prawie ciemno, potem zaczęło świtać i chłopci powoli się schodzili. Idąc rozmawiali, myśleli już o przyszłych zbiorach, panowała wesołość, zadowolenie, jakby się już było na miejscu pracy. Niektórzy patrzyli, czy nie nadchodzi policja.

Wyruszyliśmy w kierunku latyfundium: rozległe jak morze, nie sposób się zorientować, ile tam mogło być hektarów — niebo i ziemia. Droga była długa, myśleliśmy, że nigdy się nie dojdziemy.

Na miejscu było to, o czym mówiłem przedtem: jeden stawiał ogrodzenie, inny kładł kamienie, trzeci kawałek drewna. Każdy brał na własny rachunek.

Cały dzień upłynął na pracy. W przerwie usiedliśmy grupami jeść chleb i ser, kilku chłopów przyniosło trochę

działem, że zgodnie z ustawą zajmujemy ziemie leżące odłogiem. Powiedziałem to w grzeczny sposób, bo jak ci taki potem zza kaktusa palnie kulkę, kto go będzie szukał? Odszedł.

Potem poszliśmy, ale dwóch chciało koniecznie na tej ziemi zostać; nie chcieli się stąd ruszyć. A kiedy zostali sami, przyszli policjanci i zaaresztowali ich.

Nie wiem dokładnie, jak się sprawy zakończyły, ponieważ tego samego wieczora poszedłem do Montelepre zajmować okoliczne posiadłości. W tym samym czasie również chłopci z Cinisi, Carini, Partinico, Terrasini i Monte-> lepre burzyli się, żeby uzyskać ziemię z Piano degli Ar and. Ustalono, że ja mam odwiedzić te gminy, aby zorientować się, co się tam dzieje. Dowiedziałem się, że chciano za wszelką cenę nie dopuścić do zajmowania latyfundiów. Wyruszyłem do Terrasini, odwiedziłem Partinico i stamtąd przybyłem do Montelepre. Gdziekolwiek się zjawiłem, wszędzie czytałem jasno w twarzach chłopów zadowolenie, że realizuje się ich odwieczne marzenie: kawałeczek ziemi. Trudno opisać stan ducha w tamtych chwilach. Montelepre znajdowało się wtedy w centrum zainteresowania opinii publicznej, a ja byłem właśnie w Montelepre, centrum bandytyzmu.

Podczas kolejnych doświadczeń zauważyłem, że większość chłopów nie potrafi zrozumieć, na czym polega prawdziwa rola związku zawodowego. W ich oczach była to jak gdyby instytucja tylko od przydzielania zapomóg. Niewielu rozumiało, że oprócz walki ekonomicznej konieczne jest równoległe prowadzenie walki politycznej, żeby dać Italii naprawdę nowy rząd.

Wróciłem do Carini, gdzie mieścił się ośrodek koordynacyjny. Ponieważ cała okolica była przeszukiwana przez policję, głowiliśmy się, jak wejść na teren latyfundium nie dając się zaaresztować. Było jasne, że nie możemy iść wszyscy gromadnie, bo zostalibyśmy odkryci i aresztowani. Przez dwie godziny dyskutowaliśmy w Izbie Pracy ze wszystkimi okolicznymi przywódcami, wybierając spośród wszystkich możliwych dróg, międz i ścieżek najwłaś-

ci wszą, żeby nie dać się nakryć. Ja tylko słuchałem, bo nie znałem okolicy. Wreszcie zdecydowano, że pójdziemy w grupach cztero- i pięcioosobowych, udając, że idziemy na wykopy.

Dotarliśmy na miejsce około siódmej. Czekaliśmy. Stopniowo nadchodzili inni. W sumie było nas około trzystu. Rozwinęliśmy sztandary i poszliśmy w kierunku Sagany. Kiedy dotarliśmy w pobliże domów, dostrzegliśmy g daleka inną grupę chłopów ze sztandarami — to przyszli z Partinico.

W tym czasie policja uformowała się na jednym z placów; oficer wystąpił i zapytał nas, po co przyszliśmy. Powiedzieliśmy prawdę, że przyszliśmy zająć latyfundium. Chciał nas odwieść od tego zamiaru, mówiąc, że w Monte, lepre jest prefekt, który prowadzi układy z chłopami, i że tereny latyfundium zostaną przekazane chłopom bez potrzeby zajmowania ich.

Oczekiwaliśmy przybycia chłopów z Montelepre. Czekaliśmy i czekaliśmy, a ci towarzysze nie nadchodzili. Znalazł się ktoś, kto powiedział, że powinniśmy zacząć zajmowanie ziemi. Posłaliśmy jednego naprzeciw, żeby zobaczył, co się dzieje w Montelepre. Czekając na jego powrót, zobaczyliśmy z daleka na drodze coś, co stawało się coraz bardziej wyraźne. Ktoś już mówił: „To towarzysze, towarzysze nadchodzą”. A tymczasem była to masa żandarmów, który z daleka błyszczeni bronią i wyłogami. To nie towarzysze; to uzbrojeni po zęby żandarmi. Dla nich wszyscy byliśmy bandytami. A możliwe, że bandyci tymczasem obserwowali nas przez lornetkę z jakiegoś wzgórzka, ciesząc się tym widokiem.

Przyjechali ciężarówkami. Potem wzięli nas wszystkich i wprowadzili na wielki dziedziniec, gdzie mieściło się stare więzienie, jeszcze z czasów burbońskich. Kazali nam ustawić się w rzędach, według gmin, i zaczęli spisywać imiona, nazwiska. „Jesteście od teraz notowani, na drugi raz miejcie się na baczności”.

Tymczasem chłopci nie chcieli odejść, bo widzieli, że nas, przywódców, nie puszczają, i zrozumieli, że zostaliśmy

aresztowani. Tymczasem policja wypędzała ich karabinami: „Jazda! Dalej! Wynoście się!” Wtedy, żeby nie dopuścić do prowokacji, sami powiedzieliśmy chłopom: „Wracajcie do domów”.

Tymczasem mnie i innych zaprowadzili do ciężarówek stojących na szosie. Nadjechał jakiś samochód, oficer pochylił się i bardzo gorliwie salutował; widocznie musiał to być prefekt. Kiedy samochód odjechał, zaraz kazali nam wsiąść do obydwu ciężarówek i zawieźli do koszar policji.

W areszcie było nam tak ciasno, po czterech w celi, że dwóch naraz nie mogło chodzić; między wiadrem, gdzie się załatwiała, a zupą, co za pomieszenie zapachów... Po sześciu miesiącach, zaraz po wyjściu z więzienia, wróciłem do Związku Robotników Rolnych, do mojej normalnej działalności.

Kiedy Eisenhower przyjechał do Włoch na inspekcję oddziałów, ludność zorganizowała demonstrację antywojenną. Znajdowałem się na Placu Teatralnym, bo i ja chciałem wziąć w niej udział. W pewnej chwili zrobiło się zamieszanie, nie wiem, co się stało; zobaczyłem, jak wpychają jakąś kobietę do furgonetki, a poseł Colaïanni, jako deputowany, stara się wyperswadować policji aresztowanie tej kobiety. Krzyczano: „Niech żyje Sycylia! Niech żyje Parlament Sycylijski!”, sądząc, że to Colaïanniego chcą aresztować. Powstało zbiegowisko. Poczulem, że jakiś policjant chwyta mnie za kołnierz. Zbili mnie, wrzucili na ciężarówkę i zawieźli do La Falletta. Tam spotkałem aresztowanych, mężczyzn i kobiety, pochodzących z Piana dei Greci, gdzie został zamordowany Damiano Lo Greco, chłop, który również demonstrował w obronie pokoju.

Siedziałem jedenaście dni w areszcie ścisłym, potem zostałem przeniesiony do zwykłego. W areszcie poznałem wartość, jaki ma „Unita”; dzięki niej, będąc nawet w więzieniu, utrzymywałem kontakt z partią. Co więcej, pewnego dnia otwierając gazetę zobaczyłem artykuł w formie listu otwartego, podpisany przez wszystkie organizacje masowe i kilku deputowanych, zatytułowany: „Kim jest Gino

O.?" A niżej mój życiorys i opis mojego długiego dojrzewania w walce o wolność i pokój. Gdyby towarzysze nie bronili mnie, z pewnością otrzymałbym pięć lat zesłania, a tak zostałem skazany na nadzór policyjny przez dwa lata. Nie mogłem jednak kontynuować działalności politycznej w tym czasie. Wciąż pod tym czy innym pretekstem wzywali mnie do komendy dzielnicowej.

Teraz znowu jestem fryzjerem, wędrownym, bo mam sześcioro dzieci, a nasza partia jest biedna i nie może płacić mi pensji. Mam już kilku stałych klientów, do których chodzę do domu w ustalone dni, ale tylko z nich nie moglibyśmy żyć. Ponieważ jestem znany, szczególnie w dzielnicy Capo, ludzie mnie wołają. Kiedy przechodzę z torbą, stawiają krzesło na ulicy i wodę w miednicy na chodniku; i tak jakoś dągnę.

Kłopot polega na tym, że rano, kiedy wychodzę z domu, obliczam sobie, że tego dnia powinienem zarobić tyle a tyle. Idę do kogoś, gołę go, myślę już o 50 lirach, które dostanę, a gdy kończę, klient mówi: „Jutro panu zapłacę”. Bywa tak często. Po szesnastu prawie latach małżeństwa nie dorobiłem się jeszcze niezbędnego umeblowania. Do niedawna mieszkaliśmy w izbie cztery metry na dwa i pół, w osiem osób. Potem dom się zarysował i przenieśli nas tu, do tej szkoły, razem z innymi osiemnastu rodzinami; inni przeszli do Feliduzza. Teraz za pięć dni zacznie się rok szkolny i nie wiemy, gdzie nas znowu przeniosą.

Co miesiąc chodzę odnowić legitymację bezrobotnego; przez dziewięć miesięcy ten urząd ani razu nie wezwał mnie do pracy choćby na jeden dzień. I pomyśleć, że podlegam urzędowi zatrudnienia inwalidów, co do których jest obowiązek przyjmowania ich do pracy. Wczoraj poszedłem przedłużyć legitymację — scena jak za każdym razem. Wręczyłem legitymację urzędnikowi zajmującemu się tymi sprawami; biedak, pracuje jak szalony: sam musi załatwić sprawy wymagające, zdaniem wszystkich, czterech czy sześciu urzędników. Przytłaczająca praca doprowadza go do rozpacz, zawsze jest zdenerwowany. Straszny bałagan, ludzie tak stłoczeni, że ma się wrażenie, jakby

jedni stali na drugich. Urzędnik woła: „Proszę o ciszę! Mazzola, Ganci, Di Maggiol”. „Obecny!” „Nie ma”. „Proszę, niech pan poda tam do tyłu”. „Przepraszam, czy to moja?” „Nie”. Tymczasem tłum się denerwuje: „Co to za porządki? Tylko bombę podłożyć”. Kobiety tłoczą się wśród mężczyzn. Jakiś młody człowiek korzystając z tłoku maca sąsiadkę. Pada deszcz, wszyscy chcieliby się schować do środka. Popychanie. Od środka odpiera strażnik, krzyżąc: „Cofnąć się!” Mimo to wszyscy prą do środka. Jakiś inwalida toruje sobie drogę łokciami. „Dokumenty? Pan dokąd?” Drzwi otwierają się i zamykają. Istna wieża Babel, a nie urząd zatrudnienia.

Czasami przychodzi refleksja, że minęły czterdzieści dwa lata, a człowiek do niczego nie doszedł. Ale myślę, że przynajmniej część swoich lat poświęcam teraz innym, żeby nie byli zmuszeni do przeżywania tego, co ja. Uważam życie za swój obowiązek wobec rodziny, wobec dzieci; wobec partii, bo wiem, że to właśnie walka i doświadczenia partyjne uczyniły mnie nowym człowiekiem. Często rano, kiedy wstaję, żeby pójść do pracy, podchodzę do łóż- zeczka, w którym śpi dwoje dzieci, i całując najmniejsze, myślę, że przynajmniej ono ma pieszczoty i całusy, których ja byłem pozbawiony. Myślę o sobie wtedy, że i ja jestem potrzebny.

W tym moim życiu (które w swoim czasie przyprawiało mnie o coś w rodzaju kompleksu niższości wobec innych) zdarzają się jednak co jakiś czas chwile pełnej satysfakcji.

Wierząc w prawdę i sprawiedliwość, kontynuuję wraz z innymi pracę dla dobra społeczeństwa. Kiedy zdarzy się okazja do walki o interesy określonego domu czy rodziny, jestem gotów brać w niej udział.

Oto co napisał do nas pewien towarzysz w tych dniach)

Chciałbym podziękować tobie i wszystkim pozostałym towarzyszom za to, co zrobiliście, żeby mi pomóc w okresie służby wojskowej, którą odbywałem w Palermo. Dziękuję wam za doświadczenie polityczne, które dzięki wam uzyskałem (i obiecuję, że zrobię z tego dobry użytek),

dziękuję wam za niezapomniane przyjęcie, jakie wydaliście przed moim odjazdem; dziękuję wam wreszcie za wszystkie grzeczności i uprzejmości, jakich nie szczędziliście mnie i moim towarzyszom w wojsku. Nie zapomnę was nigdy. A kiedy będę już stary i będę brał wnuki na kolana, to zamiast opowiadać im fantastyczne baśnie o wrózkach i czarownikach, opowiem im o dzielnych towarzyszach pa- lerskich, którzy walczyli o Sycylię piękniejszą, bardziej postępową i wolną od wyzyskiwaczy, którzy wysysają z niej krew. Opowiem im o braterskim przyjęciu, jakie zgotowaliście dla kilku towarzyszy z dalekiej Emilii..."

W DZIELNICY IL CAPO

I O 300 metrów na południowy wschód od Teatru Wielkiego przeprowadzaliśmy ankietę wśród 100 rodzin, wybranych przypadkowo: 31 rodzin w Cortile Scalilla, 19 w Vicolo] Cattro, 29 w Cortile degli Orfani, 13 w Cortile Capellaio i 8 w Cortile Maestro Carlo.

Ulice wąskie, niekiedy zaledwie 1,2 metra szerokości. Na środku jednej z nich, obok straganów z używaną odzieżą, gołe dziecko wydala z kałem robaka długiego na 25 centymetrów. Domy wysokie, dochodzące czasem do czterech pięter.

Wieczorem podłogi wielu mieszkań pokrywają się całkowicie materacami, szmatami, kocami. W nocy idąc do ubikacji, trzeba macać rękami i nogami, żeby nie nadepnąć innych. Niektórzy śpią na stole, inni pod stołem. U pewnej staruszki śpi w ten sposób w jednym pokoju dziesięć dziewcząt, siostrzenic, dla których nie ma miejsca we własnych domach. W innym pokoju mieszkają wspólnie trzy świeżo zaślubione pary małżeńskie.

— 100 rodzin (576 osób) mieszka w 80 mieszkaniach o łącznej ilości 91 izb. Średnia osób na izbę: 6,33. Książeczek ubóstwa — 13. Tylko jedna z tych rodzin ma prawdziwą ubikację; pozostałe usuwają nieczystości za pomocą splywu znajdującego się często pod kuchnią. Jedynie 14 rodzin ma

wodę w domu. 49 mieszkań — światło elektryczne. 2 izby mają podłogę z ubitej ziemi, w 76 jest posadzka z połamanymi płytkami, w 1 — z cementu, a tylko 9 ma normalną podłogę.

Wszystkie domy nadają się bądź do wyburzenia, bądź do generalnego remontu.

Łóżek jest łącznie 223; na każde przypada średnio 2,58 osoby.

Spośród dzieci od 3 do 6 lat 4 chodzi do przedszkola; 53 nie chodzi. 49 dzieci w wieku od 6 do 13 lat chodzi do szkoły; 58 nie.

Tylko 4 pary małżeńskie ukończyły piątą klasę szkoły podstawowej. Średnia nauki osób powyżej 6 roku życia wynosi 1,38 klasy.

Zawody mężczyzn: 28 domokrażców, 9 robotników fizycznych, 8 szewców, 4 kowali i cieśli, 3 cukierników, 2 śmieciarzy, 1 — ładowacz, krawiec, farbiarz, malarz pokojowy, lakiernik samochodowy, kierowca, woźny, snycerz, sprzedawca smażonych frytek, mechanik, pomocnik fryzjera, listonosz, pośrednik, chłopiec od rzeźnika, sprzedawca, handlarz trocinami; 4 niezdolnych do pracy, 10 bez żadnego zawodu.

Zawody kobiet: 10 sprzątaczek, 2 krawcowe, 1 pracznica; pozostałe to gospodynie domowe pomagające mężom w miarę możliwości; kilka dostarcza towar sklepikarzom z własnych upraw.

Dzieci przeważnie podejmują zawód rodziców. 20 osób chorowało na tyfus; kilka zmarło na tę chorobę. 41 dzieci miało ogniska zapalne w płucach; u dużej części stwierdzono gruźlicę. Śmiertelność niemowląt ma swoje źródło w najróżniejszych zatruciach pokarmowych.

Kiedy domokrażcom odbierają licencję sprzedaży lub inne zezwolenia, wtedy starają się „kombinować”. Nadzwyczaj trudno jest ustalić liczbę zapłaconych grzywien, bo są one wliczane do wydatków. Któż może je spamiętać? Co najwyżej można je obliczyć w oparciu o średnie miesięczne. Na 28 ankietowanych domokrażców w ostatnich dziesięciu latach przypada około 8 000 grzywien.

Opowieść naganiacza

Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje. Dawniej to z naszej pracy można było wyżyć. Otwierała się piekarnia, masarnia, sklep z makaronem, z winem, cokolwiek; wtedy posyłali po nas. Zależało od właściciela; jeden, na przykład, chciał nas czterech czy pięciu. Płacili nam dobrze, bo płacili według zasług. Teraz reklamę robi radio. Co jakiś czas ktoś nas jeszcze zamawia. Owszem, można zarobić w czasie świąt, wtedy jeszcze bęben się przydaje.

Kiedy zespół jest w komplecie, to mamy trąbkę, talerze, werbel, wielki bęben; nawet dwie trąbki. Ubieramy się we fraki, cylindry albo wysokie czapy kucharskie, wszystko dla śmiechu. Ubranie wypożyczamy z Teatru Wielkiego, trzeba do tego poręczycieli.

Idziemy pieszo albo jedziemy wozem. Co dwa, trzy kroki zatrzymujemy się i robimy reklamę, na przykład: „Wybierzcie się na ulicę taką a taką, numer ten a ten. Wino, za jakie inni biorą 200 lirów, nasz właściciel sprzedaje po 140”. Albo: „Nasz właściciel urodził się pośród winnic, jest bogaty, nie dba o pieniądze i obniża ceny. Gdyby, co nie daj Boże, nasz właściciel odetkał wszystkie beczki, nastąpiłby potop”. Mówimy tak po to, żeby wmówić ludziom, że jest on bogaty, choćby w rzeczywistości był biedny. (...) Weźmy na przykład chleb: „Jest najlepiej wypieczony, najbardziej chrupiący, najbielszy. Cały z mąki ekstra, pierwszego gatunku”. I tu cena. „Nasz właściciel wyrabia chleb wyłącznie z mąki pierwszego gatunku. Mąkę drugiego gatunku wrzuca do morza”. Potem każemy klaskać w ręce dzieciom: „Niech żyje właściciel! Niech żyje!... Kto nie klaszcze, jest gówniarz i szczawik. Kto nie klaszcze w ręce, umrze przed północą”. I wtedy klaszcze się bez końca, żeby zachęcić dzieci do klaskania. Co pewien czas zagra się jakiś akord, parę uderzeń w bęben.

Czasami właściciel daje nam cukierki, my je rozrzucamy, a wtedy dzieci się zbiegają, cisną, rzucają się na ziemię jedno na drugie i gromadzi się więcej ludzi. Niekiedy zagra się marsz bersalierów, wtedy dzieci czepiają się fraka i bie-

gną za nami w takt marsza. A wszyscy wyglądają z okien, z balkonów.

| Wszystko zależy od tego, ile płacą. Jeżeli mało, to nie wymyślamy nic specjalnego, jeżeli płacą dobrze, to robimy rzeczy bardziej skomplikowane.

Pewnego razu wybraliśmy się na wycieczkę, wszyscy we frakach i cylindrach. Dotarliśmy do Pioppo, schowaliśmy instrumenty, a trębacz zagrał sygnał „na bacność”. To było za czasów faszyzmu. I wszyscy salutowali po faszystowsku, bo myśleli, że jesteśmy z Zarządu Miejskiego Palermo. Potem usiedliśmy w jednej knajpie, w ogródku, żeby coś wypić, a wtedy oni: „Ach, to są ci z Capo, ...syny!” | Czasami reklamujemy makaron z jednego sklepu, a wybrzydząmy na inny, z drugiego sklepu. A nazajutrz zdarza się, że właściciel tego drugiego sklepu zwraca się do nas, i wtedy robimy jemu reklamę przeciw temu pierwszemu. I ludzie mówią: „Ale z was bezczelne typy, macie dwie twarze!” A my odpowiadamy na to: „Nasz zawód nas do tego zmusza”. I mówimy ludziom: „To prawda, że jesteśmy bezczelni, ale dzisiaj mówimy prawdę. Makaron naszego właściciela... itd”.

Kiedy są dwa zespoły przeciwne, wkładamy w robotę całą naszą zręczność. Ja mam taką specjalność; biorę prześcieradło, w rękach dwie zapalone świece, muzyka gra marsza żałobnego, dzieci biegną za nami z płaczem, tak jak umówiliśmy się, a ja idę pod sklep przeciwnika uklęknąć jak przy grobie, dając w ten sposób do zrozumienia, że już z nim koniec. Ludzie śmieją się do rozpuku i mówią: „A to heca! Ale on ma pomysły!”

Czasami, w obecności właściciela, mówimy: „Niech żyje Italia, niech żyje nasz właściciel, który nam płaci, niech żyje!” A jeden z nas dodaje: „A wino gdzie?” i wybucha śmiech. No i wtedy właściciel idzie po wino.

Aranżujemy wyśmiewanie naszych przeciwników przy pomocy dzieci, tak żeby przeszkodzić wrogiemu zespołowi. Nas sześciu to mistrzowie w swoim zawodzie, sam kwiat Palermo. Pozostali to zupełni nowicjusze, zera, nie liczą się. Żeby rozweselić właściciela, prosimy o szklanę wina, je-

żeli ma wino, albo o kawałek chleba. Wychodzę na dwór ze szklanką wina w rękę, a tam tłum dzieci: „Chłopcy, kto pierwszy siądzie tyłkiem na ziemi, pierwszy ze wszystkich, zarobi tę szklankę wina”. I Uczymy: „Raz, dwa, i...” — i widzi pan wszystkie dzieci siedzące na ziemi. Tak robimy parę razy. Kiedy wydaje nam się, że dzieci są już zbyt zmęczone od tego siadaj-powstań, bo za wielu wygrywa jednocześnie, rzucamy szklankę w tłum. Kiedy rzucamy chleb, to bywa, że pobijają się do krwi.

Kiedy wśród właścicieli znajdzie się taki, który nas nigdy nie wzywa, wychodzimy z siebie, żeby go wykpić; niech nie uraża naszego honoru!

Ta praca nie wystarcza, żeby wyżyć, więc piszę poezję, piosenki. Kiedy je tworzę, mózg mam ze złota, ale nie umiem kazać sobie płacić. Piosenki miłosne, szydercze, reklamowe. Jedni odwzajemniają się prezentami, inni nie. W sezonie letnim jest więcej okazji. Ale zimą, szczególnie w chłodne dni, „plecy odpoczywają, ale w brzuchu burczy”. Gorzej niż żebrakowi. Kto chce żyć uczciwie, musi z głodu gryźć palce. Lepiej jest takim, co umieją wyciągać portfele z cudzych kieszeni, ale do tego trzeba się urodzić; tacy mają co jeść. (...)

W Palermo jeśli się nie oszukuje, to się nie żyje. Opowieść stręczyciela

Mam siedemdziesiąt cztery lata i zawsze mieszkałem w Palermo.

To bieda prowadzi kobiety do prostytucji. Przedtem działa się to pod gołym niebem, w ogrodach na przedmieściu. Ogrodnicy dawali do dyspozycji łóżko, mieli altanę i „wynajmowali” ją. „Uan dolar for uan fos”: jednego dolara za jeden raz. Podczas wojny Amerykanów i Murzynów było dużo. Kobiety tylko kursowały — tam i z powrotem. Amerykanie byli zakwaterowani w ogrodach. Mężowie przyprowadzali tam żony i odfajkowywali sobie, ile razy... Ale ja nigdy nie przyprowadzałem mężatek.

Jedna kobieta mogła załatwić dziennie setki. Jeden wy-

chodził, drugi wchodził; stali w kolejce. „Ol rait. Gud fos. Uan dolar”. Ten, co przyprowadzał kobietę, brał dolara z góry i chował do woreczka. A potem się dzielili. Stróż brał siennik i kładł go w altanie, żeby Amerykaninowi było wygodnie, a pieniądze dzielili na trzy części: stróż, przyprowadzający i kobieta.

Przyprowadzających były setki, setki zajmowały się strę- czycielstwem. Starcy, młodzieńcy, przeważnie osiemnasto- -dziewiętnastoletni, którzy szybko uczyli się angielskiego i nie mieli pracy. Policja obyczajowa, kiedy zauważyła, łapała, zabierała na komisariat i dawała zbadać lekarzowi: jeśli były zdrowe, to je wypuszczali ze szpitala, jeżeli chore, to trzymali parę dni, a nawet miesiąc czy dwa miesiące. Praca? Nie dawali: niech sobie kurwa szuka okazji!

Jedne kobiety zwracały się do drugich, żeby je tam zaprowadziły. Ale zwykle przyprowadzali je mężczyźni. W tym czy tamtym zaułku stawał sobie taki na rogu i kiedy nadchodził stręczyciel prowadzący Amerykanów i Anglików, pytał go: „Dokąd idą?” „Do Marii, do .Giovanny” v.. Wtedy zaznaczał sobie, ile razy. Zaznaczał, żeby pobrać procent od tych wszystkich, które zajmują się prostytutką w danym zaułku zamkniętym w głębi. Obliczał każdej z kobiet, ile razy która.

Bywało, że kochanek ukrywał się pod łóżkiem i podczas gdy tamten leżał na wierzchu, ten ścigał mu zegarek czy portfel; kradli, co popadło. Niektóre kobiety bywały tłuste, śmierdzące, a Amerykanie jak gdyby nigdy nic. Dwadzieścia jeden lat, dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery, mężatki; dziewcząt mało; także staruszki — Amerykanie brali, kogo popadło. Biali zakwaterowani byli w oddzielnych obozach i żaden z nich nie chciał, żeby czarny szedł pierwszy do kobiety.

A potem na ulicach widać było takie mieszane dzieci. Ten stan trwa do dzisiaj. Wszystko się powtarza, kiedy do portu przyplływają statki. Dorożkarze, taksówkarze dobrze się na tym znają. Amerykanie pytają taksówkarza: „Signo- rina?” Tamten ich zawozi i tym sposobem wykonuje dwa zawody, taksówkarza i stręczyciela; płacą mu dwukrotnie.

A niektórzy taksówkarze są wręcz sutenerami.

Kiedy marynarze mają za sobą dłuższą podróż, wtedy szczególnie szukają: „Signorina, signorina!” Tak samo oficerowie; takie jest życie... Prawie wszyscy. A jeszcze więcej jest takich, co chodzą do burdeli, do domów publicznych. Prywatnych są setki. Na niektórych ulicach roi się od sutenerów i prostytutek. Kobiety spacerują też po ulicach. Biorą 500 lirów i 1000 lirów za pokój. Taka jest taryfa. Mniej niż 1000 lirów w tych prywatnych domach nie biorą. Ale w domach publicznych płaci się mniej.

Cena jest okrągła: 300 albo 200 lirów. 10 lirów zostawia się dla służby. Czasami z uczucia czy z sympatii kobiety oddają się i za 100 lirów albo nawet za darmo, jeśli która ma na to ochotę. Taksówkarze chcą zapłaty za przejazd, a potem biorą pieniądze także od kobiety. Suma zależy od tego, kogo się przywiezie. Jeśli przywiezie takiego za tysiąc lirów, sam dostaje 300. Jeżeli za 2 tysiące, dostaje 600. Za spędzenie całej nocy czasami kobiety biorą nawet 10 tysięcy lirów, a jemu dostaje się 3 tysiące.

Dziewczyny są różne. Ładniejsze i brzydsze... Dzielą się na kategorie. Kategoria najniższa to za 500 i tysiąc lirów; ubrane tak sobie, po domowemu. Wyższa kategoria, za 2 tysiące lirów, to subtelniejsze, lepiej ubrane; spotyka się w tej grupie i panie z dobrego domu, oddające się w tajemnicy przed mężem, a czasami mąż tylko udaje, że o niczym nie wie. Często żona utrzymuje z tego i męża, i dzieci. Zabiera się klienta do własnego mieszkania albo do hotelu. W autobusach ocierają się, przyciskają do upatrzonogo faceta, dotykają go... „Przepraszam, która godzina? Ma pan ogień?” Potem wysiadają razem i prowadzą albo do domu schadzek, albo do siebie.

Sutenerzy to ci, którzy opiekują się takimi kobietami. Każdy opiekuje się swoją kobietą. „Ona należy do mnie, to moja kobieta” — mówi. Często domaga się, żeby zaznaczyć ilość razy, pilnuje, żeby jej zapłacono, co się należy, bo istnieją tacy, co nie płacą. Niektórzy sutenerzy są konfidentami policji; widzą w nocy, co się dzieje, i donoszą. Kobiety są zazdrosne o swoich sutenerów. Taka za całe złoto

świata nie odda się sutenerowi drugiej: to byłaby obraza _| dla tamtej i, jeśli się coś takiego zdarzy, to zaraz w robocie jest nóż, kwas solny. W tych sprawach tu, na Sycylii, nie ma żartów. Ale zazdrośni bywają tylko sutenerzy o sutene- rów, o innych nie są zazdrośni.

Sutener musi mieć dobry łeb i dobre oko. Przeważnie umie trochę czytać i pisać. Sutener nie bierze procentu, żyje z kobiety. Chodzi ubrany elegancko: pierścienie na palcach, brylanty, łańcuszek na szyi. Rano rzadko ich się spotyka, bo śpią. W nocy krążą w poszukiwaniu klientów i pilnują, żeby dziewczyna ich nie oszukiwała, nie oddała mniej, niż powinna. W Palermo są ich setki. Grają w karty na pieniądze, w bilard, w gry hazardowe, jak poker itp. Ładna prostytutka może zarobić średnio 4 tysiące lirów dziennie. Kiedy przypływają statki amerykańskie, nie ma ceny; Amerykanie są rozrzutni.

Te kobiety są wierzące. Żeby im się wiodło, to na szyi noszą łańcuszek ze świętym medalikiem (który ciągle zastawiają i znów wykupują); modlą się do Matki Boskiej, żeby się nie zarazić...

Z niejednej rodziny przychodzą do mnie, kiedy bieda przyciśnie: „Wujaszku... niech mi pan znajdzie jakiegoś obcego... przejazdem... jakiegoś chłopca...” (Amerykanów w tych przypadkach nie chcą, bo wtedy od razu sąsiedzi by zauważyli i domyślili się). Przychodzi brat, matka, ojciec. Nawet mąż. Potem mąż kołysze dziecko, a żona... Przychodzą więc do mnie z biednych rodzin, co chcą zarobić. A także przychodzą ludzie ze wsi, którzy jakoś znajdują drogę do mnie; starsi panowie, którzy nie chcą się pokazywać w domach publicznych, albo młodzi ludzie z dobrych domów, studenci, maminsynkowie. Przychodzą i mówią mi: „Wujaszku, masz jakąś ładną dziewczynkę? He bierze?” „Mam wszystko, czego pan sobie życzy”. „Ale coś domowego, z gwarantowanym zdrowiem, żebym sobie nie zrobił krzywdy”. „Jasne, niech pan będzie spokojny. Tam, gdzie ja prowadzę, może pan śmiało wchodzić”. I idę naprzód, a on za mną. A jeśli ludzie pytają, mówi się: „To kuzyn ze wsi, wujek”.

W ZAULKU CASCINO

Tą nazwą (Cortile Cascino) określa się rejon — o 200 metrów od katedry — od ulicy D'Ossuna do Cortile Grotta. W 1945 roku władze higieniczno-sanitarne stwierdziły tutaj 40 przypadków tyfusu plamistego.

Co najbardziej rzuca się w oczy, to gołe, brudne dzieci, bawiące się na torach kolejowych i w błocie. Pięć odrapanych budynków dwu- i trzypiętrowych oraz baraki po stronie południowej; trzy budynki dwu- i trzypiętrowe od strony północnej — wszystkie z zaciekami na ścianach, rojące się od pluskiew, skorpionów i karaluchów.

W 100 mieszkaniach — łącznie 118 izb i 5 komórek — mieści się 498 osób. Stanowi to około 130 rodzin: 14 z nich ma książeczkę ubóstwa. Ponieważ ubikację ma tylko jedna rodzina (mężczyźni „przestrzegający higieny” chodzą na tory), w każdej z izb je i „załatwia wszystkie potrzeby cielesne” średnio 4,23 osoby.

W żadnym domu nie ma bieżącej wody. Podłogi: 4 klepiska, 7 z ziemi i połamanych płytek, 37 z tłuczonego cementu i połamanych płytek, 51 z połamanych płytek, 4 z cementu, 15 z płytek.

Około 15 rodzin nie ma światła. Z pozostałych ponad połowa ma je od sąsiadów.

Jedna izba, 15 metrów kwadratowych, mieści 11 osób, inna izba, 17 metrów kwadratowych, mieści 10 osób.

Chorych na tyfus było 19, dwóch zmarło.

Praca mężczyzn: 39 handlarzy-domokrądców, 18 łachmaniarzy, 4 robotników, 2 tragarzy, 2 śmieciarzy, 2 łataczy starego obuwia, 1 wojskowy z poboru, ogrodnik, pomocnik kowala, woźny, galwanizator, kamieniarz, pomocnik zduna, hydraulik, cieśla, handlarz pietruszką.

Praca kobiet: 11 praczek, 11 sprzątaczek, 2 perukarki (skupują włosy po 40 lirów za 200 gramów), któraś „myje schody”, pozostałe pracują w domu.

Dzieci do lat 3 jest 74. Często niedożywione, chore na infekcje, zatrucia, zapalenie płuc; na te niedomagania i 1 braku pokarmu zmarło w ciągu ostatnich dziesięciu lat około 80 dzieci.

Spośród dzieci od 3 do 6 lat tylko dwoje chodzi do przedszkola; pozostałych 43 nie.

33 dzieci od 6 do 13 lat chodzi do szkoły (często w wieku 12 czy 13 lat uczęszczają do drugiej lub trzeciej klasy), ale 45 dzieci w wieku szkolnym nie chodzi i nigdy nie chodziło do szkoły.

Dzieci, wzrastając i nie znajdując pracy, podejmują najczęściej zajęcia ojców, zarabiają jako handlarze czy łachmaniarze, 31 ojców było w więzieniu niekiedy po parę razy, ale przeważnie „przez sprawy o małym znaczeniu”.

Tylko w trzech rodzinach i ojciec, i matka umieją czytać i pisać.

Opowieść handlarza starzyzną

Tu, w zaułku Cascino, nikt z nas nigdy nie pracował w żadnym warsztacie, ponieważ nigdy nie mieliśmy pracy. Na ogół wszyscy mężczyźni są szmacciarzami, a kobiety — praczkami. Ktoś z młodych czasem znajduje pracę w jakimś warsztacie na pewien czas, ale niedługo potem, kiedy go wyrzuca, wraca do szmacciarstwa, bo to przynajmniej jest stałe zajęcie.

Jakieś siedem lat temu około dziesięć osób zmarło na tyfus, zostaliśmy więc odizolowani w zaułku przez policję; nikomu nie wolno było wyjść. Brud, błoto, nieczystości; nie

które kobiety wychodzą za potrzebą na tory kolejowe, ale są takie, co wyrzucają nieczystości wprost na pusty plac, gdzie gromadzi się woda. Taki tyfus plamisty zdarzył się niejedną raz: kiedyś zmarły dwie osoby, a zachorowały dziesiątki dzieci. Na tyfus umierały przede wszystkim dzieci.

Kiedy policjanci nas odizolowali i nikt nie mógł wyjść, przynosili nam jedzenie w kotłach. Aby uprzedzić, że przynoszą jedzenie, dawali sygnały trąbką. Wtedy setki osób podchodziły z blaszankami, puszkami od konserw, garnkami itp. i ustawialiśmy się w kolejce, w kolumnie jak żołnierze. Dawali nam jeść, bo nie mogliśmy wychodzić, żeby iść do pracy. Potrzeby naturalne załatwialiśmy z konieczności na miejscu, chyba że trafił się życzliwy policjant i puścił na tory kolejowe. W tym jedzeniu było jakieś lekarstwo na odkażenie ciała; widocznie musiało być przeczyszczające, bo wszyscy, jak nas było tysięcy pięćset, mężczyźni i kobiety, mieliśmy biegunkę.

Jasne, że tyfus musiał przyjść — za dużo brudu, domy za ciasne, bez wody, gnieździ się po osiem, dziesięć, dwanaście osób w jednym, małym jak cela więzienna, pokoju. Wszędzie klepiska zamiast podłogi, a niektóre „mieszkania” to wręcz pieczary. W wielu domach do siedzenia używa się kamieni albo puszek po konserwach. Wszy na kilogramy. Kiedy tamci zmarli, było na nich tyle wszy, że aż strach. Więc przyszli i przynieśli proszki dezynfekcyjne; sypali wszędzie w mieszkaniach, a nawet rozpinali ludziom odzież i wsypywali proszek do środka, za koszulę.

Tego lata również deszcze były ulewne, zalało wiele domów. Przybyły władze, obejrzały i odjechały. Ludzie kładli na wózki materace, poduszki, tych kilka szmat, jakie posiadali, i krążyli, szukając jakiegoś mieszkania, zgłaszając się do władz. Podobnie robili ludzie z innych dzielnic. Wszystkich tych bezdomnych zebrali do kupy i zaprowadzili do pustych hal targowych. Setki osób stłoczono razem, jak konie w stajni. Mężczyźni z jednej strony, kobiety z drugiej. Spało się na ziemi, na kocach. Tak było przez cztery czy pięć dni. Ludzie domagali się mieszkań. No więc dawali im

zapomogę po 1500, 2000 lirów na rodzinę i odsyłali z powrotem. Bo, mówili, mieszkań nie ma.

My, mężczyźni, każdego ranka, Bóg wie od jak dawna (pamiętam, że tak samo robił mój ojciec), chodzimy za potrzebą na tory kolejowe. Kobiety robią to w domu. Dzieci albo na ulicy, albo na torach. Sześć miesięcy temu wpadł pod pociąg pięcioletni chłopak z domów tu niżej. Również jeden, co spał w tunelu, wpadł pod pociąg.

Tak jest dwieście metrów od katedry, od centrum Palermo.

Poza szmacciarzami i praczkami niektórzy nie robią nic; jedne kobiety produkują chorągiewki z podobizną świętej Rozalii, inne znowu zajmują się prostytutką, ale w dalszych dzielnicach Palermo. Tu żyjemy zbyt blisko siebie, sąsiedzi widzieliby.

Większość dzieci nie chodzi do szkoły. Bawią się na ulicy, w smrodzie. Dziewczynki, kiedy mają dwanaście, trzynaście lat, starają się zaraz wyjść za mąż. Żenią się tu[^] wśród swoich z zaułka, szmacciarze ze szmacciarzami, mali szmacciarze z małymi praczkami.

Wróciłem z niewoli 8 października 1944 roku. Prawie miesiąc podróży. W domu znalazłem rodzinę półmartwą z głodu. Wtedy nie byłem żonaty. Kiedy przybyłem do Palermo, spotkałem dwóch znajomych, którzy zapytali mnie, czy mam pracę, a ja odpowiedziałem, że nie. Wzięli więc mnie ze sobą, żebym pomógł im nosić drewno porzucone wśród gruzów. Wtedy pojawiła się jakaś pani i zapytała, co ja tu robię, przecież tu było bombardowanie. Potem przyszedli policjanci i zabrali mnie na komisariat. Ta pani mówiła na policji, że ukradziono jej meble z domu. Ale u mnie nic nie znaleźli. Sierżant przesłuchał mnie i zapytał, czy mam dokumenty. Właśnie poprzedniego dnia wróciłem z wojska; nie miałem dokumentów i sierżant posłał mnie do aresztu. Do tego czasu nigdy w życiu nie byłem aresztowany. Po jakichś pięciu miesiącach mojego pobytu w areszcie odbył się proces. Oskarżyli mnie o usiłowanie kradzieży i skazali na dwanaście miesięcy; nie miałem adwokata, nie miałem co jeść, ani ja sam, ani rodzina. Potem odwoływałem się, więc

ujęli mi sześć miesięcy. I w ten sposób wobec prawa stałem się przestępcą.

Wyszedłem z więzienia i na szczęście nie trafiłem tam już nigdy więcej. Dużo przeżyłem, bo w swoim zawodzie nie zarabiam tyle, żeby utrzymać rodzinę. Moja żona musi chodzić do pracy jako służąca.

Jestem analfabetą, jak my prawie wszyscy. Rano wstaję o siódmej, tak zimą, jak i w sezonie. Biorę swój wózek i chodzę po ulicach, wołając: „Skupuję złom żelazny, używane przedmioty i stare szmaty”. Żelazo jest tanie: 13 lirów za kilo, więc nikt go nie sprzedaje za taką cenę. Pieniądze na zakup daje mi szef, również wózek należy do niego; płacę mu za to 50 lirów dziennie. Są dni, kiedy zarobi się 300 lirów, są całe tygodnie, kiedy nie zarabia się nic. Czasami może się zdarzyć, że zarobi się i tysiąc lirów, albo jakaś wyjątkowa okazja, że nawet więcej. W tym zawodzie, kiedy dochodzi południe, nie da się już nic kupić. Sprawa beznadziejna. Wszyscy z zaułka zajmujemy się tym samym; w sumie będzie nas ze dwustu. Największe skupisko szmat, żelaza i miedzi w całym Palermo jest właśnie tu.

Skupuje się też skórki pomarańczowe, mandarynkowe, cytrynowe, po 10 lirów za kilo, i odprzedaje się w magazynie. Magazyn sprzedaje je dalej fabryce olejków za 16 albo 18 lirów. Wiele dzieci chodzi po ulicach i zbiera niedopałki; wybierają z nich tytoń i sprzedają. Ale pieniędzy same nie wydają, pomagają rodzinie. Są ludzie tak biedni, że nie stać ich na kupienie sobie prawdziwych papierosów, więc z oszczędności kupują za 10, 20 lirów tego tytoniu. Te dzieciaki idą do centrum miasta, na Via Liberta, pod Teatr Wielki, gdzie przechodzi dużo ludzi. Jeśli strażnicy złapią, wsadzają je do Malaspina, domu poprawczego. Bo to jest zakazane, to jest wstydlive. Władze rozumieją, że to hańba dla nich samych.

Kiedy pada, to się nie pracuje; prawie całą zimę pracuje się tylko przez parę dni. Zimą idzie się do sklepu spożywczego czy do piekarni wziąć coś na kredyt. A potem chodzi się od sklepu do sklepu, bo w jednym można dostać na kredyt za 1000—1500 lirów, ale tylko jeden raz.

Ludzie z naszego zaułka sterczą po południu na ulicy koło przejazdu kolejowego w nadziei zarobienia paru lirów.

Kiedy wracamy do domu z pustymi rękami, w większości domów wybuchają awantury. „Więc co ty robisz na ulicy? — mówi żona. — Nikt na ciebie nie zawołał?” Mąż odpowiada: „Jeżeli mam pecha i nikt na mnie nie zawołał, to co ja . poradzę...” I cała nadzieja w tym, że nazajutrz uda się coś zarobić. Jeżeli kolejny dzień upływa tak samo, dochodzi do bójek między mężami a żonami.

To ślepy zaułek; znamy się tylko na swoim zawodzie. Nikt się nie interesuje tym, co się dzieje poza naszym zaułkiem, chyba że kogoś w mieście zamordują.

Tutaj religia się nie liczy (ja będę musiał zapisać się do chrześcijańskiej demokracji nie po to, żeby na nich głosować, ale żeby móc spokojnie zajmować się swoimi sprawami), ale w okresie wyborów przychodzi ksiądz i kilku burżujów i ofiarowują parę talerzy makaronu w nadziei na zdobycie głosów. Większość nie chodzi do kościoła ani w niedzielę, ani w dni świąteczne. Niedziela to tylko zmartwie-, nie, co zrobić, żeby było co postawić na stole. Jedni mają ośmioro dzieci, inni sześcioro albo dziesięcioro — mieć dzieci to jedyna radość. Jedyna przyjemność biedaków.

Dwa czy trzy razy przyszedli do tej dzielnicy księża, żeby uczyć dzieci katechizmu; brakowało wówczas dwóch miesięcy do wyborów. My wyczyściliśmy teren, jak umieliśmy najlepiej, wysypaliśmy piaskiem i wyrównaliśmy. Po dwóch czy trzech dniach przyszedli wyświetlać film o Matce Boskiej i świętych. Ale zauważyli, że zaułek jest za brudny, a dzieci rozwydrzone i nieuważne, więc wynieśli się. Dzieci obrzucały ich nieprzyzwoitymi wyrazami: „Skurwysyny! Tru- | jecie nam dupę, pokazujecie się tylko w porze wyborów!” Zniknęło więc kino i zniknęło wszystko.

W ZAULKU LO CICERO

Również tutejsi mieszkańcy mówią, że „gorzej niż jest, być nie może”. A przecież Cortile Lo Cicero, przy którym znajduje się około trzydziestu mieszkań, nie różni się zbytnio od innych.

Schody prowadzą w dół od Via Colonna Rotta, przy numerze 19, przez około 3 metry ku placykowi, gdzie jeśli tylko silniej popada, domy zalewa woda. Ciemne korytarze bez powietrza prowadzą do izb, w których dopiero po zapaleniu światła — elektrycznego lub naftowego — cokolwiek widać.

W 28 mieszkaniach ankietowanych (30 izb oraz jedna komórka) rodzin, w tym 5 z książeczkami ubóstwa, 144 osoby: średnio 4,8 osób na izbę.

Wśród mężczyzn (z których 5 bywało w więzieniu) jest 6 domokrażców, 3 handlarzy, 3 robotników fizycznych, 2 sprzedawców siemienia, 2 inwalidów, 1 — szewc, wędrowny fotograf, pasterz krów, sprzedawca biletów na loterię, cieśla, kupiec, śmieciarz, blacharz, czyścibut. Spośród kobiet 13 chodzi sprzątać.

Żadnej prawdziwej wydzielonej ubikacji. Kloaka znajduje się tuż pod ściekiem, już w izbach czuje się to po zapachu. Żadnego lokalu z wodą bieżącą; 11 ma światło elektryczne, a do paru doprowadzone jest ono bez licznika. 61 łózek: 0,42 łóżka (jednoosobowego) wypada średnio na osobę. Cztery pomieszczenia bez żadnego okna czy innego otworu prócz

Opowieść pośrednika

Pracę pośrednika w urzędach w Palermo trzeba wykonywać tak, żeby ustrzec się przed złymi językami ludzkimi i ignorancją ze strony władz, które myślą pojęcia „pośrednika” i „naganiacza”, bo zajmowanie się „naganiem” jest zabronione przez prawo.

Dawniej dobry pośrednik mógł uważać się za prawdziwego fachowca; obecnie zawód ten stał się powszedni i powszechny na skutek bezrobocia. Niektórzy utrzymują, że jest nas tysiąc; ja sądzę, że będzie nas w Palermo około pięciuset. Ludzie bez pracy wystają pod drzwiami urzędów publicznych, aby uzyskać zlecenie od kogoś, kto musi załatwić sobie jakieś dokumenty. Za skromniutkie wynagrodzenie tracą całe dni w urzędach stanu cywilnego, biurach ewidencyjnych, w prokuraturze, w sądzie, starając się, zależnie od rodzaju urzędu, o dokumenty ślubu, urodzenia, śmierci, stanu cywilnego, o akty notarialne, zaświadczenia o niekaralności itp.

Pośrednik służy petentowi, a przecież jest źle przez niego widziany. Jego mozolna, nerwowa i męcząca praca przynosi mały zarobek, za który może sobie kupić zaledwie twardą kromkę chleba. Dlaczego? Jeżeli za załatwienie, powiedzmy, drzwi wychodzących na zamknięty korytarz wewnętrzny; 8 pomieszczeń z jednym tylko okienkiem wychodzącym na stos nieczystości; 18 pomieszczeń z małutkimi okienkami. Wszystkie podłogi, z wyjątkiem dwóch, zrobione są z połamanych płytek i cementu.

Stwierdzono 18 chorych na różne rodzaje gruźlicy, 14 chorych w przeszłości lub aktualnie na tyfus, 7 przypadków zapalenia opon mózgowych — 6 zmarłych i 1 chory.

Tylko trzy pary małżeńskie umieją czytać i pisać. Z dzieci w wieku 6—13 lat tylko 7 chodzi do szkoły; 10 nie widziało nigdy szkoły.

W tym zaduchu pełnym zarazy przebywa przez cały dzień 37 dzieci poniżej 6 lat; tylko dwoje chodzi do przedszkola.

odpisu aktu urodzenia na papierze stemplowym, który kosztuje 55 lirów, on żąda 100, to ile wynosi zarobek? Za ledwie 45 lirów, a za to trzeba napisać podanie, odebrać nazajutrz zaświadczenie i doręczyć je petentowi. Takich przykładów można dać mnóstwo. Prawo tępi „naganiactwo”, ale nie zabrania pośrednictwa. Jednak w myśl tej ustawy dyrektorzy urzędów dają stanowcze dyspozycje, żeby pośrednicy nie pokazywali się nawet przy okienku, no i zaczyna się „droga krzyżowa” walki o egzystencję. W tym stanie rzeczy osobnik zajmujący się pośrednictwem musi znaleźć sobie w tymże urzędzie zaufanego urzędnika, który w zamian za pewną (niemałą) wynagrodzenie zdobędzie potrzebne dokumenty. Pertraktacje pośredników o załatwienie samych formalności odbywają się poza kompetentnymi urzędami, prowadzi się je w kawiarni albo w domu samego pośrednika.

Mówiłem, że pośrednik jest źle widziany, a jego zawód ludzie uważają za bardzo popłatny. Zleceniodawcy sądzą bowiem, że pośrednik jest zbyt zachłanny i chciwy. Jest to logiczne i naturalne, a właściwie, jest to ludzkie. Ten, który z konieczności, z braku innego zarobku (jedynie dla zapewnienia kawałka chleba kobiecie, która jest jego towarzyszką życia, i stworzeniem, które spłodził) musi poświęcić się zawodowi pośrednika, nie mogąc stanąć przy okienku jak każdy inny obywatel, musi szukać dojścia do urzędnika z tego urzędu i wynagradzać go lepiej, niż sam na tym zarabia. Powróćmy do przytoczonego przykładu. Jeżeli odpis aktu urodzenia, na papierze stemplowym, kosztuje 55 lirów, a urzędnikowi trzeba jeszcze dać 50 lirów, nie można żądać od zleceniodawcy 100 lirów. Siłą rzeczy trzeba żądać 200 lirów, aby coś na tym zarobić.

Życie pośrednika jest wyczerpujące, nerwowe, ponieważ musi szukać zleceniodawców, musi skontaktować się z danym urzędnikiem, musi powracać wiele razy do urzędu, oczekiwać zamknięcia okienka i wyjścia tego urzędnika, żeby otrzymać potrzebne dokumenty i potem zanieść je do domu zleceniodawcy. A że często pośrednik mieszka daleko od centrum, więc musi ze swoich nędznych zarobków wydawać na tramwaj. Tak wygląda życie pośrednika.

Ludzie, przyszedłszy do urzędu, zwracają się do nas ze względu na długie kolejki, biurokratyczne traktowanie ze strony urzędnika bądź krótki czas urzędowania. 20 procent ludności Palermo korzysta z naszych usług z powodu analfabetyzmu, a jeśli nie stać ich na pośrednika, płacą od 10 do 20 lirów za samo tylko napisanie podania. Wiele osób decyduje się na użycie specjalisty do załatwiania formalności, żeby nie stracić dnia czy więcej dni pracy.

My, pośrednicy, jesteśmy prawie wszyscy analfabetami, ale jesteśmy bardziej inteligentni, mamy więcej zdrowego rozsądku i bezpośredni kontakt z urzędnikami, więc jeśli pośrednikowi zabraknie inteligencji, poprawi go urzędnik w biurze.

Ja żyję z pracy. I jeżeli ty jesteś monarchistą, ja też jestem monarchistą; jeżeli ty jesteś komunistą, to i ja jestem, komunistą; jeżeli jesteś faszystą, to ja także jestem faszystą; jeżeli jesteś chadkiem, to i ja jestem chadkiem, bo jeżeli nie spodoba mi się komuś, jeżeli nie spodoba mi się klientowi[^] stracę te swoje 500 lirów. Mam tutaj wszystkie legitymacje wszystkich partii...

W DZIELNICY LA KALSA

La Kalsa, dzielnica, która graniczy z morzem, rozciąga się od ulicy Lincolnna do ulicy Alloro; w szerszym sensie dzielnica Kalsa obejmuje także Scoparię z około 350 mieszkańcami. W sumie, poza kilkoma zaledwie budynkami znajdującymi się w lepszym stanie, około 1750 mieszkań w zasadzie podobnych do siebie.

115 mieszkających tu rodzin Uczy 814 osób (tak jak i gdzie indziej na terenie miasta, rodziny zamieszkujące wspólnie są to na ogół bliscy krewni).

W 100 mieszkaniach ankietowanych jest 100 izb i 35 komórek. Średnio na 1 izbę przypada 7 osób. Siedemnaście książeczek ubóstwa. Jeden z ankietowanych powiedział: „Nie mamy książeczek ubóstwa, ponieważ trzeba mieć pieniądze, żeby ją otrzymać”.

Podłóg z połamanych płytek: 73, pozostałe 27 — dobre. Woda tylko w 18 mieszkaniach. Ubikacji z prawdziwego zdarzenia (oddzielonych należycie od pokoju) nie ma nigdzie.

Miejsc na łózkach 255. Średnio jedna trzecia łóżka na osobę. Pozostałe legowiska improwizuje się wieczorem, często aż do zajęcia całej podłogi.

Wśród ojców rodzin jest 38 rybaków, 7 ładowaczy węgla w porcie, 6 robotników fizycznych, 5 roznosicieli ryb. Tylko czterech ma zajęcie stałe: listonosz, śmieciarz, szofer, woźny.

Opowieść gracza i chiromanty

Przez dwa miesiące w roku wołano mnie do kart, do gry w zicchinette, sycylijskimi kartami. W ten sposób zdobywałem pieniądze i dzieliłem się nimi z tymi, co mnie tani przyprawdzali. A swoją część zanosilem matce, bo zacząłem grać, kiedy miałem dwanaście lat. Chodziłem po miastach i wioskach, w najgorsze towarzystwo, do najpodlejszych dzielnic. Wszyscy wściekali się, jak ja to robię, że wygrywam, bo nie widzieli moich manipulacji. Miałem w rękach taką zręczność, że zawsze byłem górą, bez znaczonej karty. Przy przekładaniu, kiedy oni podnosili wierzchnią część talii, ja wkładałem ją z powrotem na poprzednie miejsce z taką szybkością, że wcale tego nie zauważali. W trakcie tasowania kart przygotowałem je, kładąc na przykład parę kart na wierzchu w ten sposób, iż jedną zsuwałem sobie spod spodu, a była to właśnie ta potrzebna. Karty nie były znaczone, zaznaczałem je, dotykając tylko palcami, wyginając je lekko, i podczas tasowania wyciągałem je na wierzch.

Grywaliśmy w piętnaście, osiemnaście osób, które obstawiały wszystkie karty w nadziei, że odgadną, na którą wypadnie. Tymczasem biedacy przegrywali, na jakąkolwiek. Inni, przede wszystkim rybacy, z trudem znajdują pracę przez pół roku.

Prawie nikt spośród młodzieży nie pracuje, „kombinują”, zajmują się głównie kontrabandą papierosów i sacharyny. Więcej niż czwarta część mężczyzn siedzi w więzieniu, często całe lata.

Spośród matek („kobiety nie wychodzą z domu, bo nie są do tego przyzwyczajone”) 10 jest w służbie, 1 haftuje, 1 sprzedaje placki z grochu.

13 par małżeńskich umie czytać i pisać. Spośród dzieci od 3 do 6 lat 26 chodzi do przedszkola, 44 nie chodzi. Przypadków zapalenia opon mózgowych — 7. Przypadków tyfus — 42. Różnych rodzajów gruźlicy — 105.

kartę by postawili. Przegrywali wszystkie pieniądze, jakie mieli przy sobie, a ja oczywiście wstawałem od stołu, kiedy już nic im nie zostało.

Gra w zicchinetę uprawiana jest przeważnie wśród najniższych warstw. W Mussomeli, Villalba, San. Giuseppe, lato, Palermo. Nałogowcy są jednak wszędzie, bo gratem później po całych Włoszech — w Rzymie, w Reggio Calabria, Neapolu, Mediolanie, Turynie, Trieście, Wenecji, Florencji, Peskarze, Chieti, Aquli; prawie we wszystkich miastach Włoch, aż doszło do tego, że mnie wszędzie znają i nie mogę się już nigdzie pokazać.

Zawsze, w wioskach czy w miastach, był ktoś taki, kto pokazywał mi drogę, kto mnie przedstawiał i wprowadzał do domów gry, a przedstawiał mnie jako swego kuzyna, swojego bliskiego krewnego. Na dworze grać nie można, bo to jest surowo zabronione przez policję, gdyż zicchinetta zalicza się do gier hazardowych. Ale nieraz zdarzało mi się grać z sierżantem policji, brygadierem, szeregowymi karabinierami; i nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Ludzie złościli się, kiedy przegrywali. Toteż potem wypytywali mnie i obserwowali; jeden mówił, że wyciągam kartę z wierzchu, a inny, że ze spodu. Byli przekonani, że jestem wielkim magikiem, ale równocześnie wściekali się, rozpaczliwie waląc w stół spierali się między sobą. Jeden mówił: „Ale przecież karty są nasze. Nie są jego i nie są znaczone. Jak on to robi, że nam je podbiera, kiedy tasuje?” Byli całkiem skołowani, zachodzili w głowę, jak ja to robię, a ja nazajutrz jechałem sobie dalej, bo nie mogłem liczyć na powrót tam, gdzie już byli pod wrażeniem mojej gry.

Grywało się zazwyczaj wieczorem i przed wojną mogłem zarobić te dwa czy trzy tysiące w ciągu jednego wieczoru. Ale po podzieleniu się z innymi zostawała mi tylko połowa tych pieniędzy. Wspólnicy brali połowę na wszystkich, a ja drugą połowę; umawialiśmy się tak z góry, bo to ja wkładałem w grę swoją zręczność. Grając w skopę, kiedy sam rozdawałem, dawałem przeciwnikowi zwykle od asa do piątki, a od szóstki do króla brałem sobie; w ten sposób zarabiałem od razu kilka punktów.

Później, jako dorosły, grywałem w bakarata po różnych klubach arystokratycznych, ale o tym potem. Czasami zdarzały się momenty dramatyczne. Podczas gry widywałem, jak przy innych stolikach osoby zmówione między sobą kradną pieniądze swoim ziomkom, używając znaczonych kart.

Pewnego razu, gdy zobaczyłem coś takiego, sam usiadłem do gry. Oni byli pewni, że mnie również ograją; przegrali wszystko co do grosza, więc klęli na czym świat stoi, aż powiedzieli o mnie przy stole: „To diabelskie sztuczki!” Nie mogli dojść, jak to jest, że mają karty znaczone, a jednak przegrywają. I wtedy zaprosili mnie do siebie na kolację, żebym wyjaśnił, jak to robię, że wygrywam. Wtedy ja, ponieważ znam się też na chiromancji, której nauczyłem się z „Księgi Pięciuset” Rutilio Benincasa, powiedziałem im, że wszystko zawdzięczam posiadaniu talizmanu z surowego pergaminu, który zrobiony jest według kalendarza planetarnego i faz księżycowych; że jest to amulet, który mi przynosi wielkie szczęście w kartach. Wtedy zapytali, czybym nie dał takiego talizmanu każdemu z nich. Odpowiedziałem, że jeden kosztuje piętnaście tysięcy lirów, ponieważ robi się je przy użyciu magicznych pachnidła i zawierają proszek świętej Rity, proszek koralowy i proszek bursztynowy. Wszystkie trzy proszki zmieszane razem z odmi robina kadzidła i mirry spala się o północy, wzywając ducha Gabriela, Michała i Samuela, i tak powstaje ten amulet według kalendarza planetarnego i faz księżycowych, który przynosi szczęście osobie noszącej go. Daje szczęście w kartach, interesach, w miłości, we wszystkich sprawach; chroni też przed nagłymi wypadkami i urokami.

Oni byli przekonani, że to prawda, więc dałem każdemu jeden talizman, po piętnaście tysięcy lirów za sztukę; to zdarzyło się już po wojnie.

W karty grywałem tylko przez dwa miesiące w roku, jak jest w zwyczaju w wielu miejscach Włoch: od listopada aż do Nowego Roku. Naprawdę, wszędzie gdzie byłem, zostawiłem po sobie wielki rozgłos. Potem, w ciągu roku, kiedy gra się mniej, wracałem do domu pracować dłużej.

Do szkoły chodziłem do drugiej klasy włącznie, potem już mnie nie chcieli, ponieważ byłem niezdyscyplinowany.

Kiedy miałem piętnaście lat, poznałem, co to kobieta. Odkąd dotknąłem kobiety, już nigdy nie zaznałem spokoju. Żeby chodzić na dziewczynki, brałem pieniądze od matki, która miała mleczarnię-lodziarnię. Tak się składało, że dokoła była dzielnica kobiet lekkich obyczajów i znajdował się dom schadzek; kiedy po raz piąty poszedłem odwiedzić tę samą kobietę, zaraziła mnie rzeżączką. Po trzech dniach spostrzegłem, że kiedy oddaję mocz, czuję ogromne pieczenie, jakbym miał w przewodzie palącą się zapałkę. Więc poradziłem się jednego starszego kolegi i on mi powiedział, że to rzeżączką. Od razu poszedłem się zbadać do ambulatorium i doktor zaproponował, że mnie przyjmie do szpitala, żeby móc pokazywać chorobę i objaśniać ją swoim studentom. Powiedział, że pokryje nawet koszty mojego pobytu w szpitalu. Nie chciałem się zgodzić, żeby nie robić przykrości mojej matce. Doktor dał mi płukanek. Lekarstwo rozpuszczone w litrze wody dawało kolor czerwonego wina. W domu dobrze je schowałem, żeby matka nie zobaczyła, ale pewnego dnia je znalazła i myśląc, że to wino, wypła trochę. Zaraz je odstawiła, jednak przestraszyłem się, że się otrula, i natychmiast zawiozłem ją do doktora. Ten uspokoił ją, bo wypła tylko jeden łyk. I tym sposobem moja matka dowiedziała się, o co chodzi.

Później spotkałem jednego znajomego, który mi poradził, żebym już nie chodził do lekarzy (został mi chroniczny wyciek), że to mi przejdzie samo. Więc zaprzestałem kuracji i zrobił mi się czyrak na genitaliach, tak że musiałem znowu pójść do ambulatorium i poddać się operacji. I tak się wyleczyłem.

W czasach, kiedy chodziłem na karty, poznałem pewnego człowieka, który co wieczór przegrywał pieniądze. Przez ciekawość zapytałem go, jak on to robi, że co wieczór przychodzi z nowymi pieniędzmi. Odpowiedział mi, że oszukuje ludzi, naciąga ich na zagraniczne papierosy. Pokazując próbkę papierosów „Turmac” kupionych przedtem w kiosku, każe dawać sobie pieniądze, wchodzi do jakiejś bramy,

a wychodzi inną. Zacząłem z nim współpracować. Ale policją dowiedziała się od konfidentów i nasłała na mnie tajniaka, który to niby chciał kupić papierosy. Zastawili na mnie pułapkę i aresztowali za usiłowanie oszustwa. Dali mi cztery miesiące, ale wyszedłem wcześniej zwolniony warunkowo. Tó był ten pierwszy raz.

Gdy wróciłem do domu, miałem ukończone osiemnaście lat, na życie z trudem nam starczało, a chciałem ustatkować się i ożenić. I matka zaproponowała mi: „Słuchaj, córka nauczycielki byłaby najlepsza, tyle przecierpiała przez swoich rodziców”. Znałem ją od dziecka, ale od dawna jej nie widziałem, ponieważ mieszkała z ojcem, który był z żoną w separacji. Zaledwie ją zobaczyłem, zakochałem się. Początkowo nie byłem aż tak zakochany, żeby się żenić, a tyle tylko, żeby ją uwieść. Ale moja matka domyśliła się tego i zabroniła mi surowo. Powiedziała: „Nie. Musisz ożenić się z tą dziewczyną!”

Więc porozumiałem się z jej babką. Ta zgodziła się bardzo chętnie, ponieważ byłem w stanie zarobić uczciwie na kawałek chleba. Początkowo wprawdzie była przeciwna, ponieważ słyszała od ludzi, że jestem karciarzem, ale później, wypytawszy się szczegółowo i dowiedziawszy się, że gram tylko przez dwa miesiące w roku i że wygrana jest pewna, zgodziła się.

W okresie narzeczeństwa przestałem pracować dłutem, gdyż za te parę lirów dziennie nie mogłem utrzymać rodziny. Kupiłem abonament kolejowy ważny na całą Sycylię i zabrałem się do handlu domokrążnego, sprzedając materiały po wszystkich wsiach.

Po trzech miesiącach ożeniłem się wedle wszelkich prawideł. Czuję się szczęśliwy, że mam dziewczynę, której posagowe ciało fantastycznie mi się podobało i która wyglądała jak pierwsza dama królewskiego dworu. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że biorę na siebie dużą odpowiedzialność. Ona była zadowolona, że wyszła za mąż za takiego, co zarobi na kawałek chleba, i że cała moja rodzina jest jej życzliwa. Wyprawiliśmy dla wszystkich krewnych

huczne wesele ciągnące się do pierwszej w nocy, z różnymi deserami po kolacji.

Wtedy zapragnąłem życia skromniejszego, pracowitego, znudziło mi się dotychczasowe bez troskie. Tak więc w dwa dni później poszedłem pracować, chodziłem po wioskach i sprzedawałem materiały. Przeżyłem szczęśliwie dwa lata, aż do roku 1937. Żona była trochę nieporządna w domu, ale miała dobre serce i kiedy się czasem pokłóciliśmy, nie dała mi wyjść z domu, zanim mnie nie pocałowała i jeżeli najpierw nie pogodziliśmy się.

Często zabierałem ją do kina, a kiedy pokazały się buciki z obcasami z nietłukącego szkła, kupiłem jej zaraz pierwszej ponieważ dumny byłem z jej posagowej figury. Po dwóch miesiącach małżeństwa zaszła w ciążę i w 36 roku urodziła mi się córka.

W roku 37, gdy pracowałem w jednym miasteczku, wszedłem do pewnego domu, aby zaproponować kupno ubrania. „Niech pan sobie idzie, bo mam w domu nieszczęście, syna mi zauroczyli” — powiedziała do mnie ta pani. A ja do niej: „Niech się pani nie martwi, niech mi go pani pokaże. Zobaczmy, czy będę mógł go wyleczyć”, bo pomyślałem, że może jest najwiedzony przez złe duchy. I wtedy, widząc, że chłopiec ma głowę dwa razy większą niż normalnie, powiedziałem, że w trzydzieści trzy dni go wyleczę, ale że potrzeba na to pięciu tysięcy lirów, bo muszę kupić pewne rzeczy. Ponieważ to była sobota, ona powiedziała: „Niech pan wróci w poniedziałek, postaram się zdobyć pieniądze”. A w poniedziałek rano, za ledwie zbliżyłem się do domu tej kobiety, zrobiła na mnie zasadzkę z policjantem i strażnikiem miejskim i zaarrestowali mnie. Skazany zostałem na trzynaście miesięcy więzienia za usiłowanie oszustwa.

Pod koniec roku 1938, kiedy wychodziłem z więzienia, przyjechał po mnie brat. Zapytałem go, czy moja żona prowadzi się przyzwoicie. Odpowiedział mi: „Nieposłuszna to była bardzo, ale co do honoru nie można jej nic zarzucić”. Tak więc uspokoiłem się. Wróciłem do naszego domu, ale gdy wszedłem do mieszkania mojej żony, zrobiło ono na mnie złe wrażenie, jakby dach domu miał mi spaść na głowę.

lgr

Było ciasno, ledwie mieściło się małżeńskie łóżko i jedno krzesło, sufit niski, więc od razu zacząłem szukać innego mieszkania, bliżej mojej matki. I znalazłem mieszkanie z klepiskiem zamiast podłogi, ale większe.

Miałem do żony wielki żal o to, że podczas mojej niebytności ośmieliła się źle traktować moją matkę, która jest dla mnie kimś najświętszym, najbardziej nietykalnym, ponieważ od czteroletniego dziecka wychowywała mnie sama, bez ojca. Sprzeczałyśmy się. Zona mi odpowiadała; nie czuła już wcale moresu przede mną.

Trzynastego dnia po moim powrocie zjawił się żandarm z wezwaniem dla mnie do wojska. W koszarach powiedziano mi, że zostałem zadenuncjowany jako uchylający się od poboru. Więc po wyjaśnieniu, że siedziałem w więzieniu, posłali mnie do wojska do Rivoli. Tam byłem przez dwa miesiące. Przybyli rekruci z rocznika 1917—18, około dwóch tysięcy żołnierzy; wszystkich południowców umieścili w osobnej sali, a piemontczyków w osobnej, tylko mnie kazali zostać w sali piemontczyków. Prawie co wieczór wielu z tych piemontczyków wracało pijanych; ten, co miał pryczę nade mną, ledwo dotknął plecami łóżka, już leciały na mnie jego rzygowiny, bo wyrzygiwał z winem to, co zjadł.

Toteż kiedy przyszedł na salę porucznik, powiedziałem mu, że chcę być przeniesiony na salę południowców, że nie chcę tkwić wśród tych „mamałygojadów”, co się upijają co wieczór, aż i mnie zbiera się na mdłości. Wówczas ten porucznik, który też był piemontczykiem (o czym nie wiedziałem, nawet tego nie przypuszczałem), mówi do mnie: „Łobuzie, idioto, ćwoku z południa! Myślisz sobie, że to są tacy, którym Garibaldi, kiedy wylądował na Sycylii, mógł dać do jedzenia mydło zamiast sera?” I wówczas zrobiło mi się bardzo przykro, więc wziąłem pas, przywiązałem go do pryczy i założyłem sobie na szyję, żeby się powiesić. Zrobiłem tak po to, żeby mnie przenieśli do innej sali. Akurat było tam dwóch żołnierzy, którzy grali w karty niedaleko mojej pryczy, i oni odczepili mnie, zanieśli do ambulatorium i postawili przy mnie wartownika.

Wtedy postanowiłem napisać do domu, żeby mi przysłali pół kilo mydła, tego miękkiego, którego się używa w okolicach Palermo, koloru marmolady, i półtora kilo cukru, najbardziej miałkiego, używanego do posypywania. Skoro tylko ta paczka nadeszła, zmieszałem cukier z mydłem i zawiązałem paczkę z powrotem, jakby nie była wcale ruszana. Koło dziesiątej wziąłem paczkę i położyłem na środku sali. I wtedy paru żołnierzy powiedziało: „Ej, ty, fajtłapo! Przyjrzyj się do ciebie "paczka z Sycylii. Zobaczmy, czy to co dobrego!" Gdy otworzyli paczkę, powiedzieli: „Marmolada! O, cholera! Zjemy ją?" Ja na to powiedziałem, że nie będę jadł, bo mnie boją szczęki i zęby. I wtedy dziesięciu żołnierzy posmarowało sobie tym chleb. Zjedli prawie wszystko, nie zorientowawszy się, bo było wystarczająco pocukrzone. W godzinę później jeden z nich dostał bólów brzucha i musiał iść do ambulatorium. Wówczas wezwał mnie porucznik z ambulatorium, który był Sycylijczykiem, i powiedział: „Nie przypuszczam, żeś go otruli!" A ja mu na to: „To było mydło, a dałem im je, bo porucznik z kompanii powiedział mi, że Garibaldi mógłby nam dać mydło zamiast sera".

Kiedyś z rozpaczy wypilem cały kałamarz atramentu, o który prosiłem, żeby napisać do domu. Więc posłali mnie na obserwację do zakładu dla obłąkanych. Stamtąd wypuścili mnie po dwóch miesiącach i przenieśli do więzienia wojskowego. Stamtąd skierowali mnie do Werony, gdzie dostałem dwanaście miesięcy zwolnienia na leczenie hemoroidów.

Wróciłem na Sycylię. Miałem nadzieję, że przy moich umiejętnościach i pracy uda mi się zmusić żonę do posłuszeństwa i prowadzić życie spokojniejsze. Sprzedawałem materiały jako handlarz uliczny. A w domu były same przykrości. Zona była coraz bardziej nieposłuszna.

Kiedy skończyła się rekonwalescencja, wróciłem znowu do Werony, zrobili mi operację na hemoroidy i dali czterdzieści dni urlopu na wyleczenie. A tymczasem przyszło zwolnienie z wojska. Np i był już 1940 rok. Pracowałem, prowadziłem wciąż ten sam tryb życia. Jednego wieczora, żeby się zemścić na żonie, poszedłem do kina w poszuki-

waniu jakiegokolwiek kobiety. Usiadłem koło dwóch kobiet i rozmawiając o filmie zaczęliśmy się ściskać; jedna z nich wyznaczyła mi spotkanie w swoim mieszkaniu, więc nazajutrz poszedłem ją odwiedzić. Ta kobieta miała czworo dzieci w domu, a męża w fabryce i oddawała się każdemu napotkanemu, bo nie chciała, żeby dzieci chodziły głodne. Więc ja nie miałem odwagi zabrać się do niej, ponieważ robiła to, biedaczka, dla chleba.

Ale ona nalegała, miałem z nią stosunek¹ i tak zaraziła mnie syfilisem, chorobą, której dotychczas nie znałem. A ja z kolei zaraziłem moją żonę. Kiedy to zauważyliśmy, poszliśmy zbadać się do doktora. I kiedy powiedział, co nam jest, zacząłem płakać, bo pomyślałem, że splamiłem krew swojej żony. Obydwoje jakoś podleczyliśmy się.

Pracowałem ciągle w ten sam sposób. Sprzedając materiały, nie można było dość zarobić, więc zajmowałem się także chiromancją, a przez dwa miesiące w roku grywałem w karty, wyspecjalizowałem się w grze w bakarata, ponieważ gra w zicchinetę wyszła już z mody. Zaproszenia do bakarata przychodziły do mnie z wielu miejscowości. Ta gra uprawiana jest wśród kupców, arystokracji, przemysłowców, w Syrakuzach, Caltanissecie, Agrigento, Castel- vetrano, Santa Teresa, Sant Agata Militello i innych miejscowościach. Tu też wprowadzał mnie ktoś miejscowy. Ale o tym opowiem później.

W tych latach poświęciłem się chiromancji. Uzyskałem oficjalnie licencję chiromanty i wróżbity, płaciłem co roku za odnawianie licencji i mogłem uprawiać swój zawód we wszystkich miastach Włoch poza stolicą. Papież rezerwuje sobie swoje... Księża nie chcą konkurencji.

Leczyłem więc różne osoby, które miały urojenia; raz na przykład spotkałem kobietę, która miała opuszczenie macicy i chodziła do różnych lekarzy, a oni nie umieli nic na to poradzić. Ja jej powiedziałem, żeby założyła elastyczny gorset, i zaraz potem całkowicie się wyleczyła.

Czasami, kiedy wchodziłem do jakiegoś domu, po wysłuchaniu rodzinnych kłopotów mówiłem gospodyni, że ktoś rzucił urok na ten dom. Żeby w to uwierzyła, mówiłem,

aby wzięła trochę waty, niepostrzeżenie wkładałem w nią odrobinę metalicznego sodu i kładłem na ziemi. Potem brałem butelkę wody i zaczynałem: „Na mój rozkaz w imię Samuela, Michała...” i kazałem lać wodę na watę, a ta natychmiast się zapalała. Wtedy gospodyni wpadała w przerażenie, wierzyła, że dom jest naprawdę pod złym urokiem, i błagała mnie, żeby zdjąć ten urok. I oczywiście dawała mi za to pieniądze.

Żeby odczynić urok, kazałem czasami brać pół butelki octu. Miałem swój preparat, to jest dwuwęglan zabarwiony farbami, żeby nie można było go rozpoznać: żółty, czerwony i zielony. Mówiłem, że to jest proszek koralowy, proszek bursztynowy i proszek świętej Rity. Mieszałem wszystkie trzy razem, mówiąc: „Usuń to żywe srebro, które wniknęło w ten dom... itd.” I wsypywałem proszek do butelki, zamykając ją szybko korkiem. Gdy tylko zaczynało wewnątrz fosforyzować, korek wyskakiwał z hukiem w powietrze i wypływała ponad połowa octu w formie piany. A ja mówiłem: „Widzi*-pani, to jest żywe srebro, co wychodzi na zewnątrz”. I mówiłem, jak ma używać reszty płynu: że ma go podzielić sobie na 33 dni i codziennie wylać kilka kropel w cztery kąty pokoju, odmawiając trzy „Wierzę w Boga”, trzy „Ojcze nasz” i trzy zdrowaśki. Kiedy to skończy, urok już ibędzie odczyniony.

Czasami zakładałem nawet stułę, żeby robić większe wrażenie, ale stułę trzeba trzymać w ukryciu, bo, jak już mówiłem, księża każą aresztować, jeśli ktoś robi im konkurencję.

W chiromancję wierzyły nie tylko kobiety, także mężczyźni, Inteligenci i analfabeci, po wioskach i w miastach.

Jednego razu pewien człowiek przyszedł do mnie do domu. Płakał, żeby zdjąć z niego urok, bo nie może mieć stosunków z żoną („aż żona wyrzuciła mnie z domu”). Mówił, że chce zabić sąsiada, którego podejrzewa o to, że rzucił na niego urok. Podałem go sugestii i potem, kiedy się udało, przyszedł mi dziękować, przyniósł prezenty oraz dwa tysiące lirów.

Przybywając do jakiejś miejscowości, kazałem rozlepiac

afisze, na których była namalowana ręka, a w środku moja fotografia i nad tym napis „Mag Nauki”. Dzięki różnym osobom, które przychodziły radzić się, poznawałem tragedie wielu rodzin; odkrywałem, że ojciec sypia z własną córką, brat z siostrą, syn z matką, że wiele dziewcząt bywa uwiedzionych przez swoich narzeczonych, a wiele kobiet zamężnych ma kochanków; egoizm, zazdrość.

W N. spotkałem dziewczynę wyglądającą jak sama bogini Wenus; przyszła, żebym jej wywróżył przyszłość. Została uwiedziona przez prefekta i chciała znaleźć sposób na przywiązanie go do siebie, żeby się z nią ożenił.

W V. pewna kobieta, której mąż miał sklep z rowerami i był bardzo porywczy, nawiązała romans z jednym młodzieńcem i chciała, żebym w ciągu trzydziestu trzech dni spowodował śmierć jej męża za pomocą czarów, aby była wolna i mogła cieszyć się swoim kochankiem.

Wnikając głębiej, zrozumiałem, że kobieta i tak samo mężczyzna to istoty powierzchowne, to jak piórka na wiatr, dlatego że kobieta jest zmienna, a mężczyzna na ogół słaby i choćby był najbardziej gwałtowny, wobec kobiety jest jak jagnią.

Myślę, że gdyby wszystkie istoty ludzkie mogły zrozumieć, że my tu, na ziemi, znajdujemy się tylko przejściowo, to ceniliby sobie bardziej dni, miesiące i lata, ponieważ w miarę, jak upływają, upływa nasze życie. Dlatego powinniśmy się wszyscy kochać, pomagać jeden drugiemu i materialnie, i podtrzymując się wzajemnie na duchu. A tymczasem widzimy, że bogaty zawsze prześladuje biednego, że zawsze chce go podeptać i mieć za niewolnika, a sam chce się panoszyć; że świat jest w rękach egoistów, mściwych, nie troszczących się o potrzeby bliźniego. Całe to doświadczenie, znajomość świata zdobyłem, jeżdżąc wróżyć po całych prawie Włoszech. Miałem do czynienia z wszystkimi, z bogatymi, biednymi, książętami, hrabiami, baronami, którzy ujawniali przede mną swoje żądze i swoje obyczaje.

Gdybym wiedział, że będę musiał przeżyć życie tak właśnie, to nie zgodziłbym się przyjść na świat, bo tutaj wszyscy jesteśmy skazani na dożywocie. Kto nam daje pracę,



kiedy wychodzimy z więzienia? Kto daje środki na podjęcie pracy? Odrzucają nas. Do więzienia trafiają wciąż ci sami. A czyż nie należymy także do rodzaju ludzkiego?

Ja w moim wieku nie mógłbym już pracować jako robotnik fizyczny. Ale mógłbym mieć na przykład sklepik z artykułami spożywczymi, z ladą i wagą, mógłbym służyć kredytem ludziom w potrzebie, równocześnie zarabiając na chleb dla siebie i żony, i nie prowadzić dalej tego awanturniczego życia, którym jestem zmęczony, przybity. Albo mógłbym pracować jako nadzorca jakichś robót. Bo z ludźmi to jest tak: kiedy zapraszają mnie na kawę, to po to, żeby po dwóch godzinach poprosić mnie o coś.

Człowiek jest taki głupi, że więcej uroku widzi w sprawach sekretnych, zakazanych, niż w dozwolonych. Tak jak w więzieniu, kiedy strażnik zostawi drzwi otwarte, nie ma się ochoty wyjść na korytarz, a kiedy drzwi są zamknięte, cierpi się. Tak jest zawsze ze wszystkimi.

W czasach, kiedy jeździłem po wsiach i miastach, jeżeli był gdzieś chiromanta z najlepszych w tym fachu, to chętnie go odwiedzałem, nie zdradzając się, że jestem także chiromantą. Przedstawiałem się jako klient. Szedłem podpatrzeć, posłuchać jego sposobu mówienia, bo poza księgą i kartami my mamy coś przekonywającego w brzmieniu głosu.

Sugestia chiromantów jest tak silna, że wiele dziewcząt, zamężnych czy niezamężnych, pozwala chiromancie robić ze sobą, co tylko zechce. Wiele z nich daje się uwieść. I jest wiele takich, co żądają rzucenia śmiertelnego uroku na męża; za trzysta tysięcy lirów.

Czasami, kiedy urządzam seans spirytystyczny, zaczynam przewracać przeraźliwie oczami, potem zamykam je i zapadam w sen kataleptyczny, i mówię innymi głosami, żeby sprawić wrażenie, że to mówi duch. Pewnego razu w Gela rzuciłem na kolana trzynaścioro: mężczyzn i kobiety. I tak zdobywałem sobie jedzenie i nocleg. Jak się już ma nazwisko, przychodzą tłumy ludzi. Wypisuje się na ogłoszeniu, że należy zamawiać wizytę na dzień naprzód i że nie udziela się więcej jak dziesięciu porad dziennie. A kto nie chce

zostawić swego nazwiska, temu wydaję numerkę z moim podpisem.

Jestem już poza nawiasem społeczeństwa; gdybym chciał znaleźć pracę, nie mogę — jestem recydywistą, nie mam kapitałów. Jedyna możliwość, jaka mi pozostała, to ta, która nie wymaga kapitałów ani niczego. Więc kiedy nie mam pieniędzy na ulotki reklamowe, sam idę w kurs i sam znajduję sobie klientów.

NA WSI

Gnój, jaki zbiera się we wsi, pali się, bo do pola daleko, a dróg mało i są nieprzejezdne dla wozów. Robotnik rolny, aby dojechać do miejsca pracy, potrzebuje muła albo osła.

Pomiędzy Corleone a Bisacchino, na wysokości ponad 660 metrów nad poziomem morza, leży Campofiorito. Pod względem środowiska wieś jest podobna do wielu położonych w głębi wyspy: ma 2 255 mieszkańców (według spisu z roku 1951); sześć razy dziennie połączenie autobusowe z sąsiednimi miejscowościami.

50 rodzin, wylosowanych do badań, mieszka w 47 mieszkaniach; średnio wypada 4,17 osoby na izbę; a 1,87 osoby na łóżko.

32 rodziny mieszkają wspólnie ze zwierzętami: 4 ze świniami, 22 z kurami, 10 z mułami, 6 z osłami, 1 z krową, 1 z kozą.

7 rodzin ma radio, 4 — ubikację, 14 — gaz, 16 — wodę, 27 — światło.

27 rodzin ma własne środki lokomocji; 3 rower, 1 konia, 6 osła, 17 muła.

11 dzieci w wieku od 6 do 13 lat nie chodzi do szkoły; 26 chodzi.

8 czy 9 przypadków febry malarycznej.

4 inwalidów — właścicieli gruntów do dwóch hektarów; 10 inwalidów bez ziemi; 1 wozak, 1 domokrażca, 1 listonosz, 4 dzierżawców, 6 połowników; 19 robotników rolnych
śre-

Opowieść zielarza

Jest pięć albo sześć gatunków jarzyn, tych dzikich, co rosną same, nikt ich nie uprawia.

Idziesz przed siebie i to, co znajdziesz, zrywasz. Wstajesz rano, koło czwartej, trzeciej, piątej; zależy w jakiej porze j roku i dokąd się wybierasz. Wstajesz i idziesz przed siebie, robisz dziesięć albo dwanaście kilometrów i wchodzisz na pola szukać zieleniny. Na pola, bo przecież nie znajdziesz zieleniny na drodze. A przy samej drodze albo jest kurz, więc jarzyny są niedobre, zakurzone, albo przechodzą ludzie i zrywają, żeby zrobić zupę w domu, albo byłoby depcze czy zjada — takie jarzyny źle wyglądają.

Trzeba przejść cztery, pięć albo i więcej kilometrów, żeby napęłnić worek, z którego można zrobić dwieście pęczków. Zazwyczaj idziemy w dwie, trzy, nawet cztery osoby, żeby sobie wzajemnie pomagać; zawsze może się bowiem przydarzyć coś złego. Zawsze może się zdarzyć, iż właściciel będzie miał nam za złe, że depczemy mu ziemię; są też tacy, co nie chcą, żeby zbierać zieleninę z ich pola, bo mówią, że potrzebują dla siebie.

Kiedy się idzie we dwóch i zebrane jarzyny składa się razem i dzieli potem pieniędzmi, to się pracuje w zgodzie. Natomiast jeśli jest nas dwóch i każdy zbiera na swój rachunek, obaj chcemy napęłnić worek wcześniej i zebrać lepszą zieleninę. Kiedy jesteśmy blisko siebie i ja widzę kępkę cykorii, biegnę, żeby ją zerwać pierwszy; jeżeli nie zdążę, on zerwie pierwszy. I tak w kółko, przez cały czas, aż się worek napęłni. Tak samo jest ze ślimakami. Jeżeli chcę szybko zebrać sześć czy siedem kilo ślimaków, zanim ten drugi wyzbiera, muszę go uprzedzić; oko musi być bystre, szybkie. Łapię jednego, a już patrzę, gdzie drugi, i biegiem tam i siam. I trzeba patrzeć, czy zielenina jest dobra, czy nie ma na

niej robaków, choćby najmniejszych. Na przykład teraz koper jest robaczywy; nie wszystek, ale przeważnie. Są dwa gatunki dzikiego kopru, jeden jest niejadalny, bo za bardzo śmierdzi. Wygląda prawie tak samo jak ten drugi, ale my go rozpoznajemy, bo zmienia liście.

Chodzimy i zbieramy wszystkie rodzaje jarzyn, oczywiście dzikich; cykorię, kapustę, szpinak, oset, koper. Wkładamy to wszystko do worka i gdy jest już wypełniony po brzegi, wracamy do wsi. W domu żona przygotowuje balię wody, bo trzeba dużo wody, żeby dobrze oczyścić, w przeciwnym razie handlarz nie weźmie. Rozdzielamy jarzyny starannie, każdy gatunek na swoje miejsce. Jeżeli sprzedam handlarzowi, dostanę cztery, trzy liry za pęczek; gdybym chciał sprzedać sam nazajutrz, mógłbym sprzedać dwa pęczki za piętnaście, pęczek za pięć lirów. Straciłbym jednak dwa dni, jeden na zbieranie, jeden na sprzedaż.

W ten sposób zarabiam od sześciuset do siedmiuset lirów, czasami osiemset, ale handlarzowi trzeba podarować ze dwadzieścia pęczków. Ta praca ciągnie się przez całą zimę aż do marca, bo potem zaczyna się okopywanie winnic; a wtedy można znaleźć już tylko źdźbło cykorii albo ostu.

Czasami chodzi się nawet w niedzielę. Jeżeli pada przed wyjściem z domu, to nie idziemy, wtedy idziemy na ślimaki. Jeżeli pada, gdy jesteśmy już na miejscu, gdzie jest zielenina, a pada nie za mocno, to zbieramy aż do zupełnego zmoknięcia. W przeciwnym razie tego dnia się nie je albo bierze się na kredyt, a potem nie ma z czego zwrócić.

Kiedy przychodzi marzec, ledwo znajdziesz jakieś źdźbło, więc nie ma z czego żyć. Żeby zebrać sto pęczków, trzeba by chodzić przez cały dzień, wobec tego jedziemy rowerami do Bałaty, trzydzieści pięć kilometrów drogi. Tam zbierają mniej, gdyż jest mało mieszkańców, a poza tym zielenina wzrasta później. Potem odkładamy rowery i idziemy z workami w góry. Z ciężkimi worami musimy przejść całe kilometry pieszo, a następnie jeszcze wracać na rowerach. Wraca się późno, jesteśmy zmęczeni i nie zdąży się już powiązać w pęczki; nazajutrz trzeba zostać więc w domu. I tak

jest aż do kwietnia; potem cała zielenina się kłosi i już nie chcą jej brać, bo jest gorzka. Zostaje tylko cykorja.

Żeby iść na ślimaki, należy wstać najpóźniej o drugiej albo trzeciej rano. Trzeba być na miejscu, zanim się rozwidni. Kiedy słońce wzejdzie, ślimaków nie ma; chowają się w ziemię i już się nie pokazują. Jeżeli dzień jest pochmurny, można zbierać dłużej, aż do jedenastej, potem znikają. W winnicach nie ma ślimaków, może dlatego, że okopuje się tam ziemię cztery razy do roku. Trzeba ich szukać na terenach nieuprawnych, na ugorach, na polach obsianych zbożem, bobem, blisko wody. Tam łążą. Ale przy stosowanych dzisiaj nawozach ślimaki wymierają; wszyscy używają tych soli, amoniaku i innych takich rzeczy; możesz chodzić a chodzić i nic nie znajdziesz. Kiedy jest sezon na ślimaki, wybierają się na nie prawie wszyscy: myśliwi, chłopci z koszykami i mali chłopcy. Przy pierwszych deszczach chodzą wszyscy na „ghiotte” — tak się nazywa zupa ze ślimaków. Na przykład: jest czworo czy pięcioro w rodzinie, więc matka mówi do dzieci: „Idźcie na ghiohtë”. I oni idą w pole, zbierają dwa czy trzy kilo, zależy, ile znajdą, i po powrocie zjadają.

Tymczasem my, zawodowcy, musimy je sprzedawać, żeby zarobić na chleb. Są trzy rodzaje ślimaków: attupatedde, babbaluce i crastuna. Crastuny spotyka się rzadko; one są największe. Więcej jest attupatedde. Babbaluce w czasie burzy wystawiają ryjek spod kamieni, bo siedzą przyspane pod kamieniami; nie chowają się pod ziemię, tylko przysysają się do kamienia od spodu albo z boku. Kiedy śpią, to nigdy na ziemi, zawsze na kamieniu. Czasem włożą w dziurę, na przykład w moście, a gdy nie ma tam dość miejsca, czepiają się siebie, jedne drugich, całe grono; my wsadzamy w taką dziurę palce albo kawałek drewna. Kiedy idziemy na babbaluce, poruszamy wszystkie kamienie, odwracamy wszystkie głazy. Gdzie jest tylko jeden czy dwa kamienie, tam ich nie ma; znaleźć je można tam, gdzie są całe stosy kamieni. Na przykład góra Lo Zucco jest ulubionym miejscem babbaluce. Babbaluce jest najdelikatniejszym w smaku. Attupatedde jada się nawet na surowo. Na przykład, kie

dy ja idę na attupatedde i kopię motyką, żeby je znaleźć, bo one siedzą w ziemi, to uderzeniem motyki zawsze się którąś przetnie, wtedy ją oczyszczam z ziemi i zjadam. Ale one także lubią siedzieć pod kamieniami albo pod ziemią obok kamieni. Dlatego, że szukają cienia, lubią wilgoć i chłód. Latem, przez sześć miesięcy, nic nie jedzą, tylko śpią. W marcu zaczynają się zamykać; najpierw wydzielają śluz, potem śluz zasycha i tworzy się dookoła biała skorupka. Na początek jest ona jak łupinka od cebuli, potem w kwietniu, kiedy powietrze zaczyna się rozgrzewać, twardnieje i robi się skorupa. Ale o attupatedde jest trudno, bo właściciele nie życzą sobie, żebyśmy rozkopywali im ziemię. Na przykład tu, na górze, don Ciccio ma krowy, a jeśli my kopimy, niszczy my mu trawę.

Potem, kiedy we wrześniu i październiku pierwsze deszcze spływają na ziemię, skorupa zaczyna znowu mięknąć i ślimaki wychodzą na powierzchnię. Wtedy właściciele nie wzbraniają.

Kiedy zaczynają wychodzić, jeszcze nie jadły -i są słodkie. Potem, kiedy zaczynają jeść trawę, robią się gorzkie. Więc, żeby stały się słodkie, wkłada się je do garnka i wrzuca garść otrąb; po dwóch czy trzech dniach są znowu słodkie.

Są jeszcze crasentole, długie jak robaki. One najpierw zabijają ślimaki, a potem wciskają się do środka muszli i je zjadają.

Skąd ja to wiem? Wybrałem się w tych dniach do Corle- one na węgorze; między Corleone a Contessa mieliśmy zastawić koszyki na węgorze. Bierzymy crasentole, dziesięć, dwanaście, nabijamy je na drut kolczasty i wkładamy do koszyka. Potem idziemy nad rzekę i wrzucamy uwiązany na sznurze koszyk do wody. W ciągu dnia węgorz nie przy pływa. Przy pływa w nocy, ponieważ szuka pożywienia. Rano (bo my śpimy tam, nad rzeką) wstajemy i idziemy zobaczyć, czy szczęście dopisało. Wyciągamy koszyki, jeżeli coś w nich znajdujemy, to dobrze, jeżeli nie, próbujemy w innych miejscach rzeki. Jeżeli są, do jednego koszyka można złapać nawet cztery — pięć węgorzy albo nawet sześć czy siedem. Ale do koszyków dostają się te małe, co ważą

sto albo najwyżej dwieście gramów. Duże się nie mieszczą. Kiedy jest mała woda, łowimy je też widelcami, takimi do jedzenia, które przywiązujemy na końcu kija i poruszamy nimi kamienie. Węgorze uciekają jak błyskawica, a my za nimi. Gdy ich już nie widać, zaczynamy poruszać kamienie o jakieś dziesięć metrów poniżej, bo kiedy uciekają, płyną w dół rzeki. Na węgorze można chodzić tylko latem, bo zimą woda jest za wysoka.

My chodzimy na węch i zbieramy, co się trafi. Ale potem, tak chodząc i chodząc, zaczynamy się orientować, gdzie czego szukać. Jeśli zobaczymy na przykład grudkę ziemi poruszonej na powierzchni, to grzebiemy w niej palcami i znajdujemy ślimaka. Albo idziemy, idziemy, a ślimaków nie ma. Ale widzimy, że śluz błyszczący na ziemi, więc idziemy tym śladem i znajdujemy ślimaka albo pod ziemią, albo przyklepionego do kamienia, ale znajdujemy na pewno.

Weźrriy teraz raki. Co one jedzą? Gdzie leży jakieś zdechłe zwierzę, tam one idą jeść i zobaczyć można trzydzieści, czterdzieści raków na takiej padlinie. Raki rzeczne są takie same jak morskie, ale nie tak włochate. Też są jadalne. Robi się z nich świetny rosół, ale do zjedzenia jest mało, prawie same kości.

Żaby też jedzą robaki, ale te małe. Skąd ja to wiem? Kiedy oprawia się żaby, wrywa się im wnętrzności i wtedy ma się w ręku żołądek, do którego idzie całe ich jedzenie. Żeby móc żaby sprzedać, ucinamy im nożycami głowy i wszystkie łapki i obdzieramy ze skóry. Usuwamy wnętrzności i żółć. Potem tłuczemy im lekko nogi, żeby napęczniały; dzięki temu żaba wygląda czysto, udka ma grube. Kiedy klient widzi żaby z grubymi udkami, mówi: „Proszę mi zważyć kilo”. Żaby nawet obdarte ze skóry, bez głowy, łapek i żółci jeszcze się ruszają. Sprzedajemy je po dwieście lirów za kilo. Łapie się w dzień, a oprawia w noc, ponieważ żaba zostawiona bez skóry po sześciu godzinach zaczyna cuchnąć.

Kiedy tak patrzę na ten świat zwierząt, to przychodzi mi do głowy, że my jesteśmy tacy sami. Jeżeli mogę kogoś

zjeść, to go zjadam; i ten ktoś tak samo. Życie zwierząt to męczarnia, jak nasze.

Czasami, kiedy patrzę wieczorem na gwiazdy, to myślę: „Czy to prawda, że świat istnieje?” „Nie wierzę, że świat istnieje”. Kiedy jestem spokojniejszy, to wierzę w Boga; takiego, który by powiedział coś złego na Jezusa Chrystusa, to bym zabił. Ale są chwile, kiedy nawet nie chcę wierzyć w Boga i pytam sam siebie: „Jeżeli Bóg naprawdę istnieje, to dlaczego nie da mi możliwości pracy?” Ale potem przypominam sobie, że mam dzieci, i nie wiem się. Czasami jednak... Jeżeli nie znajdę pracy, będę w dalszym ciągu miał mętlik w głowie.

Kiedy oprawiam żaby, to mi ich żal, ponieważ myślę, że chcąc nie chcąc muszę je zabijać. Żal mi ich, ale umrzeć muszą. Kiedy taka żaba mnie widzi, pewnie myśli, że nadzła jej godzina śmierci. Jestem przekonany, że ona tak myśli. Skąd ja to wiem? Kiedy ją złapię w rękę, to jeszcze zanim zabiorę się do niej z nożycami, susia parę razy, zupełnie jak człowiek. Każde zwierzę, kiedy czuje się schwyte przez człowieka, zaczyna drżeć. Czasami wybieram ptaki z gniazd: czuję wtedy ręką, że ich pierś jest jak dzwon — serce bije mocno.

Kiedy oprawiam żaby, siadamy wszyscy dokoła kosza: żona obdziera je ze skóry, kuzyn ucina głowy nożycami, kuzynka ucina łapki, ja wydaję Wnętrznosci, żółc i roz- tłukuję nogi. Czasami rozmawiamy, żeby czas szybciej zleciał. Więc zaczynamy — mój kuzyn, który ucina głowy, dostanie trzydzieści lat, ponieważ to on jest mordercą; żona dwadzieścia lat, ponieważ po śmierci zaczyna...; kuzynka też dwadzieścia lat, bo pozbawia nóg; a ja dożywocie, bo przeze' mnie ta cała tragedia. I wymyślamy sobie, jakby to było w sądzie, a my bylibyśmy sędziami i oskarżonymi.

Z początku to oprawianie robiło na mnie straszne wrażenie, później przyzwyczailem się. W zeszłym roku zabiłem ich sto pięćdziesiąt kilo. To jest mój sposób zarabiania na życie; chwytam się wszystkich zawodów. Od ośmioletniego chłopca, od skończenia drugiej klasy, żyłem kombinując, jak

się dało. Dzięki Bogu do dzisiaj nie miałem nigdy do czynienia z policją. A chleb, który przynoszę do domu, jest zapracowany w pocie czoła i czystymi rękami. Ta praca jest cięższa niż w warsztacie; jest to praca również umysłowa. Dzisiaj idziesz tu i musisz wiedzieć, dokąd pójść jutro; głosisz się na tym wieczorami. Robię to z przyjemnością, ale przecież nie chcę pracy tak wyczerpującej. Chcę mieć pracę konkretną, stałą, aby rano wstać i wiedzieć, dokąd mam iść pracować. Nie chodzi mi o to, że nie chcę się wysilać, ale mogę nauczyć się przecież lepszych rzeczy niż te. Byłem dość inteligentny, żeby nauczyć się tego, więc starczyłoby mi inteligencji, żeby nauczyć się też lepszych rzeczy. Gdy wróciłem z wojska, przez pięć lat pracowałem jako robotnik fizyczny: w pierwszym roku trzy miesiące, w drugim cztery miesiące, w trzecim sześć miesięcy, czwartym roku trzy miesiące, w piątym pięć miesięcy. Resztę czasu spędziłem w polu.

Od siedemnastego do osiemnastego roku życia chodziłem w góry, gdzie palono drzewo w szybach przykrytych ziemią, zbierać węgiel drzewny albo kamienny. Kiedy widzieliśmy, że szyb się wypalił i nie ma nikogo, bo węgiel już został zabrany, podchodziliśmy i zaostrzonym końcem patyka grzebaliśmy w ziemi, żeby znaleźć pozostawione kawałki węgla drzewnego. Czasami dało się uzbierać do dziesięciu, piętnastu kilo na każdego. Kiedy nie mogliśmy nic znaleźć, szliśmy na tory kolejowe zbierać węgiel na szynach. Kiedy parowóz jedzie, zawsze coś spadnie. A czasami maszyniści na stacjach wyrzucają kawałki wyglądające jak kamienie, zeskalone, wypalone. Te służą farbiarzom, bo już nie dają dymu. A wypalone sprzedawaliśmy takim, co robią podkowy dla koni, bo oni potrzebują gorąca.

Czasami w tamtych latach chodziliśmy zbierać ołów. Bo policja urządza strzelanie do celu. Teraz, w maju, strzelają ciągle, prawie przez cały dzień, aż do wieczora. Marnują tylko pieniądze, a dla nas, bezrobotnych, nie mają pieniędzy. Niektóre kawałki ołowiu można znaleźć na powierzchni, ale inne trzeba wykopywać, bo zarywają się w ziemię. Sporo jest tego ołowiu, ale nie wszystkim udaje się odna

leżć. Najpierw szukamy w dziurach; kiedy dziur już więcej nie widać, grzebiemy w ziemi. Kopiemy motyką miejsce koło miejsca, żeby nie ominąć ani kawałeczka gruntu. Zbieramy też kawałki aluminium; czasami znajdujemy porzuconą splotkę, pozostawioną przez nieuważę. Wszystko to zabieramy i sprzedajemy.

To jedyny ołów, z jakiego chleb jest uczciwy.

Opowieść pastucha

Trzy dni temu śniły mi się świnię. A także krowy i kopy siana. Mnie codziennie śnią się krowy i góry, owce, jagnięta. Zawsze zajmowałem się zwierzętami i zawsze o nich myślę. Tej nocy śniło mi się, że byłem na swojej ziemi, a potem ktoś tam przyszedł, tak jakby to był mój ojciec. Ojciec przyniósł owcę i dwoje jagniąt i jedno z nich karmiła krowa, a drugie owca. I przyszedł jeszcze jakiś starzec i zabił mi jagnię, a potem widziałem kurę siedzącą na jajach, a ten starzec rozbijał jaja i wypijał je albo rzucał na ziemię.

Potem uciekał, a ja biegłem za nim, żeby go zatłuc kijem. Potem przyszła moja matka i powiedziała: „Kto porozbijał te jaja? Kto zabił jagnię?” A to przecież ten starzec je zabił. Ten starzec był zły. Potem ojciec powiedział: „Teraz je upieczemy i zjemy”. A ja powiedziałem, żeby je porzucić pod drzewem, bo było małe. Więc rzucił je pod oliwkę i tam zostało.

I śniło mi się, że ładujemy świnię na ciężarówkę, żeby je sprzedać na jarmarku. Te świnię miały skórzane obroże na szyjach.

Śniły mi się też kobiety, że śpię z nimi, kobiety, które znałem. Jednego razu śniło mi się, że jedna kobieta mnie woła. Szły właśnie na mszę, ale ja stałem nieruchomo. Poszedłem potem do niej do domu i chciałem ją wziąć za rękę, ale był tam jej ojciec i matka, więc wstydziła się dać mi rękę. Mówiła do mnie ukradkiem; potem śniła mi się w łóżku, była moja kuzynką.

Śnią mi się ciągle zwierzęta na wolności, ponieważ zaj

mowałem się zwierzętami, od kiedy skończyłem pięć lat. Urodziłem się wśród zwierząt. Kiedy się urodziłem, byłem jedynakiem. Później urodzili się bracia i siostry. Od dziecka zajmowałem się zwierzętami. Najpierw naszymi własnymi, mój ojciec miał pracę przez rok. Dawali mu cztery albo pięć tysięcy lirów na miesiąc.

Ja nie wiem, ile rok ma miesięcy. Nie wiem, czy mam osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Umiem liczyć do pięćdziesięciu, ale na pieniądzach się nie znam, bo żyłem zawsze w górach, nigdy nie chodziłem do wsi i nigdy nie widziałem ludzi, tylko od czasu do czasu widywałem ojca. Moja matka też nie znała się na pieniądzach ani nie umiała liczyć. Pięćdziesiąt lirów to rozpoznam, ale nie potrafię tego policzyć razem z innymi pieniędzmi.

Jeżeli nie ma pracy, to człowiek je trawę. Głód zmusza do wszystkiego. Człowiek przestaje widzieć na oczy. Morduje, robi najróżniejsze rzeczy. Kiedy się pracuje, ma się wszystko; człowiek umie rozmawiać, żyje wśród ludzi i nie kłóci się. A przecież jeśli człowiek umie podejść do właściciela, ten go bierze do siebie, daje mu pracę i ma do niego zaufanie. A do takiego jak ja, kto będzie miał zaufanie? Zawsze jestem przegrany. Tutaj na każdego czeka miejsce jak na cmentarzu; prędzej czy później znajdziemy się tu wszyscy. Obrzucamy się wyzwiskami albo zabijamy jedni drugich, jeden kończy w więzieniu, drugi na cmentarzu. A kiedy człowiek stąd wychodzi, to już nie jest cichy, łagodny; wychodzi wściekły na cały świat i mówi do drugiego: „Ty mi napsułeś krwi, ja cię wykończę”, no i zabija go. (...) Jeśli nikt nie wyśpiewa, mordercy się nie odkryje. Wpadamy zawsze przez szpicli; gdyby władze nie miały szpicli, mogłyby nas pocałować w... Nie przychodziłem do Wsi przez pół roku, przez rok, a kiedy się zbliżałem, chłopaki rzucali we mnie kamieniami. Byłem dziki i nie chcieli mnie znać, więc uciekałem. Kiedy jednego dnia w karnawale ktoś rzucił we mnie garść confetti, ugryzłem go w palec. Mam jeszcze brata trzynastoletniego i drugiego dwunastoletniego. Oni też nie znają się na pieniądzach. Jest jeszcze

mały braciszek pięcioletni i siostrzyczka sześciolatnia. Dwoje innych zmarło. _

Kiedy byłem mały, przyszli żandarmi i zabrali nas wszystkich do koszar. Zaprowadzili tam mamę i nas, dzieci; ojca złapali później, bo uciekł żandarmom z wozu. Potem matkę z niemowlęciem zatrzymali, a nas pozostałych wypuścili; dopiero kiedy złapali ojca, wypuścili matkę.

Od tego czasu wciąż tylko ze zwierzętami, w górach. Spałem na słomie, a że byłem ubrany, wślizgiwałem się w słomę bez koca ani czegoś innego, nieraz bosy i często na głodniaka. Pcheł to miałem na sobie zatrzesienie. Właściciel nie pozwalał, żebym brał sobie mleko od krów, bił mnie za to. Rano jadłem chleb z serem, a wieczorem chleb z cebulą albo z oliwkami, jeśli w ogóle były. Właściciel przychodził od czasu- do czasu na kontrolę. Czasami uciekałem z gór i szedłem zajrzeć do jakiegoś domu. Psy szczekały, a ja szedłem bez strachu prosto na nie, bo byłem głodny, chciałem kawałek chleba. Jedni mi dawali, drudzy nie. Bywało, że kiedy miałem chleba pod dostatkiem, odnosiłem z powrotem.

Jednego razu byliśmy niedaleko wioski, ojciec trzymał mnie za rękę i szliśmy od strony gór. Nagle ojciec zobaczył żandarmów i uciekł, zostawiając mnie samego. Żandarmi zaczęli do niego strzelać, on skoczył do rzeki i ranili go w plecy. Gdyby go trafili trochę wyżej albo trochę niżej, już by nie żył. Potem znalazł się szpicel, który powiedział, wskazując na krzaki: „Jest tutaj, jest tutaj”. Przechodzili przedtem dziesięć razy i nie widzieli. Wyciągnęli go za nogę jak owcę albo jagnię. W więzieniu był trzy lata, jeden miesiąc i piętnaście dni. Potem trzy lata nadzoru policyjnego, w domu, nie wolno mu było wyjść zarobić na chleb. Ja pracowałem, ale byłem mały, nie pracowałem dobrze i byliśmy głodni. Pasałem krowy u takiego jednego; jedną krowę w zamian za połowę jej mleka, a cztery inne za pieniądze.

Myć, to się myłem latem, kiedy szedłem nad morze pławić owce czy krowy. Zimą wcale. Bywałem na plaży, ale nie umiem pływać.

Do szkoły nigdy nie chodziłem, ani razu, przy żadnej

okazji. Nikt z mojej rodziny nigdy nie chodził do szkoły; nie znam nikogo w rodzinie, kto umiałby czytać i pisać.

Co to są gwiazdy na niebie? A bo ja wiem? Jest księżyc, który zastępuje słońce. Rozumiem, chodzi o gwiazdy w nocy; pokazują się i widać ich tyle. Wszystek dym, jak się robi, idzie do góry w niebo i dlatego w nocy czasem gwiazdy widać, a czasem nie. Kiedy dnieje, zawsze się chowają. Jak krowy do obory, tak samo widocznie gwiazdy chowają się, do swojej obory.

Ziemia to wyspa, a dookoła jest morze. Ja to wiem, ponieważ byłem w więzieniu w Colombai koło Trapani i przekonałem się, że żyjemy na wyspie. Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem sobie: „Patrz, jeżeli tu też jest morze dookoła jak w Castellammare, no to ziemia musi być wyspą”.

Co to jest Italia? Italia po prostu jest. Mnie się wydaje, że Italia jest wszędzie, nawet tu, w Ucciardone. Tutaj jest więzienie, a przecież i tu jest Italia. A poza tym jest także na Sycylii. Jaka jest różnica między Italią i Sycylią? Kiedy się mówi „Dziennik Sycylijski”, to znaczy dziennik wszystkich tych okolic.

Od kiedy jestem w więzieniu, mam do czynienia z nowymi rzeczami: łóżko z pościelą, koce, materace, poduszki. Czy ja kiedykolwiek miałem coś takiego? Wiem, że urodziłem się we wsi, bo mi o tym mówili, matka też o tym mówiła. Domy to widywałem z zewnątrz, z daleka, po co bym miał wchodzić do środka? Przecież nie byłem właścicielem! Kiedy przyszli po mnie żandarmi, złapali mnie wśród krów, a gdy ich zobaczyłem, chciałem uciekać.

Króliki to umiem łapać gołymi rękami, latem, kiedy się I chowają wśród kamieni. Obdzierałem je ze skóry, wyrzucałem wnętrzności i skórę i piekłem na ogniu. Tak po prostu, bez soli ani oliwy. Skąd miałem wziąć oliwę? Brałem dwa kamienie, uderzałem o siebie i iskrą zapalałem ogień. Królika kładłem na ogniu i kiedy widziałem, że przypieka się trochę z jednej strony, przypiekałem go z drugiej, a potem zabierałem się do jedzenia. Czasami nawet jadłem na surowo. Tak samo ślimaki, razem ze skorupką; ryby płaszczyki; żaby, tylko tam, gdzie była woda. Zdzierałem

z nich skórę i piekłem na ogniu. Na wilki zastawiałem sidła przed legowiskami. Trafiały się małe, trafiały się i duże. Jednego razu złapałem wilka takiego wielkiego, że mnie ugryzł w plecy; więc złapałem kamień i rozwalilem mu łeb.

Jadłem też dzikie psy, jeżeli udało się je schwytać. Rzuciałem nimi o ziemię tak długo, aż zdechły. Potem zlatywały się kruki i chciały jeść, a ja odpędzałem je kamieniami. Wypijałem też jajeczka szczygłów i rudzików. Zakładałem sieci przed kryjówkami jeżozwierzy, one są smaczne. Jadłem nocą, wszystko zjadałem przez jedną noc. Chleba nie miałem.

W więzieniu, w Colombai, zaczęli mnie uczyć czytać. Przynieśli jajko i nauczyli mnie „o”. Potem takie „o” z laseczką, co się wymawia „a”. Potem „u”, tak jak ryczy krowa, „muuu”... Potem „e”. Potem „i”. I koniec.

Jak chciałbym, żeby wyglądało moje życie? Zajmować się zwierzętami. Umieć liczyć. Znać się na pieniądzech. Urządzić się, kupować rzeczy i sprzedawać je, zarabiać na tym. Kupić na przykład buty za sto lirów, a sprzedać za dwieście. Ile kosztuje para butów? Od urodzenia miałem cztery pary butów. Kiedy mój ojciec wyszedł z więzienia, kupił mi pierwszą parę, potem się zdarły, więc kupił mi drugą parę. Te gumowe przyniósł mi teraz kuzyn w czasie procesu.

Czy jest sposób na to, żeby dobrze żyć? Owszem, jest sposób, żeby dobrze żyć. Jaki? Gdyby zburzyć wszystkie koszary, byłoby lepiej. Ktoś powiedział, że wtedy byśmy się wszyscy pozabijali. Owszem, zabijaliśmy się, ale rozsądnie: zabijalibyśmy tych, którzy na to zasługują; tych, co czynią zło. Niechby nie został po nich nawet popiół.

Jaka jest różnica między górami a życiem tu w mieście? Ja zdziżałem i jeśli zejdę do miasta, mój los nikogo nie będzie obchodzić. Za bardzo się różnimy. Ten, co mieszka w mieście, umie czytać i pisać, może się urządzić, umie zachowywać się wobec ludzi. Człowiek z miasta spotyka ludzi, w górach nie spotyka się nikogo. Być razem z ludźmi to pięknie, ale dla takiego, co umie mówić. Tego, kto nie umie się zachować, wyrzucają kopniakami, zabijają. Robią mu krzywdę, aresztują, wsadzają do więzienia, wysyłają na ze-

sianie. Biedak nikogo nie obchodzi, a bogaty, ważny, obchodzi wszystkich. To ich powinno się zabijać, a nie nas, biedaków.

Gdybym mógł robić to, co chcę, chciałbym się uczyć i pisać, ale chciałbym zawsze żyć wśród zwierząt. One są nieme, brakuje im słów. Ja o wiele łatwiej porozumiewam się z krowami, owcami, kozami niż z ludźmi. Krowa, jeśli dbam o nią, przynosi mi pożytek, daje mleko; ja ją szanuję, a ona mnie. Tymczasem ludzie nie przynoszą mi pożytku, a jedynie wykorzystują. Z tymi zwierzętami, krowami, owcami, kozami, to ja umiem postępować; a tymczasem z ludźmi nie, bo nie umiem się zachować. Zwierzęta zawsze były dla mnie lepsze niż ludzie. Niektóre zwierzęta chodziły wciąż za mną. Miałem jedną kózkę i jedno jagnię, które chodziły za mną, gdzie tylko się ruszyłem. Karmiłem je nawet chlebem, jeżeli miałem. Ja je kochałem, a one chodziły za mną krok w krok. Gdzie ja, tam one. Ja lubię towarzystwo, ale nie takie towarzystwo, gdzie się wzajemnie nienawidzą. Również wśród zwierząt istnieje nienawiść. Mnie nienawidził jeden byk i jedna krowa, która kopała, chodziła żreć figi i nie chciała mnie słuchać; i jeszcze jedna, żarłoczna, która wciąż uciekała, żeby więcej zjeść. Ale zwierzęta, nawet jeżeli nienawidzą, to i tak są lepsze od ludzi. Krowy dają się łatwo oswoić, a jeśli się nie dadzą oswoić, to się je sprzedaje albo zabija. Sprzedaje się taniej, jeżeli zwierzę jest fałszywe, zdradzieckie. Z ludźmi jest bardziej niebezpiecznie, bo jeśli odkryją — przypuścimy, że ja zabiłem ciebie albo ty mnie — to musi się za to zapłacić. Krowy nie są w stanie zmówić się między sobą, żeby mi zrobić krzywdę, żeby mi nie pozwolić jeść, nie pozwolić żyć na swobodzie.

Takich przyjaciół, jak ta kózka i to jagnię, nie miałem nigdy. Tak jak one mnie kochały, nie kocha mnie nawet Pan Bóg. Znałem je od urodzenia, sam je wy karmiłem, przywiązałem się do nich, myślę o nich ciągle, chodziły za mną krok w krok. Nie wiem dlaczego, ale tę kózkę i to jagnię kochałem strasznie. Kózka chodziła dookoła, bracia się z nią bawili. I sprzedałem ją później, żeby kupić chleba. Myślałem

nad tym przez miesiąc, bo chciałem mieć i pieniądze, i kózkę. Myślałem: sprzedać czy nie sprzedać? Była biała, z głową w czerwone łaty, od szyi do czubka głowy. Oczy miała jak człowiek, ogonek krótki, owłosiony. Jeżeli ją sprzedam, zostanę sam. Potem zdecydowałem się. Kupiłem kilo chleba, kilo ryb i zjadłem. A w czasie jedzenia wciąż myślałem o tej kóźce. Potem przez dwa dni nic nie jadłem, a tylko myślałem o niej i płakałem. Potem poszedłem do pracy, ale jeszcze dziś o niej myślę.

Matka też mnie kochała. Kiedy wybierałem się w góry, .mówiła, żebym uważał na siebie, nie spadł w przepaść, pracował uczciwie, nie szukał znajomości z takimi, co mogą mi zrobić coś złego. Całowała mnie, gdy odchodziłem daleko, kiedy szedłem z domu na sześć miesięcy. Jeżeli miała chleb, to mi dawała.

Boże Narodzenie i Wielkanoc spędziłem dwa razy w więzieniu; przedtem czasami spędzałem w górach, a czasami w domu. Kino widziałem naprawdę dopiero w więzieniu, przedtem patrzyłem i nic nie rozumiałem: konie biegały, uzbrojeni jeźdźcy pojawiali się raz z tej strony, raz z tamtej. Później zobaczyłem też cyrk, jakaś panienska chodziła po kuli, koń przechodził po wąskiej desce. Pierwszy raz jechałem pociągiem, kiedy miałem jedenaście lat, żeby odwiedzić ojca w więzieniu, w Colombai. Drugi raz to było wtedy, kiedy złamałem sobie rękę spadając z konia. Trzeci raz, kiedy mnie wieźli do więzienia.

Partie? Jest ich chyba trzy albo cztery. Socjaliści, demokracja księży, monarchiści, komuniści. Wszystkim demokratom powinno się uciąć głowy i grać nimi w piłkę. Monarchiści to są bogacze, posiadacze, co trzymają lud za gardło, żeby go wyzyskiwać. Mnie nie podoba się żadna partia, do żadnej nie należę, ponieważ byłem karany. Chętnie bym ich wszystkich postawił pod ścianą. Wszyscy oni to skurwysyny. Adwokat czy sędzia nigdy nie mówią szczerze. Wiem, bo sly₇-szałem, jak ludzie przemawiają.

W Ameryce i w Rosji jest taki sam rząd jak tutaj. Co to jest Rosja? Mała wysepka. Chiny? Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

Siedzę w więzieniu za dwie wiązki siana. Poszedłem zbierać siano na polu, a tam pilnował jeden chłopak. Gwizdnął na alarm i rzucił we mnie kamieniem. Uciekłem. Potem przyszli żandarmi po raz pierwszy. Schowałem się w oborze i słyszałem skukot kopyt końskich, podczas gdy oni macali kijami w nawozie. Chcieli mnie zakuć w kajdanki i zabrać do koszar. Za drugim razem przyszli, kiedy dołem krowy, wzięli mnie między konie i zabrali do koszar. Tam grozili mi no-> żem, bili kijami po plecach, kopali i pisali bez pióra; stuk- - stuk, nie wiem, co to było. Potem kazali mi zrobić krzyżyk i puścili. Ale po czterech miesiącach przyszli znowu i zawieźli mnie do więzienia, do Colombai. Potem był proces i skazali mnie na cztery lata i dwadzieścia dni. Domagali się sześciu lat. Pytali mnie, czy się będę odwoływał. Ja płakałem tak, że nic nie widziałem na oczy. I teraz siedzę tu, w Ucciardone, i czekam na apelację, ale strona poszkodowana nie zgłasza się.

Opowieść drobnego dzierżawcy

Latyfundium Tudia, na granicy prowincji Palermo, od dawien dawna należało do niejakiego kawalera G.: miało tysiąc salm * powierzchni. Po jakimś czasie właściciel wydzierżawił połowę adwokatowi D., połowę kawalerowi P.

Dzierżawcy musieli płacić za salmę ziemi: 40 tumuli bobu albo ziarna, 4 tumule na lampkę do kościoła, 1 tumul na utrzymanie dróg dojazdowych i 1 tumul dla polowego; ponadto prezenty, które dawało się administratorowi ładującemu plony i odwożącemu je do właściciela, oraz prezenty dla policji.

Te lepianki zostały zbudowane przez dzierżawców, kiedy my byliśmy jeszcze mali. Każdy dzierżawca musiał płacić właścicielowi daninę z dziesięciu kurcząt rocznie w zamian za zezwolenie na mieszkanie w lepiance. A bardzo często właściciel rościł sobie prawo do tego, żeby dzierżawcy posyłałi swoje żony do niego na służbę, jeśli zdarzyło się, że przyjechał do Tudii.

Dzierżawców było blisko dwustu. Kiedy rano, około czwartej, przychodzili wszyscy po ziarno i widzieli, że otwierają się drzwi na balkon, to szybko się odsuwali, bo wiedzieli, że właściciel ma zwyczaj siusiać z balkonu. Mogą to poświadczyć dziesiątki innych. Gdyby zrobił tak jakiś chłop, byłby publiczny skandal.

Don Eugenio hodował razem z kurami pawie. Księżę S. również trzymał pawie na dziedzińcu ze względu na wielko- pański charakter tych ptaków i splendor, jaki nadają właścicielowi. Za każdym razem, kiedy dzieliło się plony, dzierżawca musiał się udać, tak jak i dziś, do dworu właściciela, żeby dokonać obliczeń. Jeśli przypadkiem, a bywało tak często, któryś z dzierżawców uznał obliczenia właściciela za niesprawiedliwe i wnosił reklamacje, tamten wstawał z krzesła i mówił: „No to do widzenia, do widzenia”.

Obecnie kupili tę posiadłość spadkobiercy D. Raz był tu pożar i spaliło się pięć lepianek, a później co jakiś czas znowu któraś.

Ja przybyłem do Tudii w roku 41 i zamieszkałem w domku dzierżawnym jako posiadacz sześciu sztuk bydła. Uzgodniliśmy z właścicielem wartość zwierząt i dzierżawę połowiczną. Tymczasem po paru miesiącach doszło do ponownego szacowania zwierząt i wyceniania według jego widzimisie, przy czym on mi groził, że jeżeli się nie zgodzę, to każe mi zabrać zwierzęta ze swojej ziemi. Ponieważ nie miałem się dokąd wynieść, zmuszony byłem się podporządkować.

Następnej wiosny, kiedy zbliżał się podział paszy, on zażądał o kilka procent więcej, na co ja, zgodnie z prawem, nie chciałem się zgodzić. Pewnego pięknego dnia przychodzi wy-mówienie. Mnie nie było akurat w domu. Po powrocie znajduję żonę zmartwioną: „Patrz, co ci przysłał właściciel”. Nie miałem pojęcia, do kogo się zwrócić, gdyż nie wiedziałem nic o związkach zawodowych. Ale rozmawiając z różnymi ludźmi dowiedziałem się, że w Petralia Sottana jest partia, która może dać mi wskazówki, jak się mam bronić. Wsiadłem więc na konia i jadę do Petralii — sześć i pół godziny jazdy. Zapytałem tam, kto zajmuje się z ramienia partii udzielaniem porad. Był tam wtedy syn młynarza, młody student.

Kiedy mu opowiedziałem całą historię, posłał mnie do doktora B. Doktora nie zastałem w domu, odbywał wizyty w okolicznych wsiach, więc czekałem około dwóch godzin. Natychmiast po powrocie zauważył, że jestem obcy, i zaraz zapytał mnie uprzejmie, czym może służyć. Kiedy mu opowiedziałem o wymówieniu otrzymanym od właściciela, powiedział: „Niech pan na razie nie rusza się stamtąd, choćby przysłali batalion policji. Ja napiszę do Palermo i powiadomię pana dokładnie, jak ma pan postępować”. Poprosił mnie o adres, pożegnaliśmy się i wróciłem do Tudii.

28 czerwca byłem w Petralia Soprana z okazji jarmarku na świętego Piotra i dowiedziałem się, że istnieją urzędowe manifesty na temat podziału plonów, podpisane przez ministra rolnictwa Gullo. Po powrocie do Tudii spotkałem się ze wszystkimi dzierżawcami, tłumacząc im, że istnieje prawo, którego nie można lekceważyć, obwieszczane publicznie na murach. Parę takich manifestów przywiozłem ze sobą i rozwiesiłem, aby wszyscy wiedzieli, że plony należy dzielić w stosunku 60 do 40.

Krótko przed żniwami właściciel, który nigdy dotąd nie interesował się młócką, przyjechał do Tudii i kazał młócić. Paru dzierżawców było gotowych do młócki, a skoro tylko oczyścili ziarno, właściciel przystąpił do podziału według starego systemu. Dzierżawcy powiedzieli: „nie”. Wtedy zaczął im grozić policją, mówiąc, że jeśli nie zgodzą się na podział, jakiego on sobie życzy, każe ich wszystkich aresztować. Dzierżawcy przyszli do mnie (dzierżawcy z latyfundium L. także), a ja im dodawałem odwagi. Żeby być pewniejszym swego, pojechałem do Petralii razem z nimi (konno trzynaście godzin jazdy tam i z powrotem) do towarzyszy N. i L. Przenocowaliśmy w Fontanelle, na szczycie góry, gdzie stoi obora. Nazajutrz tamtejszy dzierżawca poczęstował nas mlekiem i udaliśmy się do dworu właściciela. Było dużo ludzi, ze trzystu chłopów i dzierżawców. Ja przyszedłem ostatni i zaraz po przyjeździe chłopci poinformowali mnie, że towarzysze poszli rozmawiać z właścicielem; Ale widziałem w nich powątpiewanie; sądzili, że będzie tak samo jak zawsze, kiedy przywódcy stawali się narzędziem w rękach właścicieli

Ja ich uspokajałem-; mówiłem, że trzeba mieć zaufanie, że to są ludzie świadomi i uczciwi, broniący interesów klasy pracującej, którzy nie dadzą się nikomu przekupić. Przepycham się do przodu. Właściciel widzi, że się zbliżam, i wychodzi mi naprzeciw. Wyciąga prawą rękę serdecznym gestem, a lewą klepie mnie po plecach i słyszę, jak półgłosem mi mówi: „Santo, bądźmy ludźmi!” W sali brygadier policji mówi: „Słuchaj, właściciel jest skłonny dzielić się na pół, a później oddać wam resztę, gdyż obecnie trwają dyskusje na ten temat między Aldisio a ministrem Gullo. W przeciwnym razie musielibyśmy czekać z podziałem na rozstrzygnięcie -sporu”. Odpowiedziałem: „Droży towarzysze, ten szlachetny pan nie jest zainteresowany podziałem pól, bo ma miliony w banku. Zainteresowani jesteśmy my, którzy za tę odrobinę musimy wyżywić nasze rodziny”.

Wtedy właściciel do mnie: „Jak to, nie macie do mnie zaufania?” A ja na to: „Nie”. Przecież nie mogłem mieć do niego zaufania, bo już niejednokrotnie w momencie podziaty zdarzało się, że on brał więcej i uznawał, że powinien mi to zwrócić. Ja przychodziłem wiele razy do dworu, a on wciąż szukał wymówek; to nie miał klucza od spichlerza, to miał co innego do roboty, a ja chodziłem po sześć kilometrów tam i z powrotem, wracając wciąż do domu upokorzony, tak jakbym prosił o jałmużnę.

Wtedy on mnie pyta: „Otrzymałeś wymówienie?”

Owszem, tak. A czy zechce pan wyjaśnić przed tymi panami, z jakiego powodu posłał mi pan wymówienie?” On odpowiada : „Jesteś dobry chłopak, ale nie mogę zmieniać zwyczajów!”. Ja na to: „Bardzo mi przykro, że nie mogę pana zadowolić. Ale Santo S. pozostanie w Tuddii tak długo, dopóki prawo na to zezwala”.

Wyszedłem, a on stanął na balkonie, mówiąc wobec całego tłumu chłopów, że możemy dokonać podziału pod warunkiem, że on dopiero po rozstrzygnięciu sporu Aldisio- -Gullo zwróci dzierżawcom, gdyby coś więcej im się należało. Poprosiłem o głos i powiedziałem: „Możemy doskonale dokonać podziału 60 do 40. Zresztą to, co mamy do prowizorycznego podziału, to niewiele w porównaniu z tym, co

zostaje jeszcze do wymłócenia". On odpowiada „Nie”. A ja mu na to, że my nie tylko nie dokonamy podziału, ale nie _] będziemy młócić pozostałości, dopóki nie ustalimy, że prawo będzie respektowane. Przyznaję ze wstydem, że w końcu wszyscy mu ustąpili, ale w obliczu grózb z jego strony.

Kiedy w roku 47 był strajk powszechny, ludność — zrozpaczona, że musi oddawać UPSEA * ziarno, którego nie mia- 2a — wykorzystwała demonstrację strajkową, aby wdrzeć się do ratusza i zdemolować biura UPSEA, podpalając kartoteki. Ja interweniowałem, żeby uspokoić ludzi i nie dopuścić do nieszczęścia, ale policja zatrzymała dwudziestu z nas i aresztowała. Osiemnaście miesięcy rodzina była na wsi beze mnie. Potem proces i apelacja: skazany na cztery miesiące. W czasie, kiedy siedziałem w więzieniu, właściciel terroryzował moją rodzinę. Chciał ich wyeksmitować, obiecywał, że jeśli się wyniosą, to on jest gotów dać im sto tysięcy lirów. Ale moja żona nie zgodziła się na to.

Rok później przy sianie zaczęło się od nowa. Zawsze ta sama historia w momencie podziału. Nowy właściciel, don Vittorio, nie chciał respektować prawa. Kiedy skończyliśmy młócić bób, ja i kilku innych dzierżawców zażądaliśmy podziału zgodnie z prawem. On nie chciał się na to zgodzić. Poprosiłem o interwencję przywódców ze stolicy prowincji i pojechałem do Caltanissetta, aby opowiedzieć towarzyszowi Toto A., jak się sprawa przedstawia. W tym czasie zatelefonował mój syn, mówiąc, że właściciel wynajął chłopów | Modiki, żeby mu wymłócili bób i zebrali zboże w snopy do młócki. Wracam do Tuddii i dowiaduję się, że przyjechała ciężarówka z policjantami. Nazajutrz przybywa do Tuddii towarzysz Toto A. i po paru minutach robimy zebranie wszystkich dzierżawców. Nadchodzi brygadier z policjantami i wzywa towarzysza A., żeby rozwiązał zebranie, bo jest nielegalne. Ten mu odpowiada: „Szanowny brygadierze, niech pan będzie tak uprzejmy, odejdzie i nie przerywa nam zebrania. Jeżeli pan uważa, że jest nielegalne, niech pan złoży na mnie zażalenie”.

Minęło pół godziny. Skończyliśmy już zebranie, gdy przybył komisarz żandarmerii z ciężarówką pełną funkcjonariuszy. Poprosiłem go, żeby wszedł do mojego domu, a towarzysz A. powiedział: „Nie chodzi o to, że chcemy być nieprzejednani, że żądamy przestrzegania prawa w całej rozciągłości, ale przynajmniej cokolwiek...”

Dnia 13 lipca o godzinie czwartej udaliśmy się do prefektury, ale nie przeprowadziliśmy żadnej rozmowy, ponieważ właściciele się nie stawili. Chłopi oczekiwali z niecierpliwością pomyślnych wiadomości. Przyjeżdża samochodem Don Vittorio z brygadierem. Właściciel mówi do mnie na uboczu: „Swoją część zabierz, a tamtych zostaw, niech się sami martwią”. Odpowiedziałem, że najpierw niech załatwi z nimi, a ja dam sobie radę sam. Miał minę pewną siebie, więc mu powiedziałem: „Pan jest pewny siebie, bo ma przy sobie takich z policji, co zamiast pilnować przestrzegania prawa, popierają pańskie interesy”. Oni odjechali, a ja wróciłem z dzierżawcami.

Po paru minutach wrócił samochodem szofer właściciela i powiedział, że brygadier chce ze mną rozmawiać. Ja odpowiedziałem: „Nie mam obowiązku się stawić, ale ponieważ mam czyste sumienie, więc pojedę”. Po przybyciu na miejsce brygadier mówi do mnie: „Dlaczego pan, panie S., tak się wyraził?” Odpowiedziałem: „Bo pan udowodnił, że jest tak, jak mówię”. W tym czasie właściciel zaprasza nas do gabinetu, gdzie od nowa omawia się całą historię. Potem pokazuje się kucharz i zaprasza na kolację. Ja chciałem już sobie pójść, ale właściciel mówi: „Chciałbym, żebyś zjadł razem ze mną kolację”. Więc się zgodziłem, a on zachowywał się jak kamerdyner, mówiąc: „Jedz, Santo, pij Santo, jesteśmy przecież przyjaciółmi”, i klepał mnie po plecach namawiając do jedzenia i picia. A mnie chciało się śmiać, bo on nie zwykł dotychczas nikogo traktować w ten sposób; przeciwnie; ile razy potrzebował kogoś do przeniesienia ziarna z jednego spichrza do drugiego, nie raczył dać mu nawet szklanki wody.

„Jedz, Santo, pij, Santo. Ja cię lubię — i mrugał do ranie. — Staraj się być rozsądny, w przeciwnym razie bę-

dziesz zdrajcą własnej rodziny. Nawet jeżeli zabierzesz w całości swoje plony, nie będzie mnie to obchodziło. A jeżeli ci nie wystarczy, to ci jeszcze dodam". Ale ja uważałem i nie piłem wina, żeby nie dać sobie zawrócić w głowie. W czasie, kiedy jedliśmy, administrator przygotowywał na maszynie protokół. Zaraz po skończeniu kolacji przeszliśmy znów do gabinetu, właściciel podpisał papier i podał mi. Przeczytałem i rzuciłem na stół, pod nos właścicielowi: „Nie podpiszę! Nie może mnie pan zmusić do podpisania! Ja miałbym upoważniać właściciela do wzięcia czterech świadków, zebrania plonów w całości i umieszczenia w swoim spichrzu!" Wyszedłem. Krzyczeli za mną: „Niech pan poczeka, jest samochód".

Znalazłem chłopów zebranych. Administrator przejeżdżał samochodem z workami. Brygadier przybył na miejsce, gdzie byliśmy zebrani, i zwrócił się do mnie: „Panie S., kto pana upoważnił do zorganizowania tego zebrania?" Ja odpowiedziałem: „Prawo Republiki Włoskiej". Potem razem z chłopami udaliśmy się na klepisko, gdzie zastaliśmy administratora, który zdążył już napełnić dziewięć worków bobu. Pytam go: „Kto ci zezwolił na wsypywanie do worków?" Nie odpowiedział. Wołam więc syna, Giuseppa, i mówię mu: „Bierz sakwy i worki, będziemy dzielić według prawa". Zaledwie napełniliśmy pierwszą miarkę, brygadier policji oddalił się uprzedzić właściciela. Ten natychmiast udał się do komisarza żandarmerii donieść, że w obecności świadków zabraliśmy się do dzielenia w stosunku 60 do 40.

Koło godziny dwudziestej przybył na miejsce komisarz z ciężarówką pełną żandarmów. Żandarmi otoczyli dom, wzięli nas czterdziestu i wsadzili na ciężarówkę. Zawieźli nas najpierw do koszar w Resuttana, a nazajutrz do aresztu. Wieczorem przesłuchał nas sędzia. Po tygodniu uzyskaliśmy warunkowe zwolnienie. Potem był proces i zostaliśmy uniewinnieni.

Po tygodniu, kiedy trzeba było przystąpić do podziału ziarna, znów ta sama historia — i dwadzieścia osiem dni więzienia. Drugi proces i uniewinnienie: brak znamion przestępstwa. Skończyło się na tym, że w następnym roku do

konało się wreszcie podziału w stosunku 60 do 40. Ale tylko jednego roku, bo jestem zanadto samotny; słaby i osamotniony. Robiliśmy zebrania, mówiłem: „Uważajcie, bądźcie przezorni, bo będą aresztować w pierwszym rzędzie mnie”. Odpowiadali, że dopóki chociaż jeden człowiek jest na wolności, walka będzie kontynuowana. A potem, tyle razy, w obliczu siły żandarmerii i policji dawali się zastraszyć i mó-i wili do właściciela: „To Santo winien, trzeba by uciąć mu głowę, to on podżega do wszystkiego”. To nie znaczy, że ludzie nic nie rozumieją. Każdy ci powie, jeżeli o to zapytasz: „Nie ma jedności”.

I tak życie idzie naprzód. Pracuje się średnio przez dziewięćdziesiąt dni w roku. Kiedy nie ma pracy, chodzi się zbierać lebiodę, kapary, dziki koper, cykorię, zależnie od sezonu.

Kiedy nie ma nic do roboty, życie jest gorzkie.

W TUDI, TURRUME, ARCII

Tudia: dwór właścicieli, posterunek policji z 8 ludźmi, chwiejny domek służący za szkołę —» bez ubikacji, dzieci przynoszą stołki z domu; kościółek używany jest „tylko wtedy, kiedy przyjedzie pani”; 39 lepianek, w których ludzie mieszkają zimą i latem.

We wnętrzu lepianek: z jednej strony miejsce dla zwierząt, ale latem niektórzy zostawiają część zwierząt na zewnątrz; jedyne drzwi o wymiarach około 1,6 na 0,8 metra wychodzą na południe; pośrodku małe palenisko w ziemi, ale słomiany sufit nie ma ujścia dla dymu. Śpi się na słomie na ziemi albo na siennikach, położonych na deskach opartych na słupkach wkopanych w ziemię. Przykrycia zszyte ze szmat, nie pozbawione pewnych walorów estetycznych.

Zawieszane na rozpiętych sznurach worki z ziarnem i trochę ubrań „amerykańskich”. Przed paroma lepiankami kwiaty w wazonie. Jedna z rodzin ma radio na baterie. Wszyscy nadzwyczaj czysti, grzeczni.

Lepianki stoją jedna obok drugiej co kilka metrów na południowych stokach gór, co osłania je od wiatru. Do wysokości około metra zbudowane są z kamieni zmieszanych z błotem, gnojem i słomą; wyżej wznosi się pod silnym nachyleniem słomiany dach.

W Arcii tamtejsze rodziny żyją przez większą część roku

w 25 lepiankach; zimą część przenosi się do okolicznych wiosek.

W Turrume 30 lepianek zamieszkałych jest tylko przez kilka miesięcy w roku.

50 rodzin ankietowanych (25 w Tudii, 8 w Turrume, 17 w Arcii), łącznie 218 osób, zamieszkuje 44 lepianki; mieszczą się tam ponadto 53 muły, 3 konie, 2 osły, 8 kóz, 1 wieprz, psy i kury.

Zawód mężczyzn: 39 dzierżawców-połowników (od 3 do 6 hektarów), 8 robotników rolnych, 2 pasterzy.

Dzieci na ogół chodzą do szkoły: 28 — chodzi, 3 nie. Spośród mężczyzn 24 chodziło trochę do szkoły, 25 w ogóle nie. Z kobiet 28 tak, 17 nie. Średnia: 1,9 klasy na osobę.

Podłogi: 28 — klepiska, 9 z płytek kamiennych, 5 na pół ziemia" i kamienie albo cegły

Naczyn kuchennych prawie się nie spotyka, kilka rodzin używa tylko puszek po sosach. Często jako krzesła służą kamienie albo kawałki drzewa.

Do najczęstszych chorób należą: ciężki reumatyzm (15), malaria (11), gorączka maltańska (9).

Opowieść z walącego się domu

Niech pan siedzi spokojnie. Dzisiaj nie zginiemy. Dziś Bóg czuwa nad nami.

Trzy razy opuściliśmy ten dom z powodu osuwania się ziemi. Z nakazem ewakuacji. Zaczęło się to już w roku 35. Zarysowała się ziemia, podłoga. Potem przyszła kolej na ściany, drzwi przestały się zamykać, bo mury się przesunęły, cały dom się przesunął. Jednego tygodnia podłoga się podniosła, było to przed urodzeniem się córki Piny, ściana pękła. Dach zaczął się walić. Podobnie w innych domach; ściany wyrzuszały się na zewnątrz, do środka, we wszystkie strony. Wypadło to w zimie, miałam troje dzieci, uciekliśmy i schroniliśmy się u ojca.

Zwróciliśmy się do rady gminnej; gmina przysłała inży-

ni era budowlanego, który stwierdził osuwanie się ziemi, § sporządził nakaz ewakuacji i kazał nam opuścić mieszkanie, bo był za to odpowiedzialny. Cała dzielnica się poruszyła, domy pozawały. Potem w czerwcu naprawiliśmy chałupę jako tako i we wrześniu wróciliśmy; nie mieliśmy § środków, by znaleźć inny dom gdzie indziej.

W roku 40 znowu: podłoga popękała i uniosła się. Tym razem odpadł kawał ściany. Miałam czworo dzieci, troje mi było małe. W lutym dostaliśmy nakaz ewakuacji, bo przyszli inżynierowie i powiedzieli, że nie biorą na siebie odpowiedzialności. W marcu opuściłam mieszkanie i wynajęłam inne: mąż mi umarł, zostałam z czworgiem dzieci. We wrześniu co mogłam; lu zurgaiizowałam: wzięłam polisę oszczędności i znowu naprawiłam chałupę. Potem co roku, kiedy tylko więcej padało, domy się zarysowywały; w latach suchych mniej. Nie mając gdzie się podziać, wciąż mieszkamy tutaj. Wyprowadzamy się i znowu wracamy. Co roku domy przesuwają się centymetr po centymetrze, już przesunęły się o dwa metry. Dom położony wyżej popycha dom niżej i obsuwają się wszystkie. Nawet druty elektryczne przesuwają się, pękają, w miarę jak domy zmieniają miejsce; wiele razy siedzieliśmy po ciemku z powodu osuwania się ziemi. Drogi się niszczą, pęka kanalizacja tam, gdzie jest. Zapadają się nawet całe domy.

Sieje się ziarno, ale w niektórych miejscach ziemia osuwa się i zboże nie wschodzi; ziemia nie tylko pęka, ale rozstepuje się i zapada. Pękają nawet rury doprowadzające wodę, jak u wuja Vmcenzo i tylu innych. Nie zapada się wszystko od razu. Gdy widzi się niebezpieczeństwo, ucieka się. A nocą? Mój syn spał w tym miejscu, kiedy w zeszłym roku zaczął odpadać tynk, więc uciekł. Zwierzęta, kiedy czują, że ziemia się osuwa, grzebią, tupią nogami; czują niebezpieczeństwo pod nogami. W roku 40 spałam, ale muły zaczęły grzebać, opadał tynk, więc uciekłam w pole. Śmierć jest straszna, każdy boi się umrzeć, zwierzęta też. Mamy w domu telefon bez drutu. Nie możemy kraść, bo widać na wylot przez szpary. Czasami rozmawia się ukradkiem, nie można porozmawiać swobodnie, bo widać i sły

chać wszystko. Wieczorem, nawet gdyby nie było światła, to jest widno od światła z zewnątrz. Kiedy ktoś się rozbiera, z innych domów podglądają. Czasami wieczorem zastawia się stół do kolacji, a tu wstrząs i kawał tynku z sufitu wpada do talerza, i tak jemy.

Kiedy jest wiatr, domy chwieją się jak człowiek z osłabienia. Są słabe, chwieją się, drżą. Kiedy jest duży wiatr, bywa, że wychodzimy z domów albo zasłaniamy oczy ręką ze strachu i pozostajemy tak na łasce boskiej. Nocą, jeśli jest wiatr i ściany się chwieją, to czasem siedzę i modłę się do świętej Rozalii, żeby wiatr się uspokoił. Dym przenika z jednego domu do drugiego. Ciągłe naprawiamy i wciąż jesteśmy w tym samym punkcie. Tutaj podłoga była równiutka, a teraz nie można postawić nawet krzesła, wszędzie góry i doły. Jeszcze dwa lata temu wszystko było naprawione na nowo; kuchnia, podłoga, ściany, wszystko. A potem zaczęło się od rysy w jednym miejscu, potem w innym, tak już od marca, a teraz znowu przysłali nam nakaz ewakuacji. Co roku ludzie opuszczają domy. Osuwisko jest tu, naprzeciw. Nad nami jest taka skalista góra, nazywa się Ilice. Przedtem woda miała z niej odpływ od strony Toto Battaglia; potem tam zamurowano i woda zamiast płynąć w pole, spływa do wioski i wszystkich nas rujnuje. Woda nie ma ujścia; my znajdujemy się niżej i woda spływa na nas, potrzebne są odpływy dla tej wody, zanim dotrze do wioski. Jest tu około dwustu czterdziestu domów, które się osuwają, cała dzielnica świętej Rozalii. Osuwa się cała dzielnica, osuwa się cała góra, ludzie szmerzą, chodzą do rady gminnej protestować, ale każdy myśli tylko o sobie. Ziemia osuwa się w dalszym ciągu.

Chodzi się do rady gminnej na skargę przede wszystkim po to, żeby unieruchomić osuwisko, poza tym, żeby pomogła nam w naprawie domów. Odpowiadają: „Dzisiaj, jutro, pojutrze”, o nas nie myślą. Kiedy zbliżają się wybory, mówią: „Macie, to klucz od nowego domu”. A kiedy nie ma wyborów, mówią: „Musicie się wyprowadzić”. „Dokąd mamy pójść?” — mówi na to ludność. „Dacie sobie jakoś radę, choćby pod gołym niebem”. Przychodzą inżynierowie, wła-

Hdzejlitują się: „Biedacy, biedacy”, a kiedy dom jest w nie- bezpieczeństwie, mówią: „Musicie się wyprowadzić”, ale nie znajdują nam schronienia. Tak jak z osuwaniem się ziemi, tak samo jest we wszystkich sprawach: „Gmina jest biedna, nie ma pieniędzy, ma tylko długi”.

My, biedacy, nic nie rozumiemy z tego, co się dzieje na świecie. Ci, którym się dobrze powodzi, czytają sobie o tym w gazetach. Kiedy dzieje się coś ważnego lub kiedy stało się nieszczęście, czasem handlarze coś opowiedzą. Jest też w dzielnicy jedna baba i druga, co kupują gazety, więc któraś z nas bierze od niej, siadamy i jedna nam czyta. Ja mam krewnego w Palermo, to mi czasem przyniesie jakieś nowiny, na przykład, że ktoś pobił się z żoną, ktoś wyskoczył z pociągu. Tu we wsi jest prawie trzydzieści osób, którym się rozum pomieszał z osłabienia i ze strachu. Zeszłego tygodnia, w sobotę, jedna kobieta rzuciła się na dół z góry Ilice. Zawaliło się pół ściany i tak się wystraszyła, że siedziała uczepiona okna. Od tego strachu pomieszał jej się rozum. Mamy tu jednego przy sąsiedniej ulicy, co krzyczy, krzyczy, potem przez parę godzin siedzi cicho i potem znów krzyczy, a czasami mówi rzeczy bez związku: „Musisz umrzeć, jadłeś ludzkie mięso!” I tak krzyczy, krzyczy, aż rodziny mieszkające obok muszą go zamykać.

Mężczyźni pracują po dwa, trzy miesiące w roku. Kiedy nie pracują, biorą na kredyt, potem robią rachunek... i czasami sklepikarz nie chce im już dłużej dawać. Więc idą w pole zbierać zieleninę i potem sprzedają: koper, cykorię, sałatę; jeżeli znajdą. To są rośliny, co rosną same, a mimo to właściciel żąda czasem od strażników ziemskich, żeby nie pozwalali ludziom wchodzić na jego grunty. Ślimaki sprzedaje się na miarki, tutaj nie znamy się na wadze. Kobiety łupią migdały, czasami próbują zająć męskich albo prze* bierają soczewicę, zbierają wykłoszone ziarno zboża i bobu. (...)

Co jakiś czas w nocy wszyscy uciekamy. Ktoś krzyczy, inni to słyszą, oblatuje ich strach i uciekają bliżej jak ściana. Belki stropowe wysuwają się ze ścian, urywają się; w każdej chwili żyjemy pod strachem, że ściana zwali się nam

na głowę. W wigilię świętego Józefa runął jeden dom, już czwarty z kolei. Jedna dziewczynka od sąsiadów widziała ten straszny wypadek. Widziała, jak rozstępowały się kamienie, ludzie krzyczeli: „Ojej, dom się wali, ojej, dom się walił”, kot uciekł i huup... w jednej chwili cały dom się zapadł.

Drzwi robią się coraz węższe i węższe, kiedy już nie da się ich zamknąć, przychodzi cieśla. A potem znów z jednej strony robi się dziura na szerokość dłoni... Onegdaj śniło mi się, że drzwi zrobiły się tak wąskie, że musiałam wychodzić oknem. Zwykle nie śpimy, słyszymy, jak trzeszczą mury, kiedy się rozstępują. W nocy cegły pękają, zapalamy światło i oglądamy. Potem gasimy światło i czuwamy; wstajemy w nocy dwa, trzy razy. Zimą sypia się mało. Płynie woda, przesuwa się my i nasze domy, wszystko się przesuwa. Ludzie robią alarm, ale każdy zajmuje się swoimi sprawami. Jeden, co umie pisać, napisał dla wszystkich podanie, każdy zapłacił mu za to po sześćset lirów. Podpisaliśmy się wszyscy i posłaliśmy je do prowincji, do regionu, do rządu. Dopytywałam się później, ale nikt nic nie wie, żadnej reakcji. Parę miesięcy temu przyjechał poseł P. i powiedział, że ziemia się już nie osuwa. A do Antonina i do innych przyszło pismo. (Wychodzi i po paru minutach wraca z pismem). Oto ono:

Republika Włoska Region Sycylijski Prezydium A.E.L.

Div. III n. di prot. 22 589 Pan Todaro Antonino, syn Franciszka Alia, uL Savoia

W związku z podaniem Pana o zapomogę informujemy, że czynniki kompetentne po zbadaniu sprawy zaopiniowały, że ruchy ziemi dostrzeżone przy ul. Gorizia w tejże gminie

WPROWADZENIE

Podczas mojej pracy na tych rolniczych terenach zachodniej Sycylii, gdzie wskutek nędzy, analfabetyzmu i bezrobocia mafia zapuściła głęboko korzenie, coraz bardziej zwracało na siebie uwagę zjawisko marnotrawstwa, jego waga, złożoność, absurdalność.

Często jest to dosłowne wyrzucanie na śmietnik. Często — świadomie bądź nieświadomie — nie wykorzystuje się istniejących zasobów. Często zaniedbuje się możliwość stworzenia zasobów nowych; zasoby istniejące nie nabierają wartości, podczas gdy ogromne kapitały marnują się, bo są zamrożone albo źle inwestowane.

Do jakiego stopnia ludność tutejsza zdaje sobie sprawę z tego problemu? Do jakiego stopnia istnieje świadomość, że możliwe jest życie bardziej racjonalne? Do jakiego stopnia czas jest uważany za wartość, za szansę realizowania wartości? Tutaj, gdzie rozwój często nie istnieje albo też jest tak powolny i przypadkowy, że wręcz niewyczuwalny, nasuwa się pytanie, do jakiego stopnia ludzie mają świadomość związków zachodzących między marnotrawstwem — stopniem dojrzałości technicznej i kulturalnej — inicjatywą — ■ organizacją (we wszelkich formach) — zdobyciem wartości? Jakie konkretne kształty przybierają trudności w poszczególnych rejonach? (...)

Z tą sycylijską ziemią jest podobnie jak ze ślicznymi, małymi dziewczynkami, których tyle można spotkać tutaj

w zaułkach miast i miasteczek, a których urodę kryją często krosty, psują rozczochrane włosy i rozlatujące się łachmany. A przecież łatwo spostrzec, że gdyby wzrastały w dobrych warunkach, po kilku latach ich twarze stałyby się inteligentne, szlachetnie wyraziste; i widać, jak w obecnych warunkach te twarze więdną i brzydą.

Jak to często bywa w rejonach zacofanych, mimo inteligencji i dobrych chęci ludzie izolowani w swym zneruchomiałym świecie — pozbawieni instrumentów techniczno- -kulturalno-organizacyjnych, dzięki którym mogliby osiąść wiedzę, jak mają pracować, co mają robić, aby postępować naprzód — są bezsilni, zaś ziemia i życie, wskutek tej ich niemożności, wydają się wciąż jedynie bolesnym chaosem. Niektórzy uciekają stąd; inni w pewnym stopniu uświadamiają sobie sytuację; jeszcze inni posiadają tę świadomość, ale cofają się wobec ogromu trudności i niebezpieczeństw. Są i tacy, którzy dostrzegli, że marnotrawstwo, i to ogromne marnotrawstwo, istnieje i że należy je likwidować konkretnym działaniem, dzień po dniu, jednocząc się dla stawienia czoła konkretnym problemom. Ale ich głosu albo nie chciano słuchać, albo też zostali zamordowani. Największe, najbardziej skandaliczne marnotrawstwo: osuwanie się ziemi — mówią nie tylko oni — nie jest wszak jakimś demonicznym przekleństwem nie do uniknięcia, lecz naturalnym zjawiskiem przyrody dającym się określić i opanować. (...)

Jak może chcieć zbudować tamę nawadniającą i zabiegać o nią ktoś, kto nie wie wcale, co to jest tama, i nie tylko nigdy nie widział nic takiego, ale nawet nie słyszał słowa „tama”?

Jak można wymagać, by chłopci nie spalali nawozu, jeśli nie znają jego zastosowania i sądzą, że nawóz „brudzi ziemię”? Jak można wymagać, by chłopci stosowali nawozy sztuczne, jeśli nie wiedzą, do czego one służą? A przede wszystkim jak można przypuszczać, że chłopci zorganizują się, by wymóc na monopolach obniżkę cen nawozów, dopóki nie poznają ich zastosowania i nie zainteresują się nimi i dopóki nie zrozumieją sensu wspólnego działania?

Jak można domagać się punktualności, poczucia wartości czasu, dopóki nie istnieje poczucie wartości człowieka?

Jak można spodziewać się, że ludność często znieruchomiła od wieków poruszy się, by racjonalnie budować nowe życie, jeśli ta ludność nie wie, że to nowe, inne życie może istnieć? Jak można przypuszczać, że miliony analfabetów będą mogły rozróżniać choćby podstawowe pojęcia i posługiwać się nimi zgodnie z własnymi interesami, dopóki nie nabeżdżą doświadczenia praktycznego bądź teoretycznego?

Skąd miliony ludzi mają wiedzieć, że mogłyby zmienić oblicze ziemi, skoro dla nich taki problem w ogóle nie istnieje, dopóki nie ma nikogo, kto by im pomógł w postawieniu go? Jakim sposobem mają oni działać świadomie i pewnie, skoro nie mogą znać kierunku działania, nie mając do dyspozycji całych ekip odpowiednio przygotowanych ekonomistów, pedagogów, ekspertów od rozwoju społecznego, agrotechników, urbanistów, lekarzy, inżynierów, działaczy związkowych, polityków, itd? Jakim sposobem mają orientować się we własnej skomplikowanej sytuacji, póki nie zaczną myśleć analitycznie, nie nabiorą krytycyzmu w jej ocenie? I jak może zrodzić się świadome i trzeźwe planowanie, region po regionie, jeśli nie poprzez wysiłek zrozumienia i określenia potrzeb całego narodu?

Wszystko to, jak wiadomo, jest sprawą organizacji, ludzi, kompetencji. Najważniejsze — przerwać w jakimś punkcie błędne koło. (...)

Czy w rejonie zacofanym — gdzie pomimo inteligencji i dobrej woli ludności poziom techniczno-kulturalny jest niski, świadomość możliwych rozwiązań niejasna, a inicjatywa rzadka, gdzie najczęściej wybierane rozwiązania są anachroniczne — najpilniejszą sprawą nie jest poznanie i najskuteczniejsze wykorzystanie istniejących zasobów?

Właśnie dlatego, że nie można pozwolić sobie na luksus marnotrawstwa, trzeba koniecznie mieć prawdziwe diagnozy. Jak w każdym dobrym zakładzie pracy trzeba planować organicznie, aby wyeliminować lub przynajmniej ograniczyć do minimum straty, tak tym bardziej w przedsięwzięciu o większej skali konieczna jest koordynacja wysiłków dla

skania największej skuteczności — nazywa się to planowaniem.

Każda zła organizacja, każda wadliwa struktura, każde zapóźnienie techniczno-kulturalne oznacza marnotrawstwo. (...)

Żadnej książce nie uda się wyrzeć takiego wrażenia, wywołać takiego wstrząsu, jaki powoduje bezpośredni, stały kontakt z rzeczywistością (nie mający charakteru epizodycznego, na poły turystycznego). Oczywiście kogoś, kto nie jest pozbawiony wrażliwości, nie chodzi z głową w chmurach i chce dokładnie poznać otaczającą go rzeczywistość, odbierać tysiące wrażeń i informacji. W książce da się uzyskać jedynie nikłe tego odbicie. Książka jest czysta, nie śmierdzi, czyta się ją zwykle w pozycji siedzącej i nie na głodniaka. Książka przemawia głównie do umysłu i to na krótko, nie zwraca się do oczu, nosa, uszu, nie oddziałuje bezpośrednio. Czytając, człowiek nie ślizga się w błocie ani nie zbiera mu się na wymioty, jak to się zdarza przy przechodzeniu niejedną drogą na Sycylii — od Palermo do Cammaraty, od Corleone do Palma di Montechiaro...

W OKOLICACH CAMMARATA I PALMA DI MONTECFFIARO

Monolog o usuwaniu się ziemi

Zaczął się od tego, że wydali mnie za mąż, nie pytając o zdanie, bez uczucia ani z jednej, ani z drugiej strony. Wszystko dlatego, że właścicielką tej posiadłości była jedną z naszych ciotek. Ta ciotka potrzebowała pomocy w domu i w polu. Uważali, że ja się do tego nadaję. Mój przyszły mąż był w wojsku, to był brat mojej mamy. Ja nie miałam ochoty wychodzić za mąż; wszystko miałam przygotowane, żeby wstąpić do klasztoru. Ojciec tak mnie kochał, że nie chciał się ze mną rozstać. Powiedział: „Odprowadzę cię aż do stacji. Ale jak wsiądziesz do pociągu, to ja rzucę się pod pociąg i rodzeństwo zostanie na twojej głowie”. Nie chciał mnie puścić do klasztoru; ale za mąż, owszem, gotów był mnie puścić. Więc aby nie okazać ojcu nieposłuszeństwa, żyłam dalej uczepiona rodziny. Było nas dziewięcioro, ja najstarsza, i wszystkie obowiązki na mojej głowie.

Ojciec poszedł do przyszłego teścia, czyli mojego dziadka, i powiedział: „Rosaria chce iść do klasztoru, co mam robić?” W czasie tej rozmowy przechodzili właśnie przed figurą. Mój dziadek przyklęknął, ucałował dłoń Chrystusa i powiedział: „Nie przejmuj się, prędzej czy później Rosaria zostanie żoną Coli”. „Ale jakże to być może?” — zapytał ojciec. „Powoli do tego dojdziemy, zobaczysz”.

Ja wtedy o tym nie wiedziałam i opóźniałam przygotowania do pójścia do klasztoru przez posłuszeństwo dla ojca. I dziadek, i babcia zaczęli przynosić mi prezenty. Kiedy

przychodziła babcia i mówiła: „Masz, jedz”, ja odpowiadałam zirytowana: „Ona jest twoją córką (to znaczy moja matka), daj jej”, i nigdy nie chciałam nic przyjąć. Później tak się układało, że matka była cały czas w polu, a ja zostawałam w domu sama. Dziadek wciąż przychodził z prezentami. Jednego dnia przyniósł mi parę butów. Ja odmówiłam. Ale jemu ubzdurało się, że jak dojdzie co do czego, to ja powiem „tak” choćby wbrew woli. I posłał wiadomość Coli: „Kiedy wrócisz z wojska, nie zaręczaj się z nikim, Rosaria będzie twoja”.

Wtedy Cola przyjechał na urlop. Było mi nijako i starałam się trzymać z daleka. Przyjechał rano, bracia przyszli po mnie na górę i zapytali: „Nie idziesz?” Wieczorem przyszedł ojciec i powiedział: „Jak to, nie poszłaś się z nim zobaczyć?” Ja nie chciałam pójść. Przecież gdybym go kochała, to zaraz bym pobiegła. Ojciec wziął mnie za ramię i powiedział: „Nie pokaże się po nas, że wujek Cola przyjechał, a my nie przyszlismy się z nim przywitać”. I poszliśmy. To się działo właśnie w tym pokoju. On siedział w tym miejscu. Gdy weszliśmy, oni się uściskali, Cola podchodzi do mnie, a ja całuję go w rękę jak wujka. Zobaczył moją obojętność i stanął jak wryty, a po chwili podszedł do dziadka i powiedział: „Co ty mi nawypisywałaś? Przecież nie robię na niej żadnego wrażenia”. A dziadek: „Popatrz na nią z uczuciem, a zobaczysz”. Więc on wraca i siada na tym samym miejscu, a potem podnosi oczy i zaczyna na mnie patrzeć. Ja nic, tylko odwracam się i ukrywam twarz w dłoniach, żeby nie odwzajemnić spojrzenia.

Nazajutrz rano dziadek zjawia się wściekły i mówi do mnie: „Widzisz, jaka jesteś niewdzięczna. Kiedy wczoraj wieczorem przyszedł wujek Cola, dlaczegoś ani razu nie spojrziała na niego z uczuciem, z miłością?” Ja na to: „Miłość i uczucie mam tylko dla Boga. Ludzie nic mnie nie obchodzą”.

Wrócił do koszar. Kiedy go zwolnili z wojska, omówili sprawę z moim ojcem i przygotowali wszystko do ślubu. Ciotka mówiła: „Jeżeli pójdziesz do klasztoru, to ci dam jedną koszulę, jeden ręcaik i jedną zmianę pościeli, ale

jeżeli przyjdiesz mieszkać do mnie, pomóc mi, zostawię ci w spadku całe gospodarstwo". Dałam się wreszcie przekonać, ale bez radości. Pewnej soboty poszliśmy do magistratu, a w niedzielę pobraliśmy się. Zaproszono gości; ja byłam ubrana zwyczajnie, kiedy przyszli. Ale ślub był wspaniały.

Potem zaczęła się obojętność. Na przykład. W świętego Józefa mąż powiedział, że wychodzi. Ciotka akurat była w domu i zapytała: „Nie bierzesz Rosarii ze sobą?” Odpowiedział: „Najpierw zobaczę, jak tam wygląda, a ona niech się przygotuje, wrócę po nią i pójdziemy razem”. I do mnie: „Słyszysz, musisz założyć jedwabną sukienkę”. Ja czekałam, wyglądałam przez jedno okno, przez drugie, ale on nie przychodził. Zrobiło się ciemno, a ja jeszcze czekałam. Kiedy wreszcie przyszedł, dopiero w nocy, poszłam, ale było mi przykro. Żadnego uczucia nie było między nami.

Minęło parę lat. Mieliśmy wuja, który nas nienawidził; chciał mieć tę posiadłość dla siebie i poszedł do Castel- mini porozumieć się z jednym czarownikiem. Później skontaktował się z pewną kobietą, która mieszkała na moich gruntach, i powiedział do niej: „Potrafisz zrobić duży ser dla mojej siostrzenicy?” Tamta powiedziała, że tak. Ten ser stał się przyczyną nieszczęścia całej naszej rodziny. Więc tamta przyszła z wielkim serem, sześcioczy siedmiokilowym, ładnie uformowanym, z korzeniami i wszystkim jak należy. Powiedziała: „Niech pani zje ten ser za moje zdrowie” i dała mi jeszcze parę takich wełnianych derek, które się zarzuca na grzbiet zwierzęcia, kiedy się jedzie w pole. Ale ten prezent to był podstęp. Ten ser był zauroczony przez złe duchy i zaczął szkodzić naszej rodzinie, naszej ziemi i nam samym. Aż doszło do tego, że rzucili urok na mojego męża przeciwko mnie, tak że zakochał się w mojej siedmioletniej siostrze, która mieszkała u nas w domu, i publicznie rozgłaszał, że jego żoną jest ta dziewczynka, a nie ja. A wuj, widząc, że wszystko układa się po jego myśli, że wprowadza zamieszanie do naszego domu, przychodził do sąsiadów pytać: „Co słychać u Coli i Rosarii?” Gdy mu opowiadali, on mówił: „Boleję nad tym bardzo”.

W miarę upływu czasu byłam przez męża traktowana

porozumiewawczo, wydziwiali na to, że moja siostra jest z mężem w polu, podczas gdy ja siedzę w domu, i opowiadali mi, jak bardzo mój mąż dał się oczarować tej małej. Ludzie wszystko zauważyli, tylko ja o niczym nie wiedziałam, aż pewna dobra pani, siostra sądziego, dała mi do zrozumienia, co się dzieje. Wtedy właśnie urodziłam syna i wołałam pomocy.. Więc mój mąż i siostrzyczka przyszedli, ale tylko na trzy dni; potem szybko wrócili na pole, a ja zostałam sama. Po dwóch tygodniach od urodzenia dziecka poszłam w pole i pomagałam, jak mogłam. Sytuacja taka, że tylko sobie w łeb strzelić.

Pewnej nocy mój mąż usłyszał głos ciotki, która już nie żyła: „Cola, obudź się i idź do Menaca (tam były nasze grunty), a zobaczysz, co za nieszczęście”. Nie miał odwagi zasnąć znowu i powiedział do mnie: „Mama mówiła do mnie we śnie. Chcę pójść zobaczyć, co się dzieje na polu”. A około wpół do ósmej, to był początek kwietnia, przyszedł jakiś chłopak i powiedział: „Niech mi pan pozwoli pójść na pana pole i zebrać trochę koperku”. Poszli razem. Kiedy doszli na miejsce, ten chłopak zbierał na górze, a mój mąż na dole. Kiedy tamten wszedł na nasze grunty, zobaczył, że porobiły się rozpadliny, szczeliny takie głębokie, że dwóch ludzi zmieściłoby się w nich na stojąco. Chłopak przerażony pobiegł z krzykiem do szłasa. Mąż zostawił muła przed szłasem i poszedł zobaczyć. Na widok prawdziwej przepaści przeraził się; rozpadliny zrobiły się już szerokie jak droga, ziemia usuwała się, a drzewa przewracały. Ruszyła się góra, zwierzęta, węże. Mąż chciał przynajmniej ratować drewno, posłał więc tego chłopaka do mnie, do domu, żeby zebrał paru ludzi do ścinania drzew. Ja leżałam w łóżku przeziębiona. Posłałam po kilka osób. Sprowadził ich ośmiu. Ale wszyscy wykorzystali nasze nieszczęście. Podczas gdy mąż stał z daleka od rozpadliny i patrzył, tamci rąbali drzewo każdy dla siebie. Jeden z mężczyzn, który wszedł na wielki głaz, żeby ściąć drzewo, jechał razem z tym gła-

zem jak wozem po drodze. Mąż prosił ludzi, żeby zwieźli nam drewno do domu, ale każdy ładował tylko dla siebie.

Zdawało się, że lada chwila chałupa runie, można się było tego spodziewać po szybkości, z jaką osuwała się ziemia. Było tam tyle różnego dobra, była ośmiometrowa kwadratowa kadź, a w niej figi, wiśnie, brzoskwinie, wszystkie rodzaje owoców. W ciągu dwudziestu czterech godzin wszystko zapadło się, zniknęło. Chałupa została zdemolowana i tak popękała, jakby się miała lada chwila zawalić. Przedtem znajdowała się w środku posiadłości, ziemia wciągała ją i wciągała, zdawało się, że zabierze ją ze sobą, ale stała nadal. Ziemia wciąż się osuwała, odrywały się kamienie. Mąż, który nocował na polu, spał w tej chałupie. Jak to możliwe? Dzięki silnej wierze; robił znak krzyża świętego.

Zbliżało się święto Jezusa Nazareńskiego. Przyszli czarownicy, a wśród nich jedna kobieta, która przepowiedziała to wszystko, co mnie spotkało, a na końcu powiedziała mi, że przyczyną naszej ruiny i całego tego nieszczęścia był ów ser. I powiedziała do mnie: „Gdyby pani miała ser, nie musi być taki duży jak tamten, byleby był z korzeniami, tak samo jak tamten, co pani przynieśli, a poza tym czarną kurę i trzy metry czerwonej wstążeczki, niech mi to pani przyniesie, a ja wszystko załatwię jak trzeba”. Więc zaczęłam chodzić i szukać tych rzeczy. Potem kazała mi przynieść wody święconej z siedmiu kościołów. Nasypała do niej jakiegoś lekarstwa, od którego woda stała się czerwona jak wino, i powiedziała mi, że to Krew Chrystusowa. I mówiła, że mąż ma wziąć tę butelkę (a to była butelka litrowa) i o północy zacząć lać wodę do miejsca, do którego dotarło osuwisko, powtarzając: „W Imię Boże, przeklinam cię! Wynijdz z mojej ziemi”. Więc mąż chodził wokoło o północy, aż skończył spryskiwać wodą całe osuwisko. Było ciemno, ziemia wciąż się osuwała, a on szedł, skacząc z kamienia na kamień. Skończył i począwszy od następnego dnia kamienie przestały się osypywać. Osuwisko zostało zatrzymane.

Mój mąż wciąż był tym podniecony. Zrobił sobie parę drewnianych chodaków, stawał na miedzy, któredy prze

chodzili ludzie, z taką długą brodą i włosami, że wyglądał jak święty Onufry, i zatrzymywał każdego przechodzącego, głosząc Ewangelię Chrystusową. I mówił ludziom, że aby być chrześcijaninem, trzeba trzymać się Ewangelii Chrystusowej. Chodził oglądać osuwisko i widział, że święcona woda zrobiła swoje. Mnie chodziło o to, żeby się uspokoił, bo on żył gadaniem, nic nie jadł. Mieliśmy wtedy sąsiada, który akurat żał, więc ja, litując się nad mężem i chcąc, by zaczął jeść, powiedziałam do tego sąsiada: „Weź mojego męża do pomocy przy żniwach, zobaczymy, czy przy innych będzie jadł”. Wtedy on zapytał: „Cola, przyjdiesz pomóc w żniwach?” Pracował, pracował lepiej niż ci, co jedli, a jego całodziennym jedzeniem była kromka chleba maczanego w wodzie i nic więcej. I przy pracy wciąż głosił Słowo Boże. Przyszedł do mnie ten, co go najął do żniw, i powiada: „Przykro patrzeć, jak twój mąż haruje. Pracuje lepiej niż inni, co dużo jedzą, a nic nie je. Przykro patrzeć”. I chciał go odesłać, żeby przestał pracować. Mnie chodziło tylko o to, żeby czuł się dobrze. Poszłam więc do spowiednika, a on powiedział: „Nie posyłaj mu jedzenia na pole, a wróci”. Miałam dwoje małych dzieci i jedno na rękę, tego, który teraz jest jezuitą. Ksiądz powiedział mi jeszcze: „Chodź często do niego na pole, zobaczymy, co z nim jest”. I poszliśmy, ja z dziećmi. On znajdował się tam, gdzie kończyło się osuwisko. Poznałam go z daleka po długiej brodzie i włosach, zaczęłam więc wołać: „Coooolal” i malcom kazałam wołać, krzyczeli: „Tato, tato!” Był schylony, bo się mył. Podniósł się i popatrzył na nas. Dzieci krzyczały: „Mamo, patrz gdzie tata! Tam stoi!” Czekaliśmy, żeby podszedł. Kiedy skończył się myć, wyszedł przed szalą z sierpem w rękę i mówił, że powinien poucinać nam wszystkim głowy. Czy to on sam tak mówił? To diabeł, który w nim siedział, kazał mu postępować w ten sposób. Przez ten urok, co rzucili na niego i na naszą ziemię. Mój ojciec i inni mówili: „Zostaw go, niech zdechnie, na dzieci i tak ci nie da”. A ja nie miałam mu za złe, że mnie maltretuje; przychodził do domu, i>ił głową o poręcz na ta->» rasie, mało brakowało, a rozbiłby sobie głowę. Żal mi go

było. Nie traktowałam go jak wuja czy męża, ale jak chore dziecko.

Spotkałam się z takimi od uroków, mężczyzną i kobietą. Powiedzieli: „Dobrze, wyleczymy pani męża, ale musi pani zrobić wszystko, co powiemy”. Ponieważ ci ludzie żądali pieniędzy, wzięłam jedwabną kołdrę i śliczny dywanik pod łóżko, który miałam w domu, i powiedziałam: „To są moje najulubieńsze przedmioty. Jeżeli chcecie weksle, to jestem gotowa. Jeżeli chcecie kawałek ziemi, proszę bardzo”. Wtedy oni powiedzieli: „Zobaczmy, czy pani kocha swego męża. Czy jest pani gotowa podpisać dokument własną krwią?” Zgodziłam się. „Musi być podpisany o północy tylko przez nas i panią”. Wybrałam się więc wpół do dwunastej czy też za piętnaście dwunasta, było to w hotelu don Ciccio. Z wybiciem północy wprowadzili mnie do małego pokoju, jakaś księga leżała na stoliku pod lampą. I powiedzieli mi: „Niech pani da rękę”. Przecieli-mi żyłę, umaczali pióro w mojej krwi i kazali podpisać, że chodzi o „wyleczenie męża”. Obecny był przy tym mój brat. Mężczyzna wziął moje dziecko na ręce i powiedział: „Dziś twój ojciec nie chce cię znać, ale pewnego dnia będziesz największą radością jego serca!” I zwracając się do mojego brata: „To nie on czyni źle. Nie strzelajcie do niego, bo jest we władzy złych duchów i kule przeszłyby na wylot nie robiąc mu krzywdy/Chcecie się przekonać od razu, na miejscu? Niech pani weźmie odrobinę ziemi z domu i przyniesie mi zaraz, a od razu przekonam panią, że mąż jest wyleczony”. Mąż leżał w łóżku, nikt nie był w stanie go ruszyć. Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy pójdę do domu.

Po powrocie znajduję na podłodze kupkę włosów z głowy i z brody, bo zgolił sobie wszystko. Przerazona i szczęśliwa, że zobaczę uzdrowienie męża, szukam go po mieszkaniu i znajduję na górze w trakcie mycia. Mówi do mnie: „Dlaczego nie dałaś mi spodni, muszę przecież iść do kościoła!” „Proszę”. I ubrał się. I rozprawiał o drzewie, o wszystkim, targował się z ludźmi, co chcieli je kupić. Potem kupił od domokrażcy parę butów dla dziecka, które chodziło boso. Na rynku patrzyli na niego wybałuszając oczy. Kiedy wy

wyszedł z kościoła, powiedział do malców: „Co chcecie, żeby wam kupić?” Jeden chciał gwizdek, drugi organki. Kiedy przyszedł koło południa, powiedział do mnie: „Jestem taki zmęczony. Wydaje mi się, że byłem chory. Zapomniałem kupić ci lody”. Czuł się zmęczony walką ze złymi duchami, co w nim siedziały.

Moich pięciu synów widząc, jak trzeba mordować się z ziemią, ze zwierzętami, starało się urządzić jakoś inaczej. Widząc, że ziemia drożeje, że płaci się za wysokie podatki i przez to robi długi, dwaj synowie tak dalece mieli dosyć pracy w polu, że poszli do jezuitów, do Bagherii. Sześć lat temu, jeden miał siedemnaście lat, a drugi dziewiętnaście. Mieli dość tego psiego życia, tych wszystkich podatków. Nie wiedzieli, jaką obrać karierę. W szkole doszli do trzeciej klasy kosztem przesiadywania do późna w noc, a i to ledwo, ledwo. Tam mają dobrze. Jedzą, piją i modlą się. Teraz jeden mieszka w Messynie, żyje sobie spokojnie i dostatnio. Drugi wyszedł z domu zakonnego, pojechał do mojego brata i poszedł na osiemnaście miesięcy do wojska, a teraz jest urzędnikiem we Florencji, bo biskup z Prato znalazł mu tę posadę. (...)

Przez ostatnie lata znów uprawiało się ziemię, posadziło się niesplik letni, niesplik japoński, niesplik zimowy, wiśnie, wszystkie rodzaje brzoskwiń, cytryny, mandarynki, figi, winorośl. Wody było dość i drzewa rosły tak wysoko, jakby je ktoś ciągnął do góry. No, a dwa lata temu zaczęła osuwać się ziemia nad nami, u sąsiadów, którzy mieli winnicę. Osuwała się powoli, stopniowo. Mąż mówił: „Miejmy nadzieję, że się jakoś uchronimy”. Kiedy osuwisko dotarło do Cozzo di Ciummu, rozdzieliło się na dwie części i doszło do naszej ziemi. I tak od trzech lat posuwa się; zabrało, zniszczyło wszystko. To osuwisko okazało się wściekłe, zabiera po kawałeczku wszystko, co napotyka na drodze. Szerokie ponad pięćdziesiąt metrów; przed chałupą na polu ziemia pękła, tworząc przepaść głębszą niż ten dom. I nasza chałupa zawisła w powietrzu nad tą wyrwą, a mąż tam został,

nie chce wyjść, bo mocą wiary chce powstrzymać osuwanie się ziemi. Kiedy się tam śpi, słychać, jak kamienie zgrzytają, człowiek podskakuje ze strachu, nie może zasnąć i wychodzi na dwór, jak tylko usłyszy łoskot. On z synami śpi tam, można powiedzieć, z otwartymi oczami, z duszą na ramieniu. Kładą się w ubraniu, w butach i ledwo usłyszą łoskot...

Później osuwisko zmieniło kierunek, ale wciąż posuwa się dalej, a chałupa tak została, zawieszona w powietrzu. Mój mąż ma siedmioczęściowy różaniec i wciąż go odmawia, zna książkę „Przewodnik więźniów”, zna na pamięć całe rozważania o raju i piekle i wszystkie modlitwy. Wszyscy zdumiewają się, kiedy słyszą, jak ten człowiek pośród usypisk odmawia głośno różaniec. O każdej porze. Kładzie się z różańcem w dłoniach, nie ma mowy, żeby go odłożył, nawet jak oporządza zwierzęta, różańca nigdy nie odkłada. Sąsiedzi, których grunty też zostały zasypane, mówią: „W tym muszą być jakieś czary. Do czego nas doprowadzi ta przeklęta ziemia”.

Ziemia zaczęła się też osuwać w latyfundium Daini, dotarła aż do domów Daini i Bruca, stąd pół godziny drogi pieszo; nie wiem, ile to kilometrów, nie mam wykształcenia, znam tylko z praktyki. Ruszyła się ziemia, ale jaka była tego przyczyna? Nie wiem. Skąd człowiek może dojść przyczyn? Patrzy i tyle. Któż dojdzie naprawdę, o co tu chodzi? Wszędzie dookoła ziemia jest ruchoma. Mówią, że zapadanie się ziemi powoduje woda, ale na własne oczy tej wody nie widzieliśmy. Z tamtej strony był duży strumień, a teraz już go nie ma. Szuka się wody dla zwierząt, bo znikła, odkąd ziemia zaczęła się ruszać. Jak jest głęboko, któż to wie? Na latyfundium Daini wszystko było płaskie, a teraz jakim sposobem zrobiła się góra? Można od tego stracić rozum. Dlaczego ziemia sama z siebie podnosi się do góry? Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jaka to wielka siła. Zaczyna się od spodu, robią się rozpadliny, do których wpada bydło i z których nie można wyjść. Ja twierdzę, że to nie woda jest przyczyną. Dlaczego? Bo przecież ile musiałoby być tej wo-* dy, żeby to wszystko popchnęła? Jak się dzieje, że odrywają

się kawały ziemi albo głazy, wielkie jak ten dom, i unoszą się do góry? Sama woda nie wystarczy, musi być również) trzęsienie ziemi. Tak samo mówią inni. Niezbadane są wyroki boskie. Kiedy się widzi, jak góry się przesuwiają... Kto to może zgłębić? W Okolicach Sant Agostino pewien właściciel chciał sobie zbudować budynek i mury dwa razy mu się zawaliły. Wszyscy ludzie mówili, że w tym miejscu nie powinno się budować, bo ta ziemia należy do Kościoła, i dóm zostałby wyklęty. „Nie ma rady, ten teren jest wyklęty, bo ta ziemia została zabrana Kościołowi. Nie uda ci się zbudować, bo to jest własność kościoła Świętego Augustyna". Więc on dał synowi ma imię Augustyn, żeby święty podtrzymywał mu dom. I rzeczywiście, gdy ochrzcili syna imieniem Augustyn, budowa została ukończona.

Gdzie się obrócić, wszędzie osuwiska. Co można zrobić, żeby je zatrzymać? Są w Piano delTEdera, w Ficuzza, Bocca di Capra, Giardinello, Mancuso, Chirummu i Suddia. Mojemu szwagrowi osuwająca się ziemia porwała półtorej salmy gruntu. Osuwiska ze wszystkich stron. Pękają drogi, niszczeje gleba. Co ludzie na to mówią? Pewnego razu jeden z braci mojego męża, widząc, że mój mąż jest już zdrowy, a jemu żona słabowała i nie umiał jej wyleczyć, zatrzymał mnie pod ścianą. Zaczęłam mu objaśniać i nagle ziemia się pode mną zapadła. Więc jasne, że nie wolno mi o tym mówić. Ze mam rozkaz od czarowników, żeby nic nie mówić.

Ziemia osuwa się sama z siebie i nikt nic na to nie poradzi. Spycha i druzgoce.
Monolog o robakach

Zeby zamawiać robaki, trzeba mieć oset. W polu rosną ■osty, karczochy, a pod ich korzeniami rodzą się robaki, które rozciera się na dłoni w dzień Pasji, w Wielki Piątek, kiedy krzyżują Pana Jezusa; wciera się robaka w rękę, rozgniata i przez trzy dni ta ręka nie powinna nic robić. Przez trzy dni ma być nieruchoma, nietknięta, jak martwa. A potem odmawia się modlitwę, dotykając chorego na ro

baki tą ręką. Rozgniała się trzy robaki, gdyż gwoździ Pana Jezusa było trzy.

Żeby pomóc na robaki natychmiast, robi się wywar. Od robaków dzieci dostają drgawek, oczy stają im w słup, a na usta wychodzi piana. Zdarza się to w dzień albo kiedy śpią. Robaki wchodzą im do przełyku i duszą-je; a jeżeli robaki zaatakują małeństwo, co ma dopiero czterdzieści dni, to jak ma ono zawołać mamę na pomoc? Co innego starsze. Przytrafiło się to kiedyś mojemu wnuczkowi: „Pepe umiera, Pepe umiera! — wołał — Mamusiu, zjadają mnie!” Ma dziesięć lat. Inny chłopak, syn Biagia, umarł i nie wiadomo było na co, a potem wyszły mu p nosa robaki.

Kiedy robaki są w siedzeniu, wyciąga się je rękami, bo one gryzą do bólu; bywają krótkie, bywają wielkości dłoni, a nawet takie długie jak ręka. Bywa, że ktoś wyciągnie połowę, a druga połowa zostanie mu w środku, bo robak jest miękki, rwie się. Wyciąga się też i z ust.

Wszyscy jesteśmy pełni robaków. Robaki ruszają się, chcą jeść. Jemy dla siebie i robaków. Wszyscy mamy robaki, tylko tego nie zauważamy. My przekazujemy im to, co zjemy, a im więcej jemy, tym one robią się tłściejsze. Jedzą, pracują, poruszają się, kłębią się w żołądku, wszędzie, na prawo i lewo, wątroby ani płuc nie tykają; kręcą się w żołądku, bo szukają pożywienia. W człowieku są jakby dwa worki, jeżeli nie ma w nich nic do jedzenia, to robak zaczyna gryźć i dokuczać. Niech pan pójdzie na cmentarz i zobaczy jakieś umarłe dziecko. Ile ono ma robaków! Nie dałoby się przez czterdzieści osiem godzin policzyć, ile ich jest. Wszy tak samo rodzą się na nas, tyle różności się na nas rodzi... Kiedy człowiek umiera i przestaje jeść, wychodzą i zjadają nasze własne ciało.

Miałam siedem lat, kiedy ojciec Gioacchino upadł na ulicy. Nikt go nie podnosił. Wtedy podeszłam do niego i mówię: „Niech ksiądz oprze się o mnie”, bo był stary. On się oparł, a kiedy wstał, kazał mi złożyć ręce i zrobił mi znak krzyża na piersiach, na rękach, na czole, a potem mi powiedział: „Służ ludziom”. Jeszcze nie miałam trzynastu lat, kiedy operowałam pierwszego pacjenta: sąsiad złamał sobie

nogę, serce mi mówiło: „Idź tam”, wśliznęłam się do chałupy razem z innymi i zobaczyłam kość na wierzchu i wiszący kawał ciała. Wtedy zaczęłam robić wyrzuty lekarzowi: „Nie widzi pan, że mu kość wyskoczyła?” No i sama naciągnęłam tę nogę, zestawiłam kość, związałam i po czterdziestu dniach noga była prosta. Od tego czasu tłoczą się tutaj policjanci, oficerowie, podoficerowie, wszyscy się tutaj tłoczą, adwokaci... o chłopach już nie mówię. Kiedy jest mało pacjentów, to dziesięć osób dziennie, kiedy jest dużo, trudno zliczyć... (...)

Robaków można dostać także ze złości. Na przykład ze strachu: człowiek zaczyna drzeć; kiedy pana coś rozzłości, czyż pan nie podskakuje? Mieliśmy tu jednego adwokata, był właścicielem ziemskim; ten miał nie całkiem dobrze w głowie, robaki weszły mu do mózgu. Miał być sędzią, a umarł jak pies, co szczeka na łańcuchu. Szczekał, szczekał jak pies, hau... hau... aż przykro. Robaki mu weszły do głowy.

Raz jedna owieczka biegała tam i z powrotem jak oszalała. Dali ją do rzeźnika, uciął jej głowę — a tam całe mrowisko robaków. Od nich oszalało to zwierzątko. Kiedy ktoś wariuje, to znaczy, że robaki jedzą mu mózg. Kiedy człowiek wariuje, to dlatego, że wewnątrz jest tak silnie wzburzony, że potem mu coś przeskakuje. Nerwy i robaki, tyle mamy w sobie wad. Bo robaki mamy wszyscy.

Siedzą w żołądku i od czasu do czasu wychodzą. Nowo narodzone dzieci dostają robaków z mleka. Te robaki są nam potrzebne. Kto nas utrzymuje przy życiu? Kiedy jemy, to dzięki komu trawimy pokarm? Czyż nie one go trawią? Jeśli gotuje się rosół w garnku, to zagotuje się wszystko, co wrzucimy do środka; podobnie robaki gotują nam jedzenie w żołądku. Kąski schodzą wzdłuż przełyku i idą do worka; mamy dwa worki, jeden do moczu, drugi do jedzenia. Bobaki zjadają kąsek za kąskiem, muszą dla nas ten pokarm strawić. Jeśli ktoś nie ma robaków, to nie może trawić i umiera. Pan Bóg chce, żeby tak właśnie świat wyglądał; gdyby nie robaki, nikt nie mógłby żyć. To, czego robaki nie mogą strawić, wydala się przy pomocy oleju

rycynowego. Nas, kobiet i mężczyzn, którzy leczymy z robaków, jest dużo. Czy, więcej niż dwadzieścia osób? Tu, w Palma di Montechiaro, jest nas chyba z pięćdziesiąt.

Jaglica powstaje z wylewu krwi albo złości. Kiedy złość jest wielka, to oko może nawet wypaść; krew naciska od wewnątrz i oko wypływa. Jeżeli kobieta jest w ciąży, to złość doprowadzić może do poronienia. Złość niszczy wszystko. Żeby wyleczyć oczy, stosuje się wodę z wodopoju, przy którym rośnie zielona trawa, albo kładzie się zieloną trawę na oczy i naciera. Choroba przechodzi, zdrowieje się, bo z wodopoju piją krowy i muły, a ślina tych zwierząt robi dobrze na oczy. Można robić okłady ze śliny muła czy krowy, rozpuszczonej w wodzie. Wszystkie choroby pochodzą albo ze złości, albo z jedzenia. A przy silnym napadzie złości można nawet umrzeć.

Kiedy się trzyma zwierzęta w domu, zawsze są kleszcze. Rodzą się ze smrodu zwierząt. Zwierzęta mają robaki na skórze. Na przykład koza to ma na sobie tyle robaków! Wystarczy nacisnąć mięso i wychodzi robak jak kawałek makaronu. Kozy i owce. Kleszcze czepiają się psów, bydła. Zwierzęta śpią razem z nami i kleszcze przechodzą ze zwie-, rzęta na ludzi. Jeden gatunek jest biały i duży, a inny koloru kawowego, przyczepiający się łapkami. Zatrują krew. Kleszcze bywają jadowite, wystarczy, że taki ugryzie człowieka i już. Nie wolno ich odrywać. Ucina się nożycami, bo jeśli spróbuje się odrywać, to on urywa się i zostawia truciznę w środku. Natomiast kiedy się obcina, to zostaje, jak jest.

Wszy rodzą się z szaleństwa i z brudu. Są ich trzy rodzaje. Wesz głowowa, z głowy. Nazywa się tak dlatego, że dostaje się ich z dużych kłopotów, martwiąc się na przykład, czy uda się zapłacić za to czy tamto; człowiek zaczyna się strasznie głowić, co ma począć, i dostaje wszy. Biedota ma ich dlatego więcej, bo ma więcej zmartwień. Takie wszy siedzą w głowie i tam jedzą na własny rachunek. Zawszenie pochodzi ze zmartwienia. Skąd można wiedzieć, dlaczego się pojawiają? Po prostu pojawiają się i tyle.

Potem jest wesz biała, tkwi w środku, w człowieku. Ma się ją nawet, jeśli się o tym nie wie. Żyje w naszej krwi; łechce i człowiek się wtedy drapie. Te rodzą się z ziemi, zaobserwowałam to.

Dalej jeszcze inny rodzaj: te, co żyją na zwierzętach, ale przechodzą też na ludzi.

Uryna jest silnym lekarstwem na rany, podobnie skóra węzów czarnych lub białych oraz proszek streptosil. Znajduje się skórę węzową, znaleźć ją można w krzakach (węże zrzucają skórę), przechowuje się ją a bierze, kiedy potrzeba.

Odchody much zeszkrobane ze sznurów, na których wisi kołyska, zmieszane z mlekiem kobiecym, stosuje się na ból żołądka u dzieci. Rozpuszcza się te odchody musze w łyżce mleka kobiecego. Ale teraz już mniej jest to stosowane.

Sierścią .psa, który ugryzł, leczy się ranę po ugryzieniu. Można leczyć też olejem maszynowym, ale sierść jest lepsza. Psu wrywa się włosy pod udem, koło tyłka, i wtedy rana nie gnije. Przykłada się sierść tego samego psa, który ugryzł.

Na jęczmień na oku dobra jest następująca modlitwa: Święta Łucja w pokoju czytała,

Dlaczego zatem łania płakała?

„Chorym okiem nie mogę widzieć, nie mogę patrzeć". Poszłam do ogrodu, narwałam koperku, Urwałam go własnymi rękami. Jeżeli to jęczmień, to ci go wytnę. Jeśli oko chore, to wyrzuc je w morze. I umieszczamy główkę czosnku tuż przy oku, a smród czosnku wyciąga jęczmień i leczy.

Przechowuje się też pepowinę niemowląt, jak już wyschnie i odpadnie. Kiedy dzieci są przeziębione, spala się kawałek i daje powąchać szczyptę proszku, wtedy przeziębienie mija. I trzyma się pepowinę w domu, aby dzieci zostały w domu, bo jeśli wyrzucić, to dzieci idą z domu. Mówią: „Czyżbyś wyrzuciła pepowinę, że twój syn ciągle na ulicy?" (...)

Monolog pierwszy o mafii

Pierwszy ze wszystkich nazywał się Cianciana:.. prawdopodobnie były to sprawy polityczne. Jego ojciec urzędował w Belvedere i to był powód, żeby go usunąć, bo mógłby za dużo mówić.

Michelangelo Randisio i syn Zu Matteo Capry, tego z krótszą ręką, zniknęli bez śladu, a ich kości znaleziono później przy przeszukiwaniu dołu, w który wrzucono Placida Rizzotto. Do tej samej fosy wrzucili syna Caroliny Sapority. Znaleziono tam tyle kości, że można było załadować nimi cały wózek. Tak samo kości Angeo Gulotty. Ciccio Navarra też zniknął. Ta fosa znajduje się na Monte Casale.

Potem było trzech braci z Grisi, którzy mieszkali tutaj, w Corleone; jednego znaleźli na torach, drugi przyjechał na urlop z wojska i tego samego wieczora zlikwidowali go koło zbrojowni, trzeci zmienił miejsce zamieszkania i nie wiemy, gdzie się podziewa. Ten, co przyjechał na urlop z wojska, powiedział podobno, że tutejszą mafię to on ma gdzieś; usłyszeli i zlikwidowali go w biały dzień na ulicy, strzałem w głowę z bliska.

Potem był jeden Palermianin, który od dziecka mieszkał w Corleone, a potem zniknął, nazywał się Pietro Montesanto, taki puciołowaty. Chodził w aksamitnym ubraniu lamowanym skórą, musiało kosztować ze trzydzieści albo trzydzieści pięć tysięcy lirów. Powiedział mu ktoś życzliwy: „Nie przeciągaj struny, bo ci pęknie”. Jego matka rzucała uroki, stosowała trucizny; tu jest pełno ludzi okaleczonych przez te czary.

Potem Pino Orecchione, brat śmieciarza. Jego znaleziono w dzielnicy Frattina, z wojskowym karabinem na ramieniu, z rozwaloną głową. Zajmował się wywożeniem gnoju ze stodoł, żeby pomóc rodzinie, bo był bezrobotny.

Potem tu, w miasteczku, niejaki Vito Capra; ludzie domyślali się, że zastrzelili go wieczorem za to, że pisał listy szantażujące.

Potem był inny, nazwiskiem Selvaggino, którego zastrzelili, kiedy wracał z wozem pełnym ziarna. Ludzie mówią, że był za bardzo zuchwały.

I inny, nazwiskiem Mariano Governale, który został zabity w drugiej przecznicy od kościoła Świętej Heleny.

Strzelili do niego z dubedtówki, a potem rozbili mu głowę kolbą. Mówią, że powodem był tu honor.

Jeszcze jeden, nie stąd, pracujący w kościele Madonny di Scala; znaleziono go zastrzelonego przed kościołem MaJ donny del Mai Passo.

Mariana Scalisi- zastrzelili w dzielnicy Bingo, a potem ucięli mu rękę.

Innego zamordowanego znaleziono w dzielnicy Pozzillo, ale on nie był z Corleone i właściwie nie mówiło się w miasteczku na jego temat. Tu, w Corleone, strzela się wszędzie, na kogo wypadnie. Nie ma miejsca, gdzie by nie było już jakiegoś incydentu.

Jeszcze Salvatore Amenda, którego przezywali „szeryfem”, ponieważ był policjantem na emeryturze. Zastrzelili go z dubeltówki, bo pistolet jest jednostrzałowy, więc z dubeltówki większa pewność. Mówili, że popełniał czyny haniebne.

Jest tu niedaleko ulica Vallone, zabili tam Michele Scuz- zulato, nie wiadomo dlaczego.
(...)

Tu, u nas, przestępcy są protegowani przez rząd. Na przykład ktoś zabił, aresztują go, a po dziesięciu minutach wyrzucają z więzienia. To rząd jest zwariowany. Straszne, ilu zabili od -czasu wojny! Tu wciąż zabijają. Dziś, na przykład, ktoś kogoś rozzłości i już wykończą go za to. Uważają, że trzeba zabić, i to wystarczy. Zabijają za jakieś jedno niewłaściwe słowo, za nic, jak im przyjdzie do głowy. Tak się przyzwyczaili. Na nikim nie robi to wrażenia, zupełnie jakby chodziło o zabicie koźlęcia. Są jak zwierzęta. Zabijają pana, zabijają mnie, ponieważ chcą rządzić, zawsze oni. I zawsze chcą być na wierzchu.

Jeżeli postępuje pan źle i pana zabijają, to ludzie mówią: „Dobrze, że go zabili”. Jeżeli ja postępuję dobrze i mnie zabijają, ludzie mówią: „Biedaczek, czemu go zabili?”

Powiedzmy, że dzisiaj pan zabije mnie. Wtedy z pewnością cią mój syn postara się zmyć plamę na honorze wykańcza-, jąc pana; czasami syn jest człowiekiem przyzwoitym i nie ma odwagi zabić. Powiedzmy, że ja hoduję bydłatka, a ktoś mi je ukradnie; to ja, oczywiście, jeżeli starcza mi odwagi,

idę zabić tego, co mi je ukradł. Jeżeli nie mam odwagi, zostaję jak ta winorośl na złej ziemi, która niszczeje, to znaczy ginie.

Są morderstwa w obronie czci kobiecej, bo tutaj honor jest rzeczą świętą. Powiedzmy: ja mam córkę i stanie się, że pan ma coś z tą moją córką. Jeżeli ta córka straciła cnotę, a pan nie chce się z nią ożenić, co wtedy się dzieje? Ano, ja przychodzę i zabijam pana. Dlatego, że nie mogę znieść tej hańby. Wówczas ludzie mówią: „Dobrze zrobił, że go zabił”. Czasami same kobiety zabijają. W miasteczku aż szumi od plotek, dyskusji, ale ciągle powtarzają to samo: „Dobrze, że go zabili”.

Albo strzelają, albo rzucają urok. Są tacy, którzy umieją to robić i tak „urządzić” człowieka, że nie może już ani pracować, ani chodzić. Są takie czary, co robią z człowieka kalekę, i takie, co zabijają. Jest wielu młodych, dzielnych, pracowitych ludzi, którzy z dnia na dzień zostali kalekami od rzuconego uroku. O tych sprawach nikt nie wie. Może o nich wiedzieć tylko ten, kto je robi. Dużo jest w miasteczku zauroczonych w ten sposób, że dwudziestu. Kto ma odwagę, strzela, kto nie ma odwagi, stara się o rzucenie uroku. Czary istnieją. Skutkują. Całe miasteczko to złoczyńcy, no może nie wszyscy, ale bardzo wielu.

Od niepamiętnych czasów szefowie mafii mieszkali w Corleone. Kradną, zabierają wszystko. Kiedy byłem mały, był najpierw Mariano Cudetta, herszt bandy; kradli bydło, zabijali ludzi, to był ich zawód.

Potem Piddu Ucceduzzu, który był nie wiadomo czyim synem, znaleźli go na jezdni; potem Cicci Figatellu — ten był wielkim szefem mafii. On rozkazywał: „Idź zabić tego, idź ukraść bydło tamtemu” i człowiek musiał być posłuszny. I zabili dwu braci. Był mojego wzrostu, tęgi, wyglądał na takiego, co to ludzie muszą robić wszystko, czego on sobie życzy.

Potem był Yincenzo Crisciune, który był polowym, zresz-

tą tamci też byli polowymi. Najpierw zabili mu syna, a potem jego samego. Potem był doktor Navarra, który rządził miasteczkiem i całą okolicą. Był bandytą, mimo że doktor. Kierował całym szpitalem, był lekarzem miejskim i powiernikiem nieszczęśliwych, przewodził rolnikom, był inspektorem okręgowym i prezesem, rządził wszystkim w miasteczku. Kazał głosować na księży, im więcej głosów oddawano na jego partię, tym lepiej mu się powodziło. To był jeden z takich, co odważyłby się zamordować samego prezydenta w Rzymie. Oni nie boją się niczego, potem nikt nic nie wie; księża osłaniają przestępców. Wszyscy wiedzą, że kiedy zamordowali Placida Rizzotto (który był wielkim działaczem ludowym i bronił naszych interesów) i wrzucili go do fosy, widział to jeden mały pastuszek, który tak się przeraził, że zachorował i zaniecono go do szpitala. I tam, w szpitalu, doktor Navarra zrobił mu zastrzyk, bo bał się, że dziecko będzie za dużo mówić. No i chłopiec po zastrzyku z trucizną umarł. Tak to wygląda, chociaż na procesie sądowym pomieszała potem data. Co ludzie mogli powiedzieć? Co mogli powiedzieć rodzice tego dziecka? Gdyby coś powiedzieli, naraziliby się sami na śmierć. Wszyscy wiedzieli, że w miasteczku rządzi on... Ludzie oczywiście zabiegają o przyjaźń mafioso, przynoszą im owoce, jagnięta, ser... Kobieta, która jest żoną jakiegoś mafioso, tak samo trzęsie otoczeniem. Jeśli jutro na przykład pan zostałby członkiem mafii, to ja bym pańskiej żonie zaczął okazywać specjalny szacunek, żeby, broń Boże, w niczym nie uchybić. Człowiek nie powinien za dużo mówić. Mamy uszy, ale udajemy głuchych, mamy oczy, a nie wolno nam widzieć, mamy usta, a nie wolno nam mówić (gdyby pan jutro ukradł bydło, ja nic nie powiem). Dzięki temu człowiek może żyć w spokoju. Ale przede wszystkim zabijają się między sobą. Zawsze znajdzie się taki, co chce rządzić bardziej. U nich tak jak w wojsku: jest podporucznik, porucznik, major, pułkownik, jest generał, ci ludzie wspinają się po szczeblach hierarchii i żądają posłuszeństwa od tych, co są niżej. Mafia jest jak armia, awansuje się tam ze stopnia na stopień. Szef mafii

jest jak generał. Gdyby, dajmy na to, generał rozkazał mi dokonać zabójstwa albo kradzieży, a ja bym tego nie zrobił, zabiją mnie. Jeżeli, powiedzmy, ja chcę zostać polowym na czyichś gruntach, to, żeby dostać tę pracę, zwracam się do szefa mafii i muszę mu się podporządkować. Jeżeli by stwierdzili, że ja nie należę do tej samej partii, nie dadzą mi tej posady. Jeżeli nie chcę być z nimi, to nie mogę liczyć na żadną posadę.

My, dzierżawcy, pracujemy byle zbyć, bez zamięłowania (mimo że umielibyśmy znacznie lepiej), nie przejmujemy się nigdy, bo i tak ziemię odbierają nam po roku. Nie ma stabilizacji. Gdybyśmy byli pewni, że zostaniemy na tym samym miejscu, założyłoby się sady, zasadziło drzewa, usunęło kamienie, wykopało kanały nawadniające, zahamowało osuwiska głazami. Sadząc drzewa, dałoby się gdzieś powstrzymać osuwanie się ziemi. Ktoś ma kawałek ziemi, pracuje na niej przez rok, a na drugi rok wyrzucają go i ziemię bierze inny. Dwa lata temu zdarzył się taki fakt: obsialiśmy kawałek ziemi wydzierżawionej od pewnego właściciela, nawieźliśmy, ziarno było moje. Po roku właściciel zatrzymał tę działkę dla siebie i nie chciał mi zapłacić ani za nawóz, ani za meliorację. Więc poszedłem do komisarza, bo przedtem właściciel pojawił się ze strzelbą, żeby mnie wyrzucić z tej ziemi, chciał sam ustanawiać prawo. Komisarz sporządził protokół i posłał dwóch strażników, ale oni nie zastali właściciela. Skonfiskowali mu tylko strzelbę i pistolet znalezione w domu, bo nie miał pozwolenia na broń. Potem byłem u komisarza wielokrotnie, kazali mi chodzić tam i | powrotem z piętnaście razy i wreszcie... nic. Powiedział mi tak: „Daj spokój, nie rób sobie wrogów, ziemi jest tyle...”, więc ja straciłem wszystko, a jemu zwrócono strzelbę i pistolet, ponieważ oświadczył, że broń nie wynosił z domu i że była legalnie zgłoszona.

Tym, co dostają ziemię z parcelacji, prawie zawsze trafia się grunt kamienisty, więc zmuszeni są odstępować go w dzierżawę jako pastwisko miejscowemu urzędnikowi par-

celacyjnemu za cenę przez niego wyznaczoną. Mafiosi oczyjwiście takich terenów nie biorą, bo kruk krukowi oka nie wykołę. Zawładnęli niektórymi terenami. Bywało, że były już zaorane. Jeden z nich mówił do dzierżawcy: „Ja tu będę siał”. I wielu dzierżawców musiało się wynieść. Przemoc i tyle. Przychodzili z dwoma ładownicami naboju i nabitą strzelbą. Od ich decyzji nie ma odwołania, dotyczy to nawet właścicieli ziemskich.

Syna Tany Cascietta zabili obok tej okrągłej fontanny [za komisariatem policji, powód — interesy, jak przypuszczano; a jego ojciec został zastrzelony w Malvello.

W Piano delie Donnę zginął pastuch nazwiskiem Schillaci; ludzie mówią, że przy podziale łupów, ale naprawdę dlaczego, wiedzą tylko oni.

Kiedy zabili Anzalone, dowódcę straży miejskiej, tam przy strumyku, koło placu Nasce, najpierw strzelili do niego, a potem dobili strzałem leżącego na ziemi.

Tu, pod Castello delie Carceii, znaleziono nieżywego chłopca; wieczorem paść owce i zabili go. Chłopak mógł mieć dwanaście albo trzynaście lat.

Kobiet zabitych nie przypominam sobie.

Di Palermo został zabity w domu jednej kobiety, kiedy zamierzał wyjechać do Ameryki.

Potem w dzielnicy Bichinello, na środku ulicy, zastrzelili Vincenza Guarino: to była gruba ryba mafii.

Wszystko to przez ambicję rządu; jeden mówi: „ja tu rozkazuję”, drugi: „właśnie że ja”, tak to jest w naszych okolicach.

Jeszcze jednego (nazywał się Passalacqua, człowiek młody, dwudziestoletni), zastrzelili w pobliżu kościoła Niepokalanego Poczęcia. Podobno z powodu różnicy zdań przy podziale łupu; tak mówią ludzie.

Innego wykończyli w dzielnicy Signoruzzo, w polu. Rozbili mu głowę kamieniem, potem ten kamień zabrały władze. To był przyzwoity człowiek.

Potem, niedawno temu, Biagio Figatello został zastrze

lony z bliska, kiedy wychodził od fryzjera; wysłali go do wszystkich świętych dwunastoma strzałami z pistoletu. Później zabili jego brata, Giovanniego, kiedy wracał z pola razem z dziećmi, i strzelali też za dziećmi, kiedy uciekały, bo chcieli zabić i jego dzieci. Ludzie domyślali się, że widocznie za dużo mówił.

Po tym zabójstwie zamordowany został kat z Roccamena; zabili mu też dziecko, muła, psa i kozę.

Navarrę zastrzelili z pistoletu maszynowego, kiedy się r dzał w samochodzie; strzały padły z innego samochodu. I zabili również drugiego doktora, który siedział przy nim, chociaż nie miał z tym nic wspólnego.

Collurę wykończyli wieczorem. Jednego z braci Marino na ulicy Misericordia, z pistoletu, wieczorem, a drugiego ojciec znalazł na miedzy po całodziennym szukaniu.

Do dwóch strażników ziemskich strzelali, ale zabity został tylko jeden, drugi uciekł do Ameryki.

Dzieci płaczą, żony rozpaczają: „Moja krew, moje dziecko. Niech będzie przeklęty ten, kto cię zabił”. Nie wiedzą, kogo przeklinają, a jeśli wiedzą, to czasem myślą o pomszczeniu na własną rękę. „Mężu! Zostawili mnie i dzieci na ulicy”, „Zdrójcy, co ja pocznę?”, „Ludzie bez sumienia. Przecież można było dojść do porozumienia. Osierocili dzieci!” Tutaj, jeśli zdarzają się spory, to jedni wygrywają, a drugim pozostaje głęboko w duszy nienawiść i czekają na okazję.

W tym domu zamordowany został Nicolosi strzałem ze strzelby; był dyrektorem szpitala i kierownikiem służby zdrowia. Być może doktor Navarra spieszył się...

Syn Cacascia został zabity koło cmentarza. Nie wiadomo dlaczego, to są niezgłębione sprawy.

Koło kościoła delia Grazia zastrzelony został Vincenzo Scalisi.

Biagio Rosignolo: zastrzelili go na ulicy Vallone Grazia na oczach całej rodziny.

Bratanka Vincenza Concordia zabili przed drzwiami kooperatywy razem z drugim, Giuseppe Orlando, który ude-» rzył głową o ziemię i tak został.

Turiddu Bono zamordowali na rynku, przed pisuarem, o świcie.

Leoluca Mondello zastrzelili wieczorem, nie wiadomo dlaczego.

Wymieniłem tylko tych, co. już po wojnie, ale kto może ich wszystkich spamiętać?

. Ponieważ w polu nie ma gdzie nocować, wieczorem i rano trzeba chodzić z miasteczka tam i z powrotem. Zależnie od tego, jak daleko ma się pole, traci się godzinę, dwie, dwie i pół, trzy. Na drogę tam i z powrotem można stracić nawet cztery czy pięć godzin. I trzeba trzymać się razem, jeden za drugim na mułach; my, maluczcy, musimy uważać na siebie.

Mojemu pocziwemu ojcu byłem potrzebny w polu i nie mógł mnie posyłać do, szkoły, więc nie chodziłem. Teraz wszystkie moje dzieci umieją czytać, ale ja mając siedem lat już kopałem, siałem, żąłem. Ożeniłem się, urodziła się szóstka dzieci. Troje mi umarło i teraz mam ich troje; jedna córka umarła na tyfus, kiedy był tyfus w Corleone. Tu«sporo ludzi zmarło na tyfus. Kto wie, skąd przychodzi taki tyfus? Z powietrza? Doktorzy mówili, że z powietrza. Mówi się też, że rozrzucone było specjalne lekarstwo, żeby uśmiercić ludzi. Przez partię przeciwną, na przykład, która nas nie znosi. Ludzie powtarzali, że rozrzucono jakieś tru-jące lekarstwo, bo umierało się w ciągu trzech, czterech dni. Gdyby to było z powietrza, to ogarnęłoby całe miasteczko, a tymczasem tutaj jedną dzielnicę tak, drugą nie. Ile osób umarło, bo ja wiem? Wydaje mi się, że z sześćdziesiąt.

Druga córka umarła na żółtaczkę, w ciągu trzech dni mi zmarła. Może się przestraszyła tak bardzo... Trzecia umarła jako niemowlę, miała dwa czy trzy miesiące, ja wtedy jeszcze byłem w wojsku. Nie wiem, na co umarła. Nie umiejąc czytać... Czasami miałem okazję, by ktoś mi napisał parę linijek listu, czasami nie miałem takich możliwości.

Gdybym, załóżmy, chciał hodować krowy, musiałbym należeć do ich bandy, bo tu porządny człowiek nie może ho

dawać krów. A nie mając krów, nie mogę mieć mleka; żeby mieć ser, muszę go sobie kupić. Takie jest moje życie.

Ci, co stąd wyjechali, uformowali w Ameryce dwie grupy. Iriteddu był podobno królem przestępców w Nowym Jorku. Kiedy ktoś widzi, że tu mu się nie wiedzie, to wyjeżdża, i kiedy wie, że sprawa przycichła albo została zatuszowana, wtedy wraca.

Ludzie nie powiedzą nic,. Jest to coś w rodzaju zwyczajowego zachowywania tajemnicy.

Na razie zabijają się między sobą bogacze. Poprzednio brali się za tych z Izby Pracy, ponieważ oni przewodzili biedakom. Są tacy, co zabijają dla zapewnienia sobie władzy, i tacy, co w obronie. Przez to wszystko ludność ulega demoralizacji, ludzie są jak sparaliżowani. Myślą: „Zanim ty zdążysz chwycić za broń, chwycę ja”, i tak jeden stara się uprzedzić drugiego. Ludność nie miesza się, nic nie mówi, jest Uległa. Biedacy się boją, więc nie mieszają się, są obojętni.

Szef mafii zawsze mieszkał tutaj. Szef mafii ma mnóstwo przyjaciół: są przyjaciele ukryci i jest ludność, która okazuje przyjaźń, ale w głębi duszy pozostaje obojętna. Mogą mi się nie kłaniać, mogą też mnie zabić, choćbym nie zrobił im nic złego. Według mnie na ten sposób myślenia, na tę, nazwijmy to, tendencję, nie ma rady, to się nie da powstrzymać.

Niektórzy chłopcy wzrastają w strachu, ale inni rosną z zamiarem takiego samego postępowania i skłonni są należeć do partii gwałtu. Chłopcy bawią się w bandytów, od rogu do rogu, od ulicy do ulicy. Pierwszy udaje, że strzela, bo strzelby nie ma. A potem krzyczy: „Upadłeś”; i zapewne mówi: „A teraz cię dobiję”. I przystawia mu do głowy ten niby pistolet i strzela w głowę. Tyle razy widziałem, jak dwoje małych dzieci bije się kijami, a ludzie oczywiście śmieją się i podjudzają do bójki. Pewnie, że znajdzie się czasem ktoś, kto ich rozdzieli, zbeszta (jak ja to robię) i odeśle do domu kopniakiem (dopóki są mali, bo jak dorosną, to mogą się porwać na tego, co im wymyśla). Są tacy, co rozdzielają, są inni, co podjudzają, i jest część takich, co

pozostają neutralni, obojętni, tacy mówią: „A co cię to obchodzi?” No, a wśród młodych ludzi ten, który umie zabijać, zaczyna robić się ważną osobą i im więcej zabija, tym bardziej rządzi, zaczyna wydawać rozkazy innym, młodszym w tej grupie. Z czasem staje się fachowcem. Na przykład Pietrino Maiuri miał dwadzieścia jeden lat, kiedy został zabity po wzięciu udziału w zabójstwie Navarry, Russa i jeszcze jakiegoś trzeciego.

W czasach faszyzmu ludzie mówili swobodniej. Teraz, po upadku faszyzmu, mafia jest rozpasana jeszcze bardziej niż przed nastaniem faszyzmu; mniej ma się swobody mówienia i działania.

Hodować bydło jest tutaj trudno, bo człowiek wciąż się boi, że mu je porwą. Najpierw potrzeba sprawiedliwości. Żeby rozwinąć hodowlę, trzeba zadbać o bezpieczeństwo^ Na kształcenie przyjdzie czas, kiedy zacnie się żyć w spokoju. Brak jest bezpieczeństwa, brak dróg i domów.

Jak dotąd, mafia i Kościół to jedno i to samo. Kościół potrzebuje mafii ze względów politycznych, a za to osłania ją przed prawem.

Tutejsi szefowie mafii angażują się po stronie Kościoła i podczas wyborów większość ich głosuje za chrześcijańską demokracją. Kościół posługuje się nimi, żeby zdobyć głosy^ a oni posługują się Kościołem, żeby mieć protekcję.

Poczucie człowieczeństwa tutaj nie istnieje. Każdy stara się postępować tak: „Zabierz się stąd, bo ja tu chcę stanąć”) Taka mentalność stała się prawie że powszechna.

Kiedy zabijają kogoś, kto wsadza nos w cudze sprawy, kto kradnie bydło albo robi włamanie, wtedy ludzie mówią: „Dobrze mu tak”. Często mafia zainteresuje się takim, co zadziera nosa, a kiedy wykorzysta go już dla swoich celów, likwiduje. Młodzi ludzie najpierw są chętni do pomocy, ale kiedy poczują się silniejsi, chcą sami rządzić i zaczynają być niewygodni dla mafii. Wielu chwytą się tej drogi z konieczności. Zaczynają się kłótnie między mężem a żoną. Łatwo o awantury, jeśli przychodzi się do domu, a dzieci

głodne i nie ma chleba. Nie ma wyjścia z sytuacji, szuka się pracy i nie znajduje. I wtedy jest rozpacz.

Więc ludzie mówią: „Dobrze mu tak” w trzech wypadkach: honor, krew, tragedia. Honor — już powiedzieliśmy. Krew —! kiedy w rodzinie zabiją mi syna albo ojca czy krewnego i jego krew wymaga wendety. Tragedia — to na przykład: ja mam na pieńku z Iksem, podczas gdy jakiś Ygrek widząc, że ja mam z tamym na pieńku, wykorzystuje okazję i zabija go; w ten sposób myślą, że winien jest kto inny i on kończy w więzieniu. Tego, który wykorzystuje spór dla własnych celów, nazywa się „tragediatore”. Jeśli zapytać ludzi albo policji, to ponad połowa osób powie: „Dobrze zrobili, słusznie mu się należało”. Ale pozostali powiedzą, że to jest hańba. Jeśli organa sprawiedliwości aresztują kogoś, kto jest niewinny, przychodzą listy anonimowe mówiące, kto winien, żeby nie dopuścić do hańby. Na przykład, jeżeli ja drogą wyrzeczeń dojdę do posiadania muła i potem zdarzy się, że mi go ukradną, a są osoby, które widziały, kto to zrobił, i potem widzą, że ten ktoś został zabity, no to powiedzą: „Błogosławione ręce, które go zabiły”. (...)

Właściwych członków mafii, kandydatów na mafioso i ich naśladowców będzie tu około stu. Śmierć człowieka nie robi na nich wrażenia, życie ludzkie nie ma dla nich żadnego znaczenia. Można usłyszeć i takie rozmowy: „Zabili go? No to co? Nie myśmy płacili za akuszerkę”. Oni do tego przywykli. To tak, jak kiedy pierwszy raz idzie się na polowanie i strzela do królika, to człowiek się emocjonuje, ale w miarę przyzwyczajenia przestaje się przejmować. Według ich odczuć tylko oni się liczą, całą resztę świata mają za nic.

Tutaj ludzie marnują się, nie zdając sobie z tego sprawy. Złoto, na przykład, jest tutaj ważne dla wszystkich. Ale człowiek liczy się tylko dla krewnych albo przyjaciół, dla innych się nie liczy.

Jak już mówiliśmy, gdy ci najbiedniejsi widzą, że nic nie potrafią zdziałać, a strzelać się boją, to jeśli chcą zrobić komuś coś złego, posługują się czarami. Idą do czarownika, opowiadają mu całą sprawę i dają pieniądze albo wynagro-*

dzenie w naturze, żeby zniszczył wroga osobę. I czarownik doradza, co dać wrogom, a także szuka kogoś, kto by to zaniósł. Potem znów rodzina chorego zaczyna szukać innego I czarownika do odczynienia uroków. Tymczasem obydwaj [czarownicy wycyganiają tylko pieniądze, zupełnie jak adwokaci. Sporządzają trucizny. Nawet czarownicy czasami nie --ą w stanie wyleczyć, ponieważ trucizna podziałała już tak skutecznie, że chory może tylko umrzeć albo zostać kaleką.

Właściwą zasadą postępowania w dzisiejszych czasach jest robić swoje i nie mieszać się do cudzych spraw. „Kto zajmuje się nie swoimi sprawami, szuka z latarnią guza” — mówi nasze przysłowie.

Wszystko, co przynosi szkodę ludności, wszystkie te nadużycia ciągną się łańcuchem aż do rządu. Gdyby Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie miało tu swoich powiązań, można by zlikwidować te gwałty. Kto jest uprzywilejowany i ma znajomków, gdzie trzeba, ten znajdzie obrońców wśród innych uprzywilejowanych. Kto stosuje przemoc, jest powiązany z innymi, którzy również ją stosują. Staram się zdać sobie sprawę z wewnętrznego mechanizmu tych spraw. Baronowie, wielcy właściciele ziemscy, żeby powstrzymać ruch chłopski, zaczęli po wojnie osadzać członków mafii na swoich latyfundiach. Ale chłopci trzymali się razem, udało im się pozajmować latyfundia. Wtedy baronowie i wielcy posiadacze, w porozumieniu z księżmi, przysłali policjantów, w wielkiej liczbie, żeby powstrzymać ruch chłopski. Policjantów, żandarmów, strażników ziemskich jest tutaj mnóstwo, wszystkich razem około setki, i można powiedzieć, że to oni są podporą przestępczości, ponieważ chronią członków mafii i uniemożliwiają biedakom dostęp do ziemi i zarabianie własną pracą na chleb. (Swoją drogą, ci biedacy nie zawsze umieją się do tego zabrać jak należy).

Monolog drugi o mafii

Placido Rizzotto wiedział, w jaki sposób działa mafia; mafia była na usługach bogaczy. Zaczął mieć własne zdanie, ponieważ przez ojca i krewnych wiedział wszystko na ten

temat, bo zdaje się, że paru z 'nich miało coś wspólnego już ze starą mafią Angela Spatafora, choć równocześnie należeli do kooperatywy Bernardina Verro. On sam też poszedł do więzienia na sześć miesięcy, kiedy był młodszy, nie wiadomo za co. Zwrócił się później w stronę związków zawodowych, ponieważ zrozumiał, że poprzez związki zawodowe można polepszyć los biedaków. Twierdził, że dzierżawca nie uprawiający ziemi jest większym zdziercą, większym wyzyskiwaczem aniżeli sam właściciel. Tłumaczył, dlaczego tak jest. Uważał, że wtórną dzierżawę należy zlikwidować. Wiedział, że jego ojciec był dzierżawcą tego rodzaju, i sam nie pracował, wiedział, jak traktował chłopów, odwoływał się więc do własnych doświadczeń. Ja go pytałem: „Jakże to, zamiast iść w tym samym kierunku co twoja rodzina, działasz wbrew temu?” W odpowiedzi mówił mi, co robi mafia, bo wiedział o jej (niezliczonych zabójstwach i nadużyciach. „Choćbym miał zdechnąć z głodu, nie będę prosił mafii o ziemię”;

Zaczął występować przeciwko tym, co mają wytlaczarnie oliwy, bo twierdził, że narzucają oni za wysokie ceny za wytlaczanie, a poza tym przy tej okazji kradną oliwę chłopom. I na rynku, przed budynkiem zarządu miejskiego, pokłócił się gwałtownie z tymi, co wytlaczają, a wśród nich jest zawsze mafia. Kilkakrotnie udawał się na pola z funkcjonariuszami związkowymi, którzy oglądali ziemię nieuprawną, a wszystkie te ziemie mieli w swoich rękach mafiosi. Później miał bardzo gwałtowną sprzeczkę z samymi członkami mafii. Obowiązywało racjonowanie żywności, a magazyny były w rękach mafiosi; oszukiwali na cukrze, mące, makaronie, a niezależnie od tych oszustw udało im się ustalić jeszcze dopłatę do artykułów żywnościowych drogą porozumienia z asesorem miejskim, którego później zdemaskowano. Placido wywarł nacisk, żeby odebrać magazyn członkom mafii i zarządzać nim społecznie, przez ludzi, którzy dbaliby o interesy ludności.

Dlatego właśnie go zamordowali; wtrącał się w te wszystkie sprawy, tropił. „Zajmował się nie swoimi sprawami”; „wsadzał nos w nie swoje sprawy” — mówił ten i ów. I ja

mu mówiłem: „Placido, na co ty się porywasz?” A on na to odpowiadał: „Walka idzie o własność, trzeba zlikwidować ten pęd do bogacenia się. Kiedy dla zapewnienia egzystencji nie będzie już konieczne posiadanie ziemi, to walka sama przez się ustanie”. On nigdy nie studiował, obserwował tylko życie. Ja mu mówiłem: „Zobaczysz, że cię zabiją”. Dlaczego tak. mówiłem? Dlatego, że zabili już niejednego; sekretarza Izby Pracy. A on, biedaczek, łudził się i odpowiadał: „Choćby mnie zabili, nie dadzą nam rady, po mnie będzie jeszcze wielu sekretarzy w Izbie Pracy. Robota nie ustałaby po zamordowaniu mnie”. Mówiliśmy o tym, bo niedawno zamordowano jednego w Sciacca, Miraglię, jeśli dobrze pamiętam.

Wiesz, na czym polegało jego złudzenie? Wierzył w bunt chłopów, bo działał zawsze dla ich dobra. A tymczasem rzeczywistość okazała się inna. Omylił się całkowicie. Po zamordowaniu go — cisza. My dwaj byliśmy jak bracia, on jadał u mnie, ja u niego, byliśmy zawsze razem. Potem chyba ze dwa lata nikt mi się nie kłaniał. Ludzie bali mi się ukłonić, nie podchodził do mnie absolutnie nikt, żeby go mafia nie zobaczyła. Przez prawie dwa lata musiałem wracać do domu przed zachodem słońca, jak gdybym był pod nadzorem policyjnym, rozglądać się dokoła przed przejściem na drugą stronę ulicy. Wiesz, co zrobili chłopci? Po prostu pochowali się ze strachu. Mówi się: „Kto służy ludowi, służy świniom”. I to prawda. Nawet koty wiedziały, kto go zamordował. To było zabójstwo polityczne, sprawa publiczna, wszyscy o tym wiedzieli.

Prawdę mówiąc, to wszyscy się bali, wszyscy. Zaczynali mówić: „Kijem kamienia nie rozwalisz”. Biedota jest jak kij, a kiedy uderzysz kijem o kamień, co się rozwali? Biedota. Czy wyrażam się dość jasno? Oni mają możliwości, są zorganizowani. Uważa się, że aby zlikwidować mafię, trzeba stosować wobec niej jej własne metody, to znaczy broń. Otóż kto chwyci za broń? Ten, kto nadaje się do jej noszenia. Ludzie porządni nie zrobią pewnych rzeczy. Więc tamci zawsze zwyciężają.

Doszło do tego, że w Izbie Pracy zostało nas osiem czy

dziesięć osób. Potem powoli inni stopniowo zaczęli wracać, trochę ze wstydu, że są tacy tchórzliwi, trochę dlatego, że czuli się chronieni przez partie lewicowe, a trochę dlatego, że towarzysz Siracusa zastąpił go szybko. Stopniowo ludzie wrócili; potrzebowali wypisów z akt i wszelkiej pomocy, jaką Izba Pracy może dać.

Ani śladu gniewu ludu, jak sądził Placido, któremu się zdawało, że jesteśmy już zorganizowani, że ludzie już zrozumieli, gdzie dobro, a gdzie zło. Ludzie nie zrozumieli dosłownie nic. Mam powiedzieć prawdę? On mógłby znaleźć sobie dobre stanowisko, był jednym z pierwszych, który by mógł zostać deputowanym do Zgromadzenia Regio-«nalnego. Gdybym był na jego miejscu, usadowiłbym się tam i kontynuował działalność polityczną z dala od Corleone. Ale on nie chciał tak postąpić. Co za uparta głowa! Nie zamierzał zabiegać o stanowisko. Moim zdaniem to, co robił, wydawało mu się zawsze za małe, wydawało mu się, że nie wypełnia wszystkich swoich obowiązków wobec Izby Pracy i wobec chłopów.

Jego ojciec był przeciwny tej działalności z dwóch powodów: po pierwsze, zdawał sobie sprawę, że mogą mu zrobić coś złego. Ciągłe powtarzał: „Kiedy ktoś ci mówi, że chce z tobą porozmawiać, przeproś go na pół godziny i przyjdź mi powiedzieć”. Rozumiał taką mowę, ponieważ znał ich wszystkich. Istotnie, kiedy zauważył, że syn nie wraca, koło czwartej nad ranem, a było to w marcu, przyszedł do mnie i mówi: „Gdzieście byli wczoraj wieczorem z Placidem?” Wtedy ja, zorientowawszy się, że nie wrócił do domu, pomyślałem, że się pokłócili, gdyż od czasu do czasu mieli drobne kłótnie na tematy polityczne. Ale potem, kiedy usłyszał, że Placido poszedł z Pasqualem Criscione, zaraz zaczął płakać: „Dlaczego pozwoliliście mojemu synowi wyjść z Pasqualem Criscione? Zamordowali mi syna, zamordowali!” Ja mówiłem: „Pewnie pojechał do Ficuzzy, do Palermo”. Ale on wiedział od razu, bo znał Criscione i jego powiązania.

Poza tym ojciec Placida nie chciał, żeby działalność dla bliźnich zajmowała synowi cały czas, jaki mógłby poświęcić

pracy. Mało rozumiał poglądy syna. Fotem zrozumiał lepiej i stanął w pierwszym szeregu. Kiedy Placida zamordowali, zrozumiał, że to sprawa poważna, chciał kontynuować dzieło syna. Zrozumiał, ale już był wtedy za stary. Trochę była to reakcja, bo chciał pomścić syna działając legalnie, a ponieważ czuł oparcie w partiach lewicowych, więc chcąc nie chcąc musiał pójść tą właśnie drogą. Już przed śmiercią syna skłaniał się-w stronę lewicy. Potem, kiedy mu syna zamordowali, poprosił o legitymację. Był dumny ze swojego syna, ale nie mówił o tym nikomu, tylko mnie to powiedział. Ludzie nie mogą powiedzieć, że wyprowadził go na złe drogi. Codziennie zwracał mu uwagę, żeby się rozglądał, zanim przejdzie na drugą stronę ulicy, żeby uważał na ludzi dokoła, żeby patrzył, czy nie widać kogoś w płaszczu z kapturem zakrywającym twarz. Żeby szczególnie miał się na baczności, gdyby któraś z tych podejrzanych osób potraktowała go w sposób bardziej uprzejmy. Syn na to odpowiadał: „Ależ ludzie mnie szanują, nawet doktor Navarra”. A na to ojciec (jednego razu byłem przy takiej rozmowie): „Miej się na baczności, kiedy diabeł ci pochlebia, bo to znak, że dybie na twoją duszę”.

Dla przykładu opowiem ci jedno zdarzenie. W owych czasach brakowało oleju do lampy, trudno było go znaleźć, a jemu przez Izbę Pracy udało się uzyskać przydział oleju do rozproszania wśród ludności. Otóż najbardziej potrzebowali tego oleju ci, co mieli bydło, domy w polu, kawałki gruntu położone wyżej. I wtedy jednego wieczora przyszedł do niego na rozmowę ten mafioso, o którym ci mówiłem wczoraj, że go tu obok zabili. Poprosił go na stronę, jako że byliśmy razem. Kiedy Placido wrócił, zapytałem go, czego tamten chciał, bo wiedzieliśmy, że to bandyta, a on mi odpowiedział: „Chce trochę oleju, potrzebny mu w polu”. Więc ja pytam: „I coś ty mu odpowiedział?” „2e mu dam”. „Ja bym mu dał sublimatu”. „Dobra, dobra* niech sobie będzie; wiemy, jaki on jest, ale przecież mieszka w polu”. Wiedział, że w ciemności trudno dać sobie radę w stajni. „Mnie wystarczy kawałek świecy; a poza tym dzięki temu rozumiem, że nie jesteś tacy źli”. Bo wtedy mówiło się,

że socjaliści i komuniści pozerają małe dzieci, i porównywano nas do dzikich bestii. (...) Był tak wzniosły, że aż głupi. I w końcu, żeby mu za to podziękować, wrzucili go do wąwozu głęboko na sześćdziesiąt metrów. Ale to już moje osobiste twierdzenie. On oddzielał ludzkie potrzeby od ludzkich myśli i czynów.

Traktował ludzi dobrze, nawet bandytów, ale jeśli żądali od niego czegoś, co by godziło w interesy pracowników, w Izbę Pracy, wtedy wściekle obracał się przeciwko nim.

Dopiero życie partyzanckie otworzyło mu oczy. Byłem w wojsku w Rzymie, kiedy on przybył jako partyzant. Mówił mi o organizowanych przez nich zebraniach. Zauważyłem później, że na zebraniach, jakie prowadził tutaj, często odwoływał się do doświadczeń życia partyzanckiego, organizował całe wieczory opowiadań o partyzantce, mówił o faszyzmie, o szkodach, jakie wyrządzali Niemcy, i jak się partyzanci bronili, a bronili się dzielnie. Kiedy wrócił z wojska, mafia zaproponowała mu (sam mi to mówił) objęcie posady polowego. Ale on miał już wtedy zdecydowane przekonania polityczne. Zauważyłem, że był odmieniony, bo potrafił już krytykować błędy faszyzmu, a nie był wykształć eony, zatem doszedł do tego drogą własnego doświadczenia. Miał dużo inicjatywy, był już zdecydowany i pewny, co ma robić. Przedtem był tylko chłopcem o dobrotliwym usposobieniu, pewnie, że nie był głupi, był bardzo sprytny; kiedy wrócił, był dojrzałym mężczyzną. A poza tym miał dużo uroku osobistego; kiedy potem organizował zebrania w Izbie Pracy w obecności stu osób, to wszyscy go słuchali i rozumieli ; podobał się ludziom.

Faszyzm zdusił idee Bernardina Verro. My, którzy wzrastaliśmy pod panowaniem faszyzmu, nie mogliśmy mieć pojęcia, ile może dać organizacja związkowa; nie wolno było nawet mówić o tym. Wiadomo było, że kto mówi o Bernardinie Verro i o socjalizmie, naraża się na więzienie. Więc nikt o tym nie mówił. Jak to jest z osłami? Łapie się za łeb i prowadzi; i my byliśmy tacy. Starsi pamiętali jeszcze i mówili o Verro w domu, że czynił bardzo dobrze, ta pamięć nie dawała się zatrzeć. Jako chłopiec był krawcem,

potem urzędnikiem komunalnym, potem stanął na czele (chłopów, założył spółdzielnię, stał się administratorem gminy, i wtedy go zamordowali. To bardzo proste. Udało mu się rozparcelować latyfundia Zuccarrone i tym naraził się mafii. Bali się, że będzie szedł dalej. Już poprzednio był na niego zamach, kiedy siedział w aptece przy Via Roma. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie aresztowano sprawców, a wiadomo było przecież, w którym domu został zamordowany.

Placido pisał listy, sprawozdania, przygotowywał teksty przemówień, a potem dawał mi do poprawienia błędy gramatyczne. Ale nie życzył sobie, żeby zmieniać treść — myśl musiała zostać nie tknięta. Mówił tyle rzeczy, robił tyle planów, że śmiałyśmy się z niego. W likwidacji wtórnej dzierżawy widział szanse wzrostu produkcji, bo wtedy można by nadwyżki kapitału zainwestować tak, by zwiększyć zatrudnienie. Utrzymywał, że dzień pracy (który wtedy wynosił nawet trzynaście-czternaście godzin) mógłby zostać skrócony dzięki wyższej wydajności. Ogromnie dużo dyskutował o tych sprawach. Czy czytał książki Marksa? Pewnego razu ktoś mu pożyczył jedną książkę Marksa, ale on ją rzucił; mówił, że nie dorósł do jej zrozumienia, że brak mu wykształcenia, ale te sprawy rozumiał po swojemu. Myślałem nawet, że może zabrakło mu chęci do pracy i z tego powodu tak sobie łamie głowę nad problemami wydajności, żeby móc coraz mniej pracować. On mówił tak: „Całą krew, którą bogacze wysysają z biedaków, deponują sobie w banku, żeby móc wykorzystywać ją wyłącznie dla siebie, zamiast użyć jej do zwiększenia produkcji”. Zdarzało się, że czasem wieczorem spędzaliśmy cztery, pięć godzin na dyskusjach. Nie miał wykształcenia, ale myślał prawidłowo: daną rzecz widział ze wszystkich stron. Krytykiem był ostrym, także i wobec nas samych; zawsze mówił: „Tego nie trzeba było mówić, tak trzeba było zrobić”.

Kiedy wrócił z wojska, miał, jak ja to nazywałem, manię organizatorską, starał się kolektywizować ludzi. Na przykład: Izba Pracy pozornie funkcjonowała prawidłowo, było dużo ludzi, ale szemrali, nie mieli zaufania do człowieka,

który tam wówczas urzędował; mówili, że kradnie, i w samej rzeczy został oskarżony i skazany (a teraz został działaczem związkowym w chrześcijańskiej demokracji). Ponieważ ludzie szemrali, Placido starał się odkryć, czy to prawda, że tamten działa na szkodę chłopów. Potem tamten poszedł do więzienia i od razu na jego miejsce został wybrany Placido.

Jaki mogli mieć szczególny interes w usunięciu go? Według mnie tutejsi mafiosi widzieli w nim człowieka, który chciał wgłębiać się we wszystkie problemy, widzieli, że ma już w ręku administrację komunalną, że ludzie chodzą zawsze do niego po radę. Widzieli, że on został wyniesiony przez masy i, rzecz można, stał się ich faworytem. Wiadomo już było, że sekcja socjalistyczna wyznaczyła go jako kandydata do wyborów do Zgromadzenia Regionalnego. Mafia widziała to wszystko, wiedziała, że jest uparty, uważała go za kogoś ze swoich, kto wymyka się na zewnątrz, bo przez swojego ojca był wtajemniczony w ich sekrety. Widziała, że jest dla niej rzeczywiście niebezpieczny.

Kochałem go, bo był lojalny — tego, co robił, nie robił nigdy dla pozoru albo dla ubocznych celów. A poza tym dlatego, że był bardzo ofiarny, poważny i zawsze gotowy do wyświadczenia komuś przysługi.

Nie miał przesądów. Jeśli chodzi o Kościół, to uznawał działanie Kościoła jako hamulca dla złych instynktów człowieka i jako źródło pewnego wykształcenia. Jednakże księży krytykował ostro, gdyż uważał ich za wyłudzieli; mówił, że są bezczelni. Nie zgadzał się z działalnością Kościoła na płaszczyźnie ekonomicznej i politycznej, ale doceniał w dziedzinie kształcenia osobowości i moralności.

Rozumował w ten sposób: „Ja, człowiek rozumny, niezależnie od tego, czy jestem wierzący czy niewierzący, nie popełniam złych uczynków, nie potrzebuję więc hamulców w postaci strachu przed bóstwem. Inni, którzy wierzą, mają hamulce automatyczne, tym lepiej dla nich”. On sam nie wierzył w dogmaty, nie wierzył w nic, szanował wolę ludu i uważał, że każdy winien mieć swobodę wyznania. Nigdy nie chodził na mszę, ale o tym lepiej nie pisać, bo potem

ludzie powiedzą, że był jak zwierzę, prawda? Chodził do zakrystii tylko na zebrania w związku ze świętami. Uskarżał się na te obowiązki, ale ponieważ ludzie go prosili, uważałby za niegrzeczność odmówić. Bo tutaj, żeby zrozumieć, jak to jest, trzeba się dobrze rozejrzeć dokoła. Większość ludzi chodzi do kościoła, żeby nie narazić się na krytykę. Myślą, że wszystko, co niezgodne z tradycją, jest niestosowne. Na przykład ja do kościoła nie chodzę. Ksiądz mówi do moich dzieci: „Powiedzcie ojcu, żeby przyszedł do kościoła”. I dzieci pytają: „Tatusiu, dlaczego nie idziesz do kościoła?” A ja na to: „Byłem, ale ksiądz mnie nie widział”. Wszystko po to, żeby dzieci mogły chodzić do szkoły. Środowisko, w jakim żyjemy, jest takie, jakie jest. Nie ma publicznej szkoły czy nowoczesnego zakładu, gdzie można by kształcić dzieci. Ty możesz dzieci nie chrzcić, jesteś człowiekiem wolnym. Ale czy ja jestem człowiekiem wolnym? Żyję w tym środowisku, jeżeli chcę pracować, muszę dostosować się do otoczenia. Tak samo jest z chłopami, którzy chcą dostać ziemię, pracę, tak samo z wszystkimi. Kto chce żyć inaczej, musi stąd odejść: „Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krąkać jak i one”. Bardzo wiele ludzi chodzi do kościoła, chociaż wcale nie są wierzący; są i tacy, co mordują, a potem niosą w procesji figurę Matki Boskiej. Idziesz na procesję i mówisz: „Jezu, aż tylu u nas katolików!” A przecież nie ma w tym krzyty prawdy: są wśród nich złodzieje, mordercy, ludzie, którzy myślą o wszystkim, tylko nie o Matce Boskiej. To czyste udawanie, a wszystko dla kawałka chleba. Podobnie mało jest, na przykład, takich, co wierzą w deputowanych. A przecież głosuje się. Życie tutaj to dreptanie w kółko, przelewanie z pustego w próżne: efekt wciąż ten sam. Kościół, bogacze boją się, by sytuacja nie zmieniła się na ich niekorzyść. Dla bogaczy świat jest dobry taki, jaki jest, i stosują wszelkie możliwe środki, aby utrzymać go w obecnym stanie. Bogacze, partie bogatych i mafia. W swoich klubach grają w karty, mówią źle o innych i tylko tyle. Od czasu do czasu się pobijają. A władze miejskie, lewicowe,

nie wtrącają się do nich, bo mówią: „Tutaj rządzi kula, dlaczego miałbym się dać zabić?”

Kościół stara się oddziaływać przede wszystkim na dzieci. Robi to przy pomocy środków potężnych, specjalnie wyszukanych, nie po to, żeby sytuację zachować taką, jaka jest, ale żeby ją jeszcze cofnąć wstecz. Sami o tym mówią otwarcie, publicznie, nie ja to wymyśliłem. Dla nich postęp jest przegraną. Głosząc na przykład: „Człowiek nie powinien tykać spraw boskich. Rosjanie popełniają grzech śmiertelny posyłając rakiety na księżyc”. Pożądać nowości, zmian to grzech. A przecież używają telewizji, żeby rozpowszechniać swoje idee, propagować stary znieruchomiały świat.

Co do robotników rolnych, chłopów (jeśli mam powiedzieć prawdę na podstawie tego, co od nich słyszę) to oni kiedyś wierzyli, że sytuacja może się zmienić, ale dzisiaj już przynajmniej większość z nich przestała wierzyć. Zaraz po wojnie wiele było obietnic, a potem życie potoczyło się jak dawniej. Są apatyczni, nieufni. Wiedzą, że są słabi. Niejeden wśród biedaków ci powie: „Jeżeli chcę wyżyć, to z kim mam trzymać, z bogatym czy biednym? Przy bogatym coś mi kapnie”. Pewna część biedoty chciałaby się zjednoczyć, ale na razie im się to nie udaje albo udaje tylko w małym stopniu. Udaje im się co najwyżej trzymać razem, żeby dać się prowadzić organizacji, która im pomaga. Natomiast Pladdo dążył do tego, by skłonić tych ludzi do własnej inicjatywy, do samodzielności. Gdyby mogli raz zobaczyć na własne oczy, że sytuacja może się zmienić na skutek ich działania, wówczas mogliby w to uwierzyć. Ludzie mają mętlik w głowie, ponieważ istnieje propaganda przeciwna; dobra propaganda nie budzi ich zaufania, gdyż odwołuje się do rzeczy, które są poza ich bezpośrednim doświadczeniem.

Placido myślał, że ludzie wspólnie będą mogli zdziałać i wyprodukować więcej. Dlatego zachęcał wszystkich do łączenia się w kooperatywy. W takiej okolicy jak ta, gdzie wszyscy zdają sobie sprawę, że w każdej chwili mogą na

trafić na człowieka uzbrojonego, który może zrobić im cod złego, szczególnego znaczenia nabiera powiedzenie „w jedność siła”. Tutaj każdy, jeżeli rozmawia z kimś, kto nie jest osobą zaufaną, nigdy nie wypowiada swoich prawdziwych poglądów. I tamten drugi postępuje tak samo. Mechanizm rozmowy wygląda tak: ktoś mnie pyta o kogoś. Ja mojej prawdziwej opinii nigdy nie zdradzam, bo nie wiem, czy ten drugi jutro nie zrobi mi tak zwanej „tragedii”, czy nie doniesie tamtemu. Rozmówca będzie mi najprawdopodobniej przytakiwać, z uśmiechem na twarzy udawać jak; gdyby nigdy nic. Wszelka rozmowa staje się ciągłą komedią. I całe życie tutaj staje się komedią. Znamy się wszyscy każdy wie, co myślą inni. Człowiek od rana do wieczora musi bacznie uważać, z kim rozmawia, żeby wiedzieć, jak ma odpowiadać. Czy to ma być życie? Ciągłe lawirowanie. I potem ktoś pyta: „Dlaczego się nie zjednoczycie?” Doświadczenie. To jest doprawdy straszne marnotrawstwo. Jeśli zdarzy mi się powiedzieć jedno słowo niewłaściwe, niebezpieczne, muszę się głowić przez parę dni, jak naprawić ten błąd. Marnotrawstwo energii, uwagi, czasu, wszystkiego; tysiące ludzi, dziesiątki tysięcy ludzi postępuje w ten sam sposób. Jeżeli ktoś nie stosuje się do reguł gry, to się go morduje i w ten sposób przywraca zasady. A ponieważ niektórych rzeczy nie można napisać, słowo jest wszystkim, jest jak patrzeć sobie w oczy.

W konsekwencji ci nieliczni, którzy naprawdę chcieliby coś zdziałać dla dobra społeczeństwa, natrafiają na przeszkody, są likwidowani albo dławieni. I tak zatracamy się w chmurze gadaniny, gadaniny na placach, gadaniny na zebraniach, gadaniny w sądach. I wszyscy się boimy: jedni pokazują to po sobie, drudzy nie, ten i ów udaje odważnego, ale przecież się boi. Sparzyliśmy się i to niejednym razem. Zobacz, czy jest przynajmniej jedno przestępstwo na Sycylii popełnione na działaczu związkowym, które by zostało ukarane. Kiedy sędzia Marcatajio przyjechał przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci Rizzotto, obawiałem się, czy to, co mu mówię, nie dojdzie w jakiś sposób, i to za/raz, do uszu zainteresowanych. Wiesz, co myślę, podczas gdy ty

notujesz? Zobaczyłem swoje nazwisko na jednej z twoich kartek. Gdyby, na przykład, teraz zawołali cię do telefonu i przypadkiem zamordowali, gdyby policja przyszła tutaj i zobaczyła napisane moje nazwisko, to co by się stało?

Placido zauważył, że tutaj, w tej stojącej wodzie, wszystko gnije. Tutaj jest tak jak w stawie: kiedy tworzy się ba-» gno, wszystko butwieje, mnożą się insekty i powstaje epidemia. A zgnilizna skazi wszystko. On mówił: „Nie wierzę, że musimy tutaj zawsze żyć jak zwierzęta; przyjdzie czas, kiedy ludziom otworzą się oczy”. W sumie jemu chodziło o ruch, postęp, takie było jego działanie. Nie jestem w stanie go osądzić; nie żyje, a jeśli nie żyje, to się mylił, tak mi się nasuwa z jednej strony, ze strony emocjonalnej. Jeżeli jednak osądzam z drugiej strony, to jego idea jest godną podziwu, ponieważ pracował całym sercem dla dobra całej ludzkości. „Ale na koniec zginął — nasuwa mi się znowu — prawda wygląda tak, że go zamordowali”. To było dobrze pomyślane, aby wrzucić go właśnie tam, do wąwozu Rocąbusambra, żeby w ten sposób zniknął po nim wszelki ślad, aby nawet kruki nie mogły poczuć smrodu i zdradzić miejsca, bo wąwóz był zbyt głęboki. I było dobrze pomyślane, żeby nie zabijać go w miasteczku, bo to mogłoby wywołać reakcję. A tak sprawa pozostała niejasna.

Dostaliśmy nauczkę. Izba Pracy doznała solidnego wstrząsu, ale wróciła do siebie jeszcze silniejsza niż przedtem, kiedy był Placido, dużo silniejsza. A rezultaty? Nie uzyskaliśmy nic. Ludzie poszli w rozsypkę, przestali nas popierać. To po co ten biedny chłopiec zginął? Może dlatego, myślę tak egoistycznie, bo byliśmy przyjaciółmi? Nie wiem. Gdyby wieśniacy, którzy, popierali Placida, wzięli każdy po stu- gramowym kamieniu, roznieśliby tych paru mafiosi na strzępy, ale nie zrobili tego. Kiedy go zamordowano, wszyscy się pochowali. A przecież przedtem lubili go; kiedy trzeba było załatwić zapomogę, bronić ich interesów przy rozdziale żywności, wtedy wszyscy biegali za nim. I nie zdarzało się, żeby on kroczył naprzód, nie dbając o innych; przeciwnie — zachęcał ich wszystkich do mówienia, a jeżeli był taki, co nie brał udziału, to go zapraszał, nagabywał.

Nigdy nie chciał działać na własną rękę. Zawsze najpierw chciał usłyszeć myśl, która rodzi się przy zetknięciu z ludem.

Taki jest mój punkt widzenia. Ale z drugiej strony wiem, że nie jest słuszny. Ponieważ wiem, że bez takich ludzi nie byłoby żadnego postępu. Dzieci umierają, a kiedy ktoś się ruszy, żeby zmienić ten stan rzeczy, mordując go. Jak mamy postępować? Jeżeli jakaś część ciała jest chora, to należy leczyć cały organizm, bo zdrowa krew krążąca w żyłach leczy schorzenie. Nie można liczyć na to, że chora część wyleczy się sama. Tak mi się wydaje. Nie wiem.

Dla mnie raj — to żyć, nie musząc bez przerwy kłamać. Myślisz, że jestem pesymistą? Wiesz, jak to było? Tego popołudnia Placido pracował i trochę spacerował. Koło dziewiątej przyszedł ten facet, o którym ci mówiłem. Starał się nawiązać rozmowę, przez pięć minut nie daliśmy się wciągnąć w dyskusję, bo nie mieliśmy do niego przekonania. On przyszedł na ton żartobliwy. Robiliśmy zakupy. Przeprosiliśmy go. On idzie z nami. Potem idziemy w stronę domu. Proponuje swoje towarzystwo, nie można odmówić. Doszliśmy do domu, ja wchodzę. Nigdy bym nie przypuścił, że coś się może stać ||| pełno ludzi dokoła. Oni idą w stronę rynku. Od rynku nadchodzi dwóch mężczyzn, którzy siedzieli przedtem w kawiarni. Przytykają mu rewolwery do pleców, On się zatrzymuje i pyta, czego sobie życzą. Są na środku rynku. Jest marzec, dni są już długie. Nie padało i ludzie spacerowali. Nagle znikają z rynku. Robi się pusto. Jakieś drzwi się zamykają. Na ulicach są ludzie, którzy ich widzą, dziesiątki ludzi. Gdzie jest policja? Nie wiadomo. Nikt nie chce niczego zauważyć. Gdy dochodzą na wysokość schodów, które od Corso Bentivegna prowadzą w ulicę Santo Rocco, czekają na nich dwaj inni tam ukryci. Wtedy on pojmuje, o co chodzi, stara się uciec, wbiegając po schodach na prawo. Kiedy dobiega na górę, tamtych dwóch zarzuca mu koc na głowę. Łapią go, kopią jak winogrona w czasie wytłocznin, ciągną i ładują do samochodu oczekują

cego dwadzieścia metrów stamtąd, i jazda. On krzyczy, wzywa pomocy. Nikt nie chce słyszeć.

I to ma być sprawiedliwie, żeby ktoś dał się zamordować za ludzi, którzy nie chcą widzieć i nie chcą słyszeć?

To właśnie mnie tak bardzo boli. Można było zaradzić. Dlaczego nie podbiegli? Dlaczego pozwolili go zamordować?

W OKOLICACH ROCCAMENA

Monolog o tamie

Cały nawóz we wsi marnuje się. Ludzie wymiatają go z obór i wyrzucają, gdzie popadnie. Powstają wielkie sterty to tu, to tam, idąc przez wieś wszędzie można napotkać nawóz. Przyjeżdżają ciężarówki z Partinico, z Alsamo, z Mazary, nawet z Palermo. Ludzie wyrzucają nawóz w całym miasteczku na yrięjMie sterty, rzucają tam też kamienie, kości, nawet odpadki kuchenne, nie interesują się nimi. Bywa to często powodem chorób we wsi. Z tego nawozu rodzą się muszki i kiedy nie ma wiatru, wlatują do domów, zaczynają gryźć i ludzie czują, jakby ich świerzbiało. Z tego smrodu rozwinął się też tyfus, wiele dzieci zachorowało. Smród we wsi jest i dlatego, że ścieki niemal dotykają mieszkań.

Gnój tymczasem sani zaparza się i dymi, a jeżeli pada deszcz, to rozmywa go woda. Ten gnój często palą i zostaje popiół. Kiedy kobiety wypiekają chleb w domu, resztki popiołu i węgla zbierają. I co z nim robią? Wyrzucają do kosza, najwyżej spryskują trochę wodę i wyrzucają, z przyzwyczajenia na sterty nawozu. Co się wtedy dzieje? Prze? to, że w tym węglu zostało jeszcze trochę ognia, który nie zgasł, to rozpala się znowu, i tak pali się cały nawóz czy to przez nieuwagę, czy z głupoty. Pali się powoli, przez dwa albo trzy dni, a do wsi leci dym i smród. I oddycha się smrodem. Więc ci, którzy przyjeżdżają z innych miejscowości zabrać nawóz ciężarówkami, robią nam przysługę, bo

trochę oczyszczają wieś. Cały gnój, wszystkie te rzeczy,* marnują się. Kiedy mnie wysłali do Niemiec na roboty w okresie wojny, widziałem, jak tam odprowadzają cały mocz zwierzęcy w kanały, potem pompują go do beczek na kolach i kiedy woły idzie naprzód, a człowiek na przedzie je pogania, to z kranika ten mocz wycieka na ziemię. Jak potem popadał deszcz, to trawa rosła tak pięknie, taka wysoka, pokos za pokosem, że tylko żąć. Tutaj jest w ogóle wszystkiego pięć wozów: u Pietrina Pizzo, u Gioacchina Messina, u Spadaro i u Rocolo. No, i u Francesca.

Rolnictwo nie może się tutaj rozwijać także przez brak wody. Począwszy od jeziora w Piana dei Greci, lewe koryto rzeki Belice przepływa obok Aquili i Saladino, które są jak na pustyni: sady, ogrody nie mogą się tu rozwijać z braku kanałów irygacyjnych. Od ujścia aż do Menfi są tysiące hektarów ziemi, którą można by zamienić w ogrody, a nie robi się tego z braku wody. Dlaczego rząd nie buduje zapory w Bruca? Któż to może wiedzieć? Wszystkie sondáže wypadły dobrze, wiem, bo pracowałem przy tym. Kiedy zima jest deszczowa, ciężka, rzeka wygląda jak język morza spływający w dół i rzeczywiście z powodu silnego prądu nawet barki nie mogą po niej pływać. Spływ z lesistej góry Ficuzza przede wszystkim, spływ z góry San Giuseppe lato, po lewej stronie, spływ z góry koło Corleone, Prizzi, Campofiorito, Contessa Entellina; a następnie strona prawa: spływ ze wzgórza Camporeale, Roccamena i tak dalej aż do Menfi. Kiedy padają wielkie deszcze, a nie ma tamy, woda zalewa tereny uprawne w pobliżu rzeki i porywa glebę, najpierw wymywa z ziemi jamy, to znaczy ogałaca od spodu, a potem gleba, podmyta od spodu, puszcza sama. I rzeczywiście, o pięć kilometrów stąd przy silnym prądzie rzeka zboczyła, tworząc sobie nowe koryto, przez co przepadło wiele dobrej ziemi, a zostało stare koryto nie nadające się do uprawy, bo całkiem kamieniste. A rzeka jeszcze nie za-7 trzymała się. Ponieważ ziemia jest ruchoma, piasek mięknie, rozpuszcza się w wodzie i koryto rzeki poszerza się. Nadbrzeżne winnice, zarośla trzciny, jeśli nie zostaną po-

rwane prądem w tym roku, to porwie je woda, w przyszłym. Porywa je, wciąż rozszerzając koryto.

Gdyby w Bruca powstała tama, to cała dolina, aż do Menfi, mogłaby stać się prawdziwym ogrodem, zrobiłby się miły chłodek, pracowaloby się i jadło w, cieniu, nowe życie. Wszędzie byłaby świeża zieleń, pomarańcze, a ziemia, która teraz kosztuje milion, kosztowałaby cztery albo pięć milionów. Wyobrażam ją sobie całą porośniętą bujną roślinnością, całą w pomarańczowych kwiatach jak w okolicy Palermo. Ja jestem mistrzem murarskim, nie znam się zbyt na rolnictwie, ale jestem synem handlarza cytrusami z Palermo. Zobaczyłbyś w mojej wizji domy wśród zieleni, nad kwiatami krążyłyby pszczoły, owoce radowałyby się czerwienią, dzieci mogłyby jeść owoce, które teraz sprowadza się z Neapolu i kosztują drogo, a czasami są wręcz suche. Podobnie sałata, którą jemy parę dni po zerwaniu, kiedy w mieście nie chcą jej już nawet psy.

Wyżej w górach, gdzie jest stromo, wszystko powinno być zalesione gajami migdałowymi, można by spróbować założyć parę winnic tam, gdzie jest mniej stromo, albo zrobić tarasy, schodkowato. W dole po zrobieniu sztucznego jeziora zmieniłoby się wszystko — jeden wielki ogród trzydzieści kilometrów długi, od Roccamena aż do Menfi; a, co więcej, dzięki tej tamie można by mieć prąd elektryczny.

Onegdaj na przełęczy Rigano widziałem w wyobraźni dziesiątki chłopców siedemnastoosiemnastoletnich i kobiety z nożycami w ręku, ładowali owoce w kartony, w kosze, wynosili je pięknie zapakowane. Praca wrzała. Jeśli ja nie doczekam sztucznego jeziora, to przynajmniej chciałbym, żeby doczekał mój syn. Dzięki tej wodzie, która się marnuje, można by zlikwidować bezrobocie. Nie szukając daleko: ojciec, który ma trzy albo cztery córki, jak Angeluzzo, cd ma cztery córki — czy przy obsłudze jednego mężczyzny jest dość roboty dla pięciu kobiet? Gdyby zrobili tamę, kobiety znalazłyby pracę przy sadach, w ogrodach. Wraz z tamą powstałyby różne zakłady przemysłowe. Byłby jeden wielki park. Ile trawy, ile bydła można by wypasać! Trawą, jaka rośnie pod sadami cytrynowymi, można by

wykarmić* przynajmniej tysiąc do półtora tysiąca krów, można by napełniać spichrze i stworzyć mleczny raj. Na tych dwudziestu pięciu czy trzydziestu kilometrach, które rzeka przepływa aż do morza, każdy, kto ma kawałek ziemi, mógłby hodować dwie czy trzy sztuki bydła i mieć mleko w domu. Tym sposobem kobieta siedziałaby na miejscu, a mężczyzna wychodziłby, robił swoje, podczas gdy kobieta zbierałaby trawę w pobliżu, napełniała spichrze, zanosila krowom, doila, czyściła. Hodowałaby świnię, gołębie, kury. I nastaloby życie piękniejsze, nowe życie także dla kobiet. Potem zaczęłyby przyjeżdżać autobusy, samochody. A tymczasem stąd do Castelvetrano ziemia marnuje się. Kiedy kończą się żniwa, zostaje pustynia. Tylko od czasu do czasu widać, jak pastuch pasie krowy na ściernisku, bo trawy nie ma. Krowy stoją nieruchomo, nie jedzą z braku wody. Przestaje najpierw jeść jedna, potem jakieś ciele, potem druga, potem jeszcze jedna, wszystkie stoją nieruchomo, czując suchość w pyskach. Więc odprowadza się je i przyprawdza znów o piątą. W ziemi robią się rozpadliny, takie głębokie, ziemia wysycha aż do dna i jakiś muł albo krowa łamią sobie nogi, nogi ześlizgują się im w rozpadlinę. Cała ziemia nabiera zapachu spalenizny; wydaje się, jakby powietrze poruszało się, odczuwa się niemal jakieś falowanie. I tak całe miesiące, przez całe kilometry. Nie ma roślinności, jest tylko pustynia, aż oczy bołą.

Całe dno doliny mogłoby zostać przekształcone w wielką panoramę ogrodów cytrusowych i sadów owocowych. W nie-^{*} których miejscach dolina się zwęża, ale zaraz się znów rozszerza, a tam, gdzie spotykają się obydwie koryta rzeki Belice, teren rozszerza się w niektórych miejscach na dwa albo trzy kilometry. Cóż może zrobić pojedynczy człowiek? Czy chłop może sam sobie skanalizować zimową wodę? Czyż może zbudować tamę? Pojedynczy człowiek nie może zbudować tamy. Powinien by zbudować ją rząd, zamiast trzymać pieniądze zamrożone albo spełniać kaprysy bogaczy, którzy mają głos w parlamencie.

Tama mogłaby mieć wysokość pięćdziesięciu metrów w środku i cztery kilometry długości. Ja wiem, jak powinna

by wyglądać, bo, żeby nie siedzieć beczynnie, podróżowałem po Sycylii i pojechałem też na kontynent.

W czasie wojny rzeźnik nie mógł bić świń, to było zakazane, ponieważ mięso podlegało rekwizycji rządowej, więc jeden wziął, w dzierżawę pół salmy ziemi. Cała była zachwaszczona i on nie miał innej rady, tylko brał motykę, plewił chwasty i palił. Potem zasadził warzywa: sałatę, brukselkę, koper, fasolę, seler, karczochy, pomidory. Pracowali u niego za pięć, dziesięć lirów dziennie. I wynikły rzeczy nie spotykane, ta ziemia nie widziała nigdy czegoś podobnego: wyrósł wielki koper, brukselka, sprzedawało się -jedno po drugim. Zaopatrywał wszystkie sklepy w miasteczku, co rano pełen wóz, ponieważ najpierw był sezon na jedno, potem zaczynał się na drugie, potem znów na inne, ziemia wciąż rodziła, jedna roślina się kończyła — to sadiło się drugą.

Ten rzeźnik uzyskał z ziemi dziesięciokrotnie większe plony niż przedtem chłop. Gdyby zbudowano tamę w Bruca, to ziemia ta urodzi wszystko. Jakie warzywa zasadzisz, wszystko wejdzie. Tu jest strefa gorąca, jeżeli się nie da wody, wszystkie rośliny usychają. Próby i próbki są już gotowe. Trzeba, żeby rząd zbudował tę tamę. Tu można by zyskać miliardy, rozmawiałem z inżynierami, którzy robili próby. Te ziemie marnują się bez wody. Ale tutejsi ludzie nie mają zrozumienia. Uprawiają ziemię tylko raz do roku, a jeśli się nie udaje, nie robią nic. Mówią, że nawozu nie używają, bo brudzi ziemię. Plewy palą, bo nie wiedzą, co z nimi robić. Winorośli nie sadzą, bo jeśli jeden posadzi, inni mu wyzbierają. Kamieni nie wybierają, bo jednego roku dzierżawi jeden chłop, drugiego inny; i dlatego nie sadzą także drzew. „Przecież odchodzę — mówi taki — i miałbym zostawić to dobrodziejstwo innemu?” Problem rąk do pracy. Zamiast pracy pod szyldem warsztatów szkoleniowych można by zacząć większe prace jako warsztaty normalne: zamiast pracować sześć miesięcy po sześćset lirów, tę samą pracę można by zrobić w trzy miesiące dając robotnikowi słuszną płacę, tysiąc dwieście lirów. Cała masa młodzieży potrzebowałaby warsztatów szkolenio

wych z prawdziwego zdarzenia, gdzie przyuczano by do zawodu, gdzie mogłaby uzyskiwać kwalifikacje. Tymczasem ci chłopcy, pozostawieni sobie, nic nie robią, grają w karty po barach od rana, już w porze pierwszego autobusu za-» wsze znajdzie się ktoś, kto gra w karty o kawę.

Kiedy nie ma pracy? Na przykład, kiedy skończyły się żniwa, nie ma nic więcej do roboty. Wychodzi się rano z domu i dokąd się idzie? Na rynek, od baru do baru, siada się, jeśli nie ma pieniędzy, patrzy się, jak inni grają. Ty opowiadasz dowcipy mnie, ja tobie, zabija się czas. Przechodzi godzina, dwie, trzy godziny, stawia się krzesło tak, potem inaczej, a kiedy już zdrętwiało siedzenie, wstaje się, rozmawia o polityce, o sporcie. Grywa się o filiżankę kawy, teraz gra się o porcję lodów, różnie. Później idzie się do domu. Czasami żona marudzi, robi szum, czasem nie ma co jeść. Chleb, cebula, sałatka z pomidorów. A potem co? Nic. Znowu wychodzi się i idzie do baru, jeśli się ma pieniądze, gra się, a jeśli nie, to znowu się kibicuje. Czasami powstają awantury, rzucają sobie karty w twarz, ale rzadko. Mówią sobie: „Jesteś włóczykiem, zawsze cię pełno w barze, a pracować nie idziesz”, potem ktoś uspokaja i godzi. Po-» tem tamten mówi: „Gdyby nie on, to bym się nie pogodził”. Właściciel baru mówi: „Przez was odbiorą mi licencję”, potem on też siada i kibicuje. Nie mają pieniędzy. Przez całe miesiące dwadzieścia do trzydziestu i więcej osób w barze, setka osób codziennie. Niektórzy idą do klubów wiejskiego i tam siedzą. I co dalej? Ciągłe ta sama melodyjka, łażenie po rynku. My chcielibyśmy zmienić to życie, ale z której strony zacząć? Jak zrobić, żeby powstały warsztaty przyuczające do zawodu, jeśli nie ma nam kto pomóc? Robotników niewykwalifikowanych można znaleźć wszędzie, a ich praca nie daje wielkich korzyści.

W takiej wiosce jak ta setki osób przez całe miesiące, a nawet przez całe lata trudnią się wyłącznie zbieraniem zieleniny, ślimaków i innych takich rzeczy; chodzą przez całe dni po górach, żeby mieć talerz zupy wieczorem, i nie produkują nic ani dla siebie, ani dla innych. I dochodzi do pozwów, sporów, traci się chęć do życia, nie można utrzy-

mać rodziny, brakuje najniezbędniejszego, człowiek jest nędzarzem, wstydzi się samego siebie. Dlaczego przychodzi mu ochota zabijać, zabić się? Nie widzi innej drogi wyjścia, jakby był zamknięty w studni.

Dziecko ośmioletnie w czasie dni deszczowych pasie owce, krowy. Jest bez przerwy zmoczone, samotne przez cały dzień, nie może ruszyć się z miejsca, żeby nie wpaść w błoto. Już od małego robią mu się odciski i wykrzywiają nogi. Roccamena jest uboga we wszystko, ale bogata w odciski. Trudno poznać, ile dziecko ma lat, bo takie jest pomarsz-> czone, zaniedbane, zniszczone ciężką pracą. Trudno odróżnić, czy to karzeł, czy dziecko. Tak wyglądają, bo ojcowie nie mogą ich wyżywić.

Tutejsze dzieci przeważnie nie znają morza, z daleka ze skały Rocca del Signore widzą je ci bardziej śmiali, co wybierają się tam rzucać kamieniami, łamać kaktusy, kraść migdały; z pewnością nie chodzą tam oglądać morza. I dlatego morze, znajdujące się w linii powietrznej o trzydzieści kilometrów stąd, jest dla tych dzieci zmarnowane, tak samo jak jest zmarnowane dla nas, zupełnie jakby nie istniało. Dzieci bawią się na ulicy, w kurzu, niektóre myją się co cztery albo pięć miesięcy w balii od prania, zresztą to zależy w jakiej rodzinie. Tutaj nawet powietrze się marnuje; dzieci często muszą oddychać razem z mułem, kozą, ojcem, matką, braćmi, kurami, wszyscy w jednej izbie bez okna, aż wstyd.

Rejestr ludzi naszego warsztatu to istny cmentarz, wszyscy podpisują się krzyżykami, analfabeci. A nie orientując się w niczym, nie znając się na formalnościach urzędowych, człowiek z konieczności daje się wyzyskiwać na wszystkie strony... To tak jak roślina, która i tak daje mało owocu, a jeszcze ją szkodnik podgryza; jak bób, do którego przyczepi się chwast i wysysa co najlepsze, chwast rośnie, a bób marnieje. Nie mogą powstawać spółki, ponieważ, po pierwsze, ludzie nie mają wzajemnego zaufania, a po drugie, żyjemy w nędzy. Ludzie nie działają wspólnie z braku zaufania. Dajmy na to, ja uważam, że byłbym w stanie zainwestować pół mi-

liona. Jeżeli jestem tutaj, nie mogę jednocześnie być gdzie indziej, czyli, innymi słowami, nie mogę być zawsze obecny. przy interesach, więc boję się, że mój wspólnik czy wspólnicy mogą mnie okraść pod moją nieobecność. Dlatego staram się inwestować te pół miliona na własny rachunek i często tracę na tym, że jestem sam. Jeśli chcę, na przykład, wysłać pomarańcze na kontynent, to jeżeli jestem tu, nie mogę być tam, a jeżeli jestem tam, to nie mogę być tutaj. Pewnych rzeczy nie da się zrobić, jeśli się nie działa wspólnie. I część życia marnuje się przez to, że nie można mieć zaufania do swoich wspólników, ponieważ wspólnik dba o swoje własne interesy, a nie o interesy spółki. Nie rozumie się, że dbając wyłącznie o swoje interesy, rozbija się spółkę. Marnuje się życie dlatego, że się nie działa wspólnie; marnuje się życie dlatego, że nie ma organizacji. Mój ojciec zajmował się wysyłką cytryn do Nowego Jorku i Londynu. Wysyłała firma Randazzo, przyjmowała firma Saitta. Niektórym kontrahentom ci wspólnicy z Ameryki mówili, że towar przyjechał zgniły, i wtedy żądali od wysyłającego zwrot poniesionych kosztów. Oto dlaczego spółki na Sycylii nie udają się. Teraz wiedzie się tylko temu, kto ma duże możliwości finansowe i pracuje sam. Gdyby ludzie się zrzeszali, ile rzeczy dałoby się zrobić! Doprawdy Sycylia mogłaby być mlekiem i miodem płynąca. Gdyby była szczerą. Przede wszystkim szczerą. Bo kiedy ktoś jest szczerzy, to wszystko mu dobrze idzie.

Wszędzie bałagan. Bywa, że praca idzie na marne; na przykład w Capparini, tuż obok. I podobnie w innych wsiach, powstałych po wojnie: Saladino i Aquila, De Sisa koło San Cipirello, Marcanzotta w pobliżu Camporeale. Brakuje wody, światła, drogi gdzieniegdzie są, gdzieniegdzie ich nie ma, podobnie jak tu. Chwilowo wszystko stoi w miejscu, zostawili wszystko tak, jak jest. Skąd my mamy wiedzieć dlaczego?

Ja wiem dlaczego, ponieważ dużo podróżuję w poszukiwaniu pracy. Oczywiście, że wydano miliardy. Z tymi domami będzie tak samo, jak z tamtymi z czasów faszyzmu. Nie ma nikogo, kto by pilnował, więc jeden wyrwie drzwi,

drugi okno z futryną, po wynoszą dachówki; oczywiście -każdy, kto buduje sobie dom na własny rachunek, weźmie trochę wapna, cegieł i ma dom. Nawet kamienie zabierają, bo wszystko jest porzucone i bez opieki.

Monolog o poborze do wojska

Kiedy przyszła karta powołania*, musiałem porzucić pra-> cę. Pojechałem do Palermo do Wojskowej Komisji Rejonowej. Przybyliśmy tam, kazali nam stanąć w rzędzie i czekać na swoją kolej do badania. Skierowanie do Avellino. Dali nam jeden posiłek i siedem papierosów z siedmioma zapałkami. Odjechaliśmy ze stacji w pół do jedenastej wieczorem. Ja nigdy nie podróżowałem tak daleko, więc podróż całonocna wydawała mi się jak podróż na koniec świata. Rano wysiedliśmy w Messynie, eskorta odeszła i zostaliśmy sami.

Od Reggio do Salerno wieźli nas wagonami towarowymi. Pociąg jechał strasznie szybko i te bydlęce wagony robiły wrażenie, jakby się miały za chwilę rozlecieć na kawałki. Wysiedliśmy w Salerno, było nap trzydziestu skierowanych do Avellino, i pomyliliśmy pociąg, wszyscy trzydziestu razem. Szliśmy za chorążym. Pojechaliśmy pociągiem odjeżdżającym cztery godziny później. Kiedy dotarliśmy do Avellino, był tam tylko sierżant, który darł się na cały głos. „Gdzieście się podziewali, łamagi!" Jeden palermianin powiedział na to, żeby uważał, jak się odzywa, bo chwilowo nie jesteśmy jeszcze wojskowymi. „Już jesteście w wojsku — znowu zaczął krzyczyć: — Stańcie w szeregu!" I zaprowadził nas do koszar. Była pierwsza w nocy.

O szóstej rano ogłosili pobudkę. My, co przybyliśmy późno, sądziliśmy, że pobudka nas nie dotyczy. Udaliśmy, że nie słyszymy. Wtedy przyszedł kapral i zaczął krzyżeć. Wstaliśmy jak barany, wprowadzili nas do wielkiego pomieszczenia, gdzie było wielu oficerów. Wywoływali nas pojedynczo i stawiali na bok: „Ty — mówili — przydzielony jesteś do siódmej kompanii, plutonu itd. Zaprowadzili

nas do sypialni i dali każdemu pryczę i wszystko, co trzeba. Potem strzyżenie: mieliśmy włosy nastroszone jak strzecha, a obcięli nam jak parszywym. Nazajutrz rano pobudka, kawa i musztra.

W każdej kompanii uformowali pododdziały. Mówili, że będą nas szkolić. Przyszedł kapral, staliśmy w trójszeregu, i zawołał: „Baczność! Kompania, naprzód marsz!” Wyglądaliśmy jak stado baranów, maszerowaliśmy każdy po swojemu, jedni trzymali krok, inni nie. Więc kapral krzyczy: „Kompania, stój!” Dwustu ludzi naraz, gdy jeden się zatrzymał, to drugi wpadał na niego.

„Chłopcy — on do nas — spokojnie, stopniowo się przyuczycie”. Kazał wystąpić pierwszej trójce, zrobił znak na ziemi i polecił im ustawić stopy równo wszystkim trzem. Potem kazał stanąć na baczność i mówi: „Musisz trzymać głowę do góry, ani do przodu, ani do tyłu, równo. Pierś naprzód. Musisz być jak dobrze wymodelowana świeca, ręce wyciągnięte, buty dotykają się obcasami, czubki rozsunięte, a pięty razem. Jeżeli ktoś ma stawać na baczność, musi zrobić mały podskok i podskoczywszy trzasnąć obcasami, jak należy”.

Potem kapral komenderował: „spocznij!” Musieliśmy uderzyć mocno stopą o ziemię, ponieważ stopa musiała przybić, trzeba było czuć, że się przybija.

Na „spocznij!” trzeba wystawić jedną stopę do przodu, drugą pozostawić z tyłu, założyć ręce do tyłu i odrobinę schylić głowę. Na „baczność!” trzeba podrzucić głowę. Kiedy się słyszy „ba”, podrzuca się tylko troszeczkę głowę, potem pada komenda „czność” i robi się podskok, a jakże, i trzaska się obcasami, wciąż ze stopami rozchylonymi.

Przez czterdzieści dni ciągle ta musztra. Nauczyli nas także salutować. Kapral stawał na środku dziedzińca, a my, żołnierze, robiliśmy krąg maszerując dookoła; kiedy ktoś dochodził do kaprała, przyciągał lewą rękę do nogi, a prawą trzymał przed furażerką. Dłoń skierowana w stronę oka dotykała furażerki.

Potem nauczyli nas „na prawo patrz!” i „na lewo patrz!” Podczas gdy kompania jest w szyku i każdy maszeruje,

a oficer mówi „na prawo...”, to podnosi się głowę wciąż maszerując i przybija mocno, potem gwałtownie zwrócić głowę i przybicie nogą równocześnie. I maszeruje się z głową wciąż zwróconą na prawo albo na lewo, jeżeli przedtem nie powiedzą „wróć!” Na komendę „wróć!” głowa wraca do pozycji normalnej i znowu przybija się nogą. Mówili, że to jest salutowanie oddziału. Takó była musztra. Tego nas nauczylí. A potem zaczęli nas szkolić, jak zabija się ludzi.

Zaczęło się od granatów ręcznych pustych, rozładowanych. Potem kazali nam rzuoac prawdziwymi i wtedy po raz pierwszy miałem pietra. Podchodzili do nas żołnierze z granatami ręcznymi, do każdej czwórki po kolei; dawali każdemu po jednym do torby, jakby to były jabłka. Na miejscu rzutu stał oficer w specjalnie wykopanym dołku, w hełmie na głowie, i krzyczał: „Gotowi?” Więc za pierwszym razem rzuciłem granat natychmiast po wyciągnięciu zawlecзки, bo miałem stracha. Nigdy dotąd nie widziałem na oczy tych cholernych granatów, ale potem stopniowo nabierałem odwagi i przestałem kię zastanawiać.

No i strzelanie z karabinu. W głębi było sześć sylwetek ludzkich z drzewa, kazali nam do nich strzelać. Wystarczy wziąć manekin na cel i strzelić, jeśli się trafi, to liczy się jako człowiek zabity. Dawali premię tym, co wszystkimi sześcioma strzałami trafiali w człowieka. Potem karabin maszynowy, cztery lufy, czterdzieści naboí na żołnierza, do sześciu manekinów. A jeśli ktoś w ogóle nie trafił, kapitan wpadał we wściekłość. Tymczasem skrzynki z amunicją topniały aż miło, całą ciężarówka; ile granatów ręcznych się zużywało! W każdym oddanym strzale słychać huk tysięcy lirów, świszczą tysiąclirówki (wiem, bo w tym czasie póslali mnie do zaopatrzenia). Tak wyglądało szkolenie przez jedenaście miesięcy, potem były manewry wojenne przeciw nieprzyjacielowi.

Uczyliśmy się tych rzeczy od rana do wieczora; potem o piątej wolno było wyjść aż do dziewiątej. Wyglądaliśmy jak ptaki wypuszczone z klatki. Wszyscy szliśmy na dziewczynki. Mielíśmy do dyspozycji tylko te cztery godziny. Oficerowie mówili, że gdy wychodzimy z koszar, mamy

się zachowywać; jak Judzie poważni, nie wolno niepokoić dziewcząt z dobrych domów, trzeba iść do domu publicznego. Dawali nam po 45 lirów dziennie, 450 lirów na dekadę, więc do domu publicznego mogliśmy pójść dopiero po wypłacie dziecięciodniowej. Jeśli nie, to dogadywaliśmy się na ulicy za-50, najwyżej 100 lirów. W Avellino na osiem tysięcy żołnierzy zawsze co najmniej trzy tysiące wychodziło co wieczór z koszar, a były tylko dwa domy publiczne, każdy z czterema—pięcioma dziewczynkami. Pod każdym z tych domów żołnierze stali w kolejce, każdy chciał iść pierwszy, każdy mówił: „Ją byłem pierwszy”. Awanturowali się, ubliżali sobie. Kiedy przechodził patrol, wszyscy jak niemi oczekiwali swojej kolejności. Wszędzie pełno żołnierzy, sami żołnierze. W dzień dziewczęta musiały zajmować się mieszczuchami, wieczorem sami wojskowi aż do dziewiątej, potem znowu ludzie z miasta, a także wojskowi na przepustce.

Tak to jest z wojskowymi w czasie pokoju. Bacność tu, bacność tam i kurwy. Gdyby nauczyli mnie czegoś z mechaniki, to jeszcze—jeszcze, ale co za pożytek przyniosło mnie i mojej rodzinie to „naprzód marsz” i na „prawooo patrz”?

Jaki zawód uprawiałem przedtem? Niech sobie przypomnę wszystkie: zbieracz kaparów i witek do wyrobu mioteł, stawowy, kopacz, cukiernik, łapacz żab, zbieracz ślimaków, zbieracz zieleniny, zbieracz oliwek, zbieracz kłosów, zbieracz węgla porzuconych wzdłuż torów kolejowych, zbieracz ołowiu na strzelnicach policji, sprzedawca używanych amerykańskich ubrań, sprzedawca lodów, sprzedawca /nasion, sprzedawca wody i anyżku, sprzedawca żab, łowca rzecznych węgorzy, sprzedawca papierosów amerykańskich z przemytu, przemytnik alkoholu, złodziej krzyżów cementarnych (sprzedawałem je jako złom żelazny), robotnik, jeśli udało się znaleźć pracę, i wiele innych.

Ojcu nie przywiozłem ani lira po tych jedenastu miesiącach, to raczej on mi posyłał. Zmarnowali mi czas niepotrzebnie. Kiedy wróciłem, byłem zbyt wytrącony z wprawy, żeby móc zabrać się do tych samych prac co przedtem.

Nie ma takiego, który by poszedł do wojska dobrowolnie. Chyba tylko ci, co chcą zrobić karierę, dla pieniędzy. Taki, co nie umie robić nic innego, zostaje żandarmem albo wojskowym, robi się kapralem, potem plutonowym, sierżantem i tak ciągnie forszę, płacą mu co miesiąc. Nie ma człowieka, który by poszedł z dobrej woli. Nie ma człowieka przy zdrowych zmysłach, który by chciał być wojskowym i chciał wojny. Lud jest ciemny; gdybyśmy wszyscy mogli się wspólnie dogadać, to tych paru, którzy chcą wojny, wsadzilibyśmy do domu wariatów, żeby prowadzili wojnę między sobą.

Tymczasem powinno kiedyś dojść do tego, żeby — na przykład — kazano pracować wszystkim wojskowym na Sycylii, na koszt państwa, ale bez uszczerbku dla innych. Zamiast kupować amunicję, zużyć te pieniądze na narzędzia, żeby oddziały miały czym pracować; sadzić lasy, budować drogi, fabryki, domy dla biednych, tamy, wszystko, co trzeba. Jeden rok na Sycylii, drugi na Sardynii, trzeci w Kalabrii. He tysiące ludzi powoływanych jest co roku do wojska w całych Włoszech! Po dziesięciu latach takiej pracy poprawiłoby się nam wszystkim. Ta cała broń to są rzeczy, które przynoszą złe owoce; nie potrzebujemy tego. Teraz jesteśmy rodzicami, nasi synowie stopniowo dochodzą do dwudziestu lat i w kółko to samo — do wojska. Nauczmy się raczej czegoś pięknego, a gdy nasze dzieci dorosną, będą się uczyć pięknych rzeczy i tym sposobem będą rosnąć zdrowo. To są rzeczy oczywiste. Nie ma takiego, który mógłby powiedzieć, że to nieprawda. Zapytajmy najgłupszego człowieka na świecie, a powie, że to prawda: my powinniśmy nasze dzieci uczyć rzeczy dobrych, a nie rzeczy złych, takich jak zabijanie.

Ja jestem prawie analfabetą, ale sędzę, że we Włoszech powołuje się do wojska za dużo ludzi. Myślę, że w całych Włoszech cały ten pobór do wojska mógłby przynosić zysk, zamiast być wydatkiem. Być żołnierzem po to, żeby robić idiotyzmy, to nudne. Człowiek młody chętnie robiłby coś inteligentnego, uczył się czegoś. Gdyby rząd włoski to za

pewni! ktoż mógłby mówić źle o nim? Kto mógłby występować przeciw niemu?

Później znów powołali mnie do wojska, bo była wojna; cztery lata, jeszcze gorsze. Po siedmiu czy ośmiu dniach spędzonych na okręcie „Liguria” wylądowali nas w Tobruku. Odbylem służbę wojskową, ale nie wiedziałem nic o życiu frontowym, byłem Zdezorientowany. Po trzech dniach wybuchła wojna zaczęły się pierwsze bombardowania Tobruku. Domy wylatywały w powietrze; pewnego dnia byłem w lokalu z prostytutkami, słyszymy syrenę alarmową i wszyscy uciekają jak szczury. A po odwołaniu alarmu znaleźliśmy kobietę pod ścianą, rozerwaną na kawałki przez bombę. Po każdym bombardowaniu zburzonych było kilka domów. Potem posłali mnie na front.

Ręce, nogi, głowy, buty zdejmowane razem z nogą, nic już nie można było zrozumieć z tego wszystkiego. Krzyki. Nadlatywał granat, wybuchał i na kogo popadło, tego trafiał. To wszystko rzeczy znane. Myślałem o rodzinie, polecałem się Matce Boskiej, patrzyliśmy jeden na drugiego, pocieszając się nawzajem. Potem widziało się, jak jeden się przewraca, widziało się, że drugi kolega też zabity. Wtedy nie czuliśmy się już istotami ludzkimi.

Monolog o okularach

Teraz już nie mogę chodzić zbierać kłosów po ścierniskach, bo nie mam okularów; jestem już do niczego, z daleka nic nie widzę, z bliska troszeczkę. Co roku chodziłam zbierać wszędzie po polach. Wychodziłem o trzeciej, o drugiej nad ranem, im wcześniej wyszłam, tym więcej zebrałam. Krzyż jak przetrącony od tego ciągłego schylania się dzień w dzień, ale przynajmniej udawało się zebrać trochę ziarna do jedzenia. Bo jak miałam sobie dawać radę zimą? Od dwudziestu

czterech lat jestem wdową. Bywało, zbierze się mało, bywało — bardzo dużo. Kiedy zboże wyrosło ziarniste, można było przynieść do domu osiem kilo, czasem mniej, sześć, pięć kilo. Potem we wsi młóciliśmy to kijem, oczyszczaliśmy ze słomy, podrzucaliśmy rękami do góry, kiedy był wiatr, przesiewaliśmy przez sito i plewy odchodziły, a zostawało piękne, czyste ziarno.

W tym roku też próbowałam, ale nie mogę zbierać. Przez cztery dni chodziłam i nie mogłam nic dojrzeć, nie przyniosłam ani ziarnka. Widzę tylko słomę, rżysko. Wczoraj przez to, że schyliłam się nisko, żeby zobaczyć, czy zostały jakieś kłosa w rżysku, weszła mi słomka w oko. Już ód jakichś sześciu miesięcy czuję się, jakby mi ktoś podbił oko. Ludzi z daleka nie mogę rozpoznać. Wciąż chcę przecierać oczy, czyszcę je chusteczką, żeby przejrzały, bo zdaje mi się, że mam ciągle zamglone. Tutaj, jeśli ktoś nie ma pieniędzy, to trzyma się na uboczu, siedzi w domu. Gdybym mogła zbierać zboże, mogłabym ziarno sprzedać, kupić sobie okulary i pracować. Kłosa można zbierać prawie przez cały miesiąc. Mogłabym zbierać opadłe pomidory, ter zeschę. Robić inne rzeczy. Gdybym pracowała, miałabym pieniądze, kupiłabym okulary i mogłabym jeszcze pracować. Ponieważ nie mam, to siedzę w domu i nic nie robię. Mówią, że jak się nosi okulary, to wzrok wraca, oczy odpoczywają.

Moja rodzina jest nieliczna. Kogo miałabym prosić o pomoc? Córka (ona jest zamężna, jej mąż wyjechał teraz do Francji, bo był bez pracy) kiedy miała pieniądze, to mi dawała. Czy mogę ją teraz prosić, żeby mi dała? Kiedy była panną to jeszcze... Ale teraz, kiedy jest zamężna, czy to by było słuszne? Dziecko nie może mi pomóc. Czy mówiłam o tym proboszczowi? Bo ja wiem, czy on zajmuje się takimi sprawami? Eca?* Co to jest Eca? Nie wiem, co to jest. Syndyk? Już wtedy, kiedy potrzebowałam lekarstw, powiedziano mi, że pieniędzy nie ma. Pierwsza rzecz dla wzroku — to zrobić okulary; trzeba by pojechać do Palermo: 800 lirów autobus dla mnie samej, a gdyby miała ze mną jechać

córka, to 1600. Potem wydatek na okulary. Nie wiem, ile kosztują. Nigdy jeszcze nie kupowałam. Mówią, że kosztują 10 tysięcy lirów. Jeden taki, co miał kataraktę i teraz nosi okulary, mówi, że kosztują 8 tysięcy lirów albo 10 tysięcy — bo ja wiem. Pomyliło mi się. Kiedy jem, wydaje mi się, że wzrok mi się rozjaśnia, wtedy mi lepiej.

W OKOLICACH MENFI

Monolog o przyjacielu

Poznałem Miraglię, kiedy miał czternaście czy piętnaście lat. Co robił, dokładnie nie wiem. Często widywałem go u jednego, który prowadził warsztat krawiecki; może się z nim przyjaźnił, a może u niego pracował, ale uczył się zawsze na buchaltera. Potem przestałem go widywać w Sciacca. Mówili, że pojechał do Mediolanu, a potem do Francji. Zobaczyłem go znowu, kiedy miał dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata i pracował jako buchalter w firmie Galio i spółka, wytwórnia cegieł. Później zajął się handlem morskim, soleniem ryb i tak dalej. Zaraz po zakończeniu wojny otwarto Izbę Pracy i on został pierwszym sekretarzem. Nie było jej dotąd nigdy. Staranie się o członków, aby uzyskać konieczną liczbę zapisanych, żeby móc zorganizować partię walczącą o sprawiedliwość, o nowe prawa. Mówił: „Zorganizujcie się i twórzcie kooperatywy, bo tym sposobem możemy zdobyć ziemię dla wszystkich”. W ciągu roku było nas tysiąc ośmiuset. Wszyscy byli zgodni. Ale nie było ziemi, bo nie starczyło latyfundiów: boga-* czom zostawiono dwieście hektarów, więc ziemi brakowało.

Przedtem była partia Bertolina, partia Friscii, Murnuny, którzy ubiegali się o mandaty deputowanych, syndyka. Tak przekonywających słów nie słyszeliśmy jednak od nikogo, nikt w taki sposób nie wystąpił. On chciał, żeby ludzie zorganizowali się do walki o swoje prawa; tego jeszcze nie było. Mówił, że nasze organizacje mogą wejść do rządu.

Byłem mu bliski, ale nie należałem do organizacji. Aż kiedyś u siebie w domu zaproponował mi, żebym się zapisał, i zgodziłem się. Ja na podstawie dotychczasowych doświadczeń byłem zdania i jestem nadal, że tamci nie ustąpią i zrobią wszystko, żeby nie ustąpić, ponieważ są tyle lat u władzy. Raczej postarają się nas zlikwidować. Bo pamiętałem Panepinto i Vferro, którzy przybyli któregoś dnia na zebranie ligi rolników i robotników rolnych. To było w roku 1909. Zamordowali ich obydwu, najpierw Panepinto*, a potem Verro. Ale on mówił: „Teraz nie ma już rządu królewskiego”, bo w tym czasie był rząd z Togliattim jako ministrem sprawiedliwości i Gullo — ministrem rolnictwa.

On był ogromnie przywiązany do ludzi biednych, miał swoje poglądy — chciał zmienić świat — i zawsze o nie walczył. To był człowiek porządny, o dobrym sercu, dobrego charakteru. Wyglądał nieomal podejrzanie, w długim płaszczu, z bródką; miał twarz cudzoziemca. Natomiast mówił bardzo pięknie, z zamiłowaniem, nikt mu nie dorównywał. Mówił i przechodził natychmiast do konkluzji. Nie był szarlatanem, który tylko gada i gajda. Pracował codziennie w porcie, wcześniej z rana. O wpół do dwunastej przychodził do Izby Pracy; taka była jego trasa.

Pochodził z ubogiej rodziny, zaczął od zera. Był dokładny, „niczego nie przeoczył. Zawsze notował: kiedy tylko ktoś z nim rozmawiał, robił notatki i wkładał je do teczek. Wszystko doprowadzał do końca. Zanim coś zrobił, najpierw przemyślał i zastanowił się nad rozwiązaniem. I kiedy w czasach Mussoliniego zaarrestowali go, ludzie myśleli: „Rząd się go boi i dlatego go aresztuje”.

Miał bardzo staranną wymowę, był bardzo grzeczny. Zawsze pierwszy się kłaniał, co mnie wielce dszywiło. Jeżeli znał nazwisko, wymienił nazwisko, jeżeli nie, to mówił „dzień dobry” i przechodził dalej. Taki był. Nie wywyższał się wobec maluczkich, stawał w kolejce razem z innymi na miejscu, jakie mu przypadło. Pewnego razu przyszedł do sklepu rybnego, byli przed nim inni klienci, więc stanął na końcu. Po jakimś czasie przyszedł ksiądz, ojciec Arena, podszedł od razu do lady, kupił rybę i wracając mówił

„Ja już dostałem rybę, a ty ciągle jeszcze stoisz w kolejce". A Miraglia na to: „Ja wprawdzie mam daleko do lady, ale ty jesteś źle wychowany". Mimo to szanowali się wzajemnie.

Za każdym razem, kiedy trzeba było rozwiązać jakiś problem, Miraglia wzywał kogoś, kto się na tym znał. Pamiętam, jak jednego razu zostałem wezwany w sprawie szkoły rolniczej, żeby podać, ile jest budynków w obrębie murów, klasztornych, gdyż te domy należały do opactwa.

Krytykowano nas, przeciwnicy mówili, że uważają nas za idiotów, że to, czego żądamy, jest nierealne. On zagrzewał ludzi do tego, żeby odebrali własność bogaczom, ale to było nierealne. Śmiali się, wciąż gadano przeciw niemu. Wiem od mojego ojca, że te ziemie dostały się bogaczom niemal za darmo, ponieważ ludzie w 1960 roku bali się ekskomuniki.

Miraglia miał wpływ na ludzi. Jeśli powiedział: „Jutro rano tu a tu", to było pełnięteńko, przychodzili wszyscy. Część z nas rozumiała, co mówił, ponieważ wiedzieliśmy, o co chodzi, ale pozostali też chwyтали sens dzięki jego sposobowi mówienia. Był nadzwyczaj uprzejmy[^] Kiedy pracował, a ktoś przyszedł do niego z jakąś sprawą, przerywał pracę, ktokolwiek był to był. Pewnego razu, kiedy był administratorem szpitala, pewien pasterz kóz, który przywoził mleko do szpitala dla chorych, poszedł do niego do domu chcąc odnowić kontrakt i on zaakceptował nowy kontrakt. Na pasterzu zrobiło to wielkie wrażenie. I wiecie, co zrobił? Wziął ser siedmio- czy ośmiokilowy i przyniósł mu w podarunku. On na to: „Słuchaj, nie przynoś mi żadnych prezentów. Martwi mnie to bardzo, bo ja tego, co czynię, nie robię dla interesu. Nie robi się grzeczności za zwrotem kosztów; robi się, bo tak trzeba".

Nie pogardzał biedakami. Zawsze mówił: „Ja mogę wam pomóc, ale wy się zorganizujcie. Sami musicie się zorganizować". I ten, kto z nim pracował, pracował nie dla pieniędzy. Kiedy sporządzaliśmy statut kooperatywy, daliśmy jej nazwę „Matka Ziemia". To była najpiękniejsza nazwa, inne nazywały się „Najświętsza Wniebowzięta", „Walczący", „Liga". Zebrania co dwa tygodnie, a praca w niedzielę

bezpłatnie. Dniówka miała być płacona tylko wtedy, gdyby w czasie dnia pracy trzeba było iść w pole godzić pokłóconych i w podobnych wypadkach. On był skłonny do wszystkich poświęceń. Wiedział, że nie wolno żałować czasu dla kooperatywy i dla organizacji, i dlatego wstawał rano bardzo wcześnie. Wciąż stawiał na organizację i robił zebrania poszczególnych grup. W niedzielę pracował do, pierwszej. Potem szedł na obiad, a o czwartej był już z powrotem i pracował do dziewiątej. Oddziaływał wychowawczo na chłopów, zawsze mówił w ten sposób: „My, zorganizowani, jesteśmy jak bracia. Jeżeli jest problem, zastanawiamy się wszyscy”. Skłaniał ludzi do braterskich uczuć. Organizacja braterska, ale pełnia praw dla każdego, a ludzie nie byli do tego przyzwyczajeni..

Ludzie poznali-go od najlepszej strony, dlatego przepadali za nim. Jeśli tylko nie miał nic do roboty w porcie, to zawsze był uchwytny. Pracy wtedy było mało albo wcale nie było. Wszyscy bezrobotni mistrzowie murarscy przez cały dzień byli, z nim w kontakcie. Był Berto, Triolo, był koło niego od pierwszego dnia kasyer Turi Citrolo, a Miraglia go stworował, żeby nie mylił się w księgowaniu (wtedy księgowość była nowością), . życzył sobie, żeby wszystko było na bieżąco. „Człowiek powinien rozumieć wszystko, powinien wiedzieć wszystko, powinien ogarniać wszystko”. Było mu przykro, kiedy widział, że ludzie nie umieją się podpisać.-

Podczas pierwszej manifestacji Miraglia jechał na białym koniu. Ten, co pożyczył mu konia, spotkał się potem z wymówkami ze strony partii przeciwnej. W sobotę wieczorem ustaliliśmy, że trzeba zrobić manifestację, aby pokazać, ile ludzi mamy za sobą, ilu chce dostać ziemię. Nazajutrz o umówionej godzinie przyszli wszyscy chłopci. Przyjechali z Menfi, Montevago, Santa Margherita, Sambuca, Burgio, Caltabellotta, Lucca, Ribera, Calamonaci, Villafranca, wszyscy na koniach. Byli weseli, jeśli napotykali przeciwników, to pokrzykiwali, pogwizdywali. Najbogatsi tego ranka nie

otworzyli balkonów, żaden. Byli też konno młodzi chłopcy z ojcami. On jechał na przedzie, a za nim cały tłum. Wydawało się, że to Orlando na koniu, serce rosło na ten widok. On budził entuzjazm, jego obecność rozgrzewała ludzi. Dzieci rzucały kwiaty, lud tłoczył się za nim, a przecież potem, kiedy go zamordowano, po pierwszej chwili powszechnego oburzenia przerazili się tego, co się wydarzyło, i każdy starał się, aby nie wiadano, że należał do naszych stronników. Zostaliśmy tylko my, naprawdę śmiali, którzy chcieliśmy albo umrzeć, albo przetrwać na posterunku.

Kawalkada była długa; kiedy ostatni podjeżdżali pod moją bramę, pierwsi musieli już dotrzeć do Świętego Michała. Był to nie kończący się pochód w dwóch rzędach. Potem pojechali aż do Bramy Palermskiej i zatrzymali się przed budynkiem Zarządu Miejskiego. Strażnicy robili szum, chcieli, żeby się prędko rozejść. Było cztery czy pięć tysięcy mułów, mnóstwo rowerów. Kto z nami sympatyzował, ten witał manifestantów i klaskał w dłonie. W pochodzie brali udział mężczyźni, a ich żony i dzieci stały przy drodze i patrzyły. Później na boisku sportowym on powiedział parę słów; wyjaśnił, po co została zorganizowana manifestacja, był bardzo zadowolony i dziękował ludowi. Potem kazał się rozejść.

Od tego momentu przeciwnicy zaczęli go śmiertelnie nienawidzić, czując, że pociąga za sobą całe miasteczko. Manifestacja zrobiła też wrażenie na komisji do spraw nieużytków i od tamtego czasu parcelacja postępowała szybciej.

Pierwsze zajmowanie ziemi odbyło się na latyfundium Santa Maria, które wtedy trzymało dwóch czy trzech wtórnych dzierżawców. W oparciu o prawo o zagospodarowywaniu nieużytków zajęliśmy posiadłość, żeby im odebrać | podzielić na działki. Cała ludność zorganizowała się konno lub na wozach. Kto był pieszo, wsiadł na rower. Miraglia wsiadł na konia w czarne i białe łaty i stanął na czele. Zebrało się ponad półtora tysiąca robotników rolnych i drobnych rolników ze Sciacca. Wszyscy się cieszyli, byli szczęśliwi, że zajmują ziemię. Kiedy otrzymali ziemię, wzmocnili się, nabrali odwagi i byli gotowi do dalszych manifestacji.

Na jednym zebraniu w Zarządzie Miejskim Miraglia powiedział, że spotkał się z pogrózkami, że chcą się go pozbyć, chcą, żeby przestał robić to, co robi. Nigdy przedtem nie nosił pistoletu, występował zawsze przeciw morderstwom i gwałtom, ale od kiedy zaczęli mu grozić, miał zawsze pistolet w teczce albo za pasem.

Jak to się zaczęło? Ano, fałszywy przyjaciel, zdrada, podobno ze strony kogoś, kto udawał komunistę, a w rzeczywistości był stronnikiem mafii. Wieczór 4 stycznia był bardzo nieprzyjemny, było zimno, wiał silny wiatr. Po zebraniu w Izbie Pracy wyszli przez Via Roma i dwóch towarzyszy odprowadziło go aż pod dom. On nie chciał, żeby go dalej odprowadzali, i powiedział: „Idźcie już, bo jest zimno”. Był przecież już koło domu i nie widać było nikogo, jako że tamci ukryli się. Kiedy towarzysze odwrócili się, a on wkładał klucz do zamka u drzwi, tamci wygarnęli serię z karabinu maszynowego. Przy pierwszej serii nie trafili, widać było ślady kul na murze, przy drugiej jedna kula ugodziła go w szyję i upadł tuż przy drzwiach. Wtedy uciekli: dwóch w stronę Świętej Katarzyny, bo tam mogli się szybko schować, żeby nikt ich nie widział.

W miasteczku zrobił się straszny zamęt. Przerażenie było ogromne. Akurat w tym czasie miasteczko było pełne ludzi, więc pogrzeb był tłumny; bogacze też szli za trumną. Już oni wiedzą, co robią.

W takich wypadkach komisarze policji czekają, aż wszystko ucichnie, bo tak nakazują zwierzchnicy. Zawsze tak jest, ja mam duże doświadczenie; ale ponieważ chodziło o Miraglię (tutejszy komisarz zaprzyjaźnił się z nim trochę) aresztowali kilku ludzi. Jeden z nich w momencie aresztowania zrobił w portki, tak że musieli mu kazać zmienić spodnie. Podobno winowajcy przyznali się ze wszystkimi szczegółami; komenda policji z Agrigento wydała taki komunikat. Potem zwolnili ich, mówili, że okazali się niewinni. Następnie aresztowali ich na nowo i znowu wypuścili, bo rzekomo mieli alibi.

Potem komisarza Zingone i innych zamiast nagrodzić zastąpiono Innymi, usunięto — reakcja oczywiście zwycię-

żyła. Zawsze tak było i jest,, kiedy chodzi o poważne sprawy. Nie tylko przeniesiono ich gdzie indziej, ale jeszcze oskarżono o to, że uzyskali zeznania w wyniku tortur. Potem dla formalności prowadzono śledztwo, a ponieważ śledztwo jest tajne, nic nie wiadomo i nie można nic opublikować. Wszystko załatwia się po cichu. Tamci są sprytni i mają znakomitych adwokatów. Potem komisarz i inni zostali uwolnieni od oskarżenia o stosowanie tortur. Wobec tego prawdą było to, do czego tamci wtedy się przyznali. Ale siła jest siłą.

Gdyby to ktoś z bogaczy został zamordowany, toby szukali, ale w tych przypadkach wykorzystują swoją przewagę, robią, co im się podoba. Zawsze tak jest. Zeszłego roku czterdziestu czy pięćdziesięciu rolnikom, którzy mieszkali w polu, ktoś kradł kury: jednemu dwadzieścia, drugiemu trzydzieści, trzeciemu piętnaście (nie licząc mułów, krów i owiec, które kradną bezustannie; nie ma takich, co by nie byli poszkodowani). I nigdy nie można było znaleźć ani kur, ani winnego. Ale pewnego razu napadli na bogatego właściciela, weszli przez płot. Ponieważ ten właściciel miał wilczurę, który ich zaatakował, więc zastrzelili i psa. Stróż się nie pokazał ze strachu. Nazajutrz właściciel zwrócił się do władz. Władze zainteresowały się i postawiły umyślne posterunki na drogach, gdzie można się było spodziewać złoczyńców. I zatrzymali skuter typu „Apa”, i znaleźli kury tamtego. Gdy tylko w grę weszły interesy bogaczy, zaraz znalazła się „Apa” i kury, i przestępcy.

We wszystkim tak samo. Tyle już mamy tego rodzaju doświadczeń. Już jestem stary. Zawsze tak samo, przy wszystkich zamordowanych przez mafię. Choćby tylko w najbliższych okolicach: Montalbano stracił syna, Spagnolo z Izby Pracy został zamordowany, Leonarda Rendę zastrzelili, po- dźgali nożem, wreszcie wsadzili mu kamień w usta. Nigdy nie znaleziono sprawców; śledztwo i potem od razu cisza.

Tak samo i z Miraglią. Teraz sprawa została zaniechana jak gdyby nigdy nic.

Każdy się bał. Kiedy aresztowani wyszli znowu na wolność, sprawa przestała istnieć. Ludzie zaczęli powracać,

wciąż wracają, ale gdyby zamordowali drugiego z powodów politycznych, to wszyscy znów by uciekli.

Druga demonstracja miała miejsce w roku 52, w niedzielę. W sobotę nadeszły karty powołania do Wojska. Te karty przeczytane zostały w Komitecie i zdecydowano zorganizować demonstrację następnego dnia, w niedzielę. Nazajutrz zeszli się wszyscy w Izbie Pracy i zrobili tę demonstrację. Na zebraniu strajkujących zdecydowano, że w przyszły czwartek zrobi się nowy pochód. Więc w czwartek od rana zbierali się grupkami po całym mieście. Zaczęli mówić: „Nie pojedziemy do wojska”, „Nie pojedziemy, nie”. I wtedy po całym mieście zaczęli krążyć żandarmi. Kolo Loreto stała grupa robotników rolnych i chłopów, którzy schodzili na dół i mieli się zbierać koło Bramy Palermńskiej. Pajtrol policji chciał ich rozproszyć. Oni stawili opór i zaczęła się walka między policją a ludnością. Mówili, że mają już dość wojny: „Nie wystarczy to, co przeszliśmy w czasie ostatniej wojny? Znowu chcecie nas masakrować?” W tym momencie demonstranci spotkali się koło Bramy Palermńskiej, część nadeszła z tej strony, część z tamtej. Ludzie przerwali kordon żandarmerii, strażników ziemskich i miejskich i poszli w stronę koszar. Sierżant kazał zamknąć bramę i wołał, żeby się rozeszli. Ale lud się upierał, bo chciał mieć pewność, że poborowych nie wezmą do wojska. Wtedy oni zaczęli rzucać petardy łzawiące, strzelać w powietrze, ludzie złapali za kije i zaczęli się bić. Broni przecież w domu nie zostawili. Pałki, kamienie, branie się za łby; istna kotłowanina. Wreszcie gdy od tego dymu nie można już było wytrzymać, interweniował Cuffaro z Izby Pracy i rozeszli się. Nic się nie stało, tyle, że próbowali podpalić samochód żandarmerii, chcieli podłożyć ogień pod bak z benzyną. Od tej chwili zaczęli ludzi prześladować i ciągnąć do więzienia, do Porto Empedocle i Agrigento. Zaaresztowali nas ze stu. Mnie trzymano przez tydzień, podobnie zatrzymali ze sześćdziesięciu innych, ale karty powołania zniknęły, nie było o nich więcej mowy i nikt nie poszedł do wojska. Jeśli się czegoś chce, trzeba się o to bić, inaczej nic z tego.

Przez to, że nie jednoczymy się w walce o nasze prawa,

Kooperatyw w celach innych niż zajęcie ziemi nie stosujemy. Nie udaje się nam ich zorganizować, wszystkie upadają, bo jest w tej sprawie nieufność. Mogłaby przyjąć się tylko taka kooperatywa, w której każdy miałby swój kawałek ziemi, bo każdy chce pracować osobno. Miraglia proponował, żeby uprawiać wspólnie całą posiadłość, a potem dzielić się plonami, ale wszyscy byli przeciwni. W tej sprawie nie przyznali mu racji, a on nie nalegał. Lud nie ma zaufania dlatego, że nigdy nie zaznał sprawiedliwości.

Na razie trzeba się zorganizować, aby żądać swoich praw i wyrzucić tych wszystkich, którzy pasożytują na biedakach, Musimy być zvarci w sprawach dyscypliny, sprawiedliwości, pracy. Kiedy mam pracę, wracam wieczorem do domu i jem talerz zupy z rodziną, i wiem, że jutro, też pracuję. A kiedy mężczyzna pracuje, nie martwi się, w domu nie ma rozpachy. Kiedy mam zapewniony kawałek chleba, buduję rodzinę.

Monolog o zabijaniu ryb

Kiedy zapalić światło, ryby podpływają pod powierzchnię tak, że niemal wystają z wody pyszczkami do góry; stoją pięknie, ani drgną, łagodnie jak baranki, ponieważ odpowiada im temperatura powietrza, czują ciepło zupełnie tak jak my, kiedy w zimie siedzimy dokoła żaru z pieca; Strasznie im pilno, żeby zbliżyć się do światła, pędzą tak szybko, jakby to nie była woda, tylko powietrze, w podskokach, aby szybciej, potem ustawiają się równo, pyski im się otwierają i zamykają. I tak zawsze.

Tak, ale idzie o coś innego. W Sciacoa jest około setki kutrów motorowych, każdy z szesnastu czy osiemnastu ludzi^{mi}, i każdy kuter wychodzi wieczorem w morze z dwoma lub trzema barkami i ze światłami. Wszyscy mają pełne ręce roboty, ten niesie skrzynki, tamten olej, ów owija tiulem

lampy karbidowe, a bomby oblepia się gliną, żeby doszły do dna; najpierw kamienie, a na to glina, ze cztery czy pięć kilo, żeby od razu poszły na dno. Bomba zrobiona jest tak: z paczki ładunków dynamitowych, w której jest trzydzieści sztuk, bierze się dwa, bierze się puszkę, wkłada się tam dobrze sprasowany dynamit, lont i detonator, trochę papieru przetłuszczonego, potem oblepia się to gliną, żeby woda nie dostała się do dynamitu, a potem naokoło kamienie i znowu glina. Każdy kuter ma ze sto takich bomb. Biedniejszy bierze mniej, bo paczka ładunków kosztuje 4 500 lirów.

Kutry wypływają i zajmują stanowisko w jednym miejscu. Kiedy zaczynają się pokazywać ryby, kiedy widać wszystkie gołym okiem, całą ławicę, wtedy wrzuca się bombę. Potem widzi się, jak ta cała ławica ryb wypływa na powierzchnię; są ogłuszone, przewracają się, pęka im kręgosłup, robi się miękki, nie jest już sprężysty jak u normalnych ryb. Te, co znajdowały się tuż obok miejsca wybuchu, zdychają i porywa je prąd. W całej tej masie są też małe, które wszystkie zdychają i płyną potem z prądem już nieżywe.

O wiele więcej jest tych zmarnowanych niż tych, co się złowi, również dlatego, że przede wszystkim zdychają te małe, z których już nigdy duże nie urosną. Bo przecież jeśli rzucić bombę w miejscu, gdzie podpływają wszystkie, to jasne, że te większe mają szansę przeżyć, a małe zdechną co do jednej. Rachunek jest prosty. Kiedy widzisz sto takich kutrów, to każdy niszczy co najmniej dwadzieścia kwintali ryby w ciągu jednej nocy. Bywa, że kuter zabija setki kwintali ryb. Kiedy my — ja też czasem wypływam z nimi — rzucimy ten dynamit w morze, woda się burzy, ryby już nie podpływają do światła. Woda robi się mętna, błoto podnosi się z dna, widzi się ślad lontu aż do dna, bo pali się nawet w wodzie, potem słychać takie „aauu...” (nie ma huku, tylko takie „aauu”; ci, co są daleko, słyszą piękny huk, ale kto jest blisko, słyszy tylko „aauu”), woda się rozstępuje — je, ponieważ siła wybuchu wyrzuca na wierzch wodę, błoto i wszystko inne, ryby wylatują w powietrze i spadają. Po-

I tern, kiedy woda się uspokaja, widać wszystkie wyraźnie — J te, co spływają z prądem, z połamanym grzbietem, zma- [sakrowane, i te wielkie, co zostały całkiem ogłuszone, ze zwichniętymi kręgosłupami i które chcą pozostać blisko światła; zostało im tylko trochę życia, za chwilę zdechną, a dążą do światła, bo wciąż jeszcze lubią światło. Kiedy jest ciemno, zbijają się w kupę, bo urodzone są, żeby pływać razem, i może bardziej się boją ciemności. Nawet jeśli je odpychać od barki, nie odpływają, bo ryba — tak jak człowiek — chociaż z połamanym kręgosłupem i ogłuszona, chce jeszcze trochę światła. Wtedy zarzuca się specjalną sieć i wyławia je. Ogłuszonych i martwych, których się nie bierze, jest całe mnóstwo; na dnie, z boku, ze wszystkich stron widać martwe ryby. Na pięćdziesiąt metrów dokoła widać martwe ryby, potem już się ich nie widzi, spływają z prądem, a my stoimy na kotwicy.

Nocą widać, jak kutry płyną, jeden zmierza w tę stronę, drugi w tamtą, jeden w stronę lądu, drugi w stronę morza. Na brzegu słychać „aauu”, „aauu”, od strony wszystkich kutrów, skąd rzucają bomby; pod statkiem słychać „aauu”, czasami zdaje się, że to statek pęka, jak gdyby ryba uderzyła od spodu.

Sto kutrów i trzysta barek, kiedy nie ma pełni księżyca. Każdy kuter rzuca ze dwadzieścia bomb w ciągu jednej nocy. To średnio, ale rzucają także więcej. W Terrasini wyleciał w powietrze ojciec z wszystkimi synami i wszyscy zginęli. W Mazara jednym wybuchł detonator w rękę i urwało mu dłoń. Cały narybek ginie, nie ma mowy, żeby przeżył, nawet ikra spoczywająca na dnie, wszystko, co małe, ginie, nawet te, co mają się dopiero narodzić z jaj. Kiedy kutry rzucają bomby, ryby przerażone uciekają w głąb, po pół godzinie czy po trzech kwadransach chcą wrócić do światła, ale wybucha następna bomba, więc znowu uciekają w głąb i my z mniejszymi łodziami nie możemy łowić. Kapitanat portu mówi, żeby nie zabierać bomb na pokład, bo jeśli je znajdą, to skonfiskują łódź. Ale kutrów, które należą do wielkich „szyszek”, nie rewidują, pewnie mają między sobą cichą umowę.

Wiem jak łowią ryby w Terrasini, Trappeto, Castellam- mare. Tam nie używa się bomb albo używa się mało, nie niszczą morza, tak jak niszczą je tutaj bombami. Natomiast przyplływają tam kutry z Palermo łowić narybek sieciami, które się nazywają „raustina”, są tak gęste, że woda przez nie prawie nie przechodzi, jak przez płótno. Wylapują nimi cały narybek. W ten sposób marnuje się ryba, która już nigdy nie urośnie. A ponieważ potem brakuje też małych raczków (tam gdzie przejdzie taka sieć, nic nie ujdzie z życiem), ryba nie znajduje pokarmu i odpływa, szuka sobie innego miejsca i nie składa już tutaj ikry. I tak zaczyna w końcu brakować ryby przez to, że są tacy, co łowią narybek.

Tutaj, w Mardnella, jest około sześćdziesięciu łodzi. Znam całe tutejsze wybrzeże aż do Mazary, Marsali, Trapani; wszędzie marnuje się sporo ryby, stosują potas, najgorzej jest w Mazarze. Rzucają sieć, robią zwrot, rzucają potas i chwytają wszystkie ryby, jakie są, bo nie mogą one uciec ani dołem, ani górą. Potem, z powodu tego smrodu, przez całe miesiące nie pokazuje się w okolicy już żadna ryba. My też czujemy ten smród, ale ryba odczuwa go bardzo, działa on jak duszący gaz. Jeżeli na przykład wrzucę do wody ten popiół, my nie pocujemy nic; to wywabiacz płam, ale to straszna rzecz dla ryb. Nie pojawi się tu więcej żadn[^] przez całe miesiące. Trzeba niejednej burzy, żeby usunąć ten smród. Najpierw zastawia się sieć, potem rzuca się na wodę kawałki tego trochę większe od pastylek, jakie bierzemy na ból głowy. Po paru minutach rozpuszczają się i morze robi się całkiem białe, jak wapno, a oczy robią się czerwone i nie widać, czym się to skończy. Przy użyciu bomb ryba przez dwa, trzy dni nie wraca w to miejsce, ale przy wywabiozu mijają miesiące i ryba nie wraca. Gdybym ja to wrzucił w tym miejscu do morza, to cała wioska nie miałaby z czego żyć. Odległość między Partinico a Castelvetro wynosi sto dwadzieścia kilometrów drogą lądową. Drogą morską jest ponad dwieście kilometrów. Kiedy się patrzy z daleka, to wszystko wygląda jak odświeżone miasto, całe iluminowane. Z brzegu wydaje się to piękne,

a tymczasem jest to wzajemne wykańczanie się; tamten rzuca bomby, a ja nie mogę pracować. Wszystkie ryby po-*' zabijane, co noc setki, tysiące kwintali zmarnowanych ryb, skarby, które niszczyją w morzu. Dawniej przyływały tu, setki łodzi, wpływały wszystkie do tej zatoki pod Selinunte, A dzisiaj wielu rybaków przestało pływać, ponieważ morze nie jest już teraz takie samo jak dawniej; starają się urządzić w inny sposób.

Monolog o okradaniu grobów

Tutaj, kiedy ktoś umiera, odprowadza się go aż do stacji (bo tutaj w Marinella, w Selinunte, nie ma cmentarzy, zawożą do Castelvetro); wszyscy rybacy składają kondolencje rodzinie. „To był dzielny człowiek — mówi się, żeby coś powiedzieć — szkoda, że umarł, mógłby sobie jeszcze pożyć na tym świecie”. Potem każdy idzie za swoimi interesami do portu, wszyscy mówimy o tym zmarłym i przez trzy dni nie wychodzimy na połów. A jeśli chodzi o tych najbardziej niezaradnych, to krewny albo przyjaciel daje przez tydzień jeść rodzinie.

Pewnie, że trzeba jakoś żyć.

Co ludzie robią, kiedy nie mogą zarobić na utrzymanie rodziny? Starają się jakoś urządzić. W Agrigende na przykład, a także w Geli, Segeście, Solunto, kto nie ma pracy, ten idzie przeszukiwać groby. Chodzi się nocą; gdy człowiek wejdzie do środka, jest oszołomiony, rozgląda się, starą się zobaczyć, co jest wewnątrz. Trupowi nie robi się krzywdy, cóż on winien? Ja kradnę to, co ma na sobie, i idę. Strach mnie bierze, kiedy chwytam za ramię, no bo dlaczego mam chwycić tego człowieka za ramię? Jedna deska od spodu, druga z boku, trzecia z drugiego boku, czwarta nad głową, piąta od strony stóp i jedna z wierzchu przybita na dobre, powietrze prawie wcale nie dochodzi. Czasami szkielet jest nietknięty, podczas gdy z przedmiotami bywa przeciwnie. Do trumien wkładało się dwie butelki, dwie amfory z malowanymi figurami, lampy oliwne, puchary, szkatułki z bi-

żuteryą, oczywiście byli bogaci i byli ubodzy, wkładano podobno też statuetki, srebrne pierścienie. Ludzie uważali, że jak zmarli ożyją, to znajdą cały swój posąg. Tace do owoców, bransolety z brązu, nigdy nie znalazłem innych niż brązowe, znajdowałem też pierścienie z wypalanej gliny. Kiedy człowiek wchodzi tam do środka, na dwa metry pod ziemię, z ręczną latarką, to oczywiście strach go bierze, bo czasami te rzeczy robi się samemu. Człowiek natrafia na szkielet i trzeba trochę odwagi, żeby go dotknąć. W niektórych miejscach, w pobliżu nekropoli, są tysiące grobów całkowicie opuszczonych. Bywają groby królewskie i groby byle kogo. Poznaje się je od razu. W jednym grobie można znaleźć dużo, w drugim nie znajduje się nawet za dziesięć tysięcy lirów. Są tam czasem rzeczy zadziwiające. Setki lu-» dzi żyje z grobów.

Z pewnością wszystkim nam się coś marzy. Mnie się marzy, że w tym miejscu jest znalezisko, a tymczasem znajduję małe amfory i różne drobne przedmioty. Ten, kto się na nich nie rozumie, tłucze je, bo uważa, że musi znaleźć cenny skarb. Podczas kopania można stwierdzić, że pod jednym grobowcem jest drugi, pod tym znowu inny i tak siedem czy osiem grobowców, jeden na drugim: I -co^się^dziejer" wówczas, kiedy ktoś próbuje zejść na dół? Robi się dziura, ziemia załamuje się pod nim i nie może wyjść na górę/ Czary to strach, jaki chwytą człowieka, gdy zapadnie się mu ziemia pod stopami. Ktoś, komu brak odwagi, kiedy wpadnie, mówi, że to czary, i ucieka. Nawet nie ogląda dziury, taki jest oszołomiony. Ale nawet kiedy człowiek nabierze już trochę doświadczenia, to i tak strach go bierze, ponieważ pod spodem jest drugi grobowiec, obszerny i wysoki jak sala. Pierwszego, który umierał, umieszczali na spodzie- w sali najniższej, kopiąc na przykład osiem metrów, potem robili drugi grobowiec, potem dalsze cztery, pięć, sześć, siedem, osiem grobowców.

Pracuje się żelaznymi łopatkami ze stalowym brzegiem, bo płyty grobowców są grube. Kiedy uderza się od góry, żeby zrobić dziurę do wejścia, nie znajduje się już trupa ułożonego jak przedtem, ale poruszonego, bo od tych wstrzą-

sów trup się przesuwają. Stąd wrażenie, że tych ludzi umieszczano w grobowcach jeszcze żywych. Kiedy się wchodzi tam do środka, jest okropnie gorąco, przez tyle lat w zamknięciu ciepło nabiera większej siły, więc kiedy otwieramy, bo często jest nas kilku, to czekamy przez jakieś pięć minut, zanim wejdziemy, żeby się wywietrzyło. Robi się jeden tylko otwór, zagląda się ze światłem, patrzy, jak jest głęboko i potem spuszcza na dół. Ludzie żyją z tego chyba od dziesięciu lat.

Kiedy włączę do środka grobowca, mówię sobie czasami; „Dlaczego mam okradać tego faceta, przecież nie wiem na-^{*} wet, kto to taki?” Można rozpoznać, kiedy to jest kobieta. Czym moja żona szyje? Igłą. No i znajdujemy tam igły, napastrki. Czasem myślę sobie: „Gdyby przyszedł jej mąż, co by powiedział widząc, że okradam jego żonę?” Duch jej męża. Boję się, ale nie wierzę, że ten duch nadejdzie. Potem, kiedy człowiek znajdzie wejście do grobowca, to już jest tylko chciwość. Strach przechodzi. Gdy czasem w trakcie pracy nagle pojawi się ktoś inny, znów strach ogarnia. Żyje się wciąż w napięciu, człowiek denerwuje się na każdym kroku. A przecież to tylko taki sam człowiek jak ja, kolega po fachu. Każdy pracuje na własny rachunek. Przez cztery—pięć godzin pracy można napęłnić worek.

Władze ze swej strony też próbują kopać. Ale co władze mogą znaleźć? Byle co, głupstewka. Nie mogą nic znaleźć, ponieważ my jesteśmy bardziej doświadczeni i dostajemy się tam pierwsi.

Tę pracę, którą wykonuję w nocy, chciałbym robić w dzień. Mam już doświadczenie i mógłbym oddawać znale-^{*} zionę rzeczy rządowi. Oddawać wszystko, co znajdę. Zamiast sprzedawać za byle grosze Amerykanom, Francuzom, Anglikom i Niemcom, mógłbym przekazywać rządowi, ale żeby mi płacili dniówkę. Wtedy obie strony byłyby zadowolone. To prosta sprawa. Człowiek chce pracować.

WPROWADZENIE

Na Sycylii jest niemało polityków skompromitowanych powiązaniem z mafią. Można by podzielić ich na cztery kategorie:

Pierwsza — to politycy pozbawieni skrupułów, którzy, głównie w czasie wyborów, odbywają pośpieszne spotkania i wtedy nie troszczą się zbytnio o takie subtelności, jak sposób pozyskiwania głosów i z kim mają do czynienia: „Jeżeli ty pomożesz mnie, to ja pomogę tobie”.

Druga — to politycy, którzy wykorzystują stale i z premedytacją członków mafii i nie cofają się przed żadną po-4 dwójną grą zależnie od miejsca i czasu; oni z kolei są systematycznie wykorzystywani przez mafię.

Trzecia — to autentyczni członkowie mafii, którym udaje się odnieść sukces w wyborach i osiągnąć niekiedy bardzo wysokie stanowiska; na szczęście ta kategoria nie jest najliczniejsza.

Czwarta kategoria — to młodzi, którzy nie zgadzając się początkowo z tym systemem, z czasem dla kariery dają się wciągnąć w jego tryby.

Jakie lokalne warunki umożliwiły wykorzystywanie przez przeszło dwadzieścia lat mafii (a przez pewien czas także bandytyzmu) do celów wyborczych?

Mafia mogła w okresie powojennym uczestniczyć w rządzie włoskim od szczebla gminnego przez powiatowy i re-

gionalny aż do szczybli najwyższych. Dlaczego tak się działo właśnie w tych okolicach?

Każdy, kto zna Palermo i otaczającą je prowincję, może się łatwo przekonać, że ogromna większość ludności jest niezadowolona ze* swego losu: bardzo często głęboko niezadowolona, zgorzkniała i ponura. „Dlaczego — mógłby pomyśleć taki obserwator — ta większość niezadowolonych nie potrafi stać się większością działającą w innym kierunku, nową siłą, nową większością polityczną?”

W „Ankiecie w Palermo” starałem się przedstawić przede wszystkim warunki życia, problemy, degradację człowieka pozbawionego pracy; w „Marnotrawstwie” — ukazać trudności, degradację człowieka i jego środowiska wtedy, gdy nie działa pobudzająca i koordynująca siła planowania; na tych stronach szukam wyjaśnienia problemu, jak przywrócić wartość grupy, niezbędnego ogniwa pośredniego między jednostką a społeczeństwem, między wysiłkiem indywidualnym a demokratycznym planowaniem.

„Kto gra sam...” jest to więc zbiór notatek z rozmów przeprowadzonych w zamiarze wyjaśnienia, na czym polegają trudności życia zbiorowego i demokratycznej organizacji w Palermo — mieście i prowincji, notatek zebranych przy pomocy tak prymitywnego instrumentu, jakim jest prowokowanie ludzi do wypowiedzenia się, do myślenia. Jestem coraz bardziej przekonany o wartości takiego aktu uświadamiania sobie własnej sytuacji. Oddaję więc głos moim rozmówcom.

Vito

- Czy należałeś kiedyś do jakiejś organizacji?
- Co to znaczy?
- Czy należałeś kiedykolwiek do jakiejś organizacji, do jakiegokolwiek?
- Zawsze należałem do siebie samego.
- Dlaczego nigdy nie należałeś do żadnej organizacji?
- Zawsze należałem do siebie samego, nikt nie musiał mi doradzać. Tylko raz za czasów Mussoliniego byłem za-» pisany do bezrobotnych.
- Nie przyszła ci nigdy ochota zapisać się do jakiejś partii?
- A czy być zapisanym do bezrobotnych to nie to samo, co do partii?
- A jak ty myślisz, co to jest partia?
- Partia to jak ojciec rodziny, który może podejmować się różnych zadań.
- Czy słyszałeś słowa komunizm, socjalizm, chrześcijańska demokracja? Jak myślisz, o co to chodzi?
- To są partie przeciwne jedne drugim.
- Nie przyszła ci nigdy ochota należeć do jakiejś grupy religijnej?
- Nie, nigdy.
- Dlaczego?
- Dlatego, że zawsze żyłem na własny rachunek, nigdy nikt nie musiał mi niczego doradzać.

- De masz lat?
- Czterdzieści dziewięć.
- Chodziłeś do szkoły?
- Parę dni. Jestem analfabeta.
- Czy można powiedzieć, że twoja partia to twoja rodzina?
- Tak jest, właśnie tak.
- Twoja żona, dzieci i kto jeszcze?
- Mój brat, my zawsze trzymamy się razem.
- Az innymi?
- Mało. Raczej z daleka. Tak się przyzwyczailiśmy. Przysłowia mówią: „Kto idzie sam, ten nie ma kłopotów”, „Kto gra sam, ten nigdy nie przegrywa”.
- Czy byłeś za granicą? ■jll- W Szwajcarii.
- Jak długo?
- Dwa lata.
- Dobrze ci tam było?
- Jak mogłem się czuć dobrze z daleka od-rodziny ?
- A stosunki z ludźmi?
- Inny język, nic nie rozumiałem. Jeden facet przychodził przekazać, co powiedział właściciel, co było do powiedzenia.
- Jak sądzisz, dlaczego tak właśnie mówią przysłowia sycylijskie?
- Jeżeli człowiek rządzi się sam, przed nikim nie potrzebuje się tłumaczyć. Robi to, co myśli. Kiedy jest się razem, to jeden mówi to, drugi co innego i nie mogą się zgodzić.
- Ale przecież wieczorem wychodzisz, stoisz przed domem na ulicy, aby zaczerpnąć powietrza, masz sąsiadów, spotykasz ludzi...
- Owszem, mówi się „dzień dobry”, „dzień dobry”. Stare przysłowie mówi: „Kłaniamy się i rozchodzimy”. Kłaniamy się sobie i każdy idzie w swoją stronę, robi swoje.
- Ile was jest w domu?
- Dziewięcioro. A teściowa dziesiąta.
- Jakie stosunki panują w rodzinie, z żoną i z dziećmi?

- Dzieci są bardzo posłuszne, a żona jeszcze bardziej. Kiedy ma coś zrobić, zawsze pyta mnie o zdanie.
- A teściowa?
- Tak samo.
- Czy myślisz, że świat może się zmienić?
- Nie wiadomo, czy może się zmienić, czy nie. Tak właśnie myślę. Na świecie zawsze tak było i zawsze tak będzie. Patrząc na to przez całe życie, widzę, jak kręci się w kółko, wszystko na jedno kopyto, dla nas zawsze na jedno wychodzi. My rodzimy się do roboty.
- My, to znaczy kto?
- My, biedacy, urodziliśmy się do roboty.
- Jakie wrażenie zrobiły na tobie różne rzeczy w Szwajcarii?
- Patrzyłem z otwartą gębą i nic nie rozumiałem.
- . — Czy kiedy wróciłeś na Sycylię, czułeś się pod jakimś względem inny?
- Kiedy wróciłem do Włoch, na Sycylię, nabrałem znów odwagi. Wróciłem na własne śmieci i poczułem się lepiej. Tu wszyscy mówimy tym samym językiem. Gdy się nie rozumie, to człowiek się denerwuje, nie jest w stanie pojąć, o co chodzi, boi się omylić, nie wie, czego się od niego chce.
- Dlaczego mówisz: „My, biedacy, urodziliśmy się do roboty?”
- Bo my, biedacy, jesteśmy do roboty. Bogacze nie pracują.
- Uważasz to za sprawiedliwe?
- Sprawiedliwe? Myślę... no, tak całkiem sprawiedliwe to nie jest. Ale kto jest biedny, musi siłą rzeczy pracować, bo jak nie pracuje, to nie je.
- Czy więcej jest bogaczy czy biedaków?
- Nas biednych jest dużo więcej niż bogatych.
- A czy biedacy nie mogliby się wszyscy porozumieć i zrobić świat inny, zmienić go?
- Jakim sposobem mogliby się wszyscy porozumieć, żeby zrobić świat inny? Myślę, że nigdy nie potrafią się porozumieć.

Sariddu

— Jest wielu takich właścicieli, którzy z dwóch, trzech, czterech tysięcy krzaków winorośli mają w oiągu roku najwyżej dwieście albo trzysta tysięcy lirów. Na rynku jest mnóstwo wina fałszowanego i dlatego cena jest niska. Nie mogąc wyżyć z ziemi, próbują szukać szczęścia za granicą. Tak samo jest z wszystkimi tymi zajęciami, które uprawiało się dawniej, dziesięć lat temu, jak zbieranie zieleniny, łapanie ślimaków i żab, zbieranie węgla na torach, kłosów na rżysku. Dzisiaj już nikt nie chce się tym zajmować, każdy stara się wyemigrować; całe Włochy wyjeżdżają za granicę. Zostaje klepać biedę tylko ten, co nie chce albo nie może emigrować, bo jest za stary albo ma kartotekę nie w porządku.

Jednakże jakieś trzy lata temu znowu zaczęły się trudności, pracy jest mniej. Przedtem, jeśli ktoś pojechał do Palermo szukać pracy jako robotnik na budowie, to ją znajdował, a dzisiaj trudno jest znaleźć czynne przedsiębiorstwa. Ten d ów w dalszym ciągu wyjeżdża za granicę, ale nawet, na przykład, w Szwajcarii jest mniej pracy.

Jeżeli opuszczę to przedsiębiorstwo, jeśli skończy się ta praca, czego należy się obawiać, to co mam ze sobą zrobić? Wrócić do normalnego trybu życia. Jeśli o mnie chodzi, znowu będę łapał ślimaki, zbierał kapary, wrócę do tego brudnego życia dzień po dniu, aby związać koniec z końcem. To, jeśli o mnie chodzi. Ale ten, co nie ma nawet takiego zajęcia, kiedy skończy mu się kredyt w sklepie, wra-t ca na gościniec i robi to, do czego zmusza go konieczność. Dlatego my, Sycylijczycy, jesteśmy przestępcami. To sytuacja nas do tego doprowadza, konieczność nakarmienia dzieci nas do tego popycha. W ostatnich latach stopniowo coraz mniej było na drogach zdesperowanych ludzi, zmniejszyła się ilość morderstw i kradzieży. Gdyby zlikwidowano możliwość pracy za granicą, wynikłoby z tego więcej nieszczęść. Teraz ludziom zaczynają się już otwierać oczy i nie chcą wracać do poprzedniego życia.

Ten, kto dotychczas wstając rano nie wiedział, co ze sobą

zrobić, wyjeżdża i widzi, że tam ludzie bratają się przy pracy. Wydaje mu się, że trafił do raju: wstaje rano, wie* dokąd iść, i sprawia mu przyjemność pracować razem z innymi, rozmawiać, jego umysł zaczyna się rozjaśniać. Tutaj, pracując w samotności i nie widując się z nikim, jestem jak kłoda drzewa, mam oczy zamknięte, nie wiem, co mi się może przydarzyć. Tam zaś, żyjąc w społeczeństwie, zaczynam chwycić słowo od tego, słowo od tamtego, zaczyna się organizacja. Przez pierwsze dni człowiek jest nieufny, ba dotychczas żył sam, rozgląda się wokół, myśli źle o innych; Ja przez pierwsze dni źle się czułem, bo byłem bez rodziny i prowadziłem zupełnie inny tryb życia; czułem się zagubiony, nie zadawałem się z nikim, potem zacząłem powoli godzić się z losem, rozglądać dokoła, nawiązałem przyjaźnie i poczułem się pewniej. Wszystko dokoła było spokojne, więc byliśmy spokojni i my. Ale rozłąka z rodziną bardzo mi dokuczwała, ciągnęło mnie do rodziny i dlatego wróciłem.

Tu poczułem się jak kawał drewna. Byłem zadowolony,, że odnalazłem rodzinę, ale straciłem życie społeczne, któ-^ rego dopiero oo zaznałem.

Właściwie to pod każdym względem byłem inny; kiedy wyjeżdżałem, myślałem o chlebie i godziłem się ze wszyst- kim; kiedy wróciłem, nie myślałem już o tym kawałku suchego chleba. Gdy przyjechałem i żona postawiła mi na stole chleb z paroma oliwkami, popatrzyłem i powiedziałem do niej: „I to ma być wszystko?” Zapomniałem, jaki było dawniej. Moja żona spojrzała na mnie i mówi: „Dla-i czego nie jesz?” Wtedy z głębi duszy wróciły do mnie dawne- uczucia, w ciągu pięciu minut zrozumiałem, że jestem znowu na Sycylii. Zjadłem, ale czułem, że nie nadaję się jua do takiego życia.

Tam, kiedy przechodziły dziewczęta, człowiek się kłaniał. Tu, jeśli uklonisz się dziewczynie, to możesz dostać w zęby. Widziałem też, jak tam wychowuje się dzieci. I teraz pa-, trząc, jak moje bawią się na ulicy, robi mi się przykro, że są tak źle ubrane, że nie mogą się lepiej rozwijać w szkole.

Odczuwam potrzebę posiadania innego domu, z ubikacją) Tam mieliśmy nawet łazienkę.

Przedtem nie byłem zapisany do Izby Pracy, nie odczuwałem potrzeby zapisywania się i nie miałem zaufania do organizacji. Po powrocie uznałem, że poprzez Izbę Pracy mogę działać razem z innymi robotnikami, i zapisałem się. Choć widziałem, że w niektórych sprawach nie mogliśmy się porozumieć — jeden mówił tak, drugi siak i nie mogliśmy uzgodnić stanowiska — to jednak lepsze to, niż być samemu jak kawał drewna.

Przywódców nie słucha się już tak jak dawniej. Dawniej, jeżeli przywódca jakiejś organizacji powiedział: „Nie można”, to trzeba było robić tak, jak mówił, nawet jeśli sprawy szły źle, bo to on był przywódcą. Teraz już nie. Teraz ludzie zaczynają rozumować: „My cię postawiliśmy na tym stanowisku i my cię usuniemy”. Dawniej człowiek słuchał jak baran; nie umiał zabrać głosu, nie umiał wyrazić swo-j ich uczuć i nikt nie zachęcał go do odzywiania się. Teraz nie. Ten, kto zna opinię jedną, drugą, jeśli słyszy, że przywódca ma rację, to idzie za nim. Człowiek chce, żeby wysłuchano jego zdania, i jeśli się nie zgadza, mówi o tym, a nie idzie ślepo za przywódcą.

Dajmniej, jeśli ktoś był silny, to miał rację, dlatego, że był silny; ludzie byli jak osły. Natomiast dzisiaj słuszne sprawy mogą wziąć górę. Sprawa może nie być poparta siłą, ale gdy ludzie wiedzą, że jest słuszna, musi wziąć górę, ponieważ jest słuszna. A jeżeli jest słuszna, to dzięki organizacji może być jeszcze silniejsza. Jeśli nawet na początku jeden widzi sprawę tak, a drugi inaczej, to potem, dzięki organizacji, po starcdu poglądów w naszym gronie siła staje po stronie słuszności.

Jeżeli istnieją grupy o różnych i sprzecznych interesach, robi się piekielna wrzawa podczas dyskusji. Z początku trzeba starać się zrozumieć wzajemnie, ale kiedy widać, że pomimo dyskusowania nic z tego nie wychodzi, wtedy trzeba znaleźć formy walki zorganizowanej, żeby osiągnąć słuszny cel.

To wszystko są bardzo ważne sprawy, sam rozum to m6-

wij trzeba tylko o tym pomyśleć. Dziecko też nic nie rozumie, ale później w miarę dorastania człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę, na czym życie polega.

Paolino

— Czy, twoim zdaniem, można w tych stronach żyć i pracować w grupie?

— Wydaje mi się, że można.

— Jakie miałeś dotychczas doświadczenia pracy i życia w grupie?

— O ile chodzi o mnie, to pochodzę ze wsi. Przez pewien czas, aż do dwudziestego pierwszego roku żyda, pracowałem u ojca. Potem, kiedy się ożeniłem, zacząłem pracę wciąż na roli razem z dwoma innymi, szwagrem i teściem. Braliśmy ziemię w dzierżawę, częściowo za pieniądze, a częściowo połowniczo, żeby pracować na własny rachunek. Kiedy skończyliśmy pracę na własny rachunek, przez parę tygodni wynajmowałem się na dniówkę jednemu właścicielowi ziemskiemu.

Potem, po jakichś ośmiu latach, pracowałem przez cztery lata u jednego właściciela; tylko ja sam, płatny od dniówki, nie było nikogo innego. Potem, ponieważ zawsze lubiłem pracę, zajmowałem się przez osiem lat koszykarstwem, wciąż na własny rachunek. Później ta praca zaczęła dawać za mały zarobek, nie było ruchu w interesie, więc wróciłem do pracy na roli jako dzierżawca-połownik. I tak pracowałem trochę na roli, a w momentach sprzyjających trochę przy koszykach.

Tak więc nigdy nie miałem okazji pracować razem z większą ilością osób. Ale sądzę, że człowiekowi jest różniej pracować wspólnie z innymi,

Przed ostatnią wojną na roli pracowało się zbiorowo. Jakiś właściciel miał pewien obszar ziemi i trzymał przez cały rok grupę ludzi na swoich gruntach, żeby okopywali winorośl, obcinali, wiązali ją do palików; do wszystkich robót aż do czasu winobrania. Taki był zwyczaj. Teraz, po wojnie,

nie ma już tego systemu, ponieważ właściciel uprawia winorośl sam przy pomocy konia i pługą, żeby oszczędzić. Chłopów rzadko wynajmuje do prac polowych, tylko w momentach najkonieczniejszych, kiedy jest zmuszony, na przykład przy winobranii albo przy zbiorze oliwek.

— Czy, twoim zdaniem, mogłyby istnieć inne formy pracy zespołowej, różne od dotychczasowych?

— Inne formy? Dotychczas pracowało się tak: było, na przykład, dziesięciu robotników rolnych. Jeśli właściciel też był rolnikiem, to pracował razem z ludźmi; jeżeli był bardzo bogaty, to siedział sobie w domu i kontaktował się z ludźmi przez swojego zaufanego.

. — Czy mogłoby być inaczej?

— Powiedzmy, jestem koszykarzem. Zamiast pracować samemu, jednoczymy się w grupie, powiedzmy, czterech tego samego zawodu. „W jedności siła”, powiadają. Jeden może zająć się wysyłką, drugi szuka klienta, pozostali dwaj pracują, jest wzajemna pomoc. A potem co miesiąc rozliczamy się i mówimy: „Zarobiliśmy sto tysięcy lirów, więc trzydzieści odkładamy, żeby założyć fundusz rezerwowy, a pozostałe pieniądze posłużą naszym rodzinom”. Fundusz rezerwowy jest tym, co wzmacnia, dlatego że zabezpiecza rozwój działalności. Ale to wydaje mi się zbyt trudne.

— A na roli?

— Na roli, na cudzej ziemi, nie widzę, jak obecna sytuacja mogłaby się zmienić.

— Nie należałeś nigdy do związków zawodowych, partii, innych organizacji?

Nie.

— Dlaczego?

Nie szukałem ich nigdy. A poza tym nie wiem, jak wygląda sytuacja w tych grupach, więc nie mogę powiedzieć, czy to lepiej, czy gorzej. U nas mówi się: „Każdy sobie rzepkę skrobie”. To znaczy, że trzeba zajmować się swoimi sprawami, nie mieszać się do cudzych.

— Czy można powiedzieć, że nie masz zaufania do związków zawodowych, partii, form organizacyjnych?

— Kiedy nie znam się na czymś, nie mogę powiedzieć:

„Do tego nie mam zaufania". U nas mówi się: „Kto gra sam, nigdy nie przegrywa". Jeżeli jakiś dzieciak bawi się z drugim, mogą się pobić i zrobić sobie coś złego, a jeśli jest sam, to bawi się i nikt go nie skrzywdzi. Tak samo jest z dorosłymi i w ogóle ze wszystkim, przysłowia nigdy się nie mylą. Kiedy człowiek jest sam, ma spokój, to rozumiałe. A kiedy dwóch, trzech czy czterech jest razem, zawsze powstają spory, kłótnie, jest ryzyko, że to się źle skończy. Żeby być naprawdę bezpiecznym, najlepiej nie mieć żadnych kontaktów. Kiedy ktoś jest razem z innymi i oni nie są lojalni, a takich zawsze jest dużo, to przegrywa. Dlatego przysłowie mówi: „Kto gra sam, nigdy nie przegrywa", Tak właśnie jest. Dotyczy to nie tylko kart, dotyczy wszystkiego; to przysłowie, które się sprawdza. Starożytni nigdy się nie mylą.
Salvatore

- Najpierw zajmowałem się uprawą roli. Potem powiedziałem ojcu, że nie chcę pracować na roli, chcę zostać murarzem. I za zgodą ojca zająłem się murarstwem. Na początku nauczyli mnie nakładać zaprawę, a równocześnie uczyłem się trzymać kielnię, oskrobywałem ściany, nakładałem tynk. Potem na moje nieszczęście miałem wypadek, spajdłęiń ze szczytu domu na plecy i potłukłem się tak bardzo, że koledzy myśleli, że nie wyżyję. Ale powiedzieli: „Zawieźmy go do Palermo. Jeżeli nie przeżyje, odwieziemy go do domu, ale najpierw spełnijmy swój obowiązek i zawieźmy go do Palermo". Przez cały miesiąc leżałem w szpitalu. Kiedy wróciłem, nie mogłem już chodzić po dachach, bo kręciło mi się w głowie, ale udało mi się znaleźć inną pracę w tej dziedzinie. Potem była redukcja, bo zaprzestano robót. Miałem odłożone dwieście tysięcy lirów; przez trzy miesiące jeździłem do Palermo tam i z powrotem nie mogąc znaleźć pracy, bo już od przeszło dwu lat wszędzie były redukcje. W jednym miejscu mówili mi; „Jeszcze nie pora zaczynać"; w innym: „Jeszcze nie czas, za dwa, trzy

miesiące zobaczymy, czy można już zaczynać". Wreszcie znalazłem pracę na trzy miesiące w Termini Imerese, z drugiej strony Palermo. Kiedy praca się skończyła, znowu zostałem zwolniony. Wróciłem jeszcze raz na wieś i teraz pracuję trochę na roli, trochę jako murarz.

— Jak myślisz, co to jest kooperatywa?

— To takie towarzystwo, żeby wszyscy byli zvarci... Nie umiem tego wyrazić.

— Chodziłeś do szkoły?

— Tak, jak byłem mały, ale poszedłem do pracy na roli, kiedy miałem dziewięć lat. W naszym domu zawsze była -bieda.

— Jak myślisz, co to jest partia?

— Czy nie mówiliśmy już o tym?

— Przedtem pytałem, co to jest kooperatywa; Jak sądzisz, czy jest różnica między kooperatywą a partią?

— My, na Sycylii, mówimy, że kooperatywa to dotyczy pracy, a partia to jest komunistyczna, socjalistyczna, monarchistów. Ja się na tych sprawach nie znam.

— Jak myślisz, co to jest partia monarchistyczna?

— Nie wiem, nie jestem politykiem. — Czy słyszałeś o chrześcijańskiej demokracji?

— Słyszałem, ale nie wiem, czy jest prawicowa czy może lewicowa... Jest przeciw komunistycznej. - — A o partii socjalistycznej słyszałeś?

— To nie moja rzecz wnikać w te sprawy, nie umiem czytać. Chciałbym znać odrobinę alfabet i umieć czytać, aby zrozumieć różne sprawy. Kto umie czytać, umie też odpowiadać na pytania. Ktoś, kto nie umie czytać, nie może z nikim prowadzić rozmowy. Kto nie umie czytać, nie ma rozeznania, patrzy i myśli sobie: „Co to może być ten papier na murze?" Kiedy tak będę patrzył, to ludzie, którzy umieją czytać, zobaczą mnie i będą się ze mnie śmiali. Ja nauczyłem się przepisywać. Parę słów umiem napisać z gło* wy i te potrafię przeczytać, bo wiem, co napisałem. Ale gdybyś ty mi coś napisał, to nie potrafię przeczytać, bo nią wiem, co napisałeś.

— Czy słyszałeś o partii komunistycznej ?

- Słyszałem, że popiera pracujących, że bezrobotnym chce dać pracę i zarobek.
- Jak myślisz, jaka jest różnica pomiędzy Izłą Pracy a partią komunistyczną?
- Daj mi pomyśleć. Ja nigdy nie zauważyłem, żeby miała być jakaś różnica.
- Czy uważasz za możliwe, żeby ludzie pracowali wspólnie, współpracowali ze sobą?
- Oczywiście. Można współpracować, jeśli się jest w zgodzie.
- I uważasz, że taka zgoda jest możliwa?
- Częściowo tak, częściowo nie.
- Co, twoim zdaniem, ludzie powinni robić, żeby współpracować? -
 - Powinni być zjednoczeni. I żeby ci inteligentniejsi tłumaczyli, że to się robi tak, a tamto siak. Ja nigdy nigdzie nie należałem, trochę dlatego, że byłem w tyle za innymi, bo nie miałem wykształcenia, a trochę dlatego, że zawsze musiałem pracować, żeby mieć co jeść i dać jeść rodzinie." Mam teraz troje dzieci. Ale chciałbym... Chciałbym umieć czytać, pisać, znać się na rzeczach i na ludziach, żeby móc wszystko opanować. Chciałbym umieć panować nad maszynami, traktorami i nad ludźmi, bo niektórzy są spryciarze, a ja nie chcę, żeby mnie okpili.
- Jak to jest, że słońce wstaje? Jak to jest, że pojawia się na tym świecie i oświetla całą ziemię i nas, którzy żyjemy na tej ziemi? Jest księżyc, który kręci się dokoła nas i w nocy oświetla ziemię, błyszczy dla nas wszystkich. Są gwiazdy, o których mówimy, że są na niebie. Ale czy jest nie-* bo? Są chmury, za którymi widać i słońce, i księżyc. I mężczyzna i kobieta, wszystko jest na tej ziemi — ja, głupia chciałbym rozumieć te wszystkie rzeczy wokół siebie.
- Są na świecie różne rzeczy, ale jeśli ich nie rozumiem, nie mogę ich używać. Są na świecie ludzie, ale jeśli ich nie rozumiem, nie mam z nich pożytku, nie mogę się z nimi porozumieć. Oni różnią się między sobą, chciałbym móc zrozumieć, na czym to polega; wiedzieć, co mówią i czego nie mówią, wiedzieć, jak postępować, żeby było dobrze dla mnie

I dla nich. Trzeba by się kształcić, żeby umieć walczyć z ludźmi i żeby umieć z nim współżyć. To tak, Jakby ktoś miał miliardy, ale spadło na niego nieszczęście i stracił obie ręce; co mu wówczas po miliardach?

Teraz jestem trochę zdenerwowany, bo nigdy dotąd nie dyskutowałem z nikim. Ale zastanawiam się nad wieloma sprawami.

Calogero (mafioso z prowincji)

— Przysłowie mówi, że człowiek nie potrafi współżyć nawet z własną żoną, ale życie w jedność jest z korzyścią dla rodziny. Jeżeli ja działam na własną rękę i żona na własną, to trudno jest uzgodnić stanowisko wobec dzieci. Także w interesach lepiej żyć z ludźmi. Na przykład; jeśli trzech wspólników dzierżawi ziemię i współpracuje ze sobą, to jeśli wśród ludzi panuje jedność, wiecie im się. Człowiek sam nie jest w stanie objąć wielkiego obszaru ziemi. Jeśli dzierżawi duży obszar, wtedy układa się z jeszcze jednym lub dwoma innymi, żeby uprawiać tę wielką posiadłość. Właścicielowi płaci się określoną sumę, czy jest urodzaj, czy nie; dzierżawca liczy na dobry rok i na swoje umiejętności.

Żeby utrzymać żonę i dzieci, kupuję, na przykład, pomidory jako pośrednik; latem zajmuję się pomidorami. Okupuję pomidory od chłopów i dostarczam do pewnej fabryki w Palermo. Ponieważ nie daję rady sam, wchodzę w porozumienie z innymi wspólnikami. Pomidory to sprawa pewna, zarabia się mało, ale zarobek musi być. Fabrykant daje na przykład 16 lirów za pomidory plus 1,5 lira za pośrednictwo, plus 2 liry za transport. „Dzisiaj się płaci tyle a tyle” — mówi fabrykant, on ustala cenę. Fabrykanci jednoczą się między sobą, żeby decydować. To jest wolny rynek, rząd nie wtrąca się w te sprawy.

Ja, na przykład, od jakichś trzech czy czterech lat pilnuję spichrzy. Jest nas trzech albo czterech, którzy latem pilnujemy ziarna właściciela. Za pilnowanie dostajemy dwa kilogramy od kwintala. Co najmniej dwustu lub trzystu

właściciele korzystają z naszych usług. Są spokojni o spichrze, zostawiając je pod opieką naszych ludzi. W przeciwnym razie mógłby je ktoś podpalić lub okraść. Wszystko może się zdarzyć. Każdy woli zapłacić i mieć spokój. Trzyma się psy, pies szczeka w nocy; strażnik to zupełnie jak pies. Tak samo jest i w tym przedsiębiorstwie. Kiedy mnie przyjmowali, to najpierw zażądali zaświadczenia o niekaralności. Miałem czystą kartotekę, więc zaangażowali mnie jako osobę za-j ufaną. Moim obowiązkiem jest pilnowanie. Majstrowie pilnują, żeby ludzie pracowali, my mamy obowiązek doglą-. dać wszystkiego — za to nam przedsiębiorstwo płaci.

— Jakie ma pan stosunki ze związkami zawodowymi?

— Jestem tylko zapisany do CISL* (...) Zresztą CISL łatwiej może uzyskać pomoc od katolików; księża pomagają przy wyborach, żeby wzmocnić swoją listę: rekomendacja księdza, arcybiskupa, kardynała... Dzisiaj ci ludzie mają wielki autorytet. Posada w banku, posada w jakimś urzędzie; tego rodzaju osoba, jeśli chce, może wiele załatwić. Jeżeli ktoś taki mi pomaga, to jasne, że idę za nim, przecież znalazł chleb dla moich dzieci.

Kiedy jest jakieś święto, zbieramy się i staramy uczcić to święto, uczcić Matkę Boską. Zbieramy pieniądze na iluminacje, muzykę, palimy sztuczne ognie na cześć Matki Boskiej. Organizujemy komitet, który zajmuje się zbieraniem ofiar od tych wszystkich, którzy mają dług wdzięczności wobec Matki Boskiej i którzy ślubowali wota w razie wyzdrowienia.

Życie w wojsku podobało mi się. Wyjechałem z domu jako dziewiętnastolatek, jak szczeniak, który nie wie, co to niebezpieczeństwo, i nie dba o uczucie rodzinne, bo jeszcze nie wie, co to rozłąka. Życie wojskowe podobało mi się, ponieważ zobaczyłem to, czego przedtem nie widziałem, bo nie wyjeżdżałem nigdy ze swojej wioski. Spotkałem ludzi, których nigdy przedtem nie spotykałem. Zacząłem też nabierać doświadczenia życiowego, bo przedtem to byłem nieśmiały w kontaktach z ludźmi; w wojsku człowiek robi się

* CISL oznacza międzynarodową konfederację wolnych związków zawodowych: Confederazione Internazionale del Sindacato Uberl.

obrotniejszy. Nabywa też doświadczenia z kobietami. Byłem tam trzy i pół roku; dyscyplina odpowiadała mi, by\$ porządek, a ja lubię porządek. Jeden rozkazuje, a inni go słuchają. Pewnie, że bombardowań nie lubiliśmy, ale życie wojskowe w czasie pokoju jest przyjemne, człowiek mądrzeje. To był rodzaj grupy, jaki mi odpowiada.

— Jaka, twoim zdaniem, powinna być grupa? Jak widzisz stosunki międzyludzkie w grupie?

— Musi być jeden bardziej odpowiedzialny, który będzie prowadził sprawy jak trzeba, a inni powinni podporządkować mu się. Jeżeli ktoś nie współpracuje, należy go usunąć, trzeba usunąć z każdej grupy takich, co szkodzą, co nie przestrzegają porządku. Są tacy, którzy wybijają się w swojej dziedzinie. Kto jest bardziej tępy i nie nadaża, powinien iść do tego, który się wybija, i zapytać: „Co pan mi radzi?” Wtedy tamten mu doradzi i ten też' będzie znał się na rzeczy.

Dokoła takiego, co ma forszę, kręcą się wszyscy. Taki jest dobrze widziany i przez władze, i przez biedaków, jest panem. Kto jest blisko rządu, też ma się dobrze. Weźmy posiadłość bogatego właściciela ziemskiego: jeżeli ktoś ma szczęście tam właśnie pracować, ten może utrzymać rodzinę^ może zarobić na kawałek chleba. Kto ma pieniądze, znajduje wszystkie drzwi otwarte, takiemu wszędzie dają pierwszeństwo. Taki, co umie zdobyć sobie szacunek w swoim środowisku i umie zaprowadzić porządek, jest jak ojciec rodziny, któremu, kiedy wraca do domu, dzieci wybiegają naprzeciw i ściskają go. W rodzinie jest tak samo jak w społeczeństwie. Człowiek stara się wybić, każdy chciałby być wyżej od innych, nawet jeśli wchodzi w porozumienie z drugim. Dlatego, że im ktoś się bardziej wybija, tym łatwiej znajduje sobie środki do życia. Jeżeli ktoś ma mir, cieszy się dobrą opinią w swoim środowisku, ma możliwości i nie zginie. Dobra opinia rodzi zaufanie, siłę i pieniądze. Mój ojciec mówił: „Są tacy, co mają jedno oko, są tacy, co mają dwa, i są tacy, co nie mają żadnego”. Ten, który ma dwa, zawsze jest w lepszej sytuacji: rozgląda się wokoło, zna niebezpieczeństwa, przeszkody, zna się na interesach

sie. Ten, co ma tylko jedno oko, widzi połowę tego, a ten, który nie ma wcale, błądzi w ciemnościach.

Kto chce się szybko wybić, ten raczej rzuca wieś albo zabiera się do pośrednictwa; kupuje ziemię po tysiąc lirów za metr i odprzedaje po dwóch czy trzech latach po dziesięć tysięcy za metr kwadratowy. Oto jak się idzie krokami olbrzyma. Dzisiejsza epoka temu sprzyja. Ten, który dziesięć lat temu zebrał o trochę suszonych fig, żeby nie umrzeć z głodu, dziś może mieć ciężarówkę, nieruchomości, nawet uzyskać szlachectwo. Ale księża rządzą jeszcze bardziej, to potęga wyższa, która trzyma naród w cuglach. U góry nad wszystkim jest kardynał, pod nim są ci, co mają pieniądze i władzę. Kto ma oczy zamknięte, kto nie umie sobie dać rady, ten podupada, jest u dołu.

Adwokat

— Prawdziwego życia w grupie to ja tu nie widzę. Wśród warstw średnich — jeśli nie liczyć partyjki skopy między znajomymi, bo przyjaciół miewa się rzadko — każdy chce się izolować. Nieufność jest nam wrodzona. Każde zgrupowanie jest nietrwałe.

. Bar jest miejscem, gdzie chodzi się napić kawy czy czegoś innego; za parę groszy siada się przy kontuarze z kilku znajomymi gapić się na przechodzących ludzi, spędzać czas na krytykowaniu przechodniów. Dyskusja to na ogół albo plotki, albo rozmowy o aktualnych wydarzeniach politycz-^{*}nych, przy czym każdy pozostaje przy swoim zdaniu.

Uroczystości zaślubin, chrztów to inne okazje do chwilo- wego grupowania się.

Atmosfera ich nie jest ani taka jak w kawiarni, ani intymna, ale jest to moment sympatii i ser-
4 deczności.

Coś, co można by nazwać grupą, istnieje wśród myśliwych. Myśliwi są prawie zawsze zrzeszeni. Jeśli widać jednego, wkrótce pojawia się drugi; mówią o wyczynach tego czy tamtego psa; ktoś się chwali, że widział królika, ale pies go nie zauważył w porę i królik uciekł, i kontynuują.

zwykłą paplaninę. Namiętność skłania ich do zbierania się na dyskusje. Mają zresztą własny klub. Na ogół są to drobni posiadacze ziemscy, urzędnicy, drobnomieszczanstwo.

Przez przeszło sześćdziesiąt lat, jeszcze trzy lata temu, istniał Klub Obywatelski „Umberto”, zastrzeżony statutem dla miejscowej elity, dla najbogatszych i najlepiej urodzonych: grało się w karty, stało się na ulicy patrzeć, kto prze-, chodzi. Po wojnie dostało się do klubu dużo osób niepowołanych, więc, żeby się pozbyć tych członków niemile widzianych, a także z powodu braku funduszy, klub zamknięto.

Jeszcze parę innych klubów próbowało szczęścia, ale nie powstało nic trwałego. Zawsze panowała nieufność, obawa, że prowadzi to do spraw politycznych, że jest w tym jakiś ukryty cel.

Również sport nie stwarza tutaj prawdziwych grup. Wieczorami i w niedziele spaceruje się po corso, demonstrując fałszywy dobrobyt oparty na wekslach. Zony drobnych dzierżawców i drobnych rolników popychają luksusowe wózki, czują się najważniejsze. Studenci spacerują osobno.

W kościele jest jak na corso — idzie się, żeby pokazać suknię, dziewczyna chce spotkać chłopaka. Uczęszcza się z przyzwyczajenia, aby inni widzieli, że się chodzi do kościoła. Tylko nikła mniejszość chodzi do kościoła po to, aby się modlić.

Wśród wolnych zawodów, na przykład wśród lekarzy lub adwokatów, gdzie istnieje konkurencja, jest tylko pozorna przyjaźń; każdy dąży do pozyskania sobie klienta, do ułatwienia własnego interesu. Nie dotyczy to tylko kilku o najmocniejszej pozycji, którzy nie mają potrzeby deptać innym po piętach, ponieważ klienci i tak do nich przychodzą.

Również wśród urzędników przeważają stosunki zwykłej znajomości.

Partie nie reprezentują idei dla mas, lecz konkretny, bezpośredni interes. Ktoś jest chadkiem, bo mu się opłaca być chadkiem, wie, że może liczyć na pewne korzyści poprzez

tę partię. Ideologia obchodzi niewielu, garstkę idealistów, ludzie chcą coś uzyskać i to natychmiast. Dlatego przechodzi się niefrasobliwie z jednej partii do drugiej.

— Do jakich grup należysz?

— Z przekonania jestem liberałem, ale wystąpiłem z partii. Zebrania miewaliśmy nieregularnie. Teraz nie prowadzę już działalności politycznej.

— Czy odczuwasz potrzebę pracy w grupie, życia grupowego?

— Tak.

— I co robisz, żeby to zrealizować?

— Niestety, tworzenie grup nie udaje się. Nie udaje się, gdyż istnieją uprzedzenia. Ludzie skupiają się dla przewyciężenia nudy albo z lęku przed samotnością, nie ma natomiast chęci wzajemnego zrozumienia. Każdy musi walczyć o swoją pozycję. Jeżeli powiesz, że trzeba by coś zrobić, znajomy ci odpowie: „Co cię to obchodzi? Czy to twój interes? Kto cię do tego zmusza? Nie pchaj palca między drzwi. Zawsze tak było”.

Grupy... No, może policja, ale to nie jest grupa wytworzona przez środowisko, jest zorganizowana przez państwo, całkowicie obca otoczeniu.

Jeżeli już, to chyba mafiosi. Oni wiedzą, że w jedność siła. Jedność jest tajemnicą ich sukcesu. Wiedzą, że mogą liczyć na członków mafii także w innych miejscowościach,. I w ten sposób mogą stanowić istotną siłę, ponieważ po-ł jedynczy ludzie są izolowani, a przez to słabi.

Ci nieliczni, którzy czytają gazety (jest ich więcej niaj dawniej), albo ci, którzy oglądają telewizję (a jest ich nie-* mało), przyglądają się z zaciekawieniem temu, co się dzieje, Ale w pewnym sensie gwizdzą sobie na to, bo są zrezygnowani: to wszystko dzieje się daleko i człowiek wie, że nie może wpłynąć na to w żaden sposób.

Żeby zmienić sytuację, trzeba by dyskutować, wspólnie roztrząsać problemy, spokojnie i obiektywnie, trzeba by na-j uczyć się wspólnie działać. Ale nie udaje się być razem. I koło się zamyka. Nic się nie da zrobić.

Trwa się w zamkniętym kole, w ślepym zaułku.

Proboszcz (jeden z najbardziej wykształconych i aktywnych w okolicy)

— Zachęcałem grupę drobnych dzierżawców do połączenia się w spółdzielnię, ale boją się, że będą się wzajemnie oszukiwać, jest tyle wzajemnej nieufności. Najstarsi pamiętają doświadczenia społeczne, które się źle skończyły. Inna trudność to niedostatek osób, które umiałyby się poświęcić pracy społecznej. Trzeba odróżnić starych od młodych; starzy mają wciąż jeszcze tradycyjne powiedzenia i przysłowia, które w działaniu skłaniają ich do nieufności wobec drugich, młodzi bardziej pragną wspólnoty.

Sądzę, że do stworzenia życia społecznego mogłoby się bardzo przyczynić wpojenie zasad zaakceptowanych przez decyzje soboru w sprawie liturgii i Kościoła, w którym podkreślano, że zbiorowość chrześcijańska to wspólnota — mała rodzina parafialna w rodzinie diecezjalnej, a ta z kolei w Kościele; i oczywiście uczulenie ludzi na miłosierdzie, w najszerszym tego słowa znaczeniu, tak jak było w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Innowacje w liturgii, wprowadzenie języka włoskiego, przekazanie wiernym pewnych części mszy, kiedy odpowiadają kapłanowi (stosownie do ostatnich zaleceń odwróciłem już ołtarz w stronę wiernych), dialog pomiędzy kapłanem a wiernymi — wszystko to przyczyni się do wzrostu poczucia wspólnoty.

W mojej parafii wszyscy są ochrzczeni. Jeśli przez praktykujących rozumieć ludzi duchowo zjednoczonych, to trzeba powiedzieć, że dziewięćdziesiąt procent to praktykujący. Jeżeli przez praktykujących rozumie się tych, którzy przychodzą oo tydzień na nabożeństwa, wtedy liczba spada, w zależności od pory roku, nawet do trzydziestu procent. W procesjach biorą udział masowo. Wielki Piątek i Boże Ciało, Boże Narodzenie, Wielkanoc, dni świętej Lucji i świętego Józefa są święcone uroczyście. Obchodzenie Wielkanocy, jeśli chodzi o udział w sakramentach, jest bardzo przestrzegane.

W akcji katolickiej mamy cztery grupy: młodzieńcy, dziewczęta, mężczyźni i kobiety. Każda grupa prowadzi

działalność kształtującą osobowość i ma obowiązek przekazywania innym tego, co sama otrzymała. Na przykład kobiety szukają zbliżenia z rodzinami mieszkającymi z dala od miasta, żeby wpoić im tę zasadę i tę świadomość, jakich nabyły same. W tym roku tematem jest koncepcja łaski i uczestnictwa w sakramentach świętych. W przyszłym roku tematem będzie liturgia, a zatem parafia jako wspólnota wiary, modlitwy i miłosierdzia. Ludzie współpracują, jak mogą. Wykorzystani są wszyscy: roznoszą druki, powielane ulotki; młodzież przy specjalnych okazjach obwozi głośnik, żeby wpajać ideę przy pomocy haseł. Musimy umieć posługiwać się reklamą. Co tydzień od października do maja mamy zebrania wewnętrzne i zebrania publiczne z okazji Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Zielonych Świąt. Każda grupa ma przewodniczącego i delegatów dla mniejszych sekcji. Przewodniczący są mianowani przez biskupa na wniosek proboszcza. Proboszcz oczywiście spełnia funkcję myśli kształtującej, kierującej wychowaniem religijnym. Przeprowadzenie programu powinno by należeć do przewodniczącego, który winien również koordynować działalność zewnętrzną, jak obchody, wycieczki, turnieje sportowe czy gry. Na każdym zebraniu jest odczyt, wygłaszany zazwyczaj przez proboszcza dlatego, że nie zawsze przewodniczący stoi na wysokości zadania, szczególnie jeśli chodzi o prawdy dogmatyczne. Potem zebrani proszą o wyjaśnienia i odpowiada się na pytania.

Inne grupy to kongregacje religijne, których celem jest zbliżenie wiernych do praktyk religijnych i do sakramentów. Jest ich trzy: Kongregacja Matki Boskiej Bolesnej, męska i żeńska, oraz Krzyża Świętego (tylko męska). ~ Każdy powinien by mieć możliwość pracy możliwie blisko swego miejsca zamieszkania, nie musząc emigrować. Integralne wspólnoty chrześcijańskie są przypadkami szczególnymi. Na ogół nie możemy myśleć o zrównaniu społecznym w tym sensie, jak rozumie to ideologia komunistyczna. Realizowanie społecznej, wspólnoty ekonomicznej nie leży w naszych kompetencjach, my wpajamy zasady. W doktrynie społecznej Kościoła istnieją elementy zasadnicze, takie

jak naruszenie cudzej własności i inne, ale w doktrynie są metody, sugestie, wskazówki (wśród których trzeba rozróżniać to, co istotne, od tego, co względne), które powinny znajdować zastosowanie zależnie od okoliczności i czasu.

Proboszcz jest ojcem duchownym, zmierza do zespolenia wszystkich, stara się pobudzać procesy kulturalne i społeczne. Proboszcz chce, żeby wszyscy widzieli w sobie wzajemnie braci i dzieci Boga. Wpajając zasady w najbliższym otoczeniu i posługując się członkami stowarzyszeń, stara się docierać do każdego domu, także do tych, od których dzieli go kilometry. Tutaj ludzie traktują proboszcza jako kogoś, kto ma prawo i obowiązek zajmować się wszystkim. Czują jego obecność.

Calogero Volpe

Spotkałem posła Calogero Volpe (na którego wielokrotnie wskazywała prasa krajowa i zagraniczna jako na deputowanego wiejskiej mafii), podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia, byłego podsekretarza stanu w Ministerstwie Transportu, wybieranego posłem z ramienia chrześcijańskiej demokracji do Kolegium Sycylii Zachodniej nieprzerwane od roku 1946. Stawiam mu następujące pytania:

— Jaka jest, pana zdaniem, struktura społeczno-ekonomiczna wsi palermńskiej?

Jakie są, pańskim zdaniem, największe trudności w zorganizowaniu życia społecznego w prowincji Palermo?

— Jakie są najaktywniejsze i najbardziej funkcjonalne formy współpracy?

— Jakie są, pana zdaniem, przyczyny nikłego udziału ludności w działalności organizacji politycznych i związkowych?

— Jakie siły pana wybierają i jakie stosunki łączą pała z nimi.

— Jakie są, według pana, grupy wymagające wzmocnienia? Odpowiedział tak:

— Zazwyczaj warstwa półproletariatu, proletariatu i arys

tokracji pracowniczej istnieje w społeczeństwie, które nie odczuwa już potrzeby łączenia się w związki, które, będąc wolne od tej potrzeby, przewyciężyło wszelką formę i konieczność organizacji. Ale tutaj na Sycylii nie ma arystokracji pracowniczej. Nawet tutejszego szlachetkę uważam za półproletariusza, gdyż nie włączył się w społeczeństwo.

Widzi pan, panie Dolci, nie ma wspólnoty organizacyjnej albo jest za mało, nawet w związkach zawodowych, w każdym związku zawodowym. Do Związku Rolników, na przykład, człowiek wstępuje, żeby mieć nawóz, żeby znaleźć pomoc, żeby coś uzyskać. Moim zdaniem, nie powinno istnieć tyle różnych organizacji związkowych, lecz jeden związek zawodowy, apolityczny i a partyjny. Wszyscy są uprzedzeni; brakuje dojrzałości, ponieważ brakuje wykształcenia, to znaczy brakuje szkoły. Ja wierzyłem w ruch spółdzielczy, zakładałem dziesiątki, dziesiątki kooperatyw, ale praktycznie wszystkie upadały.

Organizacja religijna. To jest inna sprawa. Jestem katolikiem, jeżeli rodzice zaszczepili mi przekonania katolickie. Religia opiera się na przekonaniach, na tradycji, podczas gdy organizacje społeczne nie mają tutaj swojej tradycji; na Sycylii żywe są jedynie formy klientelarne.

Dziewięćdziesiąt procent wstępuje do partii dlatego, że chrześcijańska demokracja mówi: „Ja ci gwarantuję to”, partia komunistyczna mówi: „Ja ci gwarantuję tamto”, inne partie mówią: „Ja ci gwarantuję owo”. A więc nowo wstępujący zwleka z oceną, a tym samym z nabraniem przekonania, bo co innego jest zadeklarować przynależność formalną, a co innego rzeczywistą. Jeżeli ktoś nie uzyskuje potem tego, czego się spodziewał, wówczas przechodzi z jednej partii do drugiej, wykoleja się. Jeżeli widzi, że jego pragnienia nie zostają zaspokojone, natychmiast zmienia partię czy organizację.

Sądzę, że to co dotyczy wsi palermskiej, da się też powiedzieć o okolicach Agrigentu, Caltanissetty, Enny. o północnych częściach prowincji Ragusy i Katanii, to znaczy o całej środkowej Sycylii. To podobieństwo ma wspólną podstawę, której na imię zacoianie; z gospodarką

typu obszarniczego — nie w znaczeniu ekspansji latyfundiów, ale w znaczeniu systemu uprawy roli — monokulturowego, biednego, bez irygacji nawet tam, gdzie istnieje taka możliwość, bez umiejętności stosowania nawozów i tak dalej. Człowiek żyjący w warunkach gospodarki obszarniczej ma mentalność obszarniczą, to znaczy indywidualistyczną, a zatem cechuje go absolutny brak ducha społecznego. Dlaczego? Na odosobnionym latyfundiów człowiek też jest odosobniony. Co najwyżej istnieje rodzina, ale ona nie jest jeszcze strukturą społeczną. Skupienie ludności we wsiach wynika tylko z instynktu naturalnego, który się nie przejawia, nie przekształca w rzeczywistość.

Niezależnie od stosunków z rządem i parlamentem mam kontakt z masami: z sekretarzami prowincji i okręgów, z administratorami prowincjonalnymi i komunalnymi, z organizacjami takimi, jak Związek Rolników i inne. To stosunki oficjalne, od ludzi tych pochodzą sugestie, oni sygnalizują potrzeby. Poza tym moje drzwi są otwarte. Do posła Volpe można znaleźć dostęp, jak się chce i kiedy się chce. Nie pytam nigdy, jakiego jest koloru, dla mnie wszyscy wyborcy są jednakowi. Moi wyborcy to cała tęcza kolorów: od komunistów i socjalistów do chadeków, monarchistów, liberałów. Jeżeli ktoś przychodzi do mnie, to znaczy, że czegoś potrzebuje. Nawet jeśli powiem mu tylko: „Podobasz mi się”, to już go pocieszam. To jest psychologia lekarza, jakiej nie możecie osiąść wy, niemedycy. Również całą pocztę czytam osobiście i sam ją segreguję, a sekretarzom mówię, co mają robić. Kiedy pojawia się Volpe, niektóre regiony komunistyczne głosują na Yolpego. Pozdrawiają mnie podniesieniem pięści i ja im odpowiadam podniesieniem pięści: dajcie mi powiedzieć, co ja myślę o sytuacji.

Moi wyborcy składają się z chłopów, szczególnie rolników, murarzy (tych jest raczej mało), rzemieślników; ale przede wszystkim tłumy, tłumy chłopów, osiemdziesiąt jeden tysięcy głosów. Do tych osiemdziesięciu jeden tysięcy trzeba dodać jeszcze drugie osiemdziesiąt tysięcy tych, co mówią, że będą głosowali na mnie, a potem nie głosują: „Ja głosuję na ciebie, musisz o mnie pamiętać”. Nie ma

takiej partyjnej imprezy, na której bym nie przemawiał, nie ma takiej imprezy Związku Rolników, na której bym nie przemawiał. W okresie kampanii wyborczej w ciągu półtora miesiąca odbywam do stu pięćdziesięciu spotkań, nazywają mnie bombardierem wyborczym, mam nawet po trzy spotkania dziennie, nie licząc zebrzań niepublicznych. A w normalnych czasach mam co najmniej jedno spotkanie tygodniowo. Dzisiaj przemawiałem tu, jutro będę przemawiał w Palermo, pojutrze będę przemawiał w Bari, a następnego dnia w Rzymie.

Wywiad z panem Volpe, opublikowany w dzienniku „UOra” w Palermo || tak jak wiele innych wypowiedzi zebranych w tej książce dla wywołania dyskusji nad tą problematyką — spowodował następujący list wiceministra i takie uściślenie:

Izba Deputowanych Rzym, 7 grudnia 1965

Do Naczelnego Redaktora

„L’Ora”

Palermo

Szanowny Panie Redaktorze 1

Przeczytałem z zainteresowaniem w numerze „L’Ora” z 2/3 grudnia tekst — przypuszczam, że pochodzący spod pióra p. Dolciego — „spotkania” mojego z p. Dolcim, jakie miało miejsce w lipcu br.

Mówię „z zainteresowaniem”, gdyż przypisane mi wypowiedzi okazują się nowe także i dla mnie, który rzekomo miałem je wygłosić.

Nie mam najmniejszego zamiaru inicjować czczej polemiki, uważam wszelako, iż wyjaśnienie owych stwierdzeń p. Dolciego odnoszących się do mojej osoby nastąpi niebawem, bardziej konkretnie, w miejscu, które da pełne gwarancje obiektywizmu i spokoju oceny.

Jedno proste wyjaśnienie uważam jednakowoż za konieczne i dlatego będę Panu zobowiązany, jeżeli zechce Pan wziąć pod uwagę, że tekst przypisywanych mi deklaracji

i sądy, które stąd wynikają, są wyłącznie rezultatem kompletnego zniekształcenia rozmowy, jaką w swoim czasie odbyłem z p. Dolcim.

Zniekształcenie objęło formę (nie mogę powstrzymać się od tej obserwacji z elementarnego szauunku dla języka włoskiego) i jeszcze bardziej treść, która stara się przedstawić ponury obraz ubóstwa myśli, nonszalancji, wstecznictwa i niezrozumienia problemów współczesnego społeczeństwa w ogóle, a sycylijskiego w szczególności.

Tymczasem podczas rozmowy odbytej z p. Dolcim uwypukliłem wagę funkcji, jakie organizacje związkowe i polityczne muszą świadomie pełnić właśnie w celu kształtowania coraz doskonalszej świadomości obywatelskiej, politycznej i społecznej ludzi.

Abstrahując od innych rozważań, stwierdzenia zamieszczone w opublikowanym artykule zawierają również całkowicie negatywny sąd w sprawie ewolucji, jakiej w ciągu ostatnich dwudziestu lat podlegało społeczeństwo sycylijskie, w sprawie możliwości uporania się przez to społeczeństwo, dzięki jego wewnętrznym walorom, z procesem adaptacji i przemiany. Nie jestem i nie mogłem być takiego zdania. Oczywiście ten, kto to napisał, dał się porwać swoim własnym przekonaniom, swoim uczuciom i swoim resenty- mentom.

W przekonaniu, że zechce Fan łaskawie opublikować niniejsze sprostowanie, łączę wyrazy głębokiego szacunku.

(—) Calogero Volpe

Ponieważ pamięć może być zawodna, ponieważ —■ szczególnie w pewnych przypadkach — wskazana jest ostrożność i ponieważ byłem wyjątkowo zainteresowany poznaniem poglądów posła Volpego, postarałem się o dobrą dokumentację spotkania z wyżej wymienionym. Łatwo mi jest zatem sprecyzować, co następuje: 1. Spotkanie miało miejsce dokładnie w niedzielę 27 czerwca (a nie w lipcu) o godzinie 16.15 przy ulicy Salva- tore Meccio 16 w Palfermo.

2. Tekst opublikowany w „L'Ora” przedrukowany został dosłownie z „dyktanda” p. Volpe, które oczywiście starannie zachowałem. Na wszelki wypadek przyprowadziłem ze sobą świadka, który może w każdych okolicznościach Opowiedzieć, jak to dla upewnienia się, że notuję dokładnie, przeczytałem p. Volpemu niektóre ustępy w obecności jego szanownej siostry.

3. Że treść „dyktanda” przedstawia istotę poglądów, myśli i stanowiska Volpego, nie jest tajemnicą dla nikogo „i mogą to potwierdzić, między innymi, setki jego przemówień. Próbką jednego z nich zarejestrowana jest na taśmie magnetofonowej i może zawsze służyć dla odświeżenia pamięci na ten temat każdego, kto zechce. Ja sam dla skrupulatności przesłuchałem sobie ostatnio tę taśmę.

4. Gratulacje dla autora listu.

5. Zgoda z p. Volpem co do jednego punktu: to miejsce nie jest najodpowiedniejsze dla zagłębiania się w „wyjaśnienia”.

I na koniec jeszcze jedno:

Zdarzyło mi się trafić na bardzo interesującą notatkę podpisaną przez pana posła na blankiecie z nagłówkiem „Izba Deputowanych”: „Mafia, w znaczeniu rozwoju ludzkiej osobowości, jest wyrazem umysłowości sycylijskiej”.

Z akt procesu Colaianiego (Trybunał w Palermo, nr 1291/51) wynika, że Calogero Volpe, krewny znanych przywódców amerykańskiego światka przestępczego, jest kumem znanego mafioso Calogero Castiglione z Mussumeli (szwagra szefa mafii Giuseppe Genco Russo). Wynika poza tym, że był on lekarzem szefa mafii Calogero Vizzini i utrzymywał stosunki z jego rodziną. Pan Volpe nie pamięta, czy jest także ojcem chrzestnym Genco Russo, czy też nie.

Vincenzo Tusa (archeolog)

— Moim zdaniem, nie można zrozumieć dzisiejszej sytuacji Palermo nie znając historii miasta; z kolei zaś nie

sposób naszkicować, choćby w zarysach, historii miasta, jeśli nie umieści się jej w ramach dziejowych losów Sycylii. Postaram się podać tutaj w syntetycznym skrócie niektóre podstawowe pojęcia, na tyle, na ile to jest możliwe w zaimprovizowanej (rozmowie).

Pierwsze dostępne informacje, przekazane nam przez pisarzy greckich z V wieku przed Chrystusem, lecz odnoszące się do epoki przedhistorycznej, mówią o kilku różnych ludach, a zatem przybyłych z różnych stron, zamieszkujących bądź zachodnią, bądź wschodnią Sycylię: pierwsi to Sykanowie, do których dołączyli się później Elimoi, a drudzy to Sykulowie. Zarówno Sykulowie, jak Sykanowie byli ludami rolniczymi. Przyjmuje się, że u obu ludów każde miasto miało swego panującego, - który był absolutnym władcą na swoim terenie. W epoce przedhistorycznej na całym obszarze dzisiejszego Palermo w wieku brązu i żelaza istniały małe osiedla, każde złożone z kilkudziesięciu osób żyjących z prymitywnej uprawy roli. Więzy rodzinne sprawiały, że panującym był ojciec rodu lub naczelnik wioski.

W epoce historycznej znajdujemy w Palermo Fenicjan, żeglarzy-kupców, prawdopodobnie nie dążących do bardziej zaawansowanych form współżycia Społecznego. Fenicjanie natrafili na owe małe skupiska rolnicze, którym starali się sprzedawać swoje towary, i w pewnym momencie zdecydowali się osiedlić w Palermo, Mozii i Solunto, co potwierdza również pisana tradycja Tucydidesa, Diodora Sycylijskiego i innych. W VIII wieku, kiedy Grecy zaczęli zakładać swoje kolonie na Sycylii i w Wielkiej Grecji, Fenicjanie, którzy po założeniu Kartaginy zaczęli nazywać się Punickimi, wycofali się na teren Sycylii zachodniej, a Grecy pozostali w części środkowej i wschodniej. Nigdy nie odkopano zawiązków miast punickich i nie wiemy, jak żyła ludność.

Rzymianie, którzy opanowali Sycylię w drugiej połowie III wieku przed Chrystusem, z pewnością nie przybyli z dobrymi intencjami: za ich panowania warunki życia Sycylijskich pogorszyły się. „Począwszy od tego czasu plaga laty-

fundium zaciężała nad gospodarką Sycylii, ilość wolnych chłopów zmniejszyła się, pola zostały powierzone niewolnikom przybyłym przeważnie ze wschodu, pasterstwo zaczęło wypierać uprawę roli". Znane są wielkie bunty niewolników z tego okresu, które Rzymianie tłumili siłą, dewastując miasta i wsie „własnego spichrza".

Chrześcijaństwo ledwie musnęło zachodnią Sycylię, znalazło natomiast podatniejszy grunt we wschodniej, a szczególnie w Syrakuzach.

W epoce bizantyjskiej stolica imperium została przeniesiona, aczkolwiek na krótko, do Syrakuz. W ten sposób cała Sycylia przeszła pod panowanie bizantyjskie pomimo oporu ze strony Palermo; powróciła tym samym greczyzna, przeważająca we wschodniej części Sycylii.

Po okresie panowania bizantyjskiego następuje panowanie arabskie, które trwa przez trzy wieki. Mimo względnego dobrobytu, mimo że Palermo chlubiło się czterystu meczetami i mimo wysokiej kultury dworskiej nie można powiedzieć, by pod panowaniem Arabów Sycylijczycy cieszyli się wielkimi swobodami. Arabowie zastosowali na Sycylii normy muzułmańskiego prawa publicznego dotyczące ziem zdobytych na niewiernych; większość ludności żyła w nędzy.

Pod koniec XI wieku przybyli na Sycylię z północy Normanowie, ściślej — wojsko i wodzowie, narzucając swą obecność ludności sykano-fenicko-punicko-arabskiej. Podczas gdy w Grecji — mimo istniejącego niewolnictwa — zachowywano w obrębie poszczególnych klas szacunek dla ludzkiej indywidualności, każdy mógł zabrać głos i być wysłuchany, to za Normanów nie spotykamy się z niczym podobnym.

Po nich nastąpili Andegawenowie, a potem Hiszpanie po krótkim panowaniu domu aragońskiego, przynosząc prawdziwy obskurantyzm. Trzeba przypomnieć, żeby jeszcze bardziej zaznaczyć różnicę pomiędzy Sycylią zachodnią i wschodnią, że podczas gdy Alfons Aragoński założył w roku 1434 w Katanii uniwersytet, to jego następca, Ferdynand Katolicki, założył w roku 1487 w Palermo Trybunał Świętej

Inkwizycji. W tym mieście, gdzie dwór wicekróla był ogromny, pełen faworytów, „klientów”, jedzących z pańskiego stołu, wśród ludu panował głód.

Czy kiedykolwiek istniało tu prawdziwe współzycie społeczne? Czy istniał tu kiedykolwiek samorząd gminny?

Po roku 1712 Sycylia w rezultacie wojen o sukcesję hiszpańską przeszła spod panowania Hiszpanów pod rządy książąt Sabaudii, od Sabaudczyków do Austriaków, a wreszcie do Burbonów neapolitańskich „zupełnie tak, jak ziemie i domy przechodzące od jednego spadkobiercy czy nabywcy do drugiego”. Pod panowaniem tych ostatnich pozostawała Sycylia aż do roku 1860 i z pewnością nie można powiedzieć, by demokracja poczyniła w tym okresie wielkie postępy. Wiadomo, na przykład, że Burbonowie oddali w dzierżawę bezpieczeństwo publiczne. Ponieważ dzierżawca dbał przede wszystkim o to, żeby nie wydawać, żeby zarabiać, ponieważ państwo nie dbało o swoje interesy, feudał płacił swoim „zuchom” i mafiosi za ochronę. A drobnemu rolnikowi cóż pozostawało? Zamknąć się w swojej skorupie.

Połączenie Sycylii z Włochami przyniosło rezultaty, które znamy.

Znaczenie, jakie na Sycylii miała wielka własność ziemska (która zaczęła ulegać rozdrobnieniu dopiero sto lat temu) i jako jej bezpośrednia konsekwencja — mafia, są to sprawy lepiej znane. Palermo egzystowało przez ostatnie stulecie opanowane administracyjnie i socjalnie przez feudałów. Wzrost liczby ludności Palermo nastąpił w cieniu wielkich pałaców, biedota żyła z jałmużny wielkich właścicieli ziemskich, którzy dławili wszelkie rewolucje. Cała historia Palermo to historia nieudanych rewolucji. Kiedy Sycylijczyk mówi, czuje się w jego wypowiedzi całe wieki klęsk, niepowodzeń, kompleksów. Ponieważ brakowało władzy centralnej, która dawałaby ochronę jednostce, zarówno umierający z głodu biedak, jak i inteligent usiłovali rozwiązać własne problemy poprzez indywidualne stosunki z możliwymi. Zrodziła się polityczna tradycja wykonywania władzy poprzez zależność indywidualną. Widziana w ogólnych zarysach historia Sycylii, szczególnie

nie Palermo, to historia okupacji, prześladowań, „klientelizmów”. Mimo że (nie uważam się za znawcę dziejów naszego regionu w najdrobniejszych szczegółach, sądzę iż mogę powiedzieć, że nigdy nie było na Sycylii rządu, który by zajmował się naprawdę i dogłębnie dobrem obywateli!. Patrzone na nich zawsze jak na bardziej lub mniej bezkształtną masę, którą można wykorzystywać stosownie do interesów tych, którzy w różnych okresach kierowali losami wyspy. W tej sytuacji jest w pewnym sensie logiczne, że obywatel, nie mogąc liczyć na swoich bliźnich, zawsze usiłował żyć na własną rękę, starając się bronić od nadużyć czy próbując pracować ma własny rachunek. Oto skąd się bierze dziś jeszcze głęboko zakorzeniony brak zorganizowanych wspólnot i kolektywnego działania.

Ustanowienie regionu autonomicznego stanowi pierwszą historycznie szansę dla Sycylii, by ta sytuacja wreszcie uległa zmianie. Teraz trzeba tylko umieć wykorzystać tę szansę. Należy więc przede wszystkim zbadać pod różnymi względami sytuację wyspy i stosownie do tego wybrać kierunki działania.

Czyściciel miejski

— Palermo jest piękne, ale brudne, że szkoda mówić. Brudne na przedmieściach, ale także w centrum, zależy od miejsca. Ulica Maqueda utrzymywana jest w czystości; Via Boma czy Via Ldberta również. Ale już Via Carini jest brudna i prawie cała reszta miasta jest brudna.

To jest miasto, które budzi się późno, z wyjątkiem robotników. O czwartej, piątej rano jeszcze nie ma żadnego ruchu. Koło szóstej na peryferiach dają już znać o sobie domokrażcy; sprzedają miotły, zieleninę; krowiarze krążą z krowami sprzedając mleko, autobusy powoli się zapełniają. Koło siódmej pokazują się robotnicy budowlani idący do pracy, niektórzy na rowerach albo skuterach. My, czyściciele miejscy, zaczynamy robotę wpół do siódmej.

Jeżeli mój rejon jest tutaj, a muszę wysypywać śmieci daleko stąd, to tracę godzinę na dotarcie na miejsce. Kiedy

wracam, śmieci jest tyle samo, ile przedtem zebrałem. Niech pan sobie wyobrazi, zamiatam w tym miejscu, to jest mój odcinek, a tymczasem, zanim skończę, już mi rzucają nowe śmieci. (...) Czasami, jeśli samochód nie wraca, zmiatamy śmieci w stosy na ulicy do następnego dnia, w jakimś kącie; zawsze trzeba wybierać miejsce najuboższe, pod nogami i pod nosem najbiedniejszych.

W zaułku na rogu Piazza Bandiera i Via Napoli, w centrum, często nie można wręcz przejść; sklepy z sąsiednich luksusowych ulic wyrzucają w ten kąt wszystkie odpadki. Tutaj przychodzą ludzie, którzy zbierają karton i inne rzeczy dające się wyciągnąć ze śmietnika. Wiele biednych ulic w centrum zmienia się w śmietniki.

Zarząd miejski dzierżawi oczyszczanie miasta firmie Vasselli, ale ta, żeby zaoszczędzić i zarobić więcej, nie stara się o lepsze wyposażenie i nie wykonuje należycie tego, co do niej należy. Ponieważ zaczynamy pracę o wpół do siódmej rano, więc już piętnaście po siódmej, wpół do ósmej, worek jest pełen. I trzeba czekać, aż przyjedzie samochód po pierwszy ładunek. Samochód przyjeżdża o ósmej piętnaście czy wpół do dziewiątej i robi się pierwszy załadunek. Podczas gdy samochód czeka na miejscu, czyszciciel miejski napełnia ponownie worek. Kiedy wraca, aby go wyładować, to jeśli jest jeszcze miejsce w samochodzie, wyładowuje, jeśli nie, to zostaje na miejscu przez godzinę, półtorej czy dwie, bo ten samochód musi pojechać wyrzucić śmieci daleko stąd i wrócić. Zostajemy na miejscu, siedzimy i czekamy, aż samochód wróci. Czasami czyszciciel miejski przychodzi wcześniej rano, a ludzie rzucają nieczystości na ulicę dopiero, kiedy wstaną, koło ósmej albo dziewiątej. W ten sposób nieczystości zostają na ulicy przez cały dzień.

My oglądamy Palermo nie z okna luksusowego samochodu, my zawsze widzimy je w kurzu. Jeśli machnąć miotłą, to kurz wzbija się do góry, pod nos przechodniom. My już mamy go w nosie pełno, więc nie robi to na nas wrażenia. Z początku czuje się, jak ten kurz wchodzi w nos, śmierdzi, czuje się go w oczach. Kiedy jest wiatr, oczy palą podczas zamiatania; kurz wchodzi w usta, w uszy, wszędzie. Tam

gdzie nie ma bruku, przy pierwszym ruchu miotłą kurz wzbija się na wysokość pierwszego piętra. Ludzie się złością, niecierpliwą: „Idźcie do diabła!” „Musicie właśnie teraz?” Są tacy, co rozumieją, że nasza praca to poświęcenie. Kiedy mnie krew zalewa, to czasem powiem temu czy owemu: „Jeżeli pan uważa, że ja nic nie robię, to niech pan weźmie miotłę i zamiata”. I odwrotnie, bywa, że ktoś powie „Biedacy!”, widząc nas zakurzonych jak osły. Kiedy po załadowaniu siedzimy i czekamy nie dla własnej przyjemności, przechodzą ludzie i mówią: „Te dziady nic nie chcą robić”. Tam gdzie ja pracuję, jest jeden taki biedak, którego mógłbym sobie całego kupić, a odzywa się do mnie: „Nie zasługujecie nawet na talerz zupy”.

O wpół do dziewiątej lub dziewiątej otwierają się sklepy. Urzędnicy powinni by iść do biur, ale... Jeśli jestem na przykład kierownikiem biura, to dzwonię na woźnego i mówię: „Słuchaj, gdyby ktoś przyszedł, to powiedz, że jestem w barze albo że wyszedłem na chwilę”. Ten i ów kładzie podpis na liście obecności i idzie sobie do domu. Przychodzi koniec miesiąca, pobierają pensje. Bardzo wielu tak pracuje; pewnie, że nie wszyscy, ale na ogół; w biurach administracji regionu, prowincji, zarządu miejskiego, w urzędzie zatrudnienia, ubezpieczalni jest kompletny burdel. O jedenastej w niektórych biurach nie ma jeszcze nikogo. Już przywykliśmy do tego. Sycylia taka się urodziła i taka umrze.

Giuliano trzymał w strachu całą Sycylię, on, owszem, mógłby zrobić porządek; powinien był zostać królem Sycylii, żeby zrobić ze wszystkim porządek. Ale go zamordowali. Tutaj tych, co chcą dobra biedaków, zabija się.

Każdy myśli o swoich sprawach, mało kto wsadzi nos- w cudze, ale ja lubię Palermo również i dlatego. Jest piękne, chociaż brudne, to jest miasto, gdzie każdy zajmuje się swoimi sprawami. Pewnie, że i ja bym chciał, żeby mi się dobrze powodziło. Ale co mam robić, żeby mi się powodziło? Kraść? Praca i Kościół, praca i dom. Jestem skromnym robotnikiem. I naturalnie nie chcę, żeby ktoś drugi odebrał mi mój kawałek chleba.

Mamy grupę A podlegającą magistratowi, jest w niej 230

czyścicieli; w grupie B jest nas 1 200 albo 1 300, dokładnie nie wiem, podlegamy firmie Vaselli. Vaselli zawsze wygrywa przetarg o dzierżawę. Około pięćdziesięciu zajmuje się sprzątaniami Palaou Sprawiedliwości; poza tym są jeszcze dozorujący. W moim rejonie jest ośmiu dozorujących. Razem jest ich ze czterdziestu czy pięćdziesięciu. Oni, prawdę mówiąc, nic nie robią. Na tym właśnie polega praca dozorującego; nic nie robić. Takie jest Palermo — kto ma „plecy żyje nic nie robiąc, kto nie ma, sterczy w kurzu.

W niektórych rodzinach po zakupy chodzą kobiety, ale często robią zakupy mężczyźni. Tutaj mężczyznom zależy na tym, żeby żona i córki siedziały w domu. Od pierwszej do drugiej jest największy ruch samochodowy i pieszy. "Większość urzędników idzie -na obiad. Robotnicy budowlani przeważnie jedzą na miejscu, przysiadając na chodnikach: W dzielnicach biedoty załatwia się to kawałkiem chleba! z serem.

Potem urzędnicy idą spać, ich praca się skończyła, biura są zamknięte do następnego dnia do dziesiątej. Z wyżej położonych dzielnic Palermo wybierają się na spacer do centrum, latem jadą na plażę do Mondello.

Wieczorami biedota siedzi przed drzwiami albo na balkonie. Na przedmieściach cisza robi się wcześniej, bo rano trzeba iść do pracy. W centrum, na >placu Teatralnym, w modnych lokalach urzędnicy wysiadują do pierwszej czy drugiej w nocy.

My kończymy robotę o wpół do piątej. Człowiek czuje się rozbity, zakurzony, brudny, czuje na sobie zapachy rzeczy, których dotykał, można się zarazić, oczy palą, czasami skóra swędzi, a kiedy jest zimno i moczy deszcz, można dostać reumatyzmu. Pewnie, że my nie możemy szwendać się po lokalach rozrywkowych do północy czy do drugiej; ja o ósmej jestem już w łóżku.

Kiedy my strajkujemy, miasto staje się jednym wielkim śmietnikiem. Po dwóch dniach nie można przejść ulicą; papiery, odpadki, muchy, dzieci bawią się wśród nieczystości, ale czasami jesteśmy zmuszeni strajkować walcząc o nasze prawa, chociaż przykro nam, że miasto tak wygląda.

Mieszkam w tej dzielnicy i lubię, żeby była czysta, w domu mam nawet kwiaty w ogródku. Mówi się: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiło”. Chciałbym, żeby całe miasto było czyste, to moje miasto rodzinne, kocham je- bardzo.

Są tysiące podań na nasze miejsca, tysiące osób chciałyby zająć nasze miejsce. Jest tylu, co nam zazdroszczą i chcieliby znaleźć się na naszym miejscu! Żeby otrzymać tę pracę trzeba umieć zjednać tyle a tyle głosów znajomemu radcy miejskiemu w czasie wyborów, Ponieważ nie ma tu przemysłu, marzeniem ludzi z biednych dzielnic Palermo jest posada czyściciela miejskiego, żeby mieć stałą pracę przez cały rok i świadczenia.

Bastiano

— Ja należę do Kongregacji Matki Boskiej Różańcowej Pompejańskiej. Należę do tej kongregacji od czternastego roku życia, ponieważ był w niej mój teść. Kiedy się zaręczyłem, teść kazał mi się zapisać. Na przykład siedemnastego mamy procesję Bożego Ciała; jesteśmy zaproszeni, zbiórka w katedrze o piątej po południu, a stamtąd idziemy aż do portu. Mamy specjalny strój, czerwony z niebieskimi wstążkami, z plaketką Matki Boskiej Pompejańskiej, mamy laseczki zakończone gwiazdą, żeby utrzymywać równy szyk w marszu. Za wszystkimi (braćmi, a jest nas ze dwudziestu, idzie w środku superior, który ma z lewej i prawej strony pomocnika; ci stają z tyłu, bo tam jest ich miejsce.

Procesja jest bardzo długa. Kongregacji jest ponad pięćdziesiąt —• Matki Boskiej Różańcowej, Świętego Józefa, Świętego Antoniego, Matki Boskiej Łaskawej, Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia; jest ich dużo, nie umiem wymienić wszystkich. Każda kongregacja ma inny kolor stroju; kawowy, niebieski, czarny; ci z bractwa Ojca Świętego, na przykład, mają kaptury koloru kawy z mlekiem.

Żeby zostać superiorom albo jego pomocnikiem, rohi się wybory. Wybory są co trzy lata, jeżeli wybrani sprawują się dobrze; jeśli nie, usuwamy ich ze stanowiska po roku i ro

bimy nowe wybory. Oni są odpowiedzialni za organizowanie świąt, za pieniądze na muzykę, światła i kwiaty. Proboszcz nie może ich mianować, sami musimy ich wybrać. Po trzech latach nie można zostać ponownie wybranym. Zbieramy się w pierwszą i przedostatnią środę każdego miesiąca i rozmawiamy o tym, jak zapłacić za wszystko. Jeśli są długi, to spłacamy je wspólnie, każdy po trochu. Jeżeli na przykład ja umrę, weźmie się z kasy trzydzieści tysięcy lirów dla mojej rodziny, za te pieniądze wyprawia się pogrzeb. (...)

Na zebraniach mówimy pojedynczo; jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, superior udziela mu głosu. Musimy wspólnie decydować we wszystkich sprawach. Jeżeli nie możemy dojść do porozumienia, zwołuje się radę, to znaczy dziewięć osób i proboszcza, i ona podejmuje decyzję.

Gdybyśmy nie poszli na procesję Bożego Ciała, kardynał zniósłby nasze święto^ Mamy obowiązek być wszyscy, ale idziemy chętnie, bo jesteśmy przywiązani do naszej Przenajświętszej Pani. Serce rośnie, kiedy się patrzy na jej święto, człowiekowi się zdaje, że jest w raju. Trzeba widzieć statwę, jakby wypełniała cały kościół, zdaje się, że za chwilę przemówi, że uśmiecha się, a Dzieciątko wydaje się zarumienione. Niektórzy wręcz płaczą.

Celem Kongregacji jest organizowanie świąt, procesji. Członkami są też młodzi, chłopcy i dziewczęta. Niektórzy mówią, że do niektórych kongregacji należą nawet ludzie z Izby Pracy. Całe Palermo przychodzi, kiedy jest święto, taki tłum, że nie można się precyzyjnie. Gdyby nie było świąt i chrześcijańskiej demokracji, byłiby sami komuniści. Moja żona nie rozumie, że gdyby u władzy byli komuniści, organizowałiby lepsze święta, byłoby więcej ognia sztucznych, byłyby zabawy z patelnią, wyścigi w workach i tak dalej.

Niektóre kongregacje śpiewają pieśni kościelne, a muzyka idzie za baldachimem. Podczas procesji trzeba iść powolutku i wciąż patrzeć przed siebie, zakonnicy idą z opuszczoną głową, patrzą w ziemię, żeby nie widzieć ludzi. Kardynał kroczy uroczyście, ubrany w jedwab i aksamit, złoty pierścień, złoty naszyjnik, złoty krucyfik. Policja

utrzymuje porządek. Na przedzie jadą strażnicy miejscy na rowerach, potem paziowie, mali heroldowie, dzieci z sierocińca, misjonarki egipskie, służebnice Serca Jezusowego, adoratorki—służebniczki, potem my z kongregacji i bractw. Z tyłu za kardynałem kroczą prezydent regionu i deputowani. Ludzie przychodzą cztery godziny wcześniej, żeby zająć lepsze miejsca. Ten i ów zemdleje pod palącym słońcem, szczególnie na świętej Rozalii, która jest dobrą świętą i uroczystości ku jej czci są największe. Pięciodniowy festyn podoba się wszystkim, a bardziej niż wszystko inne podobają się sztuczne ognie. Kobiety czekają na święto, żeby mieć okazję Wyjść z domu.

Mnie by się podobało, żeby dobrze działały kongregacje w sprawach świąt i żeby dobrze działała Izba Pracy i komuniści w sprawie pracy.

— Czy w kongregacjach istnieje jakaś forma współpracy między wami poza organizowaniem świąt i od czasu do czasu pogrzebów?

— Nie.

— Czy poza kongregacją należysz do jakiejś innej grupy?

— Czasami w knajpie i w Izbie Pracy. Pomagam też przy organizowaniu święta „Unity”. Dzisiaj nie mogę już czytać gazety, ale chcę jej pomagać aż do śmierci, ponieważ dodaje najn sił, chcę, żeby moi synowie mieli pracę, żebym miał wyższą rentę. Z piętnastu tysięcy litrów miesięcznie muszę opłacić komorne i nakarmić trzy osoby, bo córka jeszcze nie wyszła za mąż. Co tydzień chodzę do Izby Pracy, żeby posłuchać, jak mówi przewodniczący. Lubię go słuchać, bo mówi w naszym imieniu. W kongregacjach nie mówi się o pracy, nie mówi się o jedzeniu. Ale kongregacja jest lepiej zorganizowana i przychodzi więcej ludzi.

— Czy sąsiedzi sobie pomagają?

— Każdy robi swoje.

— Kto, twoim zdaniem, rządzi w Palermo?

— Komendant policji rządzi bardziej niż inni, no i policja. Po nim prezydent regionu. Pod nim jest kardynał, on też rządzi, a pod nim proboszczowie. Syndyk mało się liczy, na przykład na świętą Rozalię podania o pieniądze składa

się do kardynała, a nie do syndyka. Arystokracja nie ma już znaczenia. Niżej, kto praicuje, ten je. Partie liczą się mało. Komuniści byliby dobrzy, ale teraz nie mają znaczenia, rządzą księża, zakonnicy i chadecy. — Czy jest w Palermo więcej biednych czy więcej bogatych?

— Więcej jest biednych. - j^t- Czy biedacy nie mogliby rządzić, gdyby się zjednoczyli? j: — Nie jest możliwe, żeby wszyscy biedacy zjednoczyli się. Jakby się mieli zjednoczyć? Czy można się w ogóle zjednoczyć? Jeżeli sąsiedzi z tej samej ulicy nie mogą się zjednoczyć, to jakby się mieli zjednoczyć wszyscy z całego miasta? Gdyby udało się nam zmienić rząd, wówczas tak, wówczas; udałoby się zjednoczyć wszystkich. Nie byłoby ani bogatych, ani biednych, można by sobie patrzeć śmiało w oczy. Ludzie musieliby zrozumieć i nabrać przekonania, że komuniści mogą organizować święta piękniejsze i większe niż inni. My irie musielibyśmy martwić się o pieniądze na święta, zajęliby się tym oni i mogliby robić rzeczy na większą skalę. Szkoda, że Izba Pracy nie jest zorganizowana tak jak kongregacje. W każdej dzielnicy jest jakaś kongregacja, ale nie w każdej dzielnicy jest Izba Pracy.

Gino Orlando

Pierwsze, co zmieniło -się w Palermo w ciągu ostatnich dziesięciu lat, to to: weźmy na przykład Pozzo delia Mortę. Niektórych ludzi z proletariatu, którzy przedtem zamieszkiwali pewne określone miejsca, teraz już tam nie ma. Jako grupa ulegli rozkładowi i zostali wchłonięci przez inne zbiorowiska, na przykład w niektórych dzielnicach nowych domów dla ubogich. To, co można powiedzieć o Pozzo delia Morte, dotyczy tak samo niektórych części czterech staromiejskich dzielnic w centrum miasta. Ludziom z niektórych ulic, na przykład Cortile Scalilla, przydziela się mieszkania w nowych domach dla ubogich gdzie indziej. Nie jest to

jeszcze zjawisko masowe, ale już daje się odczuć. Stare domy są wyburzane.

Presja w sprawie przydzielania mieszkań o ludzkich warunkach dała więc jakieś rezultaty, ale to nie jest właściwy kierunek działania. Poprzednio dawne zbiorowiska, takie jak w Cortile Cascino, Pozzo delia Morte i wiele innych, miały swoje własne życie, tworzyły pewną społeczność choćby nawet prymitywną, cygańską. Teraz rodziny żyją przeważnie w izolacji, każda rodzina sobie. Na przykład: jeżeli ktoś nie miał pieniędzy i wyszedł na ulicę w swojej starej dzielnicy, miał możliwość pożyczania tysiąca lirów od kogoś znajomego, przyjaciel postawił mu kawę, inny go pocieszył, w razie nieszczęścia mógł liczyć na pomoc — w sumie była jakaś solidarność. Tymczasem w nowej dzielnicy biedacy jak gdyby „mieszczańską”, następuje rozproszenie, każdy żyje na własną rękę. Pozornie wygląda na to, że rodziny żyją wspólnie, w wielkich blokach na tej samej parceli. Faktycznie jednak każdy jest izolowany, a wszyscy razem czują się często jak wygnańcy na marginesie miasta; nie mają nawet tego, co mieli w swojej dawnej społeczności.

Nie wiem, czy można by powiedzieć, że w środowiskach proletariackich nastąpił w ostatnich latach wzrost uświadomienia politycznego. Odnoszę wrażenie, że nie doszło do tego i że ci ludzie w dalszym ciągu są wydani na pastwę najprzeróżniejszych form wyborczej korupcji. To, świadczy o braku aktywności sił lewicy na terenie miasta Palermo. Tak jak poprzednio byli politycznie rozdrobnieni, tak są i dziś. Podczas kampanii wyborczej przez czterdzieści dni znajdują jakąś formę chwilowej koncentracji, na przykład w siedzibie chrześcijańskiej demokracji, ale nie mają określonego celu dążeń i w konsekwencji brak jest wspólnego działania.

Z punktu widzenia religijnego święta takie, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Boże Ciało, pozostają jak dawniej. Co do naszych świąt regionalnych, jak świętej Rozalii i innych* nych świętych lokalnych, to procesje i cały aparat propagandowo-religijno-folklorystyczny stopniowo tracą grunt. Bywa, że za figurą Matki Boskiej idzie niewiele więcej osób

Tiż orkiestra i paru strażników miejskich w galowym stroju.

W dzielnicach staromiejskich wspólnota jest widoczna w momencie żałoby, nieszczęścia. Ktoś z sąsiadów, postać bardziej popularna, podejmuje inicjatywę zbiórki pieniężnej na wieniec, żeby złożyć kondolencje rodzinie zmarłego. Biedna rodzina, która ma zmarłego w domu, nie gotuje tego dnia, kondolencje polegają więc na złożeniu uszanowania zmarłemu, pocieszeniu krewnych i przyniesieniu im czegoś do zjedzenia, choćby trochę rosółu itp. I odprowadzają zmarłego na cmentarz.

Inne momenty głębszej wspólnoty, choć w mniejszym stopniu, to śluby, chrzciny albo kiedy święta się z muzyką jakiś sukces. W momentach cierpienia albo radości ludzie zbliżają się ku sobie, żeby później wrócić do swoich sprawi "Wież jest chwilowa, przelotna."

Zbliżenie między ludźmi nie ma charakteru trwałego i zorganizowanego. Człowiek nie należy do wspólnoty po-> przez stałe formy współpracy, to tylko chwilowy, przelotny odruch.

Ważne jest, że w obliczu śmierci wszystkie właśnie przestają istnieć. Krewni, którzy nie odzywali się do siebie przez całe lata, przy takich okazjach spotykają się i godzą, często bez pośrednictwa osób trzecich. Na małą skalę następuje to, co działo się w czasie bombardowań, kiedy ludzie skupiali się w schronach.

Przysłowie mówi: „Kto ma, ten je, kto nie ma, ten się patrzy”. Przyjmuje się za oczywiste, że każdy działa na własną rękę, i nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, że mogłoby być całkiem inaczej. Liczy się tylko więź rodzinna, i to dopóki żyje się pod jednym dachem, bo często przy rozproszeniu członków rodziny zanikają także stosunki rodzinne.

Starcy cieszą się szacunkiem i zdarza się często, że staruszek żyjący gdzieś samotnie może liczyć na pomoc ze strony wszystkich sąsiadów z ulicy. Tu obok mieszkał jeden, staruszek, który chodził szukać wśród odpadków czegoś nadającego się do zjedzenia. Kiedy wracał, sąsiedzi, widząc, jakie obrzydliwości przynosił, robili mu wymówki i sami go karmili. Ten dał mu kawałek chleba, ów talerz zupy,

inny wyprał mu ubranie albo umył go, bo staruszek miał już osiemdziesiąt cztery lata.

Miejscami, gdzie istnieje jakaś forma doraźnego współżycia społecznego, są lokalne restauracyjki. W niedzielę na ogół są pełne murarzy, szewców, rzemieślników, przychodzi też paru sklepikarzy; w dni powszednie — stali klienci, bezrobotni, renciści. Niektórzy idą tam, bo lubią przebywać razem z innymi, przy okazji mogą dowiedzieć się też o jakiejś pracy albo zagrać w passatellę. I właśnie przy tej grze występują drobne formy solidarności, wspólnoty. Gra ta jest bardzo rozpowszechniona w dzielnicach biedoty.

Dla niektórych passatella jest, poza własną rodziną, jedyną formą współżycia społecznego. Jakiś mieszcuch może uważać to za negatywną formę współżycia, ale dla kogoś, kto żyje sam i nie ma innych możliwości ani okazji wejścia w obręb wspólnoty społecznej, w której można by wyrazić własną osobowość, passatella staje się elementarną formą kontaktu, współpracy, wspólnoty.

Osoby, które znam z najbliższej okolicy, na ogół chcą mieć dom, pracę. Sądzę, że nie ma wśród nich takich, którzy by się zastanawiali nad perspektywami i formami nowego społeczeństwa, nie licząc paru zaangażowanych w partii, do której należą. Marzą o lepszym życiu, ale nie stawiają sobie pytania, jakie ono ma być, jak powinno wyglądać społeczeństwo, miasto, państwo. Nie spotkałem się z tym, żeby ludzie wiedzieli dokładnie, czego chcą w zakresie rozwiązywania problemów i szukania sposobów zmiany sytuacji.

Ludzie rozglądają się dokoła i co widzą? Właściciela domu, któremu płaci się należny czynsz. Lokatorom nie przychodzi na myśl, że mogłoby nie być właściciela, że dom można by posiadać wspólnie, na zasadzie spółdzielczej czy innej. Z kolei właściciel uważa za oczywiste, że domy należą do niego: bądź dlatego, że je odziedziczył, bądź, że je kupił. Wyrzuca więc każdego, kto nie płaci, choćby ten nie miał pracy. Takim tym bardziej nie przyszłoby do głowy, że sytuacja mogłaby się zmienić. Ludzie rozglądają się i widzą sklepy, w których personel podlega pryncypałowi.

Właściciel w zamian za pracę wykonywaną przez ekspedientów płaci im tygodniowo albo miesięcznie. Każdy jest zmuszony do przyspieszania rytmu pracy, bo boi się, żeby nie zostać zwolnionym, a nie dlatego, że zależy mu na współpracy dla polepszania obrotów sklepu albo przez zamiłowanie do pracy, chyba tylko wyjątkowo. Widzi konieczność przy-kładania się do pracy dlatego, żeby mieć zapewnioną posadę. Jeśli interesy będą dobrze szły, wie, że będzie mógł przynajmniej żądać przestrzegania norm pracy, ubezpieczalni, urlopu. Ale nikomu nie przychodzi do głowy, że stosunki te mogłyby wyglądać inaczej. Chyba, że i tu znajdzie się ktoś z lewicy, z tych, którzy w ten czy inny sposób zaczęli rozumieć pewne rzeczy i nabierać poczucia wartości własnej pracy. Gdziekolwiek spojrzeć, widzi się właścicieli i ludzi od nich zależnych, więc traktuje się to jako fakt całkiem naturalny.

Tyle, jeśli chodzi o masy. Nie należy jednak zapominać, że tu i ówdzie znajdzie się zawsze ktoś, kto nie doszedłszy do prawdziwej świadomości politycznej ma jednak poczucie tego, że jest wyzyskiwany. Taki człowiek odczuwa potrzebę zorganizowanej siły, do której mógłby należeć dla obrony własnych interesów, więc zapisuje się do Izby Pracy albo do związków zawodowych. Na taką grupę patrzy jako na szansę pozyskania siły, która może się przeciwstawić sile właścicieli. Trzeba zdawać sobie sprawę, że na szczęblu dzielnicy nie ma filii organizacji związkowych, mimo że istnieją ośrodki propagandowe monarchistów, katolików, chadeków. Była jedna próba, ale nie powiodła się.

Tutaj sprawa robi się poważna. Dlaczego? Mówiąc otwarcie, to nie wierzę, by poza partią komunistyczną działalność innych partii mających siedziby w poszczególnych dzielnicach potrafiła dać każdemu poczucie osobistej odpowiedzialności i własnej roli społecznej. Towarzysze przestają przychodzić do sekcji, jeśli mają tylko słuchać, odczuwają potrzebę poczucia własnej wartości. Weźmy przykład. Wciągamy kogoś do partii, on dostaje legitymację i przychodzi do sekcji. Żeby poczuł ochotę współuczestniczenia, musi przede wszystkim znaleźć środowisko inne od dotychczas

wego, musi poczuć, że jest traktowany inaczej. Nie powinien czuć się tylko kolejnym numerem, lecz człowiekiem myślącym, wypracowującym dyrektywy wspólnie z innymi. Musi czuć, że nie przyszedł po to, żeby dać sobie wbijać do głowy gotowe poglądy, że jego zaangażowanie jest wkładem w zmianę sytuacji. Mimo że miejsce się zmieniło, że nie jest to sklep, gdzie był pryncypał i podwładni, zawsze jest ryzyko, że nowo przyjęty poczuje się jak kolejny numer, powiększający ogólną ilość tylko po to, aby partia odniosła sukces w sprawach, w które nie został sam wciągnięty.

Każdy chce zawsze być kimś. Pewnego dnia grupka naszych sprzedawała „cegiełki” na budowę szpitala w Wietnamie. Po przybyciu towarzysza z zarządu sekcji wybuchła dyskusja: przywitał się czy nie przywitał. Ktoś powiedział: „Przychodzi i nie powie nawet dzień dobry”. To także wskazuje, choć może się wydać błahostką, jak dalece ludzie odczuwają potrzebę szacunku. Sądzę, że wiele niezadowolenia i złej krwi powstaje nie z powodu linii politycznej, lecz z powodów osobistych. Na niektórych zebraniach widać, jak; inteligent siada obok inteligenta, robotnik koło kolegi z budowy, ci z dzielnic proletariackich siadają koło innych z tej samej dzielnicy i czują się osamotnieni, izolowani.

Aby zrealizować demokrację, trzeba znaleźć takie formy, takie sposoby, takie organizacje, które każdy będzie mógł uważać za swoje, będzie mógł uczestniczyć w wypracowaniu dyrektyw, w podejmowaniu decyzji i potem w ich realizowaniu. Propaganda w starym stylu, jak na przykład na zebraniach, może docierać teraz przez radio i telewizję. Na zebraniu można tylko słuchać. W gruncie rzeczy ludzie, nawet jeśli nie zdają sobie z tego dokładnie sprawy, akceptują coraz niechętniej grupę typu parafialnego, gdzie proboszcz wygłasza kazania, jest autorytetem, a inni słuchają i modlą się, i co najwyżej współpracują przy organizacji lokalnych świąt i temu podobnych. Coraz niechętniej akceptuje się stosunki typu policyjnego, gdzie komisarz radzi się tylko kodeksu karnego (często jeszcze faszystowskiego) i rozkazuje, a inni go słuchają.

SPOTKANIE W CASTELLAMMARE

W dniu 14 lutego 1966 roku ja i moi współpracownicy spotkaliśmy się z mieszkańcami osiedla, aby na podstawie swego testu zbadać, jakie ich zdaniem cechy powinien mieć współczesny działacz polityczny.

— Pośrodku tej wielkiej tablicy w głębi — mówiłem — Franco narysuje pionową linię. Na jednej stronie będzie pisał pod moje dyktando, jakie były, tylko na zasadzie hipotezy, niektóre cechy dawnego polityka, a po drugiej — nowego. Słowo „dawny” rozumiem nie w sensie historycznym, lecz w znaczeniu „przestarzały”, gdyż oczywiście jest, że i wiele wieków temu istnieli politycy znacznie nowocześniejsi od niejednego dzisiejszego. Jeśli niektóre przeciwstawienia są nieco naciągane, to tylko dla uzyskania większej jasności. Później, w dyskusji, będziemy mogli sprawdzić, czy sprecyzowane cechy są do przyjęcia dla wszystkich, czy też nie. Odpowiada wam to? Spróbujmy.

A oto, jak wyglądał zapis na tablicy. (..)

Rozpoczęła się dyskusja. Najważniejsze głosy były mniej więcej takie:

— Dawni politycy dbali przede wszystkim o pozwolenie na broń, faworyzowali przyjaciół przy dzierżawach, faworyzowali klikę, swoją klientelę.

— Dawny polityk tak robił, żeby wszystko kręciło się dokoła niego.

— Tak, niekiedy kazał traktować się jak Bóg.

— Trzeba podawać do wiadomości opinii publicznej to, o czym wszyscy powinni wiedzieć. Jeżeli nie ma jasności w mowie i działaniu, jesteśmy pogrążeni w ciemnościach.

— Każdy z nas powinien wiedzieć, jak sprawy stoją, i sam osądzać, co dobre, a co złe.

— Polityk w dawnym stylu stosuje korupcję dla utorowania sobie drogi. W czasie kampanii wyborczej widzieliśmy, jak rozdaje się makaron, mąkę, banknoty, żeby kupić głosy. To jest właśnie korupcja.

— Nowoczesny polityk jest wychowawcą w tym znaczeniu, że musi kształtować świadomość, rozbudzać świadomość obywatelską, rozszerzać horyzonty.

— Gwałtowny i mściwy — to moim zdaniem najodpowiedniejsze słowa. Kiedy ktoś, na przykład, nie chciał głosować za dawnym politykiem i chciał być innego zdania niż on, wtedy tamten mógł się mścić.

— Ja bym powiedział, że człowiek, który tak postępuje, nie jest politykiem tylko politykiem, wygrywa rozmaite

tendencje i kiedy widzi, kto ma szansę na zwycięstwo, to stara się iść za nim, żeby trzymać się zawsze władzy.

— Żeby to udowodnić, wystarczy zwrócić uwagę na to, że od dwudziestu lat mamy tych samych ministrów. Rządy się zmieniały, a oni zawsze pozostawali ministrami.

— To Są ci, co patrzają, które ramię wagi się opuszcza, i są gotowi stanąć po tej stronie.

— Stary polityk przypomina bardziej wojownika, podczas gdy nowy przypomina bardziej konstruktora, budowniczego.

— Ja myślę, że dawny polityk ma zamiar niszczyć konstrukcje innych, żeby budować swoje i swoich stronników. Nowy polityk stara się budować wspólnie z innymi dla dobra wszystkich, niczego nie ukrywając. Dla wszystkich i dzięki wszystkim.

— Podwójna gra znaczy, na przykład, że przed referendum za monarchią albo za republiką byli tacy politycy, którzy aż do ostatniej chwili, aż do ostatniego przemówienia w czasie kampanii, nie wypowiadali się. Czekali — jeśli będzie republika, to będą republikanami, jeśli zwycięży monarchia, będą monarchistami. Albo też, biorąc pod uwagę, że w znacznej części aktualne życie polityczne charakteryzuje się ścieraniem różnych tendencji, polityk prowadzący podwójną grę siedzi na dwóch stołkach i ostatecznie popiera tę tendencję, która zwycięża.

— Dawny polityk stara się utrzymać zawsze na powierzchni jak korek, przysysa się do władzy jak ślimak do skały.

— Królowie przekazywali władzę własnemu synowi, nawet jeśli był kretynem.

— Wszyscy zgadzamy się co do tego, jaki powinien być nowy działacz polityczny. Ale chodzi o to, żeby zrozumieć, jak przejść od dawnego do nowego, zrozumieć, co trzeba zrobić, żeby wcielić w życie politykę działacza nowego. Dlatego sądzę, że dyskusję trzeba rozszerzyć.

— Ja myślę, że aby dojść do nowej polityki, trzeba... Na przykład: ja żyję w dawnych warunkach. Powinienem śledzić prasę, żeby zdawać sobie sprawę, jakie są przyczyny

takich właśnie warunków, powinienem zorganizować się demokratycznie w jakiejś partii, która rozumie potrzeby pracowników. Zarazem nie powinienem ufać z zamkniętymi oczami żadnemu działaczowi politycznemu, choćby nawet należał do partii lewicowej. Powinno się iść za nim i kontrolować, jeśli ewentualnie błędzi, to go poprawić, a jeśli trzeba, to go zmienić.

- Zgadza się co do nowej polityki, ale wciąż jest tyle ciemnoty... -^r ~ "...i strachu.

— Zależność jest gorsza od kijów...'

— Ja nie jestem w stanie zrozumieć. Mam doświadczenie, ale nie mam doświadczenia w sprawach politycznych. Każdy z nas sam sobie tłumaczy swoje myśli, ale nie potrafi się wypowiedzieć. Co pan chce, żeby panu powiedział? Jestem analfabeta.

— A ja myślę, że kto nie ma pieniędzy, ten się boi.

— Chciałbym coś powiedzieć na temat strachu. Rzeczywiście uzyskaliśmy tak zwaną demokrację, to znaczy for-* malną, ale nie ma jeszcze prawdziwej wolności. _

— Dlatego, że do rodziny będącej w ciężkiej sytuacji materialnej przychodzi w czasie wyborów facet, który ofiarowuje różne rzeczy i pieniądze. W ten sposób głośuje się na tego, na którego nie powinno się głosować.

— Wszyscy jesteśmy zgodni co do nowego działacza politycznego, ale jak zrobić, żeby mieć tych nowych działaczy, tę nową politykę? Po pierwsze trzeba mieć odwagę. Strach istnieje, boimy się wszyscy po trochu, bo kiedy człowiek nie jest wolny od biedy, nie może swobodnie wyrażać swoich poglądów. Przyczynia się do tego i ciemnota, ale jest wiele ludzi, którzy czasami nie wypowiadają swoich poglądów, bo zależy im na pracy. Nie ma nowych form wspól-t życia społecznego i jeśli ktoś się buntuje, to od razu mu grożą: „Bo cię przeniesiemy, bo cię usuniemy, bo cię wyrzucimy, bo cię zadenuncjujemy”.

— Wszyscy się boimy, dlatego że jesteśmy biedni. Ciągłe jeszcze się grozi. W konstytucji włoskiej jest napisane, że każdy ma prawo do pracy. Nie powinniśmy chodzić żebrac

o miejsce pracy u ministra Iks, deputowanego Ygrek. Praca jest święta, mamy do niej prawo. Nie powinniśmy stawać się niczymi służalcami, powinniśmy zerwać z różnymi klikami kierowanymi przez mafie. Mieliśmy ich już dość. Ale boimy się wszyscy i myślę, że w duchu zgadzacie się wszyscy ze mną.

— Strach został już częściowo przezwyciężony, a częściowo jest jeszcze do przezwyciężenia.

— Ja przyznaję, że strach istnieje i panuje nad Sycylią, ponieważ ojciec czworga czy pięciorga dzieci, który ma jakąś pracę, boi się, że pewnego dnia zostanie wyrzucony a pracy, a jego dzieci nie będą miały co jeść. To jest lęk o dzieci, o rodzinę.

— Ja mam rodzinę i boję się, żeby mnie nie wyrzucili[^] więc godzę się na wszystko. To strach zbiorowy.

— Że ktoś może dostać się do władzy dzięki mafii, to coś obrzydliwego...

— Korupcja istnieje: w Castellammare w czasie wyborów całymi wagonami rozdawali makaron, lekarstwa i używane ubrania.

— To nieprawda.

— Ja mówię wyraźnie, że w miejscowości Castellammare w czasie wyborów rozdawali makaron. Tyle pieniędzy przypłynęło do Castellammare i z tych pieniędzy nic poważnego nie wynikło. To są fakty, których nie da się ukryć, wiele z tych pieniędzy przepadło nie wiadomo gdzie. Makaron w czasie wyborów był rozdawany. Jeżeli tu ktoś twierdzi, że to nieprawda, niech podniesie rękę.

Nikt z obecnych nie podniósł ręki.

— A więc wierzę — powiedziałem — że ten pan ma rację.

— Ja mówię, że strachu nie ma.

Ja:

— A więc jak to jest możliwe, że dąży się do ukrywania faktów, jakie wydarzyły się w obecności tysięcy osób? Dlaczego jest tak, że nie mówi się o tym, co się dzieje we własnej wsi całymi tygodniami, miesiącami, latami, choć wie się o tym i widzi to? Jak to nazwać? Jeżeli o sprawie pu-

blicznej mówi się z dwoma, trzema osobami, dlaczego o tej samej sprawie nie można mówić w obecności tysiąca, dziesięciu tysięcy, wszystkich? Człowiek jest stworzony do prawdy, niemówienie prawdy to kalectwo.

Głosy:

— Mam wrażenie, że jesteśmy zdezorientowani. Głosowało się zawsze na zasadzie klientelarnej, a prawie nigdy ze świadomości politycznej, takie zawsze odnosiłem wrażenie.

— Wobec tego, co już zostało powiedziane, szczególnie ludzie w moim wieku, którzy widzieli tyle kampanii wybor-^{*}zych, wiedzą dobrze, że po głosy przychodzi się z paczką makaronu i z banknotem tysiactyrowym, wmawiając w ludzi różne rzeczy.

— Ludzie wahają się mówić, bo jeszcze tak naprawdę nie został przełamany ten zaklęty krąg, zмова milczenia i strachu, bo wyszedłszy stąd, można na zewnątrz narazić się na represje. Jest jeszcze dużo strachu, a niektórzy wciąż jeszcze mieszają pojęcia. Jeżeli prawda ma wyjść na jaw, to ja z całym przekonaniem, z całą znajomością terenu, muszę powiedzieć, że korupcja w Castellammare istotnie miała miejsce, że głosy zdobywano często dzięki ciemnocie bądź za pomocą makaronu i mąki, bądź przez zastraszenie. Logicznie biorąc, partie lewicowe nie stosują korupcji, ponieważ są to partie biedne; wiedzą o tym wszyscy; ani socjalistów, ani komunistów nie stać byłoby na to. Istotnie zaczęli monarchiści i liberałowie, ale największą mistrzynią okazała się tu chrześcijańska demokracja. I mafia też się ruszyła, jeszcze jak!

- Prawdę mówiąc, nie znam mafiosi w Castellammare... osobiście.

— Ten pan powiedział, że partia komunistyczna nie stosowała propagandy przy pomocy makaronu, pieniędzy i tak dalej, ponieważ nie było jej na to stać. Ale gdyby partię komunistyczną było stać na to, to czy stosowałyby propagandę przy pomocy makaronu?

— To możliwe...

— Może i przed laty chrześcijańska demokracja nie my

ślała tak robić dla zasady, ale skoro potem było ją stać, to zaczęła tak robić.

— Chciałbym odpowiedzieć na to. Partie to nie są abstrakcje, partie składają się z ludzi, a ludzie są tylko ludźmi, to naturalne, dlatego we wszystkich partiach można znaleźć ludzi, którzy nie postępują właściwie. Ja nie jestem komunistą, ale muszę stwierdzić co do tych okolic jedno: że tego rodzaju ludzie, którzy korumpują życie demokratyczne, życie obywatelskie jakiejś partii, ludzie, którzy dbają o własny interes, raczej nie wstępują do partii lewicowych dlatego, że nie mają tam możliwości utuczyć się.

. — Sprawiedliwości nie trzeba szukać daleko, sprawiedliwość zaczyna się przed drzwiami własnego domu; uczciwy powinien być przede wszystkim każdy pojedynczy człowiek.

—Prawdą jest, że wszyscy się boimy dlatego, że, być może, nie zrozumieliśmy, że demokracja oznacza rządy ludu, nie zrozumieliśmy tego jeszcze wystarczająco jasno i dobitnie. Ludzie wciąż jeszcze boją się szantażu, zastraszenia, że straci się posadę, że ktoś zostanie przeniesiony. To jest realna prawda, ponieważ mafia istnieje, jak wszyscy wiemy, i w tych okolicach ma powiązania z pewnymi politykami.

— Trzeba poczekać, co powie sąd.

— Ja widzę teraz, że na dworze jest ciemno, i nie sędzę, żeby mi potrzebny był wyrok sądowy, aby powiedzieć mi o tym, co sam mogę zobaczyć i stwierdzić. Widzę, że dym idzie do góry, widzę, że jest tutaj dużo osób w grzeczny sposób dyskutujących między sobą, więc mówię: „Jest dym i jest dużo osób dyskutujących grzecznie między sobą”. Nie czekam na sąd, żeby o tym wiedzieć. Krzysztof Kolumb nie czekał na sąd, żeby odkryć Amerykę, odkrył Amerykę, a sąd się o tym dowiedział później.

- Nikt nie może oskarżyć Krzysztofa Kolumba za to, że odkrył Amerykę. Ale trudno, żeby ktoś, kto ma dwanaście oskarżeń, nie został skazany. Sąd decyduje o wszystkim.

Lorenzo Barbera:

— Istnieje zarząd miejski, istnieje rada gminna, admi

nistracja gminna, więc czy mamy powiedzieć, że skoro istnieją te organa, to obywatele Castellammare nie powinni się wcale zajmować problemami Castellammare? Co kogoś z ulicy obchodzi, czy się postępuje właściwie czy niewłaściwie, lepiej czy gorzej? To rzecz administracji. I to się panu wydaje demokratyczne? Powinniśmy -z całą odpowiedzialnością zabierać głos, dyskutować, potem zebrać rezultaty tych dyskusji, w których wszyscy wzięli udział, i stopniowo przekazywać je na coraz wyższe szczeble, aż dotrzemy do Rzymu. Tam jest Komisja do Zwalczania Mafii. Potem jest przestrzeń ponad tysiąc kilometrów i tutaj jesteśmy my i mafia. No więc? Czyż nie powinniśmy zorganizować kontaktu przez ten tysiąc kilometrów? Czyż nie interesuje nas sprawa mafii? Sprawa powiązań między mafią a polityką? Czyż nie powinniśmy zaczynać od pytania: „Czy to prawda czy nieprawda?” Przede wszystkim sami zobaczymy, czy dane fakty są prawdziwe, przedyskutujemy je wspólnie, ponieważ dotyczy to bardziej nas niż kogokolwiek innego. Nie możemy mówić: „Teraz jest komisja. To znakomita komisja, poważni ludzie, więc możemy wszyscy spać spokojnie, nie ma co dyskutować, nie ma o czym myśleć”. A cóż zdołała parlamentarna Komisja do Zwalczania Mafii sama? Naszym obowiązkiem jest wziąć odpowiedzialność na siebie. Mieliśmy tylu, co oddali życie, dążąc do rozwiązania tych problemów, ludzi prostych, działaczy związkowych i politycznych, którzy oddali życie za sprawiedliwość, i tylu ludzi, którzy mieli i mają odwagę mówić głośno, gdzie leży zło. Jednakże nam, Sycylijczykom, brakuje wciąż jeszcze umiejętności wspólnego gruntownego dyskusowania naszych problemów, a jeśli będziemy rozwiązywać sprawy na zasadzie: „siedź cicho i ty, skoro ja nic nie mówię”, to nie rozwiążemy niczego. Prawda jest taka, że jeśli ja milczę i mnie wykończą, to nikt nie będzie wiedział o niczym. Jeżeli natomiast wszystko to, co ważnego się dzieje i o czym wiem, przedyskutujemy i wyjdziemy z tym na ulicę, wtedy sytuacja się zmieni. Na nas, Sycylijczykach, spoczywa odpowiedzialność; to co w naszej wsi, w naszej okolicy zgniło, powinniśmy wyciąć, powinniśmy oczyścić się z tego wszyst

kiego dlatego, że możemy być równie cywilizowani jak inni, a nawet bardziej cywilizowani od innych. Nie jesteśmy w niczym gorsi od innych, jednakże musimy mieć odwagę wyrzucić wszystko, co jest brudem, zgnilizną.

Głos:

— Ja myślę, że sprawy należące do sądu i policji, do specjalnych organów o wysokich kwalifikacjach, takich jak Komisja do Zwalczenia Mafii, powinniśmy pozostawić ich ocenie, ponieważ nie leżą one w kompetencji obywateli, ale w. kompetencji najbardziej miarodajnych, najpoważniejszych, najwyższej kwalifikowanych instytucji. Zatem to bzdura wymagać, żebyśmy my, obywatele, mieszały się do tego, zostawmy ocenę tym instytutom, oczekujemy z chrześcijańską rezygnacją werdyktu sądu i komisji do badań nad mafią. Ja jako obywatel nie czuję się powołany do dyskusji z Komisją do Zwalczenia Mafii czy z kimkolwiek innym na temat problemów, które mnie dotyczą. Zatem dla mnie stwarzanie tych mostów jest zbyteczne i sądzę, że inni się ze mną zgodzą.

Franco:

- To, co pan bardzo jasno przedstawił, jest ważne i bardzo niebezpieczne, ponieważ w pewnym sensie mówi pan, że trzeba izolować Komisję do Zwalczenia Mafii i tamte instytucje. Kiedy mówi pan: „Te sprawy mnie nie obchodzą, te problemy mnie nie dotyczą”, ja myślę: „Kiedy wychodzę na ulicę i widzę, jak ktoś bije do krwi kijem małą dziewczynkę, to mnie to nie obchodzi, bo takie przestępstwa to sprawa sądu, a nie moja”.

Hozległy się huczne oklaski.

Głos:

— To jest, innymi słowy, oskarżenie; oskarża pan Komisję do Zwalczenia Mafii, że nic nie robi, że nie interweniuje. To pan chciał powiedzieć?

Franco;

— Spróbuję wyjaśnić moje stanowisko w inny sposób. Niech pan patrzy na ten napis: „Jaki plan rozwoju demokratycznego w ostatnich dwudziestu latach został uruchomiony przy współudziale lokalnych przedstawicieli władzy?”

Rozumie pan, co mam na myśli? Jeśli pan wciąż mówi o niezawisłości sądów, to jak pan wytłumaczy, że od roku do dziś tyle procesów tutaj kończyło się zawsze umorzeniem z braku wystarczających dowodów, a przecież te procesy bardzo często dotyczyły członków mafii?

Głosy:

— Bo to są ludzie o zawodowej przestępczej dyskrecji, ludzie mafii albo podporządkowani mafii, którzy nigdy nic nie wiedzą, którzy mają obowiązek interweniować publicznie, a jednak nie interweniują.

— Według mnie chodzi o to, że milczeliśmy przez tyle wieków i w dalszym ciągu milczymy. Poza tym pan mówi: „Nie czuję się na siłach ani powołany do interweniowania”, a mnie się wydaje, że wszyscy jesteście w stanie, nawet naj-r skromniejsi, człowiek bez wykształcenia tak samo jak uczone, wszyscy jesteście powołani do wyciągania na jaw takich spraw, jeżeli o nich wiemy.

— Nowa akcja odważnych ludzi może skrócić dystans dzielący nas od nowej polityki i nowego życia. Prędzej czy później mafia zniknie, czasy są takie, że mafia się rozlatuje siłą rzeczy, ludzie będą żyć w świecie bardziej demokratycznym. Jeżeli użyjemy inteligencji i zdolności, skrócimy dystans o piętnaście, dwadzieścia lat. Jeżeli będziemy dość in-»
teligentni i poważni, by przeciąć niektóre niezdrowe więzy, a nawiążemy nowe, zdrowe, będziemy mogli zrobić krok; naprzód, który skróci o dwadzieścia lat ten nazbyt powolny rozwój w kierunku demokracji.